

Najlepszy debiut kryminalny tego roku
– Jarosław Molenda

KOZIOŁ



PRZEMYSŁAW KOWALEWSKI

FILIA

PRZEMYSŁAW KOWALEWSKI

KOZIOŁ

FILIA

Piekło to inni.
Jean-Paul Sartre, *Przy drzwiach zamkniętych*

W książce wykorzystano archiwalne materiały ze sprawy zabójstwa Ireny Jarosz, zwanej także sprawą Józefa Cyppka. W cytowanych aktach poprawiono tylko ewidentne błędy ortograficzne i interpunkcyjne, poza tym zachowano oryginalną pisownię. W wypadku innych opisanych sytuacji i postaci wszelkie podobieństwo do prawdziwych zdarzeń i osób jest przypadkowe i niezamierzone.

Prolog

Niebuszewo, Szczecin, maj 1957 roku

Stała na końcu kolejki. Wychyliła głowę i spojrzała w kierunku jej czoła. Przed nią znajdowało się jakieś dwadzieścia osób. Drugie tyle pewnie tłoczyło się w środku. Odwróciła się, była ostatnia. Nie jest źle, pomyślała. To jakieś dwadzieścia minut do pół godziny stania w kolejce. Spojrzała w górę i zamknęła oczy. Promienie słońca zalały jej twarz błogim ciepłem. Uśmiechnęła się. W tym roku maj był wyjątkowy. Bardziej przypominał lipiec albo początek sierpnia. Mogła w końcu włożyć tę sukienkę w grochy, w której wyglądała jak Basia Kwiatkowska w *Ewa chce spać* – tak przynajmniej twierdziła pani Domicela, jej dyrektorka. Pracowała w Danie, firmie produkującej odzież. Nie, nie była już zwykłą szwaczką, od miesiąca zajmowała stanowisko specjalistki w dziale konfekcji damskiej. Stamtąd było już tylko dwadzieścia metrów do gabinetu pani Mazurkiewicz. To było jej marzenie: pracować u boku pani Dany, wspaniałej kobiety, która stworzyła przedsiębiorstwo. Każda dziewczyna po skończeniu odzieżówki chciała właśnie tam pracować.

Po jakimś miesiącu obserwacji Ania stwierdziła, że droga kariery prowadzi przez żółdki głównych specjalistek w dziale wzornictwa. Panie szczególnie zasmakowały w porannej kawie z ciepłym rogalem z piekarni na Długosza. Nie było jednak łatwo zdobyć te słynne wypieki. Zazwyczaj rozchodziły się w ciągu pierwszych trzech godzin. Trzeba było wstać rano i odczekać swoje w długiej kolejce, ciągnącej się nieraz aż do Roosevelta^[1]. To było zbyt męczące dla pań z biurowca na Odzieżowej. Do tego nie była to najbezpieczniejsza część miasta. Nierzadko z którejś z ciemnych bram na Niemcewicza czy Barbary wyskakiwało kilku cwaniaków, podchodziło do gości stojących w kolejce po chleb, przystawiało kawałek majchra pod żebra i zwracało się z uprzejmą prośbą o wsparcie na przykład w zakupie biletu

PKP do Łomży na pogrzeb babci. Człowiek nie mógł odmówić. Ania wiedziała, że sporo ryzykuje, ale pocieszała się, wspominając rosyjskie przysłowie, które kiedyś usłyszała od babci: kto nie ryzykuje, ten szampana nie pije. Uśmiechnęła się. W gruncie rzeczy z tym ryzykiem to była też gruba przesada. Od kilku tygodni dzień w dzień robiła zakupy na Niebuszewie i co? Nic. W gruncie rzeczy czuła się tu równie bezpiecznie jak na Niepodległości.

Jej rozmyślenia przerwał duszący zapachu potu zmieszanego ze smrodem tytoniu i taniego alkoholu. Odwróciła się. Tuż za nią stał mężczyzna w podkoszulku. Jego wielka postura właściwie zasłoniła jej resztę kolejki, nie wiedziała, czy ktoś za nim stoi. Mężczyzna uśmiechnął się do niej, ukazując wyraźne braki w uzębieniu. Skrzywiła się. Nie mogła nie zauważyć, iż poza dwiema dwójkami w górnej części i kilkoma brązowymi trzonkami w dolnej niczym nie mógł się pochwalić.

– Miiieerosław jestem.

Mężczyzna, kołysząc się, wyciągnął wielką łapę w kierunku Ani. Dziewczyna odwróciła się, próbując dać do zrozumienia, że raczej nie jest zainteresowana konwersacją. Nie zadziało. Po chwili poczuła, jak ta sama wielka łapa ląduje na jej ramieniu. Mężczyzna obrócił ją, trzymając w żelaznym uścisku.

– Mówiłem do ciebie, złotko, że Mirosław jestem, nieładnie tak się odwracać.

Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Ania próbowała się wyrwać, ale jej wątłe ciało mogło się jedynie szamotać. Przypominała szmacianą lalkę, którą złapał dziki kundel. Po stojących w kolejce przeszedł pomruk oburzenia, ale nikt się nie wyrwał, by pomóc dziewczynie.

Ania wiedziała, że jeżeli teraz nic nie zrobi, to z pewnością źle to się dla niej skończy. Pochyliła głowę tuż nad silnym ramieniem mężczyzny i z całej siły wbiła zęby w jego ciało. Zrobiła to tak energicznie i mocno, że jej szczęki zatrzymały się dopiero na kości przedramienia. Mirosław zawył z bólu i próbował wyszarpać ramię. Oboje zatoczyli się na środek ulicy. W pewnym momencie mężczyzna oderwał się od dziewczyny i upadł na ziemię. Spojrzał na wyszarpane miejsce na ramieniu i zadarł głowę.

– Ty kurwo!

Gwałtownie się podniósł i zgiął w pół, a jego ciało zaczęło wykonywać dziwne ruchy, jak aktor teatru pantomimy podczas solowego numeru. Kolejka zawirowała. Wszyscy w osłupieniu wpatrywali się w dziwnie skrzywioną postać. Po chwili przez całą kamienicę przeszedł potężny śmiech, właściwie rechot, który odbijając się od fasad budynków z czerwonej cegły, rezonował i wpadał w dźwiękowy korkociąg, przez co dźwięk nabrał upiornej barwy. Echo tego nierzeczywistego śmiechu po dotknięciu brukowanej ulicy zamieniło się w rżenie i coraz cichszy pisk, który zanikł równie szybko, jak się pojawił.

Mężczyzna leżał w pozycji embrionalnej i się nie ruszał. Jakiś drobny facet w kraciastej koszuli, który do tej pory stał w kolejce, podszedł do niego. Kucnął i dotknął ręką szyi leżącego. Chwilę potrzymał palce pod podbródkiem, po czym wstał i spojrzał na Anię.

– On nie żyje. Co mu pani zrobiła?

* * *

Telefon nie dawał za wygraną. Gdy zadzwonił po raz czwarty, mężczyzna powoli podniósł słuchawkę.

– Doktor Ferenc? – wyszeptał do słuchawki drżący kobiecy głos.

– Tak, w czym mogę pomóc? – odpowiedział spokojnym, ale wyraźnie zirytowanym tonem lekarz.

– Dzień dobry, panie doktorze. To ja, Swietłana Pawlak z czwartego bloku... – Pomimo starań ukraiński akcent wciąż był słyszalny. – Proszę pilnie zejść na dół do prosektorium – wyrzuciła z siebie kobieta.

Na zmęczonej twarzy lekarza pojawiła się oznaka rezygnacji. Zapowiadał się kolejny długi dzień w szpitalu. Szymon Ferenc pracował na Arkońskiej siódmy rok. Przyjechał do Szczecina pięć lat po wojnie. Był jednym z tych, którzy uwierzyli propagandzie. „Tu czeka na ciebie nowy świat”, mówili. „Jedziesz na dziki zachód”, śmiali się. W gazetach pisali, że to ziemie odzyskane. Nie był naiwny. Wiedział, co się kryło za oficjalną propagandą. Liczył się z tym, że nie będzie łatwo, ale też nie miał nic do stracenia. Dwa lata na wydziale lekarskim na Akademii Lekarskiej w Bytomiu wystarczyły, by poczuł się zbawcą świata. Spakował jedną parę spodni i marynarkę, w której był na egzaminie wstępnym, i pobiegł na dworzec PKP w Zabrze. Kupił bilet w jedną stronę do Szczecina. Do nowego świata. Nic go tam, na Śląsku, nie trzymało. Matka i ojciec podczas wojny zostali

wywiezieni do Niemiec na roboty, z których nigdy nie wrócili. W trakcie studiów bardziej od dziewczyn interesowała go struktura wielopostaciowa gronkowca, dlatego całe dni spędzał w czytelni Biblioteki Głównej na Warszawskiej 14.

To, że Szymona nie interesowały dziewczęta, nie oznaczało, że one się nim nie interesowały. Nie był wysoki, ale ze wzrostem metr siedemdziesiąt pięć centymetrów mieścił się w średniej krajowej. Był przystojny, kruczoczarne włosy z obfitą grzywą falowały nad wysokim czołem. A jego oczy miały granatowe tęczówki, co czyniło go nieco egzotycznym. Najbardziej jednak wyróżniał się sylwetką. Wielogodzinne sesje treningowe w salce zapaśniczej klubu sportowego MKS Kończyce nadały jego ciału nie tylko zwinność, sprężystość i siłę, lecz także atletyczny wygląd. Jak się miało później okazać, treningi, a szczególnie ich efekty, stały się afrodyzjakiem silniejszym niż jego spojrzenie. Wśród studentek drugiego roku studiów medycznych kursował nawet specjalny grafik, regulujący, która z nich i kiedy może siedzieć obok niego w czytelni. Rywalizacja zakończyła się w czwartym semestrze, kiedy to przyszłe adeptki medycyny zrozumiały, że nie wygrają z chorobami trawiącymi mózg człowieka, kolejną pasją Ferencza.

Był bardzo dobrym studentem. Bez problemu zdobyłby pracę w Państwowym Szpitalu Klinicznym nr 2 w Zabrze, jednak wiedział, że tam byłby tylko kolejnym niezłym lekarzem. Na nowej ziemi miał szansę przejść do historii, zbudować coś wielkiego od początku, sam.

Po przyjeździe do Szczecina trafił do „Kurzego Młyna”, czyli Miejskiego Szpitala Zakaźnego im. Rydygiera przy Arkońskiej 4. Wcześniej był tam zakład opieki dla starców, ale Naczelny Nadzwyczajny Zakład ds. Walki z Epidemiami zdecydował o przebudowaniu całego kompleksu. Wylądował pod skrzydłami profesora Eisnera[2], legendy tego miejsca. Kontynuował też naukę na Akademii Lekarskiej w Szczecinie. Myślał, że złapał Pana Boga za nogi, jednak rzeczywistość okazała się brutalna. Czerwonka, błonica, dur brzuszny to były tylko nieliczne epidemie, z którymi lekarze, niezależnie od specjalności, musieli walczyć. Miasto utknęło w kleszczach głodu i brutalnych porachunków lokalnych band. Szczecin, do jakiego trafił, nie był miastem nadziei.

Prosektorium mieściło się w obskurnej piwnicy po dawnym schronie przeciwlotniczym. Pośrodku, na metalowym stole sekcyjnym, leżało ciało

mężczyzny. Długie cienie wskazywały, że u stołu stoją dwie osoby, pielęgniarka Janina Pawlak i Kryże, patomorfolog z Gryfina.

– To już ósmy – odezwał się ponuro Kryże. Ferenc podszedł do stołu. Zwłoki mężczyzny były zakryte do szyi białym płótnem żeglarskim. Górnej części czaszki nie było. Została otwarta.

– Gąbka. – Kryże wskazał na mózg ofiary. – Mózg został kompletnie zdeformowany. Następny. Wiesz, co to oznacza? – zwrócił się do Ferenc a człowiek w białym kitlu.

– Tak – wyszeptał lekarz. – Mamy kolejnego kanibala.

[1] ulica Roosevelta – obecnie aleja Wyzwolenia

[2] Marek Eisner (ur. 18 sierpnia 1907 w Borszczowie, zm. 18 maja 1994 w Szczecinie) – polski lekarz, endokrynolog, profesor Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie.

CZEŚĆ I

OFIARY

1

Śmiejąca się śmierć

Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej, Szczecin, maj 1957 roku

– Wie pan, czym jest choroba kuru? – zwrócił się do siedzącego na skórzanym fotelu mężczyzny w błękitnoszarym mundurze doktor Ferenc.

– Po pierwsze nie „panie”, tylko „towarzyszu majorze” – skarcił lekarza dobiegający pięćdziesiątki grubas, który siedział za biurkiem. Podwójny podbródek i brak szyi pasowały do zarumienionej, puciołowatej twarzy. W palcach przypominających serdelki trzymał niedogaszzonego papierosa. Mundur nie mógł zakamufłować zwałów tłuszczu, który próbował się wydostać na powierzchnię między guzikami białej koszuli.

– Mamy rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty siódmy, a nie trzydziesty siódmy, i nie jesteśmy w sanacyjnej Polsce panów, tylko w Polsce Ludowej, w której wszyscy towarzysze są równi – dodał i uśmiechnął się do siebie. Zawsze po tym, jak udało mu się skutecznie upokorzyć jednego z tych synów z inteligenckich rodzin, spadkobierców tamtego świata, czuł, że kolejny przyczółek został zdobyty.

– Poza tym – zachnął się – nie, nie wiem, co to jest choroba kuru, ale liczę na to, że towarzysz mnie oświeci.

Ferenc zdawał sobie sprawę, z kim rozmawia. Major Sucharek znany był szczecińskim lekarzom. To on stał za brutalną akcją pacyfikacji protestu po wydarzeniach z Daniłą Nieczupejem[3], po której izby przyjęć szpitali na Zdunowie i Arkońskiej zapełniły się kobietami z połamanymi miednicami, mężczyznami z rozbitymi głowami i krwawiącymi ranami po postrzałach. Pijany żołdat pod Szczecinianką zastrzelił robotnika budowlanego i salwując się ucieczką przed żądnym krwi tłumem, celował do ludzi jak do tarcz. Sucharek wiedział, że towarzysze radzieccy nie odpuszczą próby linczu na żołnierzu sowieckim, musiał stanąć w jego obronie. Pamięta te

tysiące ludzi pod komendą krzyczących, by oddał Ruska. Niełatwo było podjąć decyzję o wysłaniu na nich plutonu milicji. Ktoś musiał jednak wziąć na siebie odpowiedzialność, w końcu chodziło o dobre stosunki polsko-radzieckie i przyszłość polskiego Szczecina, tak to sobie wtedy tłumaczył. Od tego momentu przestał być zwyczajnym milicjantem. Człowiekiem stojącym na straży prawa. Stał na straży porządku, ładu komunistycznego – tak jak inni komendanci milicji w całym kraju, opanowanym przez wirus, który dotarł do Polski ze wschodu. Wirus, który zniewalał ludzką wolę, wyłączał samodzielne myślenie, pozbawiał osobowości i godności, podporządkowywał jednostkę kolektywowi, który zezwalał na agresję wobec słabszych, a nakazywał uniżoność wobec silniejszych. Właśnie tego symbolem stał się major Sucharek.

Jednak nie zawsze był taki. Łagry i wojna zmieniają każdego. W 1943 roku został uwolniony z sowieckiej kaźni i przywieziony wraz z innymi więźniami do Sielc nad Oką. Nie wierzył własnym oczom, gdy wysiadając na stacji Diwowo, przeczytał „Witaj żołnierzu – wczorajszy tułacz”, a później ujrzał łopoczącą polską flagę i żołnierzy w polskich mundurach. To był wstrząs, jeszcze kilka dni wcześniej mógł zabić za kromkę chleba, dzisiaj wkładał świeży mundur, a na ogoloną głowę – rogatywkę. Wiedział, komu to zawdzięcza.

Swój pierwszy chrzest miał pod Lenino. Przeżył, bo podczas ataku, kiedy przeskakiwał przez rzekę, źle odmierzył kroki i wpadł do wody, gdy w tym samym momencie szrapnel rozszarpał ciała jego kolegów biegnących obok. Został bohaterem, odznaczonym Krzyżem Bitwy pod Lenino. Miało to decydujący wpływ na przebieg jego kariery. Wstąpił do służby w Milicji Obywatelskiej. Od września 1944 roku był kierownikiem Wydziału Personalnego Komendy Wojewódzkiej MO w Warszawie. Do Szczecina przyjechał w 1945 roku i od razu objął stanowisko komendanta wojewódzkiego. Pomorze Zachodnie tuż po wojnie było miejscem niebezpiecznym, żołnierze Armii Czerwonej, maruderzy oraz przestępcy różnych narodowości byli tu panami życia i śmierci. Zatem ludowa władza postawiła przed nim jeden cel: zrobić porządek w mieście. Metody były nieważne, liczył się efekt. Sucharek ufał partii i wierzył w system. Tylko że wtedy to nie miało znaczenia. Jego głównym zadaniem było sprawne usunięcie Niemców z miasta oraz stworzenie warunków do życia dla przybywających ze wschodu Polaków. Szczecin był otwartym

cmentarzyskiem. Zwłoki były wszędzie – w opuszczonych domach, w odmętach Odry, w jeziorach, w lasach. Trupi odór unosił się nad zgliszczami miasta. Każdej nocy nad palącymi się budynkami unosiła się krwawa łuna. To Wilkołaki – podziemie pohitlerowskie, Werwolf. Niszczyli mosty, podpalali domy, polowali na Polaków. To z nimi przyszło zmierzyć się nowemu komendantowi.

– Panie... ech, towarzyszu majorze – zaczął lekarz – kuru to choroba neurodegeneracyjna, należąca do encefalopatii gąbczastych. To nieuleczalne schorzenie, które po raz pierwszy odnotowano na terenie Papui-Nowej Gwinei. Tamten region zamieszkiwało plemię, w którym dochodziło do aktów kanibalizmu. – Doktor Ferenc zawiesił głós.

– Towarzyszu... – Major milicji podniósł się z trudem ze skórzanego fotela. – Mówcie do mnie po ludzku, a nie tym waszym książkowym językiem. Co mnie, kurwa, interesuje, na co chorowali jacyś Indianie? Co to ma wspólnego ze śmiercią towarzyszy ze Szczecina?

Doktor Ferenc podszedł do biurka, położył dłonie na blacie i spojrzał w twarz majora Sucharka. Przez chwilę panowała cisza. Za oknem pierwsze krople deszczu rozpoczęły taniec na rozgrzanym parapecie.

– To oznacza, że ci ludzie zachorowali, bo jedli ludzkie mięso, towarzyszu majorze – podkreślił dobitnie lekarz. – A to może oznaczać, że po Szczecinie biega rzeźnik, który zabija ludzi i robi z nich gulasz!

Ostatnie zdanie wykrzyczał. Poniosły go emocje, zdał sobie z tego sprawę. Położył dłoń na piersi, jakby chciał sam się skarcić za ten wybuch. Poprawił krawat i opadł na metalowy stołek.

– Choroba rozwija się latami – kontynuował już spokojnie. – Zawsze kończy się śmiercią. Nie wiemy jeszcze, co dokładnie powoduje destrukcyjne zmiany w mózgu, ale jesteśmy pewni, że zapadają na nią tylko ci nieszczęśnicy, którzy zjedli ludzkie mięso. By być precyzyjnym, ludzki mózg. Inne określenie kuru to „śmiejąca się śmierć” – cedził dalej lekarz – ze względu na charakterystyczne objawy, jakie daje choroba, między innymi gwałtowny, niepohamowany śmiech...

– Nie, dosyć tego – wybuchnął komendant, który ponownie poderwał się ze skórzanego fotela. – Zatem twierdzi towarzyszu, że dwanaście lat po wojnie w naszej ludowej ojczyźnie, cywilizowanym kraju, którego sojusznik rozszczepia atom i czerpie z niego energię, by dostarczyć proletariuszom prąd, nasi towarzysze nie mają co do gara włożyć i zjadają innych

towarzyszy?! – Wymachując rękoma, omal nie stracił popiersia Lenina stojącego na szafce z segregatorami. – A do tego jeszcze na koniec umierają ze śmiechu!? Ze śmiechu! – powtórzył, jakby to zdanie było tak absurdalne, że musiał jeszcze raz je wykrzyknąć, by uwierzyć w to, co mówi. – Przecież, jak to wyjdzie na jaw, kapitalistyczna prasa nas zmiażdży, nie mówiąc już o tym, co na to partia i Rosjanie... A towarzysze radzieccy nie lubią się wstydzić. – Milicjant pokręcił głową. – Przecież już raz ukręciliśmy łeb temu rzeźnikowi...

Ostatnie zdanie wypowiedział już cicho, jakby do siebie. Podeszedł do okna. Na zewnątrz deszcz tłukł już nie tylko o parapet. Po szybach spływały całe potoki wody, a strużki wdzierały się do środka. Przez chwilę patrzył, jak silny podmuch wiatru szarpał gałęzią pełną soczystych liści stojącej naprzeciwko brzozy. Już widział te nagłówki w „Kurierze Szczecińskim”: *Kanibale na Niebuszewie* albo *Ludzkie mięso na bazarze czy Zjedli ludzi, dziś sami umierają*. Z pewnych względów byłby to dobry sposób na zablokowanie nielegalnego rynku mięsa, doszedł do wniosku, ale po chwili namysłu odrzucił ten pomysł, zdając sobie sprawę z innych konsekwencji, szczególnie dla niego. Pewnie od razu zadzwoniłby Walaszek, pierwszy sekretarz KW PZPR, który zakomunikowałby mu, że jest odpowiedzialny za wystawienie władzy ludowej na pośmiewisko. Nietrudno się domyślić, że jeszcze tego samego dnia zostałby w najlepszym razie przeniesiony do Kielc, a w najgorszym – siedziałby w czarnej wołdze... Nie, nie mógł na to pozwolić. Musiał działać. Zatrzaskał okiennice. Odwrócił się do lekarza. Wyglądał na człowieka, który podjął decyzję. Wiedział, co robić.

– Kto jeszcze wie o całej sprawie? – Nie patrzył na lekarza, podniósł z blatu biurka jakiś dokument i mu się przyglądał.

– Jak to kto? – Ferenc wstał. – No... pielęgniarzka i patomorfolog – wycedził.

Wiedział, że nie ma sensu zatajać tej informacji. Sucharkowi odnalezienie świadków zabrałoby jeden dzień. Tylko po co zadał to pytanie? Jakie to ma znaczenie, kto widział chorych? Milicjant szybko rozwiązał wszelkie wątpliwości.

– Jeszcze jutro wyjadą do Przemyśla. Zgłoszą się do szpitala przy ulicy Wodnej do ordynatora, doktora Stefana Kaczora. Mają zapomnieć o całej sprawie, a towarzysz wróci teraz do swojego domu, zatrzaska drzwi i poczeka na mój telefon.

- Ale jak to?
- Wykonać! – krzyknął milicjant.

[3] Daniła Nieczupej – sowiecki oficer, który zastrzelił w centrum Szczecina cztery osoby. Po tym wydarzeniu w Szczecinie wybuchły antysowieckie zamieszki, stłumione przez milicję, Urząd Bezpieczeństwa i Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Komm zurück

Nabrzeże Oko, Szczecin, maj 1946 roku

To był ciepły majowy poranek. Od strony rzeki unosił się zapach zgnilizny. Fetor wdrapywał się po schodach i ogarniał całe miasto. Wiatr przywiał ciemne chmury i nabrzeże wypełnił odgłos skrzeczących mew. Na horyzoncie pojawił się kolejny frachtowiec. Wypełzył z mgły jak padalec, który poczuł pierwsze promienie słońca. Gdy zbliżył się na odległość stu metrów, na burcie statku kolejne litery powoli układały się w nazwę – Hering. Na brzegu zapanował chaos. Kilka tysięcy osób kłębiło się na wąskim odcinku nabrzeża. Jeszcze rok temu miejsce to nosiło nazwę Stettiner Oelwerke, dzisiaj na budynku dawnej olejarni ktoś namazał białą farbą „Nabrzeże Oko”.

– Katherine, złap siostrę za rękę! – krzyknął do pulchnej, jasnowłosej dziewczynki szpakowaty mężczyzna. – Trzymajcie się mnie i mamy.

Kobieta wstała. Na pierwszy rzut oka mogła mieć trzydzieści parę lat, wyróżniała się na tle szarej ludzkiej masy nie tylko dzięki swojej smukłej sylwetce, lecz także, być może, sukience, która tak znakomicie uwypuklała kobiece walory. Szmizjerka była w kolorze pomarańczy, miała dwie kieszonki na wysokości kształtnych piersi oraz wcięcie w talii podkreślone paseczkiem w tym samym kolorze. Kobieta miała krótkie blond włosy, kasztanowe oczy i lekko zadarty nosek, córki przejęły od matki niegermańską urodę. Wschodnie rysy twarzy musiały się pojawić w jej rodzinie przed wieloma pokoleniami, gdyż Anna Buchholz była rodowitą szczecinianką. Wprawdzie urodziła się i wychowała w Warsaw[4], we wsi niedaleko Szczecina, ale w wieku osiemnastu lat wraz z mężem, Joachimem Buchholzem, kupili przestronne mieszkanie w śródmieściu. Joachim był od niej starszy o dziesięć lat. Gdy ją poznał, był już cenionym

adwokatem. Wysoki brunet w dwurzędowym garniturze robił na młodej uczennicy liceum medycznego ogromne wrażenie. Imponowało jej, gdy przychodził pod szkołę i zabierał ją na spacer do parku. Później przesiadywali w restauracji Haus am Westendsee[5] nad Westendsee[6], przyglądając się zakochanym parom pływającym łódkami po jeziorze. To tam jej się oświadczył. To tam złożył obietnicę, że stworzy jej wspaniały dom, w którym dorosną ich dzieci. Anna poczuła, że jest to najpiękniejszy dzień w jej życiu.

– Anno, zaopiekuj się dziewczynkami, ja pójdę do przodu. – Joachim podniósł bagaż. – Zaraz się zacznie.

Mężczyzna przeciskał się w kierunku, z którego nadchodził coraz donośniejszy odgłos śrub okrętowych. Tłum coraz bardziej napierał. Setki osób stłoczonych na niewielkim terenie jednostajnie przesuwały się bliżej rzeki. Mężczyźni, kobiety i dzieci, objuczeni tobołkami, plecakami, torbami i walizkami, w ciszy zmierzali do miejsca, gdzie właśnie dobił statek. Mieli przy sobie dobytek życia. Polacy pozwolili im zabrać pięćdziesięciokilogramowy bagaż na osobę. Większość rzeczy zostawili w opuszczonych domach. Niektórzy podpalali je, aby nie wpadły w ręce Polaków, inni – bo chcieli zamknąć za sobą całą przeszłość. Uciekali. W mieście od czasu zakończenia wojny i pojawienia się pierwszych wojsk rosyjskich, a później Polaków, stali się zwierzyną łowną. Nie mieli żadnych praw.

Anna z dwiema córeczkami znajdowały się na samym końcu ludzkiej masy, która napierała na barierki. Za nimi stali żołnierze z czerwonymi gwiazdami na hełmach.

– Nie pchać się! – krzyknął najniższy z nich w kierunku tłumu.

Anna poczuła intensywny zapach fiołków i zamknęła oczy. Nie zastanawiała się, skąd nadszedł, po prostu w nim zatoneła. Nagle poczuła, że ktoś położył dłoń na jej ramieniu. Odwróciła się. Przed nią stał mężczyzna w czepku lekarskim na głowie i masce na twarzy. Podczas wojny pracowała jako pielęgniarka w szpitalu Hohenkrug bei Augustwalde[7], zatem widok ten zwykle nie był dla niej szczególnie zaskakujący. Jednak tu, w tej chwili i w tej sytuacji, obraz wydał jej się abstrakcyjny, niepasujący. Postać była ubrana cała na białe – tak, to był szpitalny fartuch – i wyglądała jak lekarz przed operacją. Wysoki, postawny, szczupły, właściwie chudy mężczyzna wreszcie się odezwał. Miał

ciepły, spokojny głos i mówił poprawnym niemieckim, choć słyhać było, że nie jest to jego ojczysty język.

– Przepraszam panią najmocniej, jestem lekarzem, nazywam się Kornacki. Witold Kornacki. Zanim wejdziecie na pokład, musimy was przebadać.

Tak, to był akcent słowiański. Może Polak albo Rosjanin? Nie, raczej Białorusin, pomyślała Anna.

– Najlepiej będzie, jak podejdziemy na górę, tam w budynku byłej restauracji jest punkt medyczny.

– Ale mój mąż... – Odwróciła się w kierunku tłumu, ale w kłębowisku ludzi, bagaży, toreb i walizek nie odnalazła znajomej twarzy.

– Proszę się nie martwić, za chwilę wrócimy. Rzeczy możecie zostawić, nikt wam ich nie zabierze – uspokajał mężczyzna ze słowiańskim akcentem.

Szli gęsiego pod górę. W milczeniu. Minęli tory kolejowe, aż dotarli do kładki, która przechodziła nad nimi. Rozciągała się stąd piękna panorama Odry, z tyłu majaczyły budynki nadrzeczne. Przeszli przez mostek i zaczęli wspinać się ścieżką na wzgórze. To była Elisenhöhe, którą Polacy nie wiedzieć czemu nazwali Wzgórzem Kupały. Znała to miejsce. Jeszcze przed wojną spacerowali tu z Joachimem i małą Katherine w majowe popołudnia, po czym zmęczeni zasiadali na dębowych krzesłach w słonecznej sali restauracji, która nazywała się tak samo jak wzgórze Elisenhöhe i była jedną z najbardziej prestiżowych w Szczecinie. Zazwyczaj zamawiali klopsy po królewiecku, do tego Joachim prosił o duże jasne piwo z lokalnego browaru Elysium albo Bohrischa, a Anna i Katherine – dużą porcję *Apfelstrudel*. Widok na dolinę dolnej Odry był wspaniały. Anna przepuściła dziewczynki przed siebie.

– Dlaczego tylko my musimy się poddać badaniu? – zwróciła się, nie przystając, do mężczyzny mówiącego po niemiecku.

– Szanowna pani... – Lekko zdyszany mężczyzna dorównał krokiem Annie, szedł teraz obok niej. – Pani córki mogą chorować na odrę. Nie chcemy, aby się przeniosła na innych przesiedleńców. O! Jesteśmy już na miejscu.

Przed nimi ukazał się rozpaczliwy widok. Z dawnej restauracji pozostała tylko część budynku. Fronton całkowicie zniszczono. Pozostały jedynie gruzy. Nie było już tarasów i oszklonych ogrodów. Drzwi wejściowe do

budynku były do połowy spalone. Główna część restauracji, w której mieściły się mniejsza sala oraz kuchnia, spiżarnia i piwnica z winami, przetrwała naloty aliantów. Mężczyzna wszedł do budynku, po chwili wszyscy usłyszeli głośny warkot i w zabudowaniach zabłyśły lampy. Anna знаła ten odgłos, to był silnik Diesla wraz z generatorem prądu. Mieli taki sam w szpitalu w Hohenkrug bei Augustwalde, chyba firmy Deutz. Podczas nalotów często wyłączano prąd, ale operacje musiały trwać. Deutz ratował wówczas życie. Weszli do kuchni. W miejscu stołów, które służyły wcześniej do przygotowywania potraw, stały łóżka szpitalne. Oddzielały je od siebie metalowe parawany.

– Jesteśmy w domu – oświadczył z euforią wysoki mężczyzna. – Proszę, ściągnijcie płaszcze i połóżcie się.

Wskazał metalowe łóżka rehabilitacyjne, po czym podszedł do Anny, sprawnym ruchem zdjął jej okrycie wierzchnie i powiesił na stojącym w rogu wieszaku.

– Poczekajcie, za chwilę wrócę.

Mężczyzna zniknął za drzwiami spiżarni, a Anna przytuliła do siebie dziewczynki. Katherine była starsza od swojej siostry, Grety, o cztery lata. Uważała się już za nastolatkę. Choć miała dopiero dwanaście lat, wyglądała na więcej. Była wyższa od większości rówieśniczek. Szybciej też zaczęła dojrzewać. Pod sukienką w stylu marynarskim wyraźnie odznaczały się piersi oraz szerokie biodra. Nie lubiła, gdy mama nakładała jej czepek marynarski. Mogła tak ubierać Gretę, ale ta śmieszna czapka nie pasowała do jej ukochanej granatowej sukienki z dużym wykładanym kołnierzem i wstążką. Dostała ją w prezencie na konfirmację. Wyprosiła. Po sukcesie filmu *Galopp ins Glück* wszystkie chciały być jak Betty Grable. Jej pierwszej się udało, wyglądała niemalże jak amerykańska gwiazda musicalu.

Drzwi trzasnęły. W tle dało się słyszeć muzykę. Dochodziła ze spiżarni. To gramofon. Stłumiony głos mężczyzny, który śpiewał o rozstaniu.

*Du sprichst vom Abschied, für kurze Zeit,
Und bist schon morgen, von mir so weit.
Was sind schon Worte, im Augenblick,
Was ein versprochenes Glück?*[8]

Tak to był Michael Jary i jego przebój *Komm zurück*. Anna go uwielbiała. To było kilka miesięcy po narodzinach Greta. Pamięta to doskonale, bo zaraz po porodzie wstawili do jej gabinetu najnowszy model Volksempfängera – DKE, z którego muzyka unosiła się jak żywa. Nieraz wyobrażała sobie cały kwartet smyczkowy i przystojnego Michaela, który śpiewa tylko dla niej.

Muzyka stała się donośniejsza i wyraźniejsza. Ze spiżarni wyszedł Kornacki, w dłoni trzymał blaszaną tacę, na której znajdowały się trzy strzykawki. Anna znowu poczuła silny zapach fiołków.

– Dlaczego jesteśmy tu sami? – zapytała podejrzliwie. – Nie ma personelu, pielęgniarek?

– Proszę się położyć i nie denerwować – mówił spokojnie Kornacki, podnosząc jedną ręką strzykawkę, a drugą pstrykając w szklany tłok. – Cały zespół jest teraz w lazarecie na nabrzeżu Oko. Podzieliliśmy się pracą. – Substancja wypłynęła ze strzykawki pod wpływem ciśnienia. – Czyli mama pierwsza?

Uśmiechnął się do dziewczynek, które już siedziały na metalowych łózkach. Obie w sukienkach w stylu marynarskim, obie machały nogami w rytm muzyki.

Anna poczuła lekkie ukłucie. Mężczyzna przetarł ranę i przyłożył do niej watkę.

– Proszę przytrzymać – powiedział do kobiety, po czym odwrócił się do jej córek. Anna uśmiechnęła się do dziewczynek. Michael śpiewał dalej:

*Es gibt nicht Schöneres, als Glück zu zwein,
Und die Gewissheit, geliebt zu sein.
Schon der Gedanke, wenn Du mich küsst,
Dass Du wie ich, glücklich bist.
Den einen Menschen, auf dieser Welt,
Der nur für Dich lebt, der zu Dir hält,
Hast Du in mir, drum sag ich Dir:
Darum bitt ich Dich heut, komm zurück!*[9]

Zdawało jej się, że w rytm muzyki falowała cała sala i łóżka metalowe, i dziewczynki, i kucający mężczyzna, który schylając głowę, odsłonił część pleców. Jaki dziwny tatuaż? To był kozioł z wielkimi kłami, który teraz

wykonywał dziwny taniec. To nie mogło być realne. Zmęczenie. Nie miała sił utrzymać powiek. Ciemność.

Wiedział, że propofol działa szybko i skutecznie. Trzydzieści sekund i człowiek traci przytomność. Nie jakiś chloroform. Tylko w filmach po przyłożeniu chusteczki nasączonej chloroformem człowiek zasypiał w kilka sekund. W rzeczywistości, żeby chloroform zadziałał w taki sposób, pacjent musiałby go wdychać przez okrągłe dziesięć minut. Dobrze, że udało mu się zdobyć tę płytę. Niełatwo było dziś coś takiego znaleźć. Wiedział, że musi to słyszeć, tak samo jak ona to słyszała. Musi czuć to samo, co czuła Julka. Tam, na środku placu apelowego.

Anna powoli otwierała oczy. W tle wciąż śpiewał Michael Jary. Poczowała intensywny zapach fiołków. Było zimno. Wokół panował półmrok. Próbowwała ruszyć ręką albo nogą, ale kończyny stawiały opór. Siedziała na krześle. Zrozumiała też, że jest w innym pomieszczeniu. Tak, to była chyba chłodnia albo spiżarnia, albo jedno i drugie. Z sufitu coś zwisało, jakby płaszcze na wieszakach. Nie, to nie były płaszcze. Na twarzy poczuła podmuch świeżego powietrza. Wentylacja działała. Spojrzała na dół. Łydki miała obwiązane drutem, zapewne tak samo miała związanie dłonie na plecach. Oczy zaczęły przyzwyczajając się do światła. Spojrzała w górę. Dopiero teraz zrozumiała, że to nie są płaszcze i nie umieszczono tego na wieszakach. To były raczej tusze wieprzowe na hakach. Wciąż jeszcze słabo widziała. Jednak niepokój się wzmagił, powodował, że drżały jej ręce i uda. Nie, nie z zimna. Wiedziała, że organizm reaguje szybciej, aniżeli komunikat trafia do mózgu. Michael śpiewał, by wróciła, że jego serce wciąż czeka.

Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi. Snop światła wpadł do spiżarni i oświetlił pomieszczenie. Teraz dokładnie można było dostrzec jego wnętrze. Na hakach wisiały dwa ludzkie korpusy. Jeden większy, drugi mniejszy. Silniejszy podmuch z wentylacji odwrócił jeden z nich. To było pozbawione nóg i głowy ciało dziewczyny – łatwo można było stwierdzić, że już nie dziewczynki – z kształtnymi piersiami i podkreślającym biodra wcięciem. Płec drugiej ofiary trudno właściwie było określić. Pewne było jedynie to, że kiedyś była dzieckiem. Pośrodku korpusu wypalono znak, taki, jakim znakuje się półtusze w rzeźni. Nietypowy. Dwa trójkąty wpisane w okrąg, a w nich jakieś obce napisy. „Zaaazel”. Anna mechanicznie odwróciła wzrok. Tym razem padł on na ścianę z półkami, na których stały

skrzynie na ziemniaki. Jednak nie było w nich ziemniaków. W dwóch leżały ludzkie głowy pozbawione mózgow, w kolejnych – ręce i nogi. Tak, teraz to do niej dotarło z całą mocą. To były głowy Katherine i Grety. Jej małych dziewczynek. Łzy napłynęły do oczu, a ciałem zaczęły targać konwulsje. Próbowwała krzyknąć, ale z jej ust wydobył się tylko cichy pisk. Wbiła paznokcie w dłonie i zagryzła wargi. Odpłynęła. Michael Jary zakończył swoją serenadę i słychać było tylko trzeszczenie płyty, której nikt nie zdjął z gramofonu.

[4] Warszewo (do 1945 niem. Warsow) – część miasta i osiedle administracyjne Szczecina. Nazwa niemiecka jest zgermanizowaną formą nazwy słowiańskiej.

[5] Haus am Westendsee to nieistniejąca restauracja, w jaką przekształcony został na początku XX wieku młyn słodowy przy jezioru Rusałka. Zabudowania kawiarni (budynek, weranda, nadbrzeżne moło) na początku lat 60. zostały rozebrane, a pozostałe fundamenty zasypano.

[6] Rusałka (do 1945 niem. Westendsee) – jezioro zaporowe w Szczecinie, położone w północnej części parku Kasprowicza.

[7] obecnie: Zdunowo

[8] *Mówisz o rozstaniu na krótki czas,
A już jutro jesteś tak daleko ode mnie.
Nie mam słów, które to opiszą,
Gdzie to obiecane szczęście?*

[9] *Nie ma nic lepszego niż połączenie szczęścia
I pewność bycia kochanym.
Myśl, kiedy mnie całujesz,
Że ty, tak jak ja, jesteś szczęśliwa
Jestem jedynym człowiekiem na tym świecie
Który żyje tylko dla ciebie, który wspiera cię,
Czy masz we mnie, więc mówię ci:
Dlatego proszę cię dzisiaj, wróć!*

3

Zacisze

Niebuszewo, Szczecin, maj 1957 roku

Drewniane, oszklone drzwi baru zrobiły kolejną rundę, skrzecząc, umęczone częstym trzaskaniem, kopaniem i wyraźnym brakiem troski ze strony kierownika lokalu. Zresztą nikt się nie troszczył o całą knajpę Zacisze, której nazwa wyglądała na złośliwy żart. Bywalcy tego przybytku doskonale zdawali sobie sprawę, że bar był przystanią wszelkiej maści rozbitków, oprychów, którzy przyplłynęli do tego miasta po wojnie w jednym celu – by łupić, kraść i korzystać z życia bez hańbienia się pracą fizyczną. Po wielu latach, gdy miasto zasiedlili migranci z centralnej Polski i z Kresów, zaczęło żyć. Przestano w końcu mówić, że Niemcy powrócą lub że wybuchnie kolejna wojna, a ci rozbitkowie znaleźli swoją przystań, oazę, w której przesiadywali w przyciemnionej sali, w dymie spalanych sportów czy najgorszych wietnamskich „napalmów”, papierosów o szczególnie mylącej nazwie 476, o których mówiło się, że skręcane są z włosów małych Wietnamczyków. Knajpa mieściła się na Niebuszewie, niedaleko dworca kolejowego, dzięki czemu była świetną przynętą dla podróżników, zmęczonych przyjezdnych, którzy swoje pierwsze kroki stawiali właśnie tu, ufając, że nazwa jest opisem rzeczywistości. Wierzyli, że po ciężkiej podróży będą mogli w spokoju zjeść ciepły posiłek i napić się zimnego bosmana.

Wraz z kolejnym obrotem drzwi wypluły z siebie parę. Pierwsza, stanowczym krokiem, weszła atrakcyjna blondynka, ciągnąc za sobą torbę podróżną. Tuż za nią wskoczył, by nie zostać wchłoniętym przez kolejny obrót drzwi, niski mężczyzna. Kobieta rozejrzała się dookoła. Lokal był pełny. Naprzeciwko wejścia był bar i bufet. Zaraz po prawej, na podłodze z szarego lastryko, stało kilka czteroosobowych, przykrytych ceratą stolików z metalowymi nogami. Nad każdym unosiła się łuna dymu

papierosowego. W lewej części kolejne stoliki, w rogu stary wieszak na ubrania i toalety. Mrok rozświetlały pozbawione osłon, gołe żarówki. Kobieta wmaszerowała do środka, wyprostowana i pewna siebie, nie zwracając uwagi na wzrok tubylców, którzy z widocznym zaskoczeniem, a jednocześnie zaciekawieniem spoglądali na parę jak lwy na zbliżające się do wodopoju gazy. Miała na sobie błękitną bluzkę z szerokim, łódkowym dekoltem oraz spódnicę do kolan. Była przed trzydziestką, ale włosy zaplecione w koński ogon odmładzały ją i dodawały jej energii. Podeszła do baru.

– Czy dostaniemy tutaj coś do jedzenia? – zwróciła się do barczystego barmana, który z pasją próbował zetrzeć niedomytą plamkę z półlitrowego kufła. Z początku ich nie zauważył, zajęty wymagającym zadaniem.

Zarośnięta, kwadratowa twarz i płaski, rozklepany jak mięso na kotlet schabowy nos oraz niskie czoło charakteryzowały człowieka, którego umysłu nie zmąciły rozważania o sensie istnienia.

– To, co widać na tablicy. – Wskazał na lepłą od kurzu i upstrzoną martwymi muchami planszę.

Do stojącej przed barem kobiety dotarł jej towarzysz. Był starszy od niej. Jego czarny sweter, farbowany domowym sposobem, może i pasował do stylu lokalu, ale na pewno nie do gorąca panującego w środku. Zabite gwoździami okiennice nie pomagały w cyrkulacji powietrza. Brązowe od dymu papierosowego firany, blokujące światłu słonecznemu dostęp, wyglądały, jakby wykonano je z tego samego materiału co przydługie spodnie przybysza.

– Jak ja bym zjadł siekanego z ziemniaczkami i mizerią! – zwrócił się cichym głosem do swojej towarzyszki niski mężczyzna.

– Oj, Stasiu, nie widzisz, że jest tylko to, co na tablicy? – odpowiedziała kobieta, nie spuszczając wzroku z menu. – No dobrze, weźmiemy dwa razy kaszankę z ziemniakami i dwa kapuśniaki. Do tego dwa bałtyckie. Czy przyniesie pan, czy mamy sami podejść?

– Przyniosę – odburknął wielkolud.

W części odizolowanej od reszty sali ścianką z dykty znajdowały się dwa stoliki. Przy jednym, w cieniu, siedział wysoki mężczyzna w białym podkoszulku. Przed nim stała do połowy opróżniona butelka wódki i galareta. Drugi stolik był pusty. Para usiadła w rogu, obok wejścia do toalety.

Barman podszedł z dwoma kuflami wypełnionymi po brzeg złotym napojem. Kobieta, mrużąc oczy, podniosła naczynie i przystawiła je do lampy wiszącej nad stołem. Obróciła w dłoni, po czym wyciągnęła z torebki chusteczkę i zaczęła przecierać szkło. W tej samej chwili do stolika podeszło trzech mężczyzn.

– Możemy się do szanownych towarzyszy przysiąc? – zaskrzeczał najniższy, zwracając się do kobiety. Był równie niski, jak partner kobiety, jednak chudszy i z umięśnionymi rękami, na których widać było niemalże każdą żyłkę. Zakola i nieliczne włosy na chudej i pokrytej pryszczami twarzy nie dodawały mu uroku. Nie czekał na odpowiedź. Po sekundzie siedział już obok zdumionej kobiety. Najwyższy z nich stanął za partnerem kobiety i oparł silne dłonie na jego krzesło. Trzeci, łysy, w podwiniętej tielniaszce, koszuli ściągniętej z jakiegoś sowieckiego marynarza w białe i ciemnogrnatowe paski, szybkim ruchem chwycił torebkę leżącą na stole i zaczął przeglądać jej zawartość.

– Panowie, co wy robicie? – wycedziła przerażona kobieta.

– Zamknij tę piękną buźkę albo zaraz ci wykroję drugi uśmiech. – W dłoni najniższego błysnęła brzytwa. Wysoki, który dotychczas stał za partnerem kobiety, pochylił głowę i zaszeptał do ucha mężczyzny:

– Wyciągaj kasę albo inaczej zabawimy się z twoją dziewczyną.

Mężczyzna pochylił się i drżącymi rękoma otworzył walizkę. Podnosząc kolejne koszule, wyszukał mały mieszek. Nie zdążył go otworzyć, gdy wielka dłoń zacisnęła mu się na ramieniu.

– Ja już się tym zajmę – zwrócił się do niego wielkolud.

– A towarzyszka co tam jeszcze przed nami ukrywa? – Uśmiech niskiego z zakolami zdradzał, że musiał stoczyć wiele pojedynków z użyciem pięści bądź pustych butelek, gdyż z górnej wargi wystawały mu tylko dwa poślółki trzonowce. – Nie obejdzie się bez rewizji osobistej towarzyszki. – Wsunął rękę pod stół i chwycił kolano przerażonej dziewczyny.

– Edek, do łazienki z nią. – Ruchem głowy wskazał łysemu w marynarskiej koszulce wejście do toalety. – Dawno nie miałem kobiety. A ty – zwrócił się do dryblasa – pilnujesz małego, później się zmienimy.

Kobieta próbowała krzyknąć, ale jeden z mężczyzn położył dłoń na jej ustach. Drugą ręką objął ją w pól i podniósł. Jej partner próbował wstać, ale uderzenie w potylicę spowodowało, że bezwładnie osunął się na krzesło.

Nagle od drugiego stolika dotarł do nich dźwięk głośnego uderzania dłońmi. Ktoś klaskał. Stanęli jak wryci.

– Brawo, panowie. – Doszedł ich stanowczy głos. Wysoki mężczyzna od dłuższego czasu przyglądał się zdarzeniu. Jego stolik stał w cieniu, więc na pierwszy rzut oka był właściwie niezauważalny.

– Niezłe przedstawienie, nawet z akcją, ale końcówka do przewidzenia.

Mężczyzna chwycił butelkę wódki i wlał jej zawartość do kieliszka. Podniósł do ust i wychylił jednym haustem. Odkroił kawałek nienaruszonej galarety i zagryzł. Kiedy schylał się do talerza, mężczyznom ukazała się twarz porysowana bliznami. Najdłuższa szła od skroni przez czoło, przerywała się nad okiem, by powrócić na policzek. Nad ustami znikąca w rzadkim zaroście. Inna była krótsza, za to głębsza i najwyraźniej niedbale zszyta, bo pozostawiła szerszą bruzdę na drugim policzku. Przypominała błyskawicę, choć nie była tak prosta. Nos nosił ślady złamania, a nad wąskimi ustami rysowała się kolejna blizna, mniejsza, jakby miała być naturalnym elementem rozdzielającym zarost.

– A teraz odłóżcie panią na miejsce, spakujcie fanty z powrotem i wróćcie pod kamień, spod którego wypelzicie – mówił dosyć niewyraźnie, z akcentem.

Mężczyźni spojrzeli na siebie i wszyscy razem wybuchnęli śmiechem.

– Cygan, wytłumacz towarzyszowi, dlaczego nie należy nam przeszkadzać, gdy jesteśmy w pracy – zwrócił się pryszczaty do najwyższego ze zbirów.

Dryblas zdjął skózaną kurtkę. Zza paska wyciągnął jakiś przedmiot. Pokazał go mężczyźnie. Tak, to był bagnet. Przerzucił go z jednej dłoni do drugiej. W tym samym momencie stół, przy którym siedział dotychczas człowiek z bliznami, oderwał się od podłogi i z ogromną siłą trafił zbira w głowę. Bagnet upadł, a on sam zwalił się na ziemię. Dryblas próbował się podnieść, łapiąc nogi stolika, ale uderzenie podkutym butem w głowę odebrało mu świadomość. Wszystko działo się błyskawicznie. Człowiek z bliznami wskoczył na drugi stolik i potężnym kopnięciem pozbawił pryszczatego ostatnich dwóch trzonowców. Nie zauważył jednak, że człowiek w koszulce marynarza, który właśnie pozbył się balastu i odrzucił dziewczynę w kierunku łazienki, pchnął stół, co zapoczątkowało jego taniec po podłodze.

Wypity wcześniej alkohol zaczął działać, wzburzona krew tłoczyła go do mózgu trzy razy szybciej. Obrońca nie utrzymał równowagi. Spadając na plecy, widział, jak marynarska koszula pochyła się nad bagnetem. Czas jakby stanął w miejscu. Mężczyzna pomimo upojenia widział wszystko ze szczegółami, zdawał sobie też sprawę z tego, co się stanie za chwilę i co powinien zrobić. Wtedy wszystko przyspieszyło. Gdy leżał na plecach, przeciwnik rzucił się na niego z bagnetem w ręku. Podniósł ręce nad barki, położył dłonie na zimnej podłodze, podparł się, podciągnął kolana na wysokość klatki piersiowej i się odbił. Często robił to na treningach, ale to było dawno. Myślał, że jego ciało już nie będzie w stanie wykonać tego ćwiczenia. Utrzymał się na zgiętych nogach, lekko się kołysząc. Stał teraz przed facetem z bagnetem w dłoni, który właśnie podniósł go nad głowę. Obrońca uderzył. Pięść trafiła w krtani. Mężczyzna w marynarskiej koszuli złapał się za szyję, ale było już za późno. Charczał, z ust wydobywała się piana. Upadł na kolana. Zmiażdżona tchawica nie pozwalała na złapanie oddechu. Łysy pozostał w tej samej pozycji. Nie oddychał. Obrońca wiedział, że to koniec walki.

Rozejrzał się, trzech mężczyzn leżało na podłodze. Jeden, nieprzytomny, siedział na krześle. Kobieta stała pod ścianą, zakrywając rozdarty na dekolcie sweter. Tusz spływał jej po policzkach. Z oddali dochodził dźwięk syren. Knajpa się wyludniła. Jak z tonącego okrętu ewakuowali się kolejni pasażerowie, rozbitkowie odpływający do innej przystani. Syreny stawały się coraz wyraźniejsze.

Barman z byczym karkiem pochylił się, by podnieść krzesło.

– Zaraz się tu zlecą psy – zwrócił się do obrońcy. – Radziłbym zniknąć.

– Poczekam.

Drzwi obróciły się ze zgrzytem. Do środka weszło dwóch umundurowanych mężczyzn. Rozejrzeli się. Chwilę im zajęło, zanim zobaczyli grupkę ludzi w drugim końcu sali.

– Plutonowy Misztal – zwrócił się do barmana. – Co tu się wydarzyło?

– Nic nowego. Pobili się. Ten mały, pryszczaty pchnął tego wielkiego, a ten padł na przewrócone krzesło i wbił sobie nogę od krzesła w szyję. Nie wiem, jak to zrobił, ale nie żyje.

– A ci państwo tutaj? – Wskazał na obrońcę i parę.

– Po prostu przyszli, żeby coś zjeść.

– Czy towarzysz może to potwierdzić? – zwrócił się tym razem do obrońcy.

– Nie. – Wstał, przewyższał milicjanta o dwie głowy. – To ja.

– Co ja?

– No... – W jego głosie dało się wychwycić lekki śpiewny akcent. – Źle potraktował tę panią. – Wskazał kobietę siedzącą na krześle.

– I za to go zabiłeś?

– Nie miałem takiego planu.

Milicjant zadarł głowę i wpatrywał się w twarz wysokiego mężczyzny, w blizny, które nie pasowały do chłopięcej twarzy. Jasna grzywka spadła mu na czoło.

– Dokumenty – odezwał się milicjant, który dotychczas stał z tyłu i przysłuchiwał się rozmowie.

Obrońca z tylnej kieszeni spodni wyciągnął znajomą legitymację.

– Galant Ugne – sylabizował funkcjonariusz. – Jest funkcjonariuszem Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Szczecinie.

– Milicjant? – Tym razem wszyscy podnieśli wzrok i wbili go w wysokiego mężczyznę.

– Porucznik Galant – odpowiedział niewyraźnie, wyciągając dłoń po legitymację.

– Skujcie tych dwóch. – Wskazał na siedzących przy stole mężczyzn. – Spiszcie zeznania od świadków, a po sztywnego niech przyjedzie ktoś z Arkońskiej. Mnie zawieźcie na dołek. Gdy wytrzeźwieję, niech mnie przesłucha Spiechowicz z kryminalno-śledczego. No? Ruszcie dupy!

4

Zespół

Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej, Szczecin, maj 1957 roku

Dzwonek do drzwi. Ferenc zerwał się, usiadł na wielkim łożu i rozejrzał się dookoła. Wokół panowała ciemność. Wysokie okna, zasłonięte przez ciężkie, ciemnozielone zasłony, nie dawały szansy pobliskiej latarni na poszperanie w zakamarkach starego domu. Po wysokości okien można było łatwo stwierdzić, że mieszkanie znajduje się w śródmieściu – w secesyjnym sercu miasta, a właściwie jego strzępach, kikutach budynków, które pozostały po architektonicznych dziełach Friedricha Liebergessella i Paula Giesego.

Ferenc był farciarzem. Był lekarzem, zatem człowiekiem niezbędnym dla miasta. Władza przydzieliła mu obszerne mieszkanie na Wojciecha 1. Przed wojną mieszkała w nim szczecińska elita: prawnicy, lekarze, dyrektorzy. Dzisiaj jej miejsce zajęły nowe wyższe sfery: sędzia, dwóch milicjantów, jakiś rosyjski pułkownik, no i on, lekarz. Nie pasował do tego towarzystwa, ale pięciopokojowe mieszkanie było w stanie wynagrodzić mu ten dyskomfort. Włączył lampkę nocną. Wstał. Miał na sobie tylko spodnie od pidzamy. Ciepłe światło otuliło jego silnie zarysowaną klatkę piersiową, wciąż był w dobrej formie. Spojrzał na lewy nadgarstek, na skórzanym pasku połyskiwała duża tarcza omegi. Jedyna pamiątka, jaka mu została po ojcu. Wskazówki rozłożyły się na trzeciej siedemnaście. Korytarzem dotarł do drzwi wejściowych.

– Kto tam? – Zdał sobie sprawę z naiwności swojego pytania. Kto o tej porze mógł stać za drzwiami?

– Milicja Obywatelska, otwórzcie, towarzyszu.

W drzwiach stało dwóch mężczyzn w mundurach, obaj niskiego wzrostu. Sięgali mu do ramion. Skąd oni ich biorą? – pomyślał.

– Ubierzcie się, pojedziecie z nami.

Na dole, wyrzucając z siebie kłęby spalin, stała czarna wołga z niebieskim pasem i wielkimi literami „MO” na drzwiach. Wsiedli. Samochód zawrócił i jechał teraz pod prąd, po prawej mijając Bramę Portową. Po przejechaniu dwustu metrów z piskiem opon skręcili w Niepodległości. Było pusto i ciemno. Tylko niektóre latarnie majaczyły słabym blaskiem. Po lewej minęli pedet. Gdy skręcili w Żołnierza Polskiego, Szymon spojrzał na budynek 13 Muz. To tu poznał Joannę, na spotkaniu autorskim ze Stefanem Kisielewskim. Wyróżniała się nie urodą, ale pasją. Zdominowała spotkanie. Kiedy Kisiel skończył opowiadać, pierwsza wstała i zadała pytanie. Już nie pamiętał, co ją zainteresowało, ale do tej pory uśmiecha się na wspomnienie, co wydarzyło się później. Dziewczyna nie usiadła, zadawała kolejne pytania i kolejne, nikogo nie dopuściła do głosu. Spotkanie zamieniło się w prywatną rozmowę tej nikomu nieznaney krótkowłosej brunetki z wielkim pisarzem, felietonistą i kompozytorem Stefanem Kisielewskim. Kiedy po wszystkim kłębiło się wokół autora, a starsze egzemplarze *Sprzysiężenia* albo dopiero co wydane *Miałem tylko jedno życie* wędrowały pod sprawne pióro pisarza, Szymon przełamał tremę i podszedł do dziewczyny. Wiedział, że musi ją poznać.

Wołga zatrzymała się na zbiegu ulic Małopolskiej i Bankowej[10]. Reflektory samochodu oświetliły przytłaczający czterokondygnacyjny budynek Komendy Wojewódzkiej Milicji z wysoką, masywną wieżą. Lekarz wiedział, gdzie się kierują. Wbiegli po szerokich, krętych schodach. Przez myśl mu przeleciało, że jeszcze przed kilkoma laty ludzie bezpieki wlekli tą drogą folksdojczów, szabrowników czy po prostu Niemców, u których znaleziono broń. Kilka lat później na tych samych schodach ślady krwi zostawiali żołnierze podziemia niepodległościowego i oskarżeni o „szpiegostwo na rzecz obcych mocarstw”. Nikt o tym głośno nie mówił, ale każdy wiedział. Szczecinianie tłumaczyli sobie to na różne sposoby. W końcu ktoś musiał zrobić porządek w tym mieście. Wielu akceptowało takie metody. Pokolenie wojny było dotknięte oddechem śmierci. Budzili się każdego ranka, czując go na plecach. Po wszystkim oczekiwali spokoju, bezpieczeństwa. Byli w stanie zaakceptować każde metody, które im to zapewnią.

Weszli do gabinetu, w którym Szymon był poprzedniego dnia. Nie pukali.

– Kapral Wiśniewski melduje się! – wykrzyknął milicjant z palcem przyłożonym do daszka czapki, na której widniały dwie poziome belki. – Towarzyszu komendancie, przywieźliśmy...

– Dobra, dobra, spocznij. – Sucharek siedział przy znajomym biurku. – Proszę usiąść, towarzyszu. – Wskazał Szymonowi jedno z trzech krzeseł. – A wy spierdalać! – huknął na dwóch milicjantów wciąż stojących przy otwartych drzwiach.

Dopiero teraz lekarz zauważył, że na jednym z krzeseł siedzi kobieta. Milicjantka, w regulaminowym błękitnoszarym mundurze i wykrochmalonej białej koszuli, z czarnym krawatem. W dłoniach trzymała czapkę. Krucze włosy, spięte w kok. Ładna, przed trzydziestką.

– Poznajcie się – rzucił komendant. – Sierżant Barbara Romanowska z sekcji pierwszej wydziału śledczego – przedstawił brunetkę, która podniosła się z krzesła i podała lekarzowi dłoń.

– Miło mi, Szymon Ferenc.

– Będziecie razem pracować – kontynuował pośpiesznie major.

– Towarzyszka przyjechała z Gdańska, nie zna miasta, ale jest świeżo po szkole oficerskiej w Szczytnie. Major Słabczyk ją polecił. Wzorowa studentka. Do zespołu dołączy jeszcze jeden śledczy, nasz najlepszy pies w stadzie. Pewnie każdy z was słyszał o napadzie na Baltonę?

Major przeleciał wzrokiem po twarzach siedzących. Basi aż zaparło dech w piersi. Doskonale znała tę sprawę. W szkole, na roku, wszyscy analizowali każdy ruch śledczych, tym bardziej że gazety przez kilka miesięcy o niczym innym nie pisały, tylko o tym. Znała przebieg tego włamania doskonale. To było w nocy z 22 na 23 maja 1956 roku, do sklepu Baltony w Szczecinie wdarło się trzech zamaskowanych i uzbrojonych w broń palną przestępców. Strażnika obezwładnili i związali. Następnie przeszli do magazynu, odnaleźli klucz do kasy i ukradli dziewięćset osiemnaście luksusowych szwajcarskich zegarków. Jak po nitce do kłębka. Gdy strażnikowi udało się wyswobodzić, pobiegł do pobliskiego hotelu, a stamtąd telefonicznie zawiadomił milicję. To nie była prosta sprawa. Po pierwsze śledczy mieli niewiele dowodów – jakaś szlufka od płaszcza, marynarski guzik, odciski palców i niejednoznaczne zeznania przerażonego strażnika. Po drugie, łupem padły precjoza o wartości blisko dwóch milionów złotych[11]. Powstał specjalny zespół dochodzeniowo-śledczy. Po półrocznej pracy odkryto, że za napadem stało kilkanaście osób,

w tym pracownik magazynu i paserzy. Romanowska pamiętała finał tej sprawy i rzecz, która zwróciła jej szczególną uwagę: napad zorganizowała banda Żydów. Nie wie, czemu akurat to zapamiętała. Dopiero później się dowiedziała, że prawda była mniej jednoznaczna. Spośród dwunastu aresztowanych i później skazanych tylko trzech było pochodzenia żydowskiego.

– Taaa, to Galant wpadł na trop tych Żydów... – Major machnął ręką. – Ale na razie nie możemy go odnaleźć.

Jego wywód przerwał dzwonek telefonu. Milicjant podniósł słuchawkę. Chwilę słuchał, nie odzywając się.

– Jak to, kurwa, na dołku? To co on zrobił? – wykrzyczał.

Odpowiedź, która padła z drugiej strony słuchawki, zaskoczyła go, bo przez chwilę milczał.

– Dobra, przyprowadźcie go.

Po chwili w drzwiach stanął wysoki, szczupły mężczyzna. Jasne, zwykle zaczesane do góry włosy teraz niedbale spadały mu na czoło. Kilkudniowy, niezbyt gęsty zarost, typowy dla mężczyzn o jasnej karnacji, nieskutecznie zakrywał młodzieńczą, przeoraną bliznami twarz. Zapadnięte oczy i podkreślone ciemnymi cieniami kości policzkowe dodawały mu lat, przez nie też wyglądał jak doświadczony życiem dojrzały mężczyzna. Teraz sprawiał wrażenie kogoś wyrwanego z głębokiego snu. Oddychał głęboko, jego szeroka klatka piersiowa falowała pod niegdyś białym podkoszulkiem. Pod kołnierzykiem dostrzec można było zaschnięte ślady krwi. Gdy wyciągnął dłoń w kierunku majora, trudno było nie zauważyć kolejnej blizny, która przechodziła od obojczyka przez całą długość ramienia, aż do mocno zarysowanego bicepsa. Ślad po ciężkim oparzeniu. Do tego ten kwaśny zapach alkoholu. Mężczyzna wyglądał, jakby przez tydzień uczestniczył w libacji alkoholowej gdzieś, gdzie nie było dostępu do bieżącej wody.

– Witam pana majora – zwrócił się szorstkim głosem do siedzącego przy biurku grubasa.

Sucharek zmierzył mężczyznę wzrokiem. Otworzył szufladę i wyciągnął paczkę giewontów. Wstał. Spojrzał na wyciągniętą dłoń mężczyzny, pstryknął palcami w dół paczki i gdy wysunął się jeden z papierosów, podał mu go.

– Nie mogliście go, kurwa, wsadzić pod prysznic, zanim mi go tu przyprowadziliście?! – huknął do stojącego z tyłu milicjanta i nie czekając na odpowiedź, wrzasnął: – Dobra, odmaszerować!

– To jest porucznik Galant, niedawno wrócił do naszego pięknego miasta po długiej podróży ze wschodu i od razu awansował na asa komórki dochodzeniowo-śledczej. – Z ironią w głosie wskazał rękami mężczyznę, na którego twarzy zamiast planowanego uśmiechu pojawił się grymas.

– Jestem Ugne. – Podał dłoń milicjantce. Gdy przedstawiał się lekarzowi, ten nie wytrzymał.

– Co to za imię „Ugne”?

– Litewskie. – Tym razem jego uśmiech był wyraźniejszy. – W mojej wsi pod Kownem była taka moda, wszyscy byliśmy albo pogromcami piorunów, albo boginiami słońca. Ja zostałem ogniem.

– Obwąchaliście się już? – zwrócił się do całej grupy komendant. – To przejdźmy do rzeczy. Zaprosiłem was tu wszystkich o czwartej nad ranem... – uśmiechnął się z ironią – nie dlatego, że nie mogę zasnąć, ale dlatego że sprawa, o której będziemy rozmawiać, nie może wyjść poza te cztery ściany. Tylko nasza czwórka ma znać szczegóły śledztwa. Doktor Ferenc twierdzi, że w naszym mieście dochodziło do aktów kanibalizmu, i nie wyklucza, że nadal może mieć to miejsce. Zresztą najlepiej będzie, jak sam wam to wytłumaczy.

Siadając, kiwnął na Szymona.

– Klątwa kanibali, tak ją nazwali mieszkańcy Papui-Nowej Gwinei. – Lekarz podniósł się z krzesła. – W ostatnim roku do naszego szpitala trafiło kilkanaście osób z objawami tej choroby. Wszystkie nie żyją. Okazuje się – kontynuował, podchodząc do okna – że wielki kreator, Bóg czy też matka natura, jakkolwiek go nazwiemy, komponując nasze organizmy, zainstalował w ciele bezpieczniki, które wyłączają jego funkcje, jeżeli złamiemy podstawowe zasady. Natura musi chronić gatunek. Wprowadziła regulamin, swoisty kodeks. Punkt pierwszy: nie możemy siebie zjadać. Papuasi tego regulaminu nie przestrzegali, zatem kuru wyrżnęło dziewięćdziesiąt procent ich populacji.

Przerwał, by spojrzeć na zgromadzonych. Galant sprawiał wrażenie faceta, który nie rozumiał, po jaką cholere został tu ściągnięty w środku nocy. By słuchać opowieści o Papuasach, zamiast w spokoju w jakimś

ciemnym kącie aresztu kontemplować swojego kaca? Po chwili Ferenc kontynuował:

– Kuru przebiega zazwyczaj w kilku fazach. Pierwsza przypomina zachorowanie na znaną wszystkim grypę. Chory skarży się na bóle głowy, gardła, oczu i stawów. Pojawia się gorączka. Dodatkowo dochodzą problemy z poruszaniem się, zaczynają drżeć nogi, a chory traci równowagę. W drugiej fazie chory staje się niesamodzielny. Nie może się sam poruszać ani nawet siedzieć bez podparcia. Ostatnia faza kuru to powolne umieranie. Chory się nie rusza, nie trzyma moczu ani kału. Na przemian śmieje się lub płacze. Jego mózg funkcjonuje, chory do końca jest świadomy. Śmierć następuje w wyniku totalnego wyniszczenia organizmu.

Ugne nie mieścił się na krześle, niemalże na nim leżał. Nie wyglądał na bardzo zainteresowanego.

– Najważniejsze, co powinniście wiedzieć – zwrócił się doktor do wpatrzonej w niego milicjantki – choroba dotyka tylko osoby, które zjadły ludzki mózg, i rozwija się miesiącami, a nawet latami. Zatem dzisiejsze ofiary konsumowały potrawy z ludzi wiele lat temu, być może tuż po wojnie. Do naszego szpitala na przełomie czterdziestego piątego i szóstego trafiały tysiące osób na skraju śmierci głodowej. Wielu nie udało się uratować. Do prosektorium przywożono ciała starców odnalezionych w ich domach, umarłych z wycieńczenia. Umierali, bo nie mieli sił wstać z łóżka, by szukać pożywienia. Kawalek chleba był dobrem droższym od życia.

– Wiemy, że największe problemy ze zdobyciem jedzenia mieli mieszkańcy Gołęcina, Goćławia i Niebuszewa – wtrącił major. – Z prostego powodu: te dzielnice zamieszkiwali głównie Niemcy i Żydzi. Nie płacę za nimi. Jak Wehrmacht się wycofywał, opróżnił wszystkie magazyny żywności. Szpitale zostały ogołoczone z całego sprzętu medycznego, a apteki opróżnione. Te skurwysyny zniszczyły wszystkie urządzenia melioracyjne i spaliły dokumentację sieci wodno-kanalizacyjnej. Pozostawiły tylko głód, smród i choroby. – Gestykulując, coraz bardziej podnosił głos. – Zabili to miasto! Tak samo jak przez całą wojnę zabijali nas. Jeżeli zatem jakiś pojebany kucharz czy inny rzeźnik wpadł na pomysł, żeby ich ugotować, trudno. Mnie interesuje, czy zakończył ich szlachtować po tym, jak ostatni Niemiec postawił nogę na kutrze płynącym do Lubeki, czy nadal to robi. To jest wasze główne zadanie.

Major, nie podnosząc się z fotela, pochylił się i otworzył szufladę. Wyciągnął z niej obitą w skórę teczkę, na której znajdował się połączony orzeł piastowski, a pod nim napis w tym samym odcieniu: „Pierwszy Sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej”. Sucharek wyciągnął z niej cztery koperty, na których odręcznie zapisano imiona i nazwiska siedzących w jego gabinecie.

– To wasze listy żelazne, które otworzą wam wszystkie drzwi w tym kraju. – Major rzucił koperty na biurko. – Korzystajcie z nich w ostateczności.

Ferenc był pierwszy. Podniósł kopertę, wyciągnął z niej kartkę i zaczął głośno czytać:

– „Zobowiązuje się wszystkie organy ludowego państwa do niesienia pomocy towarzyszowi Szymonowi Ferencowi...”.

Doktor podniósł głowę i spojrzał na majora. Ledwie zauważalny wyraz dumy i zadowolenia na twarzy lekarza nie uszedł uwagi milicjanta. Ferenc spuścił wzrok, przebiegł wzrokiem po liście. Kiedy dotarł do końca, zatrzymał się na podpisie. Powoli i głośno odczytał na tyle głośno, aby każdy usłyszał.

– „Podpisano Władysław Gomułka”.

Przez chwilę w biurze panowała cisza. Przerwał ją Sucharek.

– Od dzisiaj każdy nowy przypadek kuru trafia do Wojskowego Szpitala Garnizonowego na Skargi. Towarzysz jest za to odpowiedzialny. – Wyciągnął gruby paluch w kierunku Ferenca. – Wy – popatrzyl na dziewczynę i Ugne – przenosicie się z całym burdelem do komisariatu na Niebuszewie. Chcę, żebyście czuli zapach ulicy. Masz tu kluczyki do tego niemieckiego szajsu. – Rzucił w kierunku Ugne kluczyk, które wyciągnął z szuflady. – Od czasu wyzwolenia nie został wprowadzony do ewidencji, więc nie ma przydziału. Stoi na gruzowisku przed komendą. Tylko nie lataj nim dalej niż do Pyrzyc, to smok, zre siedemnaście litrów na sto. Aha, jeszcze jedno, jak już będziecie na miejscu, pytajcie o sierżanta Wajdę z kryminalistyki. On was wprowadzi. To jedyny wtajemniczony w tę sprawę.

Wyszli z gabinetu. Schodząc szerokimi marmurowymi schodami, Ugne spojrzał w kierunku ciemnego korytarza. Poczul ucisk w klatce piersiowej. Jego serce mocniej zabiło, a puls przyspieszył. Przełknął ślinę. Nie widział tych drzwi, bo były za daleko, ale wiedział, że wisi na nich przekrzywiony

numer dwadzieścia dziewięć. Tu spotkał się z Garbusem. To było jesienią czterdziestego szóstego roku. Wypuścili ich z obozu pracy Gemeinschaftslager Schiesspark przy Bandurskiego. Ugne od początku czuł, że trafi do służby. Było mu wszystko jedno, jak się ten nowy potwór będzie nazywał – policja czy milicja – ważne, by dostał broń i interdykt. Nie spodziewał się, że wraz z nowym państwem przyjdą nowe reguły gry. Nie rozumiał faktu, że w tym nowym świecie człowiek, który nosił tak dziwne, obco brzmiące imię i nazwisko, może stać się podejrzanym. Zabrali go prosto z komisariatu nad Odrą i przewieźli do Komendy Wojewódzkiej Milicji i Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego na Małopolskiej 47. Spędził tam tydzień. Słyszał już o metodzie przesłuchiwania zwanej konwejerem. Nigdy jednak nie przypuszczał, że pozna ją tak dokładnie na sobie. Śledczy przesłuchiwali podejrzanego w sposób ciągły, dzień i noc. Do dziś oblewa go zimny pot na wspomnienie tego gabinetu. Pamięta, jak się ocknął, a przed nim stał niski mężczyzna ze spiczastymi uszami i garbem na plecach. W pomieszczeniu było ciemno. Siedział na drewnianym taborecie, z rękoma związanymi z tyłu. Miał na sobie tylko bieliznę. Szumiało mu w uszach. Próbował przełknąć ślinę, ale gruczoły ślinowe nie nadały z jej produkcją. Było sucho.

– Aleksander Merza[12], jestem naczelnikiem wydziału śledczego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. A to moi asystenci.

Odwrócił się i z przeraźliwym zgrzytem otworzył drzwiczki metalowej szafy. Wisiały w niej trzy pejczy zakończone ołowianymi kulkami, obok metalowe łańcuchy oraz różnej wielkości obcęgi. Na dolnej półce leżała lutownica, a z boku wisiał skórzany pas, do którego przymocowana była brzytwa.

– Czyli jesteś Litwinem, urodziłeś się w Kiejdanach. – Wpatrywał się w kartkę, na którą padało światło z lampy stojącej na biurku. – Później przeniosłeś się z matką do niemieckiego Szczecina, znasz bardzo dobrze język niemiecki. Dostałeś się do niewoli i zostałeś przywieziony tu do obozu pracy, czy tak?

– Jestem Polakiem. Już mówiłem. – Ugne nie rozpoznał swojego chropowatego głosu. – Wiele razy.

– Dobrze, umówmy się tak – zaskrzeczał niski człowiek ze sterczącymi uszami – jeżeli okaże się, że kłamiesz, jeszcze dzisiaj zostaniesz przewieziony na Kaszubską, a ostatnią rzeczą, którą zobaczysz, będzie lufa

tetetki przystawiona do twojego czoła przez starszego szeregowego Kuźmińskiego. Jeżeli mówisz prawdę, wejdiesz do służby, a może nawet zostaniesz awansowany. Rozumiesz?!

– Tak.

– Ażeby się upewnić, czy mnie nie okłamałeś, zastosuję mój autorski test prawdomówności.

Sięgnął dłonią do metalowej szafy, z której wyciągnął urządzenie, które wyglądało jak połączenie trąbki z metalowym kuflem do piwa.

– To jest mój osobisty poligraf, palnik gazowy, który znalazłem przy martwym żołnierzu Wehrmachtu. Moje trofeum.

Ugne rozumiał, że ten człowiek różni się od tych, którzy dotychczas go przesłuchiwali. Ten człowiek? Nie... Teraz to pojął, już wiedział, że przyjdzie mu zmierzyć się z bestią. Potworem w ludzkiej skórze. Widział już takich w obozie. Mówili w innym języku i chodzili w innych mundurach, ale wzrok mieli ten sam. Nie ma znaczenia, co powie, ważne, by trwał, by się nie poddał. Bestie to wyczuwają. Wiedzą, kiedy człowiek przestaje walczyć. Czują, jak uchodzi z nich godność, człowieczeństwo, kiedy zamieniają się w podludzi, którzy zrobią wszystko, byleby przetrwać. On taki nie będzie.

Merza przekręcił kurek w tylnej części palnika, wyciągnął z kieszeni paczkę zapalek i po chwili płomień oświetlił jego twarz. Ugne uderzył zapach spalanej benzyny. Żołądek zareagował, poczuł zbliżające się konwulsje. Żółć wypełniała gardło. Garbus przycisnął spust palnika i podpalił wydobywający się gaz. Krwistoczerwony płomień i syk sygnalizowały gotowość urządzenia.

– A teraz opowiesz mi jeszcze raz, co tu robisz, jakie są twoje zadania i dla kogo pracujesz.

Merza kucnął obok związanego Ugne i przyłożył mu płonący palnik do ramienia. Ten poczuł piekący ból, który rozchodził się od przedramienia po bark. Starał się go przetrzymać, opanować, ale ból był coraz intensywniejszy, ciało zaczęło mu dygotać, poczuł zapach spalonej skóry i wtedy zrozumiał, że to już koniec, z ust wydobył mu się krzyk. Nadeszła ciemność.

Szerokie drzwi zasunęły się za nimi. Ugne głęboko nabrał powietrza. Było wciąż ciemno, ale kosy już się obudziły i śpiewnie oznajmiały całemu światu, że są, istnieją, żyją. Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni pogniecioną

paczkę giewontów. Włożył do ust połamanego papierosa i zapalił. Zaciągnął się głęboko. Poczłł lekkie mrowienie na karku. Splunął. Spojrzał przed siebie, na pusty plac, na którym jeszcze kilka lat temu stał teatr miejski. Sprawiedliwość dziejowa dopada nie tylko ludzi, lecz także budynki, pomyślał, zaciągając się ponownie. Obrócił się i spojrzł na dom koncertowy, a właściwie na to, co po nim pozostało. Na szczytach murów rosły krzaki. Sprawiały wrażenie, jakby wyrastały z dachu, którego jednak już nie było. Ciekawe, pomyślał, czy czeka mnie taki sam los, jaki spotkał teatr.

– Gdzie on mówił, że postawił ten samochód? – zwrócił się do niskiej brunetki.

– Tam. – Wyciągnęła palec w kierunku ulicy Starzyńskiego, wzdłuż której na całej długości zaparkowane były pojazdy.

Samochód wyróżniał się na tle innych aut przed komendą. Przypominał rosyjski gazik, jednakże był od niego większy i masywniejszy. Pustynny kolor sugerował, że terenówka docelowo miała jeździć po piaskach Libii, a nie po ulicach Szczecina. Ugne to jednak nie przeszkadzało, nawet mu się spodobał. Był inny. Pasował do niego.

Wsiedli do środka. Włożył kluczyki do stacyjki. Czterocyldrowy silnik głośno zamruczał. Pogładził kierownicę, na której w centralnym punkcie wygrawerowane było logo – Stoewer R200 Spezial. Pochylił się. Na tabliczce znamionowej, zamontowanej pod kierownicą, zauważył napis „Produziert in Stettin”.

– Gdzie mam cię odwieźć? – zwrócił się do dziewczyny.

– Nie ma sensu, byś mnie dokądkolwiek odwoził. – Zadarła głowę, by zobaczyć jego reakcję. – Jedźmy do komisariatu. Nie traćmy czasu.

– Jak sobie towarzyszka życzy.

Na jego twarzy pojawił się grymas przypominający uśmiech. Wrzucił wsteczny bieg, stoewer wykręcił i z rykiem ruszył do przodu, w kierunku Niebuszewa.

[10] obecnie ulica Starzyńskiego

[11] Źródło: Zbyszek Małecki, grupa na Facebooku *Szczecin znany i historyczny*, wpis z 16.02.2022.

[12] Aleksander Merza w latach 1950–1955 pełnił funkcję naczelnika Wydziału Śledczego WUBP w Szczecinie. Za: Biuletyn Informacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej, Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.

5

Kery

Wzgórze Kupały, Szczecin, 1946 rok

W obszernej kuchni panował półmrok. Pomieszczenie znajdowało się w środkowej lub piwnicznej części restauracji, bo wokół nie było okien. Na kuchence gazowej stały cztery garnki, pod nimi tlił się ogień. Pokrywki lekko podskakiwały, wydając dźwięk przypominający pykanie. Nad nimi, na szerokim wyciągu, wisiały różnej wielkości patelnie, chochle do zupy, sitka, łyżki do sosów, łyżki cedzakowe i szumówki. Po drugiej stronie na haku suszyły się uszy. W powietrzu unosił się aromatyczny zapach grzybów. Przy długim drewnianym stole siedział wysoki mężczyzna. Nie miał na sobie nic poza skórzanym fartuchem z napisem „Bohrisch”. Część pleców była odsłonięta. Z pleców spoglądała granatowo-czarna twarz kozła.

Mężczyzna obierał marchewkę. Nożyk do warzyw znikał w długich, chudych palcach. Obok, na stole, stało kilka misek. Wszystkie wypełnione były po brzegi mięsnymi podrobami. W jednej wątroby, w kolejnej nerki, płuca i żołądki, w trzeciej śledziony i mózgi. W następnej serca. Narządy różniły się od siebie wielkością. Na środku stała duża miska wypełniona wodą, w której pływały oczy. Sześć sztuk. Dwoje o silnie kasztanowej barwie. Mężczyzna podniósł się i podszedł do stojącej w rogu beczki. Otworzył ją. W pomieszczeniu zapachniało kiszonką. Przełożył dużą część kapusty kiszonej do wiaderka i przeniósł na stół. Chwycił długi nóż rzeźnicki i sprawnie zaczął kroić kapustę. Po chwili całość wylądowała w garnku. Teraz zabrał się do obróbki mięsa. Zmienił nóż. Równie sprawnie jak z marchewką obszedł się z podrobami. Pokroił w kostkę płuca, nerki i śledziony. Wrzucił do jednego z garnków, w którym gotował się wywar warzywny. Odwrócił się i spojrzał na książkę kucharską na drewnianym stojaku. Światło lampy stołowej oświetlało oprawioną ręcznie

opasłą księgę z pozłacanymi tytułem *Compendium Ferculorum albo Zebranie Potraw przez Stanisława Czernieckiego Kuchmistrza Hrabiego Aleksandra Michała Lubomirskiego napisane*. Przekartkował kilka stron i zatrzymał się na rozdziale *Mózdzek wieprzowy po polsku*. Chwilę przesuwając palec po kartce papieru, po czym podniósł miskę z częściami mózgow i wrzucił je do wrzątku, dolał octu. Pochylił się i wyciągnął trzy dorodne cebule z kosza pod stołem. Podrzucił je i z gracją magika jarmarcznego zaczął nimi żonglować.

Gotowanie sprawiało mu radość. Było jego pasją. Gotować nauczył się dla niej. Dla Ireny. Uwielbiał wymyślać coraz to nowsze i coraz bardziej wyszukane potrawy. Spędzał godziny w antykwariatach w poszukiwaniu najlepszej książki kucharskiej. Nie myślał o sobie jako o smakoszu, wiedział natomiast, że Irena delectowała się każdą z potraw, którą dla niej przygotował. Siadał potem przy stole naprzeciw niej i wpatrywał się, jak je, jak cieszy ją każdy kęs przygotowanego przez niego dania. Czekał na jej słowa, na to, że powie, jak bardzo docenia jego dzieło. Właśnie – dzieło. Za każdym razem chciał stworzyć coś wyjątkowego, wykraczającego poza sferę powszechności, przemieniającego banalność w sztukę.

Zdjął z wyciągu największą patelnię, postawił na palniku i wrzucił kostkę smalcu. Kiedy tłuszcz się rozpuścił, zsywał z deski pokrojone cebule. Łyżką cedzakową wyłowił mózgi z wrzątku. Chwilę odczekał, aż mięso się wystudzi, po czym kilkoma zwinnymi ruchami pokroił mózgi w grubą kostkę. Tak pokrojone mięso dorzucił do błyszczącej na złoto cebuli, po czym równie sprawnie wbił dziesięć jaj. Zmniejszył płomień pod patelnią. Spojrzał w dół, na siebie. Czas się przebrać, pomyślał.

* * *

W sali restauracyjnej panował gwar. Co prawda przy stole siedziała tylko jedna rodzina, ale chłopiec i dziewczynka byli tak hałaśliwi, że ich głosy wypełniały pozostałą, nienaruszoną część tej niewielkiej sali. Było parno. Zapewne przed wojną usiedliby w części tarasowej i delectowali się piękną panoramą na dolinę Odry, ale teraz w miejscu tarasu były tylko gruzy.

– Uspokójcie się!

Starsza dziewczyna siedząca obok dzieci szarpnęła chłopca za ramię.

– Ale to nie ja, to Astrid, to ona zaczęła – tłumaczył się pyzaty cherubinek.

– Wcale nie, to on zabrał mi widelec – odpowiedziała z miną niewiniątka sześciolatka.

– Doris, uspokój te dzieciaki – zwrócił się niski, tęgi mężczyzna do siedzącej obok okazałych rozmiarów kobiety.

– Dzieci, uszanujcie to, że siedzimy teraz w miłej restauracji, a nie na tym betonie, i nie musimy stać w kolejce do Suppenküche... – zasugerowała, po czym obróciła się do pyzatego mężczyzny. – Ja nie wiem, Hans, jak można nas tak traktować? Raz dziennie zupa?! Przecież nie jesteśmy zwierzętami!

Drzwi na zaplecze się otworzyły i stanął w nich wysoki chudy mężczyzna w białej koszuli, kamizelce i muszce. Widok był tak niezwykły, że przy stole zapanowała grobowa cisza. Słysząc tylko turkot generatora prądu i stłumiony odgłos śpiewu ptaków. To kos rozpoczął swoją smętną serenadę. Poczuli intensywny zapach fiołków. Mężczyzna zbliżył się do stołu. W rękę trzymał wazę.

– Przepraszam, że tak długo musieli państwo na mnie czekać – mężczyzna zwrócił się do biesiadników doskonałym niemieckim, choć z lekkim akcentem wschodnim.

– Nie – odparła Doris. – Jesteśmy panu wdzięczni, że nas pan tu zaprosił.

– Dobrze, że ruszyliśmy się z miejsca chociaż na chwilę – dodał Hans. – Inaczej byśmy pana nie spotkali. W tym ich punkcie zbornym siedzimy już od tygodnia. Żremy tylko tę lurę przypominającą zupę, pijemy kawę zbożową i sramy do dziury w drewnianej podłodze.

– Ależ Hans! – oburzyła się Doris.

– Niestety, jak państwo sami widzą, warunki są polowe. Na szczęście część restauracji przetrwała bombardowanie i możemy z niej korzystać – dodał mężczyzna. – Mniejsza z tym. Zastawa się zachowała oryginalna. – Puścił do nich oko i wskazał na wygrawerowany na wazie symbol swastyki. – Teraz proszę, delektujcie się. Na początek kapuśniak na młodych żeberkach.

Mężczyzna podnosił kolejno bulionówki i nalewał do nich zupę z kawałkami żeberek. Zapach fiołków zniknął i zastąpił go zapach majeranku i grzybków.

– Hmm, jakie dobre mięso. Gdzie pan zdobył taką wieprzowinę? – wymamrotał Niemiec, obgryzając łapczywie żeberko.

– Nie uwierzy pan, udało mi się złapać maciorę z dwiema małymi, jak próbowała się dostać na statek do Lubeki.

Mężczyzna odwrócił się i skierował na zaplecze.

– Każdemu dobremu posiłkowi winna towarzyszyć dobra muzyka.

Ze spizarni doszedł ich przytłumiony głos. Po chwili ciszę przeciął trzeszczący winyl.

Du sprichst vom Abschied, für kurze Zeit,

Und bist schon morgen, von mir so weit.

Was sind schon Worte, im Augenblick,

Was ein versprochenes Glück?

– Przecież to jest Michael Jary! – Nastolatka aż poderwała się z miejsca.
– To moja ulubiona piosenka.

– Frauke, usiądź i jedz – zwrócił jej uwagę ojciec.

Frauke, żywiołowa siedemnastolatka, podobnie jak i wszyscy przedstawiciele rodziny Schneiderów, nie była typem lekkoatletki. Schneiderowie byli raczej konserwatywnymi Niemcami, a zatem entuzjastami tradycyjnej kuchni niemieckiej. Często na ich stole gościły *Kartoffelsalat* z *Weißwurst* lub *Currywurst*. Raz w tygodniu musiała być podana *bayerische Schweinshaxe*. Nie dziwota, że wszyscy mieli nadwagę i dużą część budżetu rodzinnego pochłaniały koszty przeróbki garderoby. Starali się przez to nie kupować wyszukanych strojów. Frauke miała na sobie prosty, sztywny żakiet koloru szarego, spódnicę z tego samego materiału i w tym samym kolorze oraz czarne buty o mocnej podeszwie. Miało być schludnie i wygodnie. I tak też było.

Mężczyzna po chwili wrócił z półmiskiem. Postawił go na stole.

– Móżdżek po polsku!

Łopatką oddzielał kolejne części ściętego jajka z mięsem i nakładał danie na talerze.

– No, no, no! – zakrzyknął pan Schneider. – Pięknie to wygląda, panie...?

– Kornacki – odpowiedział mężczyzna.

– Gdzie pan się tak dobrze nauczył gotować, *Herr Kornacki*?

– W obozie.

– *Wunderbar, Herr Kornacki!* – Nie słuchał już mężczyzny. Wcisnął kolejny kęs do ust, kontynuował: – To pańska restauracja czy tylko pan tu pracuje?

Połowa dania już zniknęła z jego talerza.

– Nie. Stała pusta, to ją wziąłem.

Widelec Schneidera zatrzymał się w połowie drogi do ust. Małżeństwo spojrzało na siebie.

– Jak to pan sobie wziął? – zwróciła się do niego z pełnymi jeszcze ustami pani Schneider.

– Z jakiego obozu? – odezwał się w tym samym czasie jej mąż.

Michael Jary kontynuował.

Daß Du wie ich, glücklich bist.

Den einen Menschen, auf dieser Welt,

Der nur für Dich lebt, der zu Dir hält,

Hast Du in mir, drum sag ich Dir...

– To nie jest teraz ważne – odpowiedział, zajmując miejsce przy stole obok pulchnej dziewczynki. – Czy któreś z was zna grekę?

Mężczyzna rozejrzał się po twarzach siedzących przy stole i napotkał wielkie, szeroko otwarte oczy wpatrzone w siebie.

– Zatem zapewne nie wiecie, że słowo *ker* w języku greckim oznacza los albo przeznaczenie. Od tego też słowa pochodzi imię Kera – kontynuował. – W mitologii greckiej była boginią śmierci, córką władczyni nocy, Nyks. Grecy wierzyli, że każdy z ludzi miał swoją kerę, która jest wyznacznikiem jego losu, rodzaju życia i śmierci. Pani Schneider, jak pan myśli, czy wy również macie swoje kery?

Spojrzał na otyłego mężczyznę, który z przerażeniem chwycił się za szyję, próbując złapać oddech.

– Spokojnie, to tylko tubokuraryna, środek zwiotczający mięśnie. Chciałem, abyście w skupieniu wysłuchali tego, co mam do powiedzenia. Rzadko wam się to zdarzało. Częściej to ja musiałem was słuchać. To wy decydowaliście o życiu moim i moich najbliższych. Teraz to ja wyznaczę wasz los. Zanim to jednak nastąpi, czegoś was nauczę.

Najmłodsze dzieci już straciły przytomność. Ich ciała opadły na krzesła. Nastoletnia Frauke oraz jej rodzice Doris i Hans Schneiderowie wciąż byli

przytomni, choć sparaliżowani. Jak ryby wyciągnięte na brzeg z szeroko otwartymi ustami z trudem próbowali złapać oddech. Ich oczy spowiła mgła. Restauracja zaczęła wirować.

– Homer i Hezjod przedstawiali kery jako skrzydlate demony o czarnoniebieskich twarzach, które wbijały pazury w umierającego, aby wypić jego krew. Żywiły się również ludzką padliną, czyli po prostu trupami – mówił coraz szybciej coraz bardziej rozgorączkowany Kornacki. – Raz na sto lat kery z siostrami schodziły na ziemię, by wyrównać rachunki. Rozrywały wtedy ludzkie ciała na strzępy, wpijały się w szyje wojowników i spożywały ludzkie mięso.

Na twarzy mężczyzny pojawiły się wypieki, a czoło przedzieliła pulsująca żyła. Wstał. Ściągnął kamizelkę i rozwiązał muszkę. Gdy odpinał guziki koszuli, zaczął chodzić dookoła stołu.

– To, że jesteście ignorantami, przynosi hańbę wielkiemu narodowi niemieckiemu, zatem dam wam jeszcze jedną szansę. Zaprosiłem was na obiad, podobnie jak przed laty król Tantal zaprosił bogów na swoją biesiadę. Podczas uczy ów ulubieniec bogów poczęstował ich specjalną potrawą. Wiecie jaką?

Oczy Frauke robiły się coraz większe, a konwulsje targały jej ciałem coraz intensywniej.

– Widzę, że mam przed sobą raczej tę część elity społeczeństwa panów, która nie zetknęła się z mitami greckimi? Przedstawię wam to w sposób dostępniejszy i praktyczniejszy. Tym razem gwarantuję, że tego nie zapomnicie.

Mężczyzna, zrzucając z siebie koszulę, w szybkim tempie przeszedł na zaplecze. Po chwili dźwięki muzyki przerwało skrzypienie wózka kelnerskiego, który wtoczył do restauracji półnagi Kornacki. Nie był już dystyngowanym kelnerem, lecz bestią w ciele człowieka. Na wózku leżały przybory kuchenne, przyprawy, długi nóż, widelec do mięs, drewniana deska do krojenia i ręczny palnik do *crème brûlée*. Mężczyzna położył narzędzia na stole, pozostawiwszy sobie tylko nóż. Podszedł do sparaliżowanej dziewczyny i jednym sprawnym ruchem ostrza rozciął rękaw jej żakietu. Przez chwilę patrzył na pulchne, pozbawione wyraźnych śladów mięśni ramię Frauke, po czym wbił metal w jej ciało. Rozległ się chrobot, jaki wydaje ostrze trafiające na kość. Nóż był ostry, łatwo przebił się przez zwoje tkanki tłuszczowej i dotarł do mięśnia. Mężczyzna wykonał

nim trzy ruchy i po chwili trzymał w ręku jeszcze ciepłą część mięśnia trójgłowego ramienia dziewczyny. Frauke nie mogła krzyknąć, wydobywał się z niej jedynie stłumiony pisk, podobny do tego, jaki wydają raki wrzucone do wrzątku. Ból był widoczny w jej oczach, wielkich i przerażonych. Organizm zareagował automatycznie. Z jej oczu ciekły łzy, a całym ciałem targały konwulsje.

– To była pieczeń, którą przygotował z własnego syna Pelopsa – kontynuował swój wykład mężczyzna. – Bogowie wiedzieli, co im przygotował. Tantal i inni nie skosztowali potrawy, poza jedną Demeter.

Nadział mięso na długi widelec, podniósł urządzenie do karmelizowania cukru i je podpalił. Mięso skwierczało, gdy otulały je płomienie palnika. Po chwili w całym pomieszczeniu było czuć zapach pieczeni. Kornacki ściągnął mięso z widelca i położył na desce. Przyprawił pieczeń solą, pieprzem i majerankiem. Przekroił na trzy części i ponownie nabił na widelec.

– Demeter zajadała się mięsem Pelopsa, chociaż wiedziała, że jest ludzkie.

Mężczyzna siłą rozchylił usta Doris i wsunął do środka drobny kawałek pieczeni. Odchylił jej głowę do tyłu i wlał wodę do gardła. Ten sam ceremoniał przeprowadził na jej mężu i córce.

– Dlaczego to zrobiła? – Kornacki stał z założonymi na piersi rękoma i wpatrywał się w swoje dzieło. – To proste, mięso było świetnie przyrządzone.

Odwrócił się, a oczom Schneiderów ukazała się postać kozła, z długimi ostrymi kłami i szponami. Zbliżał się do nich. Nie mogli uciec. Siedzieli w miejscu i czekali, aż bestia wbije swoje kły w ich szyje.

6

Batiar

Śródmieście, Szczecin, maj 1957 roku

– Dlaczego przyjechałaś do Szczecina? – zapytał Ugne, nie spuszczać wzroku z drogi.

– Taki rozkaz...

Basia wpatrywała się w jeden punkt przed sobą.

– Aha.

– Chciałam tu przyjechać. Nie jestem z Gdańska, jak mówił komendant, ale ze wsi pod Puckiem. Z Piaśnicy niedaleko Wejherowa. Gdyby nie ta sprawa, wysłaliby mnie pewnie gdzieś do komisariatu powiatowego pod Gdynią.

Samochód minął gruzowisko po dawnym kinie Urania i jechał wzdłuż ulicy Starzyńskiego. Miasto wyglądało jak wyludnione.

– Poza tym komendant powiedział, że to jest wyjątkowo trudne zadanie i że partia liczy na mnie.

– Partia?

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Tak. Partia. Ludzie. Towarzysze. Musimy rozwiązać tę sprawę, bo stawia w złym świetle naszą ojczyznę – z entuzjazmem deklamowała podniesionym głosem. – Przecież ta sprawa ma wagę państwową. Jeżeli nam się nie uda, to...

– To co?

Ugne drżącymi palcami próbował zapalić papierosa. Czuł, że organizm zaczyna domagać się alkoholu. Przełknął ślinę.

– Jak to co? Przegramy, a oni wygrają.

– Jacy oni?

– Oni. Kapitaliści. Imperialiści. Niemcy. Po co pytasz?

Ugne zaciągnął się. Jechali Parkową. Po lewej i po prawej stronie leżały gruzy. Gdzieś widzieli pojedyncze budynki, a właściwie ich cienie, które przetrwały bombardowanie aliantów. Na poboczu zdychał potrącony pies.

– Jesteś w partii? – zapytał Ugne.

– Oczywiście. A ty nie? – Spojrzała na niego. – To nie jest obowiązek każdego funkcjonariusza?

– Nie – odrzekł, a popiół papierosa spadł na tapicerkę. – Niewierzący nie są po prostu lubiani przez władzę.

Skrzywił się. Basia przyglądała mu się dłuższą chwilę. W świetle mijanych latarni jego twarz przypominała potrząskaną rdzawą maskę, którą z trudem, prowizorycznie, na szybko, ktoś posklejał.

– Co ci się właściwie stało?

– Jeżeli powiem ci, że zaciąłem się przy goleniu, to uwierzysz?

Oczy mu zabłyśły. Jego tęczęwki w tym świetle stały się jeszcze bardziej granatowe. Kiedyś musiał być przystojnym mężczyzną, pomyślała. Mocno zarysowane kości policzkowe, jasna grzywa i te granatowe oczy... Musiał mieć wiele kobiet. Prawdopodobnie był w jej wieku, ale blizny na twarzy i zarost robiły swoje. Nie dbał o siebie. Nie stronił pewnie też od alkoholu. Ciekawe, czy kogoś ma? Spojrzała na jego dłonie. Na palcach nie było obrączki.

Jechali Emilii Plater, przed nimi w świetle reflektorów majaczyły budynki czynszówek przy Jana Kazimierza. Wokół było pusto.

– Dlaczego wstąpiłeś do milicji? – zapytała.

– Żeby łapać złych ludzi i wsadzać ich więzienia.

Odwrócił się do niej, ukazał białe zęby w sztucznym uśmiechu i szybko wrócił do wypatrywania przymrużonymi oczami dziur w drodze.

– No tak. Każdy z nas zapewne szedł do Milicji Obywatelskiej, by pilnować ładu i porządku.

Basia wydeła policzki i założyła ręce na piersi.

– Nie, nie chcę wprowadzać ładu i porządku – wycedził powoli. – Chcę łapać złych ludzi i stawiać ich przed ludźmi w togach z łańcuchami z orłem...

– A co to za różnica?

– Taka, że wy chcecie ludzi zmienić.

– Oczywiście, chcemy ich zmienić w społeczeństwo żyjące w dobrobycie, w którym nikt się nie wyróżnia swoim statusem, urodzeniem ani bogactwem. Wszyscy będziemy równi. W tym kraju będzie w końcu rządzić prawo i sprawiedliwość – wyrecytowała z powagą i entuzjazmem dziewczyna.

– Wiesz, jest trochę za wcześnie, albo za późno, i mam zbyt ciężkiego kaca, by rozmawiać o sprawiedliwości. Zostawmy to.

Pstryknął niedopałek do rowu. Przejechał przez Staszica i gdy dojeżdżał do Roosevelta, zwolnił. Po prawej stronie stała nieruchoma karuzela, a wokół niej wozy Drzymały oraz drewniane konstrukcje przypominające namioty. Razem tworzyły krąg, a całość składała się na coś w rodzaju wesołego miasteczka. Spojrzał w lewo na jedyny budynek w okolicy. Dawniej mieściła się tu szkoła żydowska. Był czarny, osmalony. Właściwie mógłby stanowić smutną puentę, symbol tego miejsca, tego miasta, jak samotny krzyż przy drodze.

Gdy wjeżdżali w Felczaka, było już jasno. Ryk silnika stoewera zagłuszał śpiew ptaków.

– Co myślisz o tej sprawie? – Basia zrozumiała, że czas zmienić temat.

– Jeszcze nie wiem, co myślę.

– Powiedz, jak to możliwe, aby człowiek zabijał drugiego i robił z niego... gulasz? Dlaczego to robi? Dla pieniędzy? Myślisz, że on sam też zjada ludzi?

– A dlaczego myślisz, że to jest on? Nie ona, nie oni...

– Nie wiem, ale jakoś mi to bardziej pasuje do mężczyzny. Silnego, dużego, który byłby w stanie chwycić, przywlec, zawlec, kroić... Nie wiem.

Jaśniało. Promienie słońca odbijały się w gejzerach fontanny przed budynkiem prezydium Miejskiej Rady Narodowej na placu Niezłomnych[13]. Skręcili i jechali wzdłuż dywanu kwiatów na Jedności Narodowej. Jak różniła się ta część miasta od Niebuszewa, które zostawili za sobą!

Zaparkowali przed samym wejściem do komisariatu. Wbiegli po szerokich marmurowych schodach. Po prawej za szybą dyżurki, opierając głowę na rękę, drzemał milicjant.

– Pobudka! – krzyknął Ugne.

– Gdzie? Co? – Wyrwany ze snu funkcjonariusz próbował złapać kontakt z rzeczywistością. – A wy co, kurwa?!

– Nie kurwa, tylko porucznik Ugne Galant z sierżant Barbarą Romanowską z komendy wojewódzkiej. – Starał się, by jego głos brzmiał surowo, choć mina milicjanta świadczyła, że było to zupełnie zbędne. – Meldujcie sierżantowi Wajdzie, że ma gości.

Dyżurny podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

– Dwoje śledczych z komendy wojewódzkiej do sierżanta – zameldował, po czym chwilę słuchał. – Dobrze, już idą.

Milicjant wychylił się z okienka i wskazał palcem schody.

– Zejdziecie w dół, później w prawo do końca korytarza, kryminalistyka jest na samym końcu.

Zbiegli po schodach. Gdy zbliżali się do biura na końcu korytarza, usłyszeli piosenkę. To były skoczne, znajome rytmy, Ugne już gdzieś je słyszał. Spojrzeli na siebie.

– Wesoło tutaj. – Basia się uśmiechnęła.

Zapukali. Nic. Najwyraźniej muzyka zagłuszyła pukanie do drzwi. Ugne złapał za klamkę i szarpnął. Jaskrawe światło na moment go oślepiło. W pomieszczeniu pomimo braku okna było jasno. Spojrzał w górę. Żyrandole świetlówkowe. Za długim stołem, na metalowym wysokim krześle, siedział niski mężczyzna. Odwrócony tyłem nie zauważył, jak weszli. Beztrosko wymachiwał nogami w rytm piosenki, wpatrując się w nadpaloną część jakiegoś materiału. Chyba sukienki. Obok mikroskop, palnik i kuwety z płynami. Na metalowych szafkach porozrzucone jakieś gazety. Przekręcił głowę, by odczytać tytuły. Stare numery przedwojennego kwartalnika „Archiwum Kryminologiczne”. Na ścianach duże zdjęcia mężczyzn, trzymających w rękach tabliczki z numerami. Pod stołem butla z gazem. Totalny chaos, pomyślał Ugne. Do tego ta muzyka.

Bo gdzie jeszcze ludziom

Tak dobrze jak tu?

Tylko we Lwowie!

Gdzie śpiewem cię tulą

I budzą ze snu?

Tylko we Lwowie!

Teraz skojarzył. To Szczepcio i Tońcio z *Wesołej Lwowskiej Fali*. Miał może z piętnaście lat, gdy ten numer był szlagierem w Polskim Radiu. To

nie była jego muzyka. Nie rozumiał, jak ktoś mógł taką ludową przyśpiewkę podnosić do poziomu sztuki. Nie był fanem tego specyficznego humoru ludowego, pomieszanego z żargonem przestępczym. Wolał Benny'ego Goodmana czy pionierów chicagowskiego bluesa. Jego rówieśnicy naśmiewali się z niego, że słuchał muzyki czarnych niewolników. Sam nie wiedział, czemu wolał ich od sentymentalnych batiarów.

Dotknął ramienia mężczyzny. Milicjant odwrócił się. Na jego pucułowatej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Miał może ze trzydzieści parę lat. Wielki okulary z grubymi denkami, na czerwonym nosie, pulchne policzki i kurze łapki wokół oczu, świadczące o zamiłowaniu do wysokoprocentowych trunków i dobrej zabawy, nie pasowały do wizerunku poważnego kryminologa. No i ta długa broda, która dodawała mu kilku lat. Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby nie zauważył wysokiego blondyna, całą swoją energię kierował w stronę ładnej brunetki.

– Człowiek nie spodziewał się tak pięknej pani sierżant – zaśpiewał lwowską gwarą mężczyzna. – Kaziuk. – Wyciągnął dłoń do Basi. – Ale mówią do mnie lwowiak.

– Sierżant Barbara Romanowska i porucznik Ugne Galant. – Dziewczyna wskazała ręką wysokiego blondyna i podeszła do szafki z gramofonem.

– I niech towarzysz daruje sobie te płyty – zakomunikowała głosem nieznoszącym sprzeciwu, podnosząc delikatnie ramię gramofonu i przerywając Szczepciowi i Tońciowi sławienie swojego miasta.

– Znasz sprawę? – zwrócił się do sierżanta Wajdy Ugne.

– Tak. Przygotował ja dla was pomieszczenie, w którym nikt nam nie będzie przeszkadzał. Chodźcie za mną.

Ruszyli tym samym korytarzem, którym przyszli. Potem nie skierowali się jednak ku drzwiom wyjściowym, a w przeciwnym kierunku. Wyszli na wewnętrzny dziedziniec, na którym stały milicyjne samochody. Przeszli przez parking i znaleźli się przed drzwiami prowadzącymi do suterenu. Wajda wyciągnął pęk kluczy i przerzucał jeden po drugim, by po chwili wyciągnąć dłoń w geście tryumfu.

– Utrafił!

Zeszli po schodkach. Ugne musiał się mocno schylić, żeby dostać się do środka. Przywitał ich odór wilgoci i grzyba. Mieszkanie było podzielone na dwa pomieszczenia. Milicjant zapalił światło przy biurku. Na środku

drewnianej podłogi stał długi stół z sześcioma drewnianymi krzesłami. W kącie kanapa. Na frontowej ścianie wisiała tablica szkolna. W drugiej, mniejszej izbie znajdowała się łazienka połączona z kuchnią. Ugne domyślił się, że dla ekipy remontowej, która dostosowywała mieszkanie do wymogów sali szkoleniowej, wystrój nie był priorytetem. Prymitywny socrealizm na modłę radziecką wymieszany z pozostałościami niemieckiej szkoły secesyjnej. Romanowska podeszła do okna i z hukiem otworzyła okiennicę. Do środka wdarło się świeże powietrze. Dziewczyna nabrała go w płuca.

– I my tu mamy pracować? – Spoglądała pytająco to na lwowiaka, to na Ugne.

– No a jak? Piękne miejsce, może trochę drypcia[14] tu ogarnie i będzie jak u komiendanta. – Wajda z uśmiechem rozłożył się na kanapie. – Najważniejsze, że telefon macie.

Wskazał na czarny aparat stojący na biurku. Ugne podszedł do tablicy. Podniósł kredę i z piskiem, od którego ciarki przechodziły po całym ciele, zaczął kreślić na zielonej płycie. Gdy skończył, sięgnął do tylnej kieszeni spodni po paczkę giewontów i wpatrując się w swoje dzieło, wyciągnął i zapalił pogniecionego papierosa. Na tablicy białe napisy składały się w dwa proste zdania. „Kogo zabija?”, „Gdzie i komu sprzedaje mięso?”.

– Po pierwsze – zaczął, siadając na stole i zaciągając się papierosem – musimy się dowiedzieć, w której dzielnicy znika najwięcej osób. Po drugie, kim są osoby zaginione. Czy są to kobiety? Dziewczynki? Chłopcy? Polacy, Niemcy, Żydzi lub Kresowiaci? To jest robota batiara.

Jego wzrok zatrzymał się na pytającej twarzy Basi.

– Znaczący Wajdy – wyjaśnił. – Kazik, sprawdzisz wszystkie rejestry zaginionych i niezidentyfikowanych ofiar. Posegregujesz je zgodnie z planem dzielnic Szczecina. Przejrzysz również arkusze informacyjne zawodowych przestępców i rejestry morderców pod kątem sposobu dokonywanych przez nich zbrodni. Jeżeli znajdziesz wśród nich rzeźników, chirurgów lub cyrkowców władających świetnie nożem, dajesz ich na tę ścianę. – Położył dłoń na nieotynkowanej ścianie.

– Ty, Basiu, odwiedzisz wszystkie legalne i nielegalne sklepy z mięsem, z podrobami i mrożonkami. Targowiska i ryneczki. Zajrzysz do rzeźników i najbliższych miasta PGR-ów, poszukasz wszystkiego, co ma cztery nogi i trafia na talerz. Chcę wiedzieć też, które sklepy mięsne są najlepiej

zaopatrzone i dlaczego. Dotrzesz do dostawców. Wypytasz ludzi. Każda dziwna okoliczność, każda niejasność, każdy podejrzany sklep lub bazar ma znaleźć się na tej ścianie.

Ugne ponownie poklepał zimne cegły.

– Jeszcze jedno...

Podniósł palec.

– Chorzy...

Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

– Jaki jest numer do szpitala garnizonowego? – zwrócił się do Wajdy.

– Przy telefonie, w notesiku.

Ugne przerzucił kilka stron w czarnej książeczce.

– A, dobra, mam.

Wykręcił numer.

– Halo, dzień dobry, porucznik Galant z komisariatu na Niebuszewie. Czy mogę rozmawiać z doktorem Ferencem? – Po chwili zastanowienia dodał: – Myślę, że jest w gabinecie ordynatora.

W słuchawce odezwał się znajomy głos lekarza.

– Ferenc.

– Doktorku, sprawdź, gdzie mieszkali chorzy na kuru i ich najbliżsi i pilnie się odezwij. Z pewnością, gdy zakładaliście im karty, musieli podać miejsce pobytu, zameldowania. Jesteśmy w komisariacie Niebuszewo.

– Ale...

– Czekam.

Ugne odłożył słuchawkę. Chwilę wpatrywał się w szeroko otwarte oczy dwojga milicjantów, po czym wyrzucił niedopałek przez okno.

– Na razie błądzimy po omacku, ale od czegoś trzeba zacząć.

– Wiesz – odezwała się cicho Basia – że bez dodatkowych ludzi będziemy nad tym siedzieć miesiącami? W tym czasie on będzie dalej mordował...

– Nie wiemy, czy nadal zabija. – Ugne spojrział w błękitne oczy milicjantki. – Robimy to, na co mamy wpływ.

Odwrócił się.

– Sprawdzę knajpy i restauracje. Widzimy się jutro rano.

Zapiął zamek w lekko przykrótkiej wojskowej emce[15] o kolorze zgniłej zieleni, postawił kołnierz i po chwili był już na schodach. Czarne podeszwy wojskowych opinaczy zatarabaniły o drewniane stopnie.

[13] plac Niezłomnych – obecnie plac Armii Krajowej

[14] drypcia (gw. lwowska) – starsza kobieta

[15] Amerykańska kurtka wojskowa M43. Tego rodzaju kurtki trafiły do Polski wraz z pomocą UNRRA – Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy. Wsparcie miało na celu niesienie pomocy wyniszczonym przez wojnę krajom Azji i Europy.

Karty zgonów

Wojskowy Szpital Garnizonowy, Szczecin, maj 1957 roku

Ferenc zamknął za sobą drzwi gabinetu ordynatora. Idąc oświetlonym korytarzem, zastanawiał się, w jaki sposób się w to wszystko wplątał. Przecież wcale nie musiał tego robić. Za każdym razem to samo, pomyślał. Dlaczego nie może tak jak inni – zrobić swoje, wrócić do domu i żyć normalnie, żyć jak wszyscy dookoła. Zakochać się, odłożyć pieniądze, kupić samochód, najlepiej warszawę, chodzić do kina, pomyśleć o dzieciach. Co jest z nim nie tak?

Spojrzał na klucze, które dostał od ordynatora. Na drewnianym kołku przywiązanym do nich wyryto numer czterdzieści trzy. Przeszedł jeszcze kilka kroków i stanął przed odpowiednimi drzwiami. Wszedł do środka. Nie musiał zapalać światła. Wielkie okna wpuszczały pełno słońca. Było ciepło, przez otwarte okiennice wpadało świeże, rześkie, poranne powietrze. Z zewnątrz dochodził zapach bzu. Usiadł na łóżku. Rozejrzał się dookoła. Przy oknie stała mała szafka, na niej telefon, karafka z wodą i szklanka. Na środku pomieszczenia znajdował się stolik z dwoma krzesłami, w rogu szafa na ubrania. Ordynator oddał mi swój pokój albo pokój socjalny lekarzy, pomyślał. Jak tu spokojnie i cicho! Teraz dopiero poczuł zmęczenie. Położył się i przymknął oczy. Nagle zadzwonił telefon. Zerwał się, pewnie było już południe. Podniósł słuchawkę.

– Panie doktorze – odezwał się kobiecy głos – przywieźli pańskie rzeczy z Arkońskiej i dokumenty z głównego archiwum, o które pan prosił. Czy mogą przynieść?

– Tak, bardzo proszę. Przy okazji... która jest godzina?

– Po dwudziestej.

– Dziękuję.

Spał z dziesięć godzin. Dziwne, że mu się nic nie śniło. Dawno nie miał tak dobrego i twardego snu. Usłyszał pukanie.

– Proszę!

– Dzień dobry, panie doktorze – przywitał go basowym głosem krępy mężczyzna, który przytrzymując stopą drzwi, próbował wejść do środka. W jednej ręce trzymał bagaż podręczny, a w drugiej karton z segregatorami.

– Zaraz, już panu pomagam. – Ferenc zerwał się, by przytrzymać drzwi. – O, proszę tu postawić. – Wskazał na stół.

– To nie wszystko, zaraz przyniosę resztę – zakomunikował mężczyzna, odwracając się w stronę drzwi.

Ferenc przykucnął, rozpiął zamek w torbie i zaczął opróżniać jej zawartość. Bluza, spodnie, ręcznik, szczoteczka do zębów, brzytwa, ramka ze zdjęciem. Zatrzymał się na zdjęciu. Podniósł je pod światło. Na fotografii uśmiechnięta para trzymała się za dłonie. Ich policzki stykały się ze sobą. Byli szczęśliwi. To była ona, dziewczyna z 13 Muz. Ta sama, która publiczne spotkanie z wielkim Kisielem zamieniła w przedstawienie z dwoma aktorami – z nią i Stefanem Kisielewskim. Na zdjęciu nie była już tak zadziorna, wręcz przeciwnie. Rozproszone światło zaokrągliło jej twarz, ukrywając wystające kości policzkowe, a wystylizowane loki spadające na czoło dodały jej kobiecości. Wtulała się w jego twarz – twarz szczęśliwego Szymona Ferencza.

Postawił ramkę ze zdjęciem na stoliku. Podniósł torbę i rzucił ją na łóżko. Usiadł na krześle przy stole i wyciągnął pierwszy z brzegu segregator. Spojrzał na nadruk na grzbiecie: „Karty zgonów, Szczecin, rok 1955”. Chwilę go przeglądał, po czym ponownie zaczął szperać w kartonie. Wyszukał notes i długopis. Zapisał coś, po czym powtórzył czynności. Kolejny segregator i kolejny. Rok 1950, 1952, 1953, 1954, 1955, na koniec 1957. Strony notesu się wypełniały. Doktor wreszcie spojrział na zegarek. Minęło pięć godzin od chwili, gdy otworzył pierwszy segregator.

Sięgnął po telefon.

– Dzień dobry. – Przyspieszony oddech lekarza zaświstał w słuchawce. – Proszę mnie połączyć z porucznikiem Galantem.

– Galant jeszcze nie przyjechał – odezwał się znużony głos w słuchawce. – W czym problem?

– To proszę mnie połączyć z kimś od niego!

– Bez nerwów, towarzyszu. Chwila. Mogę połączyć z sierżant Barbarą Romanowską. Jeszcze jest.

– Dobrze.

Po chwili w słuchawce odezwał się łagodny głos kobiety.

– Sierżant Romanowska. Słucham.

Ferenc był podekscytowany.

– Mam coś. Musimy się spotkać.

Niebuszewo, wrzesień 1947 roku

Było szaro, chłodno i wietrznie. Leżące na schodach liście sygnalizowały, że w tym roku zima może przyjść dużo wcześniej. Krystyna Herman zadarła głowę, szyld restauracji Turczynka wydawał się lekko przechylony w prawo. Skrzywiła się, w jej ustach błysnął złoty ząb. Z troską pokręciła głową i włożyła klucz do zamka, który ze znajomym zgrzytem oznajmił mieszkańcom Rewolucji Październikowej[16] i przyległej Trumana, że rozpoczął się kolejny dzień. Dźwięk odbijał się od gruzowisk i bram budynków porozdzieranych kulami, głosił wszem wobec dobrą nowinę. Obiecywał, że wehikuł czasu, do którego wsiadali każdego dnia po ciężkiej pracy, po raz kolejny przeniesie ich do miejsc, w których będą bohaterami, kochankami i prawdziwymi zabijakami, za jakich chcieli uchodzić. Głośno komunikował: „Jestem gotowy na kolejny, pełny wrażeń dzień. Przybywajcie. Zapomnijcie o waszych żonach i dzieciach, które zostały gdzieś na wschodzie na stepach Kazachstanu czy w gruzach Warszawy. Zapomnijcie o kartkach na mięso, chleb, ziemniaki. Zapomnijcie o głodzie. Zapomnijcie o wojnie. Przybywajcie!”

Turczynka to była mordownia. Zielona drewniana buda aspirująca do roli lokalnej restauracji mieściła się na Rewolucji Październikowej 32. Swoją złą sławę zawdzięczała nie tyle jakości potraw i trunków, ile specyficznemu rodzajowi klienteli, który okupował to miejsce od chwili, gdy pani Krysia ze zgrzytem otwierała drzwi, do samego zamknięcia, czyli do godziny dwudziestej trzeciej. Wtedy ostatni błędny rycerz opuszczał to miejsce. Choć „opuszczał” to zbyt dużo powiedziane, zazwyczaj wyturliwał się z lokalu w asyście pana Mieczysława, konkubenta Krystyny Obrębskiej.

To był piątek, więc pani Krystyna miała świadomość, że to będzie długi, trudny dzień. Gdy weszła do środka, poczuła zapach niedomytej podłogi oraz woń pisuaru z wymiocinami. Westchnęła. Zapaliła światło. Nad szeregiem metalowych stolików z ceratą zaświeciły się żarówki. Kiedy szła w kierunku baru, usłyszała za sobą trzaśnięcie drzwiami.

– Chwila! – krzyknęła, nie odwracając się. – Ludzie, dajcie chociaż palto ściągnąć.

Minęła bar i weszła na zaplecze. Nie zdążyła zapalić światła, gdy poczuła intensywny zapach. To nie był chmiel wymieszany z dymem papierosowym, do którego tak bardzo przywykła. To były kwiaty. Przypomniała sobie, że taki sam zapach czuła jako dziecko – w drodze do szkoły, kiedy przechodziła obok domu państwa Lubeckich. Tak, to były fiołki. Zatrzymała się. Za nią, na sali, zgasło światło. Po omacku wymacała włącznik. Snop światła padł na zlew, w którym piętrzyły się talerze i garnki. Kobieta się odwróciła.

– Co jest, do cholery, z tym światłem? – zamruczała pod nosem.

Spojrzała w ciemność. Pośrodku stał mężczyzna. Sam. Trzymał coś w dłoniach.

– Dzień dobry – odezwał się chropawo.

Kobieta stanęła jak wryta. Po plecach przebiegł jej dreszcz.

– Nazywam się Kornacki. – Mężczyzna postawił trzymaną przez siebie skrzynkę na stoliku obok. – Jestem masarzem, mam ofertę.

Trudno było określić, jak wygląda. Z pewnością był wysoki. Miał na sobie długi, ciemnozielony płaszcz z kapturem, taki sam, jaki noszą rybacy, gdy na swoich kutrach wypływają w morze.

– To co pan straszy? – Krystyna odetchnęła z ulgą. – Co pan tam ma?

Skierowała się ku niemu.

– Proszę nie podchodzić, przeziębilem się i nie chcę pani zarazić. – Mężczyzna się cofnął. – Zostawię próbki moich produktów. Trochę wędzonych wędlin, kilka słoików flaczków, gulaszu i bigos.

Krystyna przekręciła głowę, żeby zobaczyć twarz mężczyzny, ale ten stał w takim miejscu, że słabe światło dzienne, którego wpadało przez okno za jego plecami, podkreślało tylko kontury kaptura. Twarz pozostawała w ciemności.

– A skąd ja mam wiedzieć, czy nie jest pan milicjantem czy innym szpiclem?

– Nie jestem.

– No, tego nie byłabym pewna.

Krok po kroku zbliżała się do stołu, na którym mężczyzna postawił skrzynkę.

– A po ile te delicje?

Podniosła jeden z litrowych słoików i przyglądała mu się.

– Jedna czwarta ceny rynkowej, bez papierów – szepnął mężczyzna. – Mogę tego dostarczyć dużo. Bardzo dużo.

Obrębskiej zaświeciły się oczy. Przeliczyła w głowie. Nierejestrowane mięso, niezła przebitka. Do tego bez kartek. Może na tym zarobić drugą pensję. Drugą pensję? W ciągu tygodnia zarobi tyle, co w miesiąc. Właścicielka nawet nie zauważy. To może być kura znosząca złote jajka. A jednak moje modlitwy zostały wysłuchane, pomyślała, śmiejąc się do siebie w duchu.

– Jestem tu po raz pierwszy i ostatni, więcej się nie spotykamy, może w przyszłości zatrudnię kogoś do pomocy, ale tymczasem działamy tak... – Mężczyzna szedł już do drzwi wyjściowych. – Dzwonisz pod numer sześćdziesiąt siedem sześćdziesiąt trzy, podajesz taksówkarzowi kopertę z zamówieniem i pieniędzmi. Taksówkarz jedzie w umówione miejsce. Spóźni się dziesięć minut, zniknę razem z towarem. Odbiór w każdy trzeci piątek miesiąca o dwudziestej trzeciej piętnaście na skwerze przy Wiszesława 18. Będę czekał na nabrzeżu. Pierwsza wymiana za trzy tygodnie od dzisiaj. *Auf Wiedersehen*.

Ciężkie drzwi z trzaskiem oznajmiły zakończenie negocjacji. Herman podeszła do nich niepewnie. Uchyliła je. Na zewnątrz nie było nikogo. W powietrzu wciąż unosił się zapach fiołków, choć swąd sfermentowanego chmielu łączący się z odorem moczu i tanimi papierosami już przywoływał ją na posterunek – do jej barmańskiej reduty, której będzie broniła przed hordami barbarzyńców do chwili, aż zasłona nocy opadnie nad Niebuszewem.

[16] ulica Rewolucji Październikowej – obecnie ulica Niemierzyńska

IV Komisariat Komendy Miejskiej MO, Szczecin, maj 1957 roku

Ferenc wziął kredę. Odwrócił się. Spojrzał na siedzących przed nim na kanapie milicjantów. Basia i lwowiak wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczami. Czekali. Po chwili przez mały pokój w suterenie przedarł się zgrzyt – to kreda zostawiała białą smugę na zielonej tablicy. Lekarz pisał: „1950 – 8, 1951 – 9, 1952 – 11, 1953 – 9, 1954 – 2, 1955 – 2. Gdy skończył, odłożył kredę, otrzepał dłonie z białego pyłu i zwrócił się do milczących milicjantów:

– To nie są dane z kart zgonów... – zawiesił głos – tylko informacje o enenach.

– Enenach? – zapytała Basia.

– Nie wie tego panienska – odezwał się lwowiak. – N.N. to nieznanne zwłoki lub szczątki ludzkie odnalezione w stanie uniemożliwiającym ich identyfikację, w tym rozkawałkowane części ciała ludzkiego – wydeklamował ku zdziwieniu dziewczyny czystą polszczyzną. – Ale co mają do rzeczy?

Szymon Ferenc wskazał palcem dwa pytania zapisane na tablicy.

– Kto to napisał?

– Galant – odparła Basia.

– Myślę, że jeżeli znajdziemy odpowiedź na pytanie, gdzie i w jakich okolicznościach zginęły te eneny, to będziemy bardzo blisko, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie „Kogo zabija?”.

Barbara wstała i podeszła do tablicy. Przesuwała po niej palcem.

– Rozumiem, że to są liczby enenów odnalezionych w Szczecinie w danych latach.

– Zgadza się – odpowiedział Ferenc.

Drzwi do sutereny gwałtownie się otworzyły. Stał w nich wysoki mężczyzna ubrany w wojskowe buty, szare spodnie opięte skórzanym pasem oraz amerykańską kurtkę wojskową, spod której wystawał biały podkoszulek. Ugne Galant. Basia zmierzyła go od dołu do góry i pomyślała, że gdyby zamienić te łachy z demobilu, pamiętające czasy UNRRA, na mundur oficera Milicji Obywatelskiej, to Galant prezentowałby się całkiem dobrze.

– Cześć, doktorze – rzucił w stronę Szymona Ferenc Galant.

– Dobrze, że jesteś, Ugne. – Basia nie mogła oderwać oczu od starych wojskowych butów. – Musimy jechać do Archiwum Komendy Głównej.

– Bo?

– Bo trzeba przeszukać dokumenty związane z enenami. – Spojrzała w kierunku lwowiaka i lekarza. – Zróbmy tak: my z Ugne pojedziemy na Małopolską, a pan doktor...

– Pan doktor – przerwał jej Szymon Ferenc – jeszcze nie skończył. Siadajcie proszę.

Gestem wskazał kanapę. Basia powoli cofnęła się i usiadła. Ugne odwrócił krzesło, które stało przy biurku, i usiadł, wysuwając swoje długie nogi na środek pomieszczenia.

– Przeanalizowałem wszystkie karty zgonów od roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego do dziś. Okazało się, że na chorobę kuru zmarło osiem osób. Wszyscy w ostatnich dwóch latach. To by się właściwie zgadzało, jeżeli chodzi o czas hibernacji choroby. Trzeba pamiętać, że jeszcze kilka lat temu nikt nie potrafił jej zdiagnozować. Stwierdziłem, że te osoby zapadły na klątwę kanibali po analizie objawów, z jakimi zgłosiły się do szpitala przed śmiercią. Dzisiaj możemy być tego pewni.

– Skąd są ci ludzie?

Ugne zapalił papierosa.

– Dwóch mężczyzn zameldowanych było na Wilsona, dwóch na Rewolucji Październikowej. Ostatnia trójka to rodzina mieszkająca na Chopina. Małżeństwo z dwunastoletnim synem.

– Wszyscy z Niebuszewa – zauważył Ugne i zaciągnął się głęboko.

Podszedł do tablicy i pod wcześniejszym hasłem „Gdzie i komu sprzedaje mięso?” narysował strzałkę i zapisał „Niebuszewo”.

– Mały kamyczek – zamruczał pod nosem Ugne. – Wajda, sprawdziłeś kartoteki morderców?

– Tak, szefuńciu. Od wojny nie mieliśmy przypadku obdzierania ze skóry czy filetowania ofiar. Nie było też chirurgów amatorów ani połykaczy noży.
– Lwowiak zaśmiał się do siebie. – Był taki jeden nożownik gwałciciel, Oborski się nazywał, ale trafił do celi z ojcem piątki dziewczynek. Okazało się, że ten ojciec na wolności był zapaśnikiem i trafił za kraty za nieumyślne zabójstwo swojej żony. No więc ten zapaśnik, jak się dowiedział, za co Oborski trafił do paki, to przywitał się z nim tak entuzjastycznie, że chłopaka złamał jak zapałkę...

Ugne zgasił papierosa.

– Wajda, na chuj ty mi to opowiadasz?

– No jak to? Chciałeś wiedzieć, czy u nas były jakieś mordercy nożownicy...

– Basia, byłaś na ryneczkach popytać?

– Na placu Kilińskiego. Na rynku mięsa właściwie nie ma. Nikt nic nie mówi. W mięsnych wszyscy mają kwity. Knajp nie zdążyłam obejść.

– W porządku – powiedział Ugne, zapinając kurtkę. – Wiemy już, że kolejne ofiary kuru z dużym prawdopodobieństwem pojawią się na Niebuszewie. Zatem, doktorze, niech pan przygotowuje personel Arkońskiej na śmiejących się pacjentów. – Na koniec zwrócił się jeszcze do lwowiaka: – Jeżeli potwierdzi się, że mięso było sprzedawane przez któregoś z rzeźników na Niebuszewie, to może oznaczać, że eneny z tej dzielnicy musiały trafić do ciebie, zanim uznano, że sprawa idzie do kosza. Przewertuj te swoje notatniki, może coś tam ciekawego znajdziesz. Sprawdź też rejestry zgłoszeń osób zaginionych. Może wpadnie ci coś do głowy. My – zwrócił się do dziewczyny – zabieramy się na Małopolską.

10
Mewki

Ulica Niepodległości, Szczecin, 23 marca 1950 roku

Perłowoczarna warszawa wjechała na chodnik i zatrzymała się przed uliczną latarnią. Blask czerwonego neonu klubu Bajka odbijał się w świeżym, puszystym śniegu. Przed drzwiami wejściowymi do lokalu stały dwie kobiety. Mewki[17]. Paliły papierosy. Ich twarze jaśniały po każdym zaciągnięciu się, a żar z papierosów podkreślał wyzywający makijaż. Były to platynowe blondynki z mocno zarysowanymi brwiami i krwistoczerwonymi ustami, zapewne dwudziestoparolatki, ale gruba warstwa pudru i makijaż dodawały im lat. Mniejsza była bardziej korpulentna. Miała na sobie krótki różowy kożuszek i błękitną rozkloszowaną spódnicę podkreślającą szerokie biodra. Przez rozchylone poły kożuszka wylewał się ogromny biust. Druga, wyższa i chuda, pryszczata, z lekko przekrzywionym, ostrym nosem, w kremowym płaszczu i szalu zawiniętym wokół szyi, zaśmiała się głośno, ukazując brak dwóch przednich zębów. Podeszła do samochodu. Od strony pasażera powoli otworzyło się okno.

– Cześć, złotko. – Do ciepłego wnętrza samochodu wdarł się zapach tanich perfum i wódki. – Chcesz się zabawić?

– Ile? – zatrzeszczał szorstki głos zza kierownicy.

– To zależy, co lubisz. – Uśmiechnęła się, ponownie chwając się brakiem w uzębieniu.

– Ile za obie?

– No, taki bohater jesteś? – Odwróciła się i kiwnęła na koleżankę. – Masz szczęście, że trafiłeś na nas, a nie na jakieś tanie gruzinki[18].

– Trzysta za obie – wyszeptał mężczyzna.

– Trzysta? – odezwała się druga, ta o kształcie gruszki. – Wygrałeś licytację, przystojniaku, ale musisz poczekać, nasz wujek wyskoczył do kibla. Musimy się odmeldować.

– Nie mam czasu. Wsiadacie albo odjeżdżam.

Kobiety spojrzały na siebie.

– A co tam! Dobra, przystojniaku.

Grubsza otworzyła przednie drzwi.

– Gdzie?! – krzyknął mężczyzna. – Do tyłu!

Kobiety usiadły na tylnej, szerokiej, skórzanej kanapie. W środku było ciepło i pachniało fiołkami.

– Za godzinę musisz nas odwieźć na miejsce.

Szczerbata położyła dłoń na przedniej kanapie, próbując spojrzeć w twarz mężczyzny, jednak gwałtowne przyśpieszenie auta cofnęło ją na kanapę.

– Dokąd my właściwie jedziemy? – zapytała grubsza.

– Za chwilę będziemy na miejscu – wyszeptał kierowca.

Było ciemno. Nieliczne lampy oświetlały od czasu do czasu wnętrze samochodu, ale wysoko podniesiony kołnierz bosmanki skutecznie ukrywał jego oblicze w cieniu. Jechali wzdłuż nabrzeża portowego.

– Jak masz na imię? – próbowała przełamać ciszę, która zapanowała w aucie, chuda dziewczyna. Mężczyzna nie odpowiedział. – Ja jestem Kolba, a moja koleżanka to Berta – mówiła coraz szybciej. – Jesteśmy kelnerkami w Bajce.

Dziewczyny spojrzały na siebie i mało nie wybuchnęły śmiechem. Przejechali Ludową i Dębogórską, zmierzali w stronę Gołęcina. Wokół panowała pustka. Góry śniegu oznaczały miejsca, w których zwieziono gruz po zbombardowanych budynkach.

– Mam nadzieję, że masz coś tam do picia u siebie, bo zaczynam wysychać – odezwała się Berta.

Mężczyzna wychylił się i sięgnął do schowka. Chwilę w nim poszperał, po czym wyciągnął metalową piersiówkę. Podał kobiecie.

– No i to mi się podoba. Fest gość z ciebie.

Berta odkręciła pojemnik i pociągnęła porządny łyk, po czym podała go koleżance.

– Fajna bryka, dobry trunek, mam nadzieję, że i facet da radę – zarechotała Kolba.

Po lewej minęli zajezdnię tramwajową i już wspinali się Świętojańską pod górę.

– Gdzie my w ogóle jesteście?

Berta przysunęła się do Kolby i razem próbowały przebić się wzrokiem przez ciemność. Warszawa skręciła w Białogórską i po kilkuset metrach zjechała na pobocze. Mężczyzna wyłączył silnik. Wszedł i otworzył tylne drzwi. Gdy pasażerki wysiadły, wskazał ręką, aby szły za nim. Był wysoki. Czarna czapka i wysoko podniesiony kołnierz skutecznie maskowały jego twarz. Dziewczyny, zziębnięte i lekko przerażone, chwyciły się pod ramię. Wpatrując się w ziemię, szły po śladach, które zostawiały jego ciężkie buty. Po kilkudziesięciu metrach dotarli do przerzuconego nad torami kolejowymi niebieskiego mostka. Kobiety dreptały ostrożnie, trzymając się poręczy. Światła semaforów majaczyły w dole. Przystanąły. Ich oczom ukazał bajkowy krajobraz. Dolina Odry w białym puchu. W oddali uliczne latarnie padały na obsypaną śniegiem ulicę Światowida. Spojrzały na siebie.

– Jezu, jak tu pięknie – wykrztusiła Berta. – Nigdy tu nie byłam.

– Nie zatrzymujcie się – wycedził mężczyzna.

Ruszyli dalej. Tuż za mostkiem, pomiędzy drzewami, zaczynała się ścieżka prowadząca na szczyt. Pod nogami chrzęścił śnieg. To była bezchmurna noc, księżyc oświetlał drózkę wśród drzew. Dotarli do zbitego z desek płotu. Mężczyzna wyciągnął klucz i sprawnie przekręcił zamek w mosiężnej kłódce. Łańcuch zsunął się na śnieg. Otworzył skrzydło bramy. Zapraszającym ruchem wskazał budynek. To była dawna restauracja. Gdy dziewczyny zbliżyły się do niej, usłyszały za sobą zgrzyt kłódki.

– Dlaczego nie mówicie do siebie w swoim rodzimym języku? – zapytał mężczyzna.

– Że co? – Berta stanęła jak zamurowana.

– No przecież jesteście Niemkami. Dlaczego zatem nie mówicie w swoim języku?

Dziewczyny spojrzały na siebie i poczuły, jak lodowata mgła przenika ich ciała.

– Ale jak...? Skąd wiesz? – Berta poczuła, że musi coś powiedzieć, choć słowa nie chciały jej przejść przez gardło. – Rychter, ten pierdolony damski bokser! Ciekawe, kiedy ci powiedział.

Poczuła, że siły witalne jej wracają. O tym, że ich rodzice pozostawili je w Szczecinie i uciekli ostatnim promem do Niemiec, wiedział tylko kierownik baru. Ten zbereźny Żydek spotkał ją, gdy stała w kolejce do PUR-u na Jagiellońskiej[19]. No i wyszło. Widziała ten jego szydarczy wzrok, gdy odbierała polskie papiery. Od tej pory nie dawał jej spokoju. Ciekawe, w jakiej dziurze przesiedział całą wojnę? Gdy o tym pomyślała, od razu poczuła się lepiej.

– Nie Niemkami, tylko Polkami. – Berta mocno pociągnęła nosem i charknęła na biały puch. – Nasi rodzice byli Niemcami, masz z tym problem? – rzuciła opryskliwie.

Mężczyzna coś odpowiedział, jednak tak cicho, że trudno było zrozumieć, co miał na myśli. Dopiero po chwili dotarł do nich jego donośny głos.

– Poczekajcie.

Powstrzymał je stanowczym ruchem dłoni i zniknął w budynku. Po chwili usłyszały terkot i wewnątrz rozbłysło światło. Dziewczyny poczuły się pewniej. Berta oparła się na koleżance.

– Zmęczył mnie ten marsz, kręci mi się w głowie.

Kolba ją przytrzymała.

– No też nie czuję się najlepiej, zdrętwiały mi ręce...

Drzwi otworzyły się z charakterystycznym skrzypnięciem. Śnieżny puch stał się jeszcze bielszy. Światło padające z wewnątrz zarysowało kontury mężczyzny. Nie miał już na sobie bosmanki ani czapki. Był inny. Wszystko było inne, jakby nagle zmieniła się dekoracja w teatrze i na scenę wyszedł nowy aktor. Mężczyzna nałożył skórzany fartuch rzeźnicki w kolorze rdzy z napisem „Bohrisch”, w ręku trzymał jakiś przedmiot. W tle słychać było piosenkę w języku niemieckim. Gdy podniósł rękę, światło z wnętrza musnęło przedmiot i jak poranne promienie słońca odbijają się od fal Odry, tak ciepły blask lampy kuchennej podkreślił błyszczącą stal tasaka rzeźnickiego.

– Zapraszam panie na pokoje. – Skinął na ślaniające się dziewczyny.

[17] mewka – eufemistyczne określenie prostytutki w mieście portowym

[18] potocznie: w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej prostytutka oferująca swoje usługi w bramach, piwnicach i ruinach budynków

[19] PUR – Państwowy Urząd Repatriacyjny w Szczecinie. Został powołany już w 1944 roku. Początkowo zajmował się organizowaniem przesiedleń ludności z i do ZSRR, a następnie realizował zadania związane z przesiedleniem ludności polskiej na ziemie zachodnie i północne oraz wysiedleniem Niemców.

11
Wódka

Ulica Roosevelta, Szczecin, maj 1957 roku

Język jak kawał drewna utknął mu w ustach. Ugne czuł suchość w gardle. Jego trzewia wołały o kroplę alkoholu. Nie kroplę, sto kropel. Na początek wystarczyłoby choć sto mililitrów. Nienawidził tego, jednak wiedział, że nie pociągnie dłużej, jeżeli nie wypije. Pał diabli ból głowy, do tego już przywykł, jednak ta myśl, że za chwilę, jak tylko piekący przełyk napój znajdzie się w okolicach żołądka, wszystko przejdzie, znikną dreszcze, a palce dłoni przestaną drżeć... Wiedział, że ta bestia, która siedzi w środku, zaczyna wyć. Będzie tak wyć i skomleć, dopóki jej nie nasyci. Jechali wzdłuż Roosevelta. W pewnym momencie samochód zwolnił i gwałtownie skręcił w prawo, a następnie zahamował z piskiem opon, wzbijając tumany szarego pyłu. Plac Kilińskiego był jeszcze pusty, choć już pierwsze przekupki układały drewniane pojemniki z soczystymi truskawkami i jędrnymi kiściami pomidorów na skleconych z desek stołach. Ugne zaparkował niemalże pod samymi drzwiami zielonego baraku, na którym wisiał szyld „Wstąp na chwilę”.

– Co ty robisz? – Basia nie ukrywała zaskoczenia.

– Poczekaj tu.

Galant podniósł się, przytrzymał ramy i siedzenia i przerzucił nogi nad drzwiami. Już był przed knajpą. Drzwi były otwarte na oścież. Przy barze siedziało dwóch facetów. Ugne podbiegł i kiwnął na barmana.

– Dwie sety i ogórki. – Wyciągnął pognieciony banknot, z którego spoglądała skrzywiona twarz wieśniaczki, i rzucił na blat. – Daj też dwa piwa na wynos.

Barman zgarnął banknot i postawił przez Galantem dwa kieliszki. Jedną ręką wyciągnął spod lady butelkę z mętym płynem i uzupełnił kieliszki po

sam brzeg. Drugą rękę zanurzył w wielkim glinianym garnku, z którego wyciągnął dwa spore ogórki kiszane. Położył je na małym talerzyku przed milicjantem. Ugne spojrzał na poczerwieniałą z upału twarz barmana.

– Za pokój i sprawiedliwość na świecie.

Sprawnym ruchem uniósł kieliszek i wypił jego zawartość. Zagryzł ogórkiem. Po chwili powtórzył ceremoniał. W tym czasie barman postawił przed nim dwie butelki piwa bałtyckiego. Nie minęło pięć minut od momentu przekroczenia progu knajpy, gdy Ugne z ogórkiem w jednej i piwami w drugiej ręce wynurzył się z budy. Ciepłe napoje włożył do chlebaka, który położył na tylnym siedzeniu. Usiadł za kierownicą.

– Mam nadzieję, że się nie nudziłaś?

Spojrzał na siedzącą z założonymi na piersi rękoma milicjantkę.

– Towarzyszu poruczniku... – Romanowska próbowała zachować poważną minę. – Czy właśnie spożyłeś alkohol i zamierzasz prowadzić samochód?

Ugne wcisnął pedał gazu do oporu. Stoewer gwałtownie przyśpieszył. Po lewej minęli Zakłady Przemysłu Odzieżowego. Panował skwar. W powietrzu unosiły się betonowy pył i kurz. Po czole milicjanta spływał pot.

– Tramwajem za długo. – Skrzywił się.

– To nieodpowiedzialne. Poza tym jak ty możesz pić w południe?

– Zacznij się przyzwyczajać.

Stoewer skręcił w lewo i pruć wzdłuż Malczewskiego, mijając po obu stronach gruzowiska.

– Ugne, co ty robisz? Czy ty w ogóle masz jakąś rodzinę? Kogoś, kto czeka na ciebie w domu?

– Dlaczego pytasz? – Galant spojrzał na milicjantkę.

– Tak po prostu. Chcę wiedzieć, z kim pracuję.

– Pracujesz ze mną, a nie z moją rodziną.

Już na nią nie patrzył. Wjechali w Parkową. Po lewej stronie rozciągał się mały las. Szereg dębów i topoli wyznaczał granicę pomiędzy strefą pulsującej zieleni, śpiewu ptaków, zapachu miłorzębu a pustynią gruzów, rozbitego betonu i strzępów budynków. Galant zapalił papierosa.

– Posłuchaj, towarzyszeko. – Zaciągnął się głęboko, aż poczuł pieczenie w gardle. – Moje życie to policja. Jeżeli wybierasz takie życie, to

rezygnujesz z innego. Z tego, w którym jest dom, ciepły rosół i babki w piaskownicy z synem.

– Przecież musisz mieć rodziców, mamę, tatę, ciotki, wujków...

– Tak. Wszyscy są na Rossie.

– A, czyli są? Pisziesz do nich?

– No... Zdziwiłbym się, gdyby odpisali. – Ugne skrzywił się i spojrzał na Romanowską. – Leżą na cmentarzu na Rossie w Wilnie.

Samochód zatrzymał się na poboczu tuż obok ściany frontowej domu koncertowego. Ugne chwycił za pasek chlebaka leżącego na tylnym siedzeniu. Przewiesił go przez ramię i wyskoczył z samochodu.

– No, towarzyszeko, koniec przesłuchania. Czas odkurzyć kilka rękopisów.

Uśmiechnął się do milicjantki, która nie przestawała wpatrywać się w jego bagaż. Po chwili zawieszenia wstała, zatrzasnęła drzwi łazika i dołączyła do oddalającego się szybkim krokiem Ugne.

– Poczekaj! – krzyknęła. – Chcę, żebyś wiedział, że ja tak z troski o ciebie.

Spojrzał na próbującą stawiać duże kroki kobietę w mundurze sierżanta milicji. Pomyślał, że wygląda to dosyć zabawnie – jakby szedł z młodszą siostrą do szkoły. Brakowało jej jeszcze tornistra. Uśmiechnął się do siebie.

Drzwi komendy otworzyły się przed nimi, ze środka wyszli milicjanci, którzy ciągnęli za sobą pijaną kobietę. Prowadzona pod rękę spojrzała na nich i wybuchnęła śmiechem. Na jej pokrytej ciężkim makijażem twarzy pojawił się autentyczny wyraz rozbawienia. Uśmiech na rozmazanych czerwona szminką ustach ukazał braki w uzębieniu i powkręcane metodą chałupniczą srebrne imitacje górnych siekaczy. Błędny wzrok przeniosła na sierżant Romanowską.

– Przynajmniej, kochaniutka, jak robisz mu loda, to nie musisz kucać – wymamrotała w kierunku milicjantki.

– Stul pysk, kurwo!

Konwojent złapał kobietę za szyję. Drugi z milicjantów na chwilę przystanął i zaszalutował Romanowskiej, po czym odezwał się do kolegi:

– Mietek, daj spokój, jeszcze coś złapiesz.

Ugne przepuścił milicjantów i wszedł do środka. W recepcji pokazał legitymację siedzącemu za szybą starszemu sierżantowi.

– Gdzie znajdziemy archiwalne rejestry enenów?

– Trzecie piętro, Wydział Informacji Niejawnych i Archiwum. Wypełniacie metryczkę i czekacie.

12

Prokurator

Centrum, Szczecin, maj 1957 roku

Drzwi do sekretariatu komendanta wojewódzkiego milicji były szeroko otwarte. W starym budynku panowały upał i zaduch. Jadwiga Pawlak, wieloletnia szefowa sekretariatu, uważała, że przeciąg będzie zbawienny dla gabinetów, które znajdowały się od strony słonecznej. Chłód ciemnych korytarzy wpływał na cyrkulację powietrza i obniżenie temperatury panującej w pomieszczeniach. Ciężkie, ciemne zasłony chroniły co prawda wnętrza gabinetów od słońca, jednak czyniły je jeszcze bardziej ponurymi. Kobieta zdecydowała, że woli mieć przeciąg i otwarte drzwi aniżeli grobowy klimat. Miejsce, w którym pracowała, nie kojarzyło się zbyt optymistycznie większości szczecinian, więc każdy promień słońca i zapach świeżej bryzy, która nadciągała od strony Odry, mogły zrekompensować to niemiłe uczucie.

Jadwiga odłożyła pieczętąkę adresową do pierwszej szuflady szerokiego mahoniowego biurka, a gdy podniosła głowę, ku swemu zdumieniu zobaczyła wysokiego, szczupłego bruneta. Przez pięćdziesiąt sześć lat swojego życia wiele rzeczy już przeżyła i rzadko była zaskakiwana. To był ten wyjątkowy moment. W gmachu panowała cisza, a do gabinetu komendanta trzeba było się dostać po marmurowych schodach. Właściwie niemożliwe było niesygnalizowane wejście do biura. Echo kroków musiało do niej dotrzeć. Szefowa sekretariatu pomyślała, że być może nadszedł już czas, aby odwiedzić Krystiana, laryngologa z sąsiedztwa. A tak długo się przed tym broniła.

– W czym mogę towarzyszowi pomóc? – Zadarła głowę, by dobrze widzieć twarz mężczyzny.

– Do komendanta Sucharka – odezwał się suchym szeptem mężczyzna.

– Kogo mam zapowiedzieć?

– Starszego referendarza śledczego prokuratury wojewódzkiej Franciszka Muszyńskiego. Chciałbym porozmawiać o jednym z milicjantów komendy wojewódzkiej podejrzanym o morderstwo.

Jadwiga Pawlak podniosła słuchawkę.

– Panie komendancie, jest u mnie towarzysz prokurator z województwa, chce się z panem spotkać w sprawie jednego z naszych milicjantów.

Sekretarka przez chwilę wsłuchiwała się w głos w słuchawce, po czym skinęła ręką w stronę drzwi gabinetu komendanta.

W ogromnym pomieszczeniu panował półmrok. Ciężkie, zgniłozielone zasłony zapewniały chłód i nie pozwalały, żeby do środka dostał się chociażby promyk słońca. Na podłodze leżała drewniana klepka, a na niej dywan, który nie dość, że nie pasował do surowego wnętrza, to jeszcze był zbyt szeroki i część materiału zachodziła na boczne ściany. Dywan miał jednak jedną zaletę: wyciszał. Nie słyhać było kroków wchodzących ani wychodzących. Nie słyhać było dudnienia zniecierpliwionych uderzeń butów podczas odpraw kadry kierowniczej ani odgłosów stukania obcasów, które mogłyby świadczyć o dygotaniu nóg podczas przesłuchania.

Nad całym gabinetem górował portret w ozdobnych ramach, z którego w dal spoglądał szczupły mężczyzna w czarnym garniturze, białej koszuli i krawacie w kolorze garnituru. Był łysy. Wysokie czoło i worki pod oczami dodawały mu powagi. Nietrudno było w nim rozpoznać premiera PRL Józefa Cyrankiewicza.

– Dzień dobry, towarzyszu majorze.

Muszyński pewnym krokiem zbliżał się do biurka, za którym siedział ogromny mężczyzna.

– Witam towarzysza prokuratora. – Komendant uniósł się na chwilę, odpowiadając wyciągnięciem ręki, po czym opadł na fotel. – A cóż to się stało, że prokurator wojewódzki mnie nie poinformował o wizycie towarzysza?

– Sprawa jest formalna, towarzyszu majorze. Tu jest oficjalna decyzja prokuratury wojewódzkiej o wszczęciu dochodzenia w sprawie porucznika Galanta Ugne.

Mężczyzna nachylił się nad siedzącym za biurkiem i położył przed nim kartkę papieru. Sucharek podniósł pismo i przebiegł po nim wzrokiem.

– Przecież wiecie, towarzyszu, że porucznik Galant działał w obronie interesu społecznego, był na służbie i swoim działaniem powstrzymał przestępców przed dokonaniem rozboju, a być może nawet dokonaniu gwałtu na bezbronnej towarzyszce. Śmierć jednego z napastników nastąpiła w wyniku działania w samoobronie. Zresztą cała ta banda ma u nas grube akta.

– Być może – zachrypiał cicho Muszyński, który górował posturą nad milicjantem. – Ale to sprawdzimy. Dlaczego Galant tak szybko opuścił areszt i wrócił do pracy? – zapytał prokurator i podszedł do szafki, na której stało popiersie Lenina z brązu. Podniósł je i zaczął oglądać z każdej strony. – I czym się teraz zajmuje?

Sucharek przyglądał się mężczyźnie. Dlaczego, u diabła, on się czuje tak pewnie? I dlaczego, do kurwy nędzy, nikt go nie poinformował o tym, że prokuratura wojewódzka wszczyna śledztwo w sprawie jednego z jego ludzi? I kim, do cholery, jest ten człowiek, który wparował do jego gabinetu jak do siebie i wije mu się po pokoju jak jakaś franca? Co, do cholery, robi tu referendarz śledczy? Przecież oni zajmują się tylko ciężkimi przestępstwami albo sprawami politycznymi. Czyżby wiedzieli, czym się zajmuje grupa Galanta? Nie, to niemożliwe.

– Czym się zajmuje porucznik Galant, to sprawa milicji obywatelskiej – odparł Sucharek, otworzył szufladę i wyciągnął z niej paczkę giewontów. – Mam nadzieję, że prokuratura wojewódzka nie będzie nam utrudniała pracy.

Komendant wyciągnął papierosa z paczki i zapalił.

– Towarzyszu majorze, pozwolę sobie zauważyć – zaczął Muszyński, po czym podszedł do okna i rozchylił ciężkie firany – że niezależnie od miejsca, w którym jesteśmy, obaj służyliśmy ludowej ojczyźnie.

Snop światła zalał wysoką postać. Pociągła twarz Muszyńskiego wydawała się wykuta z kamienia. Krótko ostrzyżone włosy i binokle opadające na wąski nos były jedynymi znakami szczególnymi Muszyńskiego. Jednak była jedna rzecz w jego ubiorze, która wyróżniała go w sposób szczególny. Miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę oraz muszkę – właśnie, muszkę. Drobnny element ubioru, który był jak z innej opowieści. Z innych czasów. Z innego systemu.

– Nie muszę chyba towarzyszowi przypominać słów premiera Cyrankiewicza, że każdy, kto odważy się podnieść rękę przeciw władzy

ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie. – Mężczyzna w muszce podszedł do biurka komendanta, podniósł paczkę giewontów, z której wyciągnął papierosa, i dodał: – A my jesteśmy orężem tej władzy.

Wyciągnął z kieszeni paczkę zapalek i przypalił papierosa. Zaciągnął się głęboko.

– My, towarzyszu majorze, jesteśmy tymi, którzy odrąbują te ręce.

Wydmuchał dym w kierunku popiersia Lenina. Sucharek spojrział na szafkę stojącą przy jego biurku, kłęby dymu z giewonta spowodowały, że przywódca rewolucji październikowej skojarzył mu się z dżinem z lampy.

– Zaraz! – Sucharek wstał z fotela. – Żeby dobrze zrozumiał. Przychodzisz tu do mnie bez zapowiedzi, palisz mojego papierosa bez pozwolenia, grozisz mi i moim ludziom i do tego paradujesz w tej pedalskiej muszce w moim gabinecie?

Sucharek zbliżył się do Muszyńskiego na odległość może pół metra. Nie spuszczała z siebie wzroku. Teraz przypominali dwóch bokserów czekających na pierwszy gong.

– Masz dziesięć sekund, aby opuścić to miejsce, albo zamknę cię pod byle pretekstem na czterdzieści osiem godzin.

Sucharek dyszał jak stary parowóz. Prokurator zgasił papierosa w popielniczce i wolnym krokiem zaczął zmierzać do drzwi.

– Pozwolę sobie przypomnieć – powiedział cicho, nie odwróciwszy się. – „Kto utrudnia lub udaremnia postępowanie karne, pomagając sprawcy przestępstwa uniknąć odpowiedzialności karnej, w szczególności kto sprawcę ukrywa, zaciera ślady przestępstwa albo odbywa za skazanego karę, podlega...”

Major nie usłyszał już końcówki zdania, gdyż drzwi zatrzasnęły się z hukiem za prokuratorem. Nie musiał, znał kodeks Makarewicza[20] na wyrywki. Artykuł sto czterdziesty ósmy, paragraf pierwszy, dokończył w myślach: „karze pozbawienia wolności do lat pięciu lub aresztu”. Spojrzął na dłonie. Drżały.

* * *

– Słyszałem, że macie zagranicznych turystów?

Mężczyzna o twarzy przypominającej kartofel, z wielkimi ustami i rozplaszczonym nosem, oparł się łokciami o ladę recepcyjną i wpatrując się w podświetlany emblemat z napisem „Hotel Gryf”, donośnie chrząknął. Recepcjonistka, która właśnie obsługiwała jakąś parę, spojrzała na mężczyznę i przeszedł ją dreszcz.

– Przepraszam państwa. Proszę – powiedziała i wręczyła im drżącymi rękoma klucze, na których wisiała duża dziewiątka. Kiedy para się odwróciła i ruszyła w stronę schodów, podeszła do mężczyzny, który żując drewnianą wykałaczkę, nie spuszczał wzroku z tyłka odchodzącej klientki.

– Dzień dobry, panie kapitanie. Tak, cztery rodziny z Czechosłowacji, kilku marynarzy z tego statku, który wczoraj wpłynął z Jugosławii, no i delegacja z NRD, którą obsługuje Polski Związek Łowiecki. Chce pan zobaczyć rejestr?

Mężczyzna zlustrował ją od góry do dołu, zatrzymując na moment wzrok w miejscu, gdzie koszula opinała wypukłe piersi. Dziewczyna miała może ze dwadzieścia lat, szczupłą sylwetkę i ciemne włosy ściągnięte w kok. Biel koszuli podkreślała czerwona wstążka zawiązana pod szyją, do tego włożyła granatową marynarkę. Na jasnej twarzy pojawiły rumieńce. Była nowa. Widział ją po raz drugi. Ładna, dlaczego nie zwrócił na nią uwagi wcześniej?

– Nie tam... Kasia? Tak?

– Tak, panie kapitanie.

– Dobrze, Kasiu. A może „Katarzyno”? Jak się do ciebie zwracają koledzy?

– Kasia.

Czuła, jak krople zimnego potu zaczynają spływać jej z szyi na ramiona i plecy.

– Kasia, ładne imię. Nie mieliśmy czasu ze sobą dłużej porozmawiać. Skąd jesteś, Kasiu, i co tu robisz?

Jego krzywy uśmiech odsłonił ciemnożółte zabarwienie na nierównym zgryzie.

– Uczę się w ostatniej klasie Technikum Handlowego[21].

– Tego na Felczaka?

– Tak, tego, ale już nie na Felczaka, na początku roku zostało przeniesione na Sowińskiego...

– O, nie wiedziałem...

Mężczyzna wyciągnął wykałaczkę z ust i przyłożył ją do dłoni. Przez chwilę oceniał stan swoich paznokci, po czym zaczął zza nich wydrapywać brud.

– Tak. Już dzwonię.

Dziewczyna, odwracając się, czuła jego wzrok na swoim ciele. Gdy podeszła do półki, na której stał aparat telefoniczny, zimny pot spłynął jej po udach. Perspektywa dłuższej rozmowy z tym człowiekiem przyprawiała ją o dreszcze. Słyszała od koleżanek pracujących z gośćmi, że jest jak bestia. Bały się go. Unikały dni, kiedy pojawiał się w hotelu.

– Kierownik może chwilę poczekać, Kasiu... – Mężczyzna z pasją wydrapywał brud zza kolejnego paznokcia. – Nie mówiłaś, skąd przyjechałaś...

Kasia wybrała numer wewnętrzny i wsłuchiwała się. Zajęte.

– Moi rodzice przyjechali ze środkowej Polski.

Jej drżący głos jeszcze bardziej ją przeraził. Dlaczego teraz zachciało mu się gadać przez telefon? Czy ta łyśa parówka nie może choć przez chwilę nie siedzieć na tym telefonie?!

– Pionierzy?

Kapitan podniósł wzrok znad paznokci.

– Tak.

Kasia po raz kolejny wybrała numer.

– Ładnie... Należą do partii?

Dziewczyna podświadomie czuła, że nieuniknione jest coraz bliżej. Każde kolejne pytanie dociskało ją do ściany.

– Nie, rodzice nie interesują się polityką.

Mężczyzna przestał wydłubywać brud zza paznokci. Nie podnosił wzroku, ale odniosła wrażenie, że się uśmiechnął.

– Oj, to niedobrze. Córka uczy się w szkole, której patronuje sam minister handlu, pracuje w miejscu o szczególnym znaczeniu dla bezpieczeństwa PRL, a rodzice nie czują związku ze swoją ojczyzną? – Mężczyzna podniósł wzrok, już się nie uśmiechał. – Jak się nazywają?

– Nie, panie kapitanie. – W słuchawce dźwięk się nie zmieniał. – Nie, źle się zrozumieliśmy, rodzice...

– Imiona i nazwiska!

Mężczyzna podniósł się, wyprężył, lewą ręką sięgnął do tylnej kieszeni spodni, z której wyciągnął notatnik. Podszedł bliżej do Kasi. Dzielili ich już

tylko lada hotelowa.

– Mama ma na imię Jadwiga, a tata Borys.

Jej oczy były wilgotne, podobnie jak dłoń, w której wciąż trzymała słuchawkę. Nagle w słuchawce odezwał się piskliwy głos mężczyzny.

– Co tam, Kaśka?

Przez ciało dziewczyny przelała się fala gorąca.

– Panie kierowniku, kapitan Łuczenko do pana.

Zapadła cisza.

– Panie kierowniku...

– Tak, już... Tylko niech tu nie przychodzi, powiedz, że już schodzę...

Niech poczeka w holu.

– Ale...

Kasia uświadomiła sobie, że czekają ją kolejne długie minuty tylko z Kastetem. Nie wiedziała, dlaczego go tak nazywali i co to słowo właściwie oznacza, ale brzmiało tak przerażająco, że bała się nawet jego dźwięku.

– Spokojnie, posadź go przy stoliku, daj mu herbaty czy wody i niech siedzi, zaraz będę.

Kasia powoli odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Kasteta.

– Kierownik zaraz będzie. Proszę sobie usiąść w holu. Podać coś do picia?

– Pan kierownik nie zaprasza mnie na swoje salony?

Mężczyzna spojrział w kierunku schodów. Przez chwilę zastanawiał się, czy wbiec na górę, po czym odwrócił się z uśmiechem do dziewczyny.

– Niech i tak będzie, to sobie poczekamy razem.

Otworzył klapę lady hotelowej i skinął ręką w stronę holu.

– Może zrobię coś do picia?

Kasia walczyła o każdą minutę.

– Nie, wystarczy mi twoje towarzystwo.

Pstryknął palcami i jeszcze raz wskazał stolik w holu. Kasia poprawiła włosy, spojrzała po raz ostatni na swoje stanowisko pracy i skierowała się w miejsce, które wyciągniętym palcem wskazywał Kastet. Usiedli przy stoliku, tuż przy wielkim oknie, z którego rozciągał się widok na ulicę Jagiellońską. W południe ruch nie był specjalnie natarciwy. Co jakiś czas leniwie przetaczała się jakaś ciężarówka, unosząc pył i powodując lekkie drżenie pod stopami. Pewnie kierowały się na Buczka, na wielką budowę szeregowców. Byli sami. W holu panował przyjemny chłód. W radiu

Natasza Zylska właśnie zaintonowała: „Kochany, kochany, leczę z drzewa jak dawniej kasztany”.

Kastet wyjął eleganckie opakowanie, przypominające tabliczkę czekolady. Na wieczku, wypisany dużymi literami, widniał napis „Wawel”. Otworzył je i skierował w stronę siedzącej z rękoma założonymi na piersi Kasi. Spojrzała z zainteresowaniem. To były papierosy. Po raz pierwszy takie widziała. Pokręciła głową. Mężczyzna wyciągnął jednego i zapalił. Dym rozszedł się po całym pomieszczeniu. Dziewczyna zwróciła uwagę na jeszcze jedną rzecz. Mężczyzna miał na palcu pierścień. Właściwie sygnet – złoty, z krzyżem, ale nie takim katolickim. Kastet zauważył jej zainteresowanie.

– Pierścień biskupi z krzyżem maltańskim. Może kiedyś pokażę ci go z bliska i opowiem jego historię. – Kastet skrzywił się w szyderczym uśmiechu. – Powiedz, Kasiu, czy wiesz, czym się zajmuję?

Zaciągnął się głęboko papierosem i wypuścił dym wprost w twarz dziewczyny. Zakasłała. I z trudem łapiąc oddech, wydukała:

– Jest pan, znaczy towarzysz, esbkiem... znaczy pracownikiem Służby Bezpieczeństwa.

– Kasiu, darujmy sobie te stopnie. Jestem prostym inspektorem w komendzie wojewódzkiej milicji. Można powiedzieć, że zwykłym urzędnikiem, który dba o bezpieczeństwo publiczne w naszym województwie. Dbam o to, abyś ty i twoja rodzina czuli się bezpiecznie. – Kastet podrapał się po zarośniętej, opuchniętej twarzy. – I dlatego każdy niepokojący sygnał muszę dokładnie zbadać. Zatem powiedz mi, jak dobrze znasz swoich rodziców.

Kasia nie mogła uspokoić drżenia kolan.

– Moi rodzice to porządni ludzie. Proszę...

Zaczęła łkać, a jej słowa stawały się coraz bardziej niewyraźne.

– Kasiu, nikt nie zamierza skrzywdzić twoich rodziców, a szczególnie ja.

Kastet tym razem wypuścił dym w kierunku sufitu. Rozłożył ręce i przeciągnął się na krześle.

– Wiem, że codziennie kończysz zmianę o dwudziestej drugiej. To tak jak ja. Dam ci kilka dni, byś mi ładnie zreferowała na piśmie życiorys swoich staruszków i przyniosła mi na kwadrat.

– Gdzie?

Dziewczyna wyciągnęła bawełnianą chusteczkę i wytarła nią kąciaki oczu.

– A niedaleko. Widzisz tę ciężarówkę? – Wskazał przejeżdżającego jelcza.
– Jedzie na Buczka. Tam właśnie mieszkam. Nie są to jakieś salony, ale małe poniemieckie mieszkanko. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Tu masz adres.

Kastet wyciągnął notes i nabazgrał kilka słów, po czym wyrwał kartkę i przekazał przerażonej dziewczynie. Kasia wyciągnęła rękę. Mężczyzna chwycił ją i przyciągnął do siebie. Położył kartkę na jej białej otwartej dłoni i zamknął ją drugą ręką. Chwilę trzymał, po czym szeptem wycharczał:

– Tylko nie mów nikomu.

Natasza Zylska przestała śpiewać i przez chwilę panowała cisza. Żaden samochód nie przejeżdżał, nie było słyhać kroku przechodniów. Jakby czas stanął w miejscu.

– O, widzę, że już się poznaliście – przeciął ciszę piskliwy głos kierownika hotelu. – Witam towarzysza kapitana.

Niski, łysy mężczyzna, którego postura i ruchy przypominały raczej gałąź leszczyny na wietrze niż czterdziestolatka, wyciągnął rękę w kierunku przybysza o twarzy kartofla. Ten poderwał się, podobnie jak dziewczyna, która skorzystała z okazji i szybkim krokiem zaczęła się oddalać.

– Kasiu? – Kierownik był mocno zaskoczony. – Wszystko w porządku?

– Tak, tak, muszę wracać, bo nikogo nie ma w recepcji.

Zgarbiona dziewczyna z założonymi na piersi rękoma zbiegła po schodkach, mijając kierownika.

– Witam kierownictwo. Siadajcie.

Kastet położył dłoń na ramieniu mężczyzny i wskazał mu miejsce naprzeciwko siebie, na krześle, na którym jeszcze przed chwilą siedziała Kasia. W tej samej chwili do hotelu wbiegł milicjant. Rozejrzał się po holu. Zobaczywszy kapitana, podbiegł do niego.

– Towarzyszu kapitanie... – wydyszał mundurowy, próbując złapać oddech.

– Zaraz, kurwa! Nie widzisz, że rozmawiam?! – krzyknął Kastet.

– Tak... Tak, ale prokurator, to... prokurator Muszyński do pana kapitana. To coś pilnego...

– Dobrze, zaraz pojedziemy.

– Nie, nie... On czeka przy radiotelefonie.

– Kurwa mać! – krzyknął Kastet. – Dobra, dawaj, co tam masz.

Wyciągnął rękę do kierownika. Chudy mężczyzna nerwowo zaczął szperać w wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym z trudem wyciągnął kopertę i wręczył ją esbekowi. Kastet sprawnie złożył ją na pół i wsadził do tylnej kieszeni spodni.

– Dobra, Janosz, za miesiąc! – rzucił do kierownika hotelu, po czym wybiegł na ulicę. Gdy uchylał solidne drzwi z mosiężnymi zdobieniami, spojrzał jeszcze na recepcję. Pod niebieskim neonem, którego kręte zawijasy tworzyły napis „Hotel Gryf”, oparta o ścianę w kucki siedziała Kasia. Twarz zakrywała dłońmi.

Przed hotelem stała czarna służbowa wołga z włączonym silnikiem. Kastet wskoczył na miejsce pasażera. Chwycił telefon radiostacji.

– Jestem!

Radiostacja zaszumiała.

– Kastet. Oni grzebią przy sprawie Cyppka.

– Dlaczego? Kto?

– Nie znam szczegółów, ale przyjrzyj się temu Litwinowi z dochodzeniówki. Załóż mu ogon i raportuj.

– Jakiemu Litwinowi?

– No temu Galantowi i tej twojej sąsiadce z Gdańska.

– A, tej ładnej brunetce, która się niedawno wprowadziła? – Kastet zarechotał.

– Kastet, chcę znać ich każdy krok. Chcę wiedzieć, ilu ich jest, za kim łążą i co wiedzą. Dyskretnie i z klasą.

– Że jak?

– Tak, by nie wiedzieli, że za nimi jeździsz. Zrozumiałeś?

– Spokojnie, prokuratorze. Nie wiedzą, w co wdepnęli.

* * *

Do stołu, przy którym siedzieli porucznik Ugne Galant oraz sierżant Barbara Romanowska, podeszła kobieta w mundurze. Pchała mały wózek, na którym znajdowało się kilkadziesiąt wiązanych teczek. Położyła kilka przed nimi.

– Tu jest ewidencja *nomen nominandum* od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku do dziś, a także raporty z czynności identyfikacyjnych.

Gdy przebrniecie przez tę rzeź, przyniosę wam ekspertyzy sądowo-lekarskie, które przysły z Katedry Medycyny Sądowej PAM-u.

Kobieta skrzywiła się w sztucznym uśmiechu.

– Zaraz.

Basia przytrzymała milicjantkę za rękę.

– A dlaczego nie ma dokumentów od tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku?

Kobieta, która przyniosła im dokumenty, była już w sile wieku. Jej siwe włosy, ściągnięte regulaminowo w kok, świadczyły nie tylko o przemijającym czasie, lecz także o przywiązaniu do porządku. Cztery belki na pagonach wskazywały, że raczej omijały ją awanse albo późno wstąpiła do służby. Pochyliła się nad Basią i spojrzała jej w oczy.

– Towarzyszka sierżant nietutejsza? – zwróciła się szeptem do młodszej od siebie milicjantki.

– Nie, a co?

– Nie zadawałaby towarzyszka tak idiotycznych pytań.

Romanowska przeszła wzrokiem pochylającą się nad nią kobietę. Już miała wstać i zdyscyplinować niższą stopniem, gdy poczuła delikatny uścisk i po chwili zobaczyła, jak jej drobna dłoń znika pod silną, chropowatą łapą Galanta. Odwróciła się i spojrzała pytająco na kolegę.

– Towarzyszka nie odrobiła lekcji. – Kobieta nie mówiła już szeptem. – Trzy lata po wojnie to miasto było jednym wielkim kurhanem. Na przełomie czterdziestego szóstego i czterdziestego siódmego chodziliśmy po opuszczonych domach i zbieraliśmy do worków zjedzone przez szczury ludzkie części. Właściwie same kości. Najczęściej pomarłych z głodu Niemców. Z Odry do tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku wyłowiliśmy kilkaset czaszek. Nie było na nich śladów po kulach. Po prostu ci, którzy przejmowali domy po Niemcach, wyrzucali trupy do wody. Czy myśli towarzyszka, że milicja prowadziła śledztwa? Otóż nie. Nikt się tym nie zajmował. Problemem była liczba szczątków. Były wszędzie. Niosły ze sobą odór i zarazę. Musieliśmy się ich jak najszybciej pozbyć. Najczęściej wykopywało się wielki dół, wlewało kanister benzyny i było po sprawie...

– Dziękujemy, plutonowa – powiedział Ugne, uśmiechając się pojednawczo do starszej milicjantki. – Będziemy wdzięczni za resztę dokumentów.

– Nie wiedziałam. – Basia patrzyła nieobecny wzrokiem przed siebie. – Słyszałam, że było źle, ale nie przypuszczałam...

Galant pogłaskał delikatnie dłoń Basi i uśmiechnął się do niej ciepło i serdecznie, tak jak jeszcze nigdy przedtem.

– Gorąco, nie uważasz? – Schylił się w kierunku chlebaka, z którego wyciągnął dwie butelki piwa bałtyckiego i postawił jedno przed nią. – Napij się?

Basia spojrzała na niego z wyrzutem i sięgnęła po pierwszą teczkę.

[20] Juliusz Makarewicz, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, był głównym twórcą polskiego kodeksu karnego z 1932 roku, nazywanego niekiedy „kodeksem Makarewicza”. Źródło: *Spory o profesora Makarewicza*, „Rzeczpospolita”, 11.07.2012.

[21] Państwowe Liceum Administracyjno-Gospodarcze w 1952 roku zmieniło nazwę na Technikum Handlowe Ministerstwa Handlu Wewnętrznego (później tylko: Technikum Handlowe). Od 2002 roku szkoła nosi nazwę Zespół Szkół nr 3 im. prof. Oskara Langego.

13
List

Gośćław, Szczecin, 12 kwietnia 1951 roku, godz. 23.15

Reflektory nadjeżdżającej taksówki oświetliły biały mur, przy którym stała zakapturzona postać opierająca się o wózek. Padał rzęsimy deszcz. Samochód zatrzymał się. Taksówkarz wyskoczył z kabiny, podciągnął krótką kurtkę na głowę, podbiegł i otworzył bagażnik. Postać pochyliła się nad wózkiem, wyciągnęła ze środka drewnianą skrzynię i przeniosła ją do bagażnika samochodu. Kierowca wyciągnął z tylnej kieszeni kopertę i podał ją mężczyźnie w kapturze. Zatrzasnął klapę bagażnika i podbiegł zgarbiony do kabiny. Po chwili samochód pruć w kierunku miasta. Mężczyzna w kapturze stał, patrząc na oddalające się światła samochodu, po czym wyciągnął z kieszeni metalową latarkę sygnałową. Włączył ją, a snop światła skierował na kopertę. Rozerwał. W środku obok pliku banknotów była złożona na pół kartka papieru. List. Mężczyzna zbliżył kartkę do oczu i schylił się, tak by krople deszczu nie spadały na zapiski.

Bar Turczynka Szczecin, 12 kwietnia 1951 roku

Pan Kornacki

Zamówienie nr 46

- 1. 20 słoików bigosu*
- 2. 20 słoików gulaszu*
- 3. 20 słoików flaków*
- 4. 5 kg pasztetu*
- 5. 5 kg wątrobianki*

PS Panie Kornacki, w następnym miesiącu chciałabym podwoić dostawy. Mam zamówienie z innej restauracji. Czy może pan dostarczać też surowe mrożone mięso?

Mężczyzna wyprostował się. Krople deszczu zaczęły spadać na skrawek papieru, rozmazując litery. Włożył list z powrotem do koperty i schował ją do tylnej kieszeni spodni. Przez chwilę wpatrywał się w kałużę, która odbijała światło pobliskiej latarni stojącej przed zajezdnią tramwajową. Potem jak małe dziecko wskoczył obu nogami do kałuży, rozbryzgując wokół siebie wodę.

Mieszkanie na Buczka

Ulica Buczka, Szczecin, maj 1957 roku

Ugne spojrział na zegar wiszący na ścianie. Mała wskazówka zatrzymała się na ósemce. Szturchnął siedzącą obok niego Basię Romanowską.

– *Šiandienos pabaiga*[\[22\]](#).

– Słucham?

– Idziemy. Czas naładować akumulatory.

Ugne poderwał się.

– Gdzie? Przecież mamy jeszcze dużo pracy.

Galant stanął za milicjantką, chwycił krzesło, na którym siedziała, i lekko je przesunął. Zgrzyt przesuwanego mebla rozniósł się po pustej czytelnii.

– Chodź, odwiozę cię do domu.

Basia z niechęcią odłożyła dokumenty do teczki i wsunęła ją na górę podobnych teczek.

Gdy zamknęły się za nimi ogromne drzwi komendy, Ugne wyciągnął paczkę papierosów i skierował ją w stronę Basi. Romanowska pokręciła głową, więc sam wyjął jednego i włożył do ust.

– Jesteś głodna?

Zapalił.

– Właściwie tak.

– Najbliżej jest chyba Jaskółka na Królowej Jadwigi. A, słyszałem, że otworzyli nową knajpę obok Książnicy. Magnolia czy jakoś tak. Chyba że do Meteora?

– Widzę, że jesteś w temacie – ucięła z przekąsem Basia.

– Tak. Rzadko jadam w domu.

– To może tym razem zjesz domowy posiłek, zapraszam do siebie.

– Do siebie?

– Tak. Boisz się domowego jedzenia? Komendant zadbał o mnie i zakwaterował w pięknym mieszkaniu z dużą kuchnią. Nawet lodówkę mam – powiedziała z uśmiechem Basia.

– Hm, no dobrze.

Podeszli do łazika. Ugne zaciągnął się resztką papierosa, po czym rzucił go na ziemię i dokładnie przygniótł ciężkim butem. Chwilę kręcił stopą, aż pod podszewką powstał mały dołek w ziemi.

– Może powinniśmy zrobić jakieś zakupy?

Wrzucił chlebak na tylne siedzenie, wskoczył za kierownicę i przekręcił kluczyk w stacyjce. Usłyszał trzask drzwi pasażera.

– Nie, wszystko jest. Pani Krysia, gospodyni kamienicy, przygotowała pyszne mielone z ziemniakami i mizerią. – Basia założyła z zadowoleniem ręce na piersi. – Dobrze trafiłam.

– Masz w domu coś do picia?

Romanowska spojrzała na milicjanta. Przez chwilę obserwowała jego spoconą, pokiereszowaną bliznami twarz.

– Niestety tak. Wcześniej kwaterował tam jakiś radziecki kapitan. Został odwołany do Leningradu. Nawet nie zdążył zabrać swojej cennej kolekcji.

– To jedziemy, prowadź.

– Wiesz, gdzie jest Buczka?[\[23\]](#)

– No.

– Jedyna stara kamienica, która się ostała. Tam jedziemy.

Stoewer z rykiem skręcił w Matejki. Kilku przechodniów odwróciło głowy, patrząc z zaciekawieniem na piaskowego łazika. Na ulicy nie było innych pojazdów. Po lewej minęli wielki plac budowy. Za kilka lat powstanie tu nowe osiedle. Ma już nawet swoją nazwę, Grunwaldzkie. Będzie inaczej. Secesyjne kamienice zastąpią bloki z płyty. Po prawej zachowały się jeszcze resztki kamienicy na Roosevelta. Zapewne niedługo czeka je podobny los jak ruiny innych niemieckich budynków w tym mieście. Zostaną zastąpione przez dzieła architektów socrealistycznych. Ugne splunął na ulicę. Skręcił w Buczka, prując przez cmentarzysko budynków. Pojedyncze kikuty, które kilkanaście lat temu były elementami kamienic, stały wyprostowane jak strażnicy dawnego świata. Samotni. Wokół nich pustynia, której esencją nie był złoty piasek, lecz betonowy pył i strzępy czerwonej cegły. Mijając Roosevelta, spojrzał na kolejny plac budowy. Pomyślał, że jednak było w tym coś optymistycznego, dającego nadzieję. Nowe życie. Place budowy

jak oazy nowego porządku. Socjalistycznego nowego wspaniałego świata. Skrzywił się.

– O, to tu. Widzisz tę starą kamienicę z wieżyczką?

Basia wskazywała pojedynczy secesyjny budynek stojący przed torowiskiem i alejką, wzdłuż której zieleniły się drzewa.

– Trudno nie zauważyć, przecież wokół nic nie ma. – Galant się skrzywił.

Samochód zwolnił, po czym skręcił i zatrzymał się na gruzowisku obok budynku. Wysiedli. Brama była otwarta. Nie było w niej już szklanych okienek, za to zachowały się metalowe zdobienia w kształcie rozłożystego drzewa. Nad wejściem widniał wygrawerowany numer siedem, a pod nim orzeł z rozłożonymi skrzydłami. Basia wbiegła po krętych schodach, Ugne za nią, wielkimi krokami, pokonywał bez trudu co drugi stopień. Minęli trzy piętra. W końcu stanęli przed dużymi drewnianymi drzwiami z wielkim, okrągłym lufcikiem na wysokości mosiężnej klamki. Wyciągnęła pęk kluczy. Chwilę pogmerała przy zamku, po czym otworzyła drzwi.

– Zapraszam na pokoje.

Położyła dłoń na plecach Ugne i pchnęła go do przodu. W mieszkaniu pachniało świeżo ściętym bzem. Było ogromne. Korytarz prowadził do wielkiego, blisko czterdziestometrowego salonu. Rozsunął szklane drzwi. Pomieszczenia były niezwykle wysokie. Na pierwszy rzut oka jakieś cztery metry, może cztery i pół metra. Na podłogach deski dębowe. Ściany bielone, wykończone sztukaterią. Ugne przeszedł przez salon i dotarł do przestronnego balkonu, który ciągnął się przez dwa pomieszczenia. Zbudowany był z podobnych elementów jak brama wejściowa. Metalowe zdobienia w kształcie gałęzi i liści tworzyły barierki. Mężczyzna chwycił poręcz i wychylił się. Spojrzał w kierunku Wałów Chrobrego, po czym przebiegł wzrokiem po szpalerze drzew tworzących aleję wzdłuż Buczka. Wyciągnął paczkę papierosów. Były pogniecione. Chwilę przyglądał się zawartości paczki. Liczył. Trzy, cztery, pięć. Pięć papierosów. Do rana może nie wystarczyć. Szlag by to trafił. Wyprostował jednego papierosa, włożył do ust i zapalił. Odwrócił się.

– Co masz do picia?

Z wnętrza mieszkania doszedł stłumiony głos Romanowskiej:

– W salonie, w kredensie, jest barek. Częstuj się!

Galant wszedł do salonu. Dopiero teraz zwrócił uwagę na wystrój wnętrza. Na środku stała skórzana kanapa i wielkie fotele, obok niski stół

kawowy – nietypowy, jakby wstawiono go tu przez przypadek, z innego muzeum. Wykonany był z litego drewna, a dekorowany kością i macią perłową. Na blacie jakaś scenka rodzajowa z biesiadnikami w roli głównej, do których zbliżają się służący i kurtyzany. Chiński? Dziwna mieszanka stylów, przeszło Ugne przez myśl. Przy ścianie stał dębowy kredens, który składał się z komody trzydrzwiowej i ozdobnej nadstawki. Na drzwiach znalazły się rzeźbione ornamenty w kształcie drzewa. W drugim rogu salonu stało pianino. Białe. O co chodzi? *Déjà vu*. Już to widział. Kiedyś. Dawno. Przed wojną. Poczuł, jak dębowa podłoga przyciąga go do siebie. Nie, nie może o tym myśleć. Jak to wszystko, do cholery, udało się uratować?

Zaciągnął się papierosem i otworzył drewniane drzwiczki do nadstawki. Już wcześniej zauważył przez okienko w drzwiczkach błysk kolorowego szkła. Chwycił jedną z butelek. Spojrzał na etykietę – starka, pięcioletnia. Nieźle sobie poczynął pan kapitan. Uśmiechnął się pod nosem. Otworzył drugą część barku. Kieliszki. Wyciągnął dwa. Spojrzał jeszcze raz na barek. Pośrodku leżała drewniana skrzynka z wygrawerowaną swastyką. Schował kieliszki z powrotem. Sięgnął po skrzynkę. Znajdowały się w niej dwie kryształowe szklanki do whisky oraz karafka z takim samym grawerunkiem. Zabrał wszystko pod pachę i usiadł na skórzanym fotelu. Wyciągnął długie nogi.

– Towarzysz kapitan długo tu mieszkał?! – krzyknął w stronę korytarza, wypełniając złotym napojem szklankę.

– Z dziesięć lat – dobiegł go przytłumiony głos Basi z głębi mieszkania. – Nie zdążył nawet się spakować, jak go wezwali.

Galant jednym haustem opróżnił szklankę. Trunek smakiem przypominał bimber. Po chwili znajome, wyczekiwane ciepło rozeszło się po całym ciele. Oparł się na skórzanej kanapie i rozłożył ramiona. Jego mięśnie, napięte przez większość dnia, teraz zaczynały przechodzić w stan odprężenia. Z wnętrza mieszkania dotarł zapach smażonych kotletów mielonych. Jezu, jak dawno tak dobrze się nie czuł! Zaciągnął się resztką giewonta i odchylił głowę do tyłu. Jego wzrok zatrzymał się na kryształowym żyrandolu. Składały się na niego trzy mlecznobiałe klosze ozdobione kryształami w kształcie sopli, a wszystko zwieńczone było kryształową kulą. Ruski musiał naściągać te fanty z całego Szczecina, pomyślał. Zgasił papierosa w kryształowej popielnicy. Chwycił butelkę i ponownie wypełnił po sam

brzeg kryształową szklankę. Tym razem wypił jedną trzecią. Oleisty płyn nie przypominał już pospolitego bimbru, a bardziej whisky o karmelowym aromacie. Spojrzał w prawo. W centralnym miejscu na ścianie wisiały obraz i... strzelba. Dziwne, pomyślał. Kto urządzał to mieszkanie? Strzelba była jakąś muzealną dwururką. Krótką. Nic nadzwyczajnego. Natomiast obraz to było coś wyjątkowego. Przedstawiał mężczyznę siedzącego w białej koszuli, na którą narzucone było futro. Na głowie miał czarną czapkę, spod której na ramiona opadały długie, brązowe włosy. Mężczyzna z obrazu wbijał wzrok w Galanta. Ugne wyciągnął szklankę w jego kierunku. Twoje zdrowie, pomyślał, po czym opróżnił szklankę.

Do pokoju weszła Basia. W dłoniach trzymała drewnianą tacę, na której tańczyły talerze, miseczki i srebrne sztucce. Ugne poczuł zapach młodych ziemniaków z koperkiem. Była ubrana inaczej. Mundur zastąpiła prosta spódnica za kolana i biały podkoszulek. Była boso. Zmieniała się. Zniknął surowy wyraz twarzy.

– No, towarzyszeko – zwrócił się miękkim, zniekształconym alkoholem głosem do Basi – piękne jedzenie, serwowane przez piękną kobietę. – Otaksował ją błędnym wzrokiem. – Kurczę, ten biały podkoszulek coś mi przypomina.

Spojrzał na siebie. Wyglądali tak samo. Oboje w białych podkoszulkach. Czarna spódnica za kolana podkreślała talię Basi. Podkoszulek ściśle opinał obfity biust.

Postawiła przed nim talerz z dwoma rumianymi kotletami mielonymi i ziemniakami, a obok miseczkę z mizerią. Usiadła na skórzanym fotelu. Ugne chwycił opróżnioną do połowy butelkę. Nalał sobie po sam brzeg. To samo chciał zrobić ze szklanką Basi. Ta zakryła ją dłonią.

– Nie przepadam za tym alkoholem. – Wstała i ruszyła do kuchni. – Wolę inny.

Wróciła z butelką piwa bałtyckiego.

– Piwo jest dobre na sen.

Uśmiechnęła się do Ugne.

– Dobrze, zatem za tych, którzy śnią.

Galant wznosił szklankę i wypił połowę jej zawartości. Romanowska upiła piwa prosto z butelki.

– Pochodzisz z Wejherowa? – wypowiedział z trudnością Ugne, przeżuwając kotleta.

– Nie. Z Piaśnicy. To wieś niedaleko Pucka.

– Czyli jesteś Kaszubką.

Basia pociągnęła kolejny łyk piwa.

– Nie. Jestem Polką.

– No tak, ale...

– Nie. Nie ma Kaszubów, Ślązaków, Mazurów, są Polacy.

– Zaraz, a czy to właśnie nie w Piaśnicy doszło do rzezi Kaszubów?

– Tak coś słyszałam, ale nie będziemy o tym rozmawiać.

– No dobrze, pani sierżant, zatem o czym towarzyszka chce rozmawiać?

Ugne pakował właśnie ostatniego ziemniaka do ust.

– O Ugne Galancie. – Basia spojrzała na milicjanta. – Co robiłeś w obozie na Bandurskiego?

Ugne przełknął resztkę ziemniaka i wyciągnął dłoń po szklanę. Wypił do końca. Z trudnością wymacał w tylnej kieszeni spodni papierosy. Próbował się podnieść, ale przegrał z grawitacją. Powoli wyjął paczkę zapalek. Siarka zaskwierczała, ale ogień się nie pojawił. Wziął kolejną. I jeszcze jedną. W końcu główka zapalniczki buchnęła ogniem. Zapalił i zaciągnął się głęboko papierosem. Wypuścił dym, który zamienił się w chmurę zwisającą nad małym Azjątą wpatrującym się w kurtyzany.

– To nie był obóz, pani sierżant, tylko Gemeinschaftslager Schiesspark. – Ugne się skrzywił. – Nasi niemieccy wodzireje starali się nam uatrakcyjniać każdy dzień. Kolega z tego wesołego obozu opowiedział mi kiedyś pewną historię. To było jakoś w połowie czterdziestego czwartego roku. Lagerführer[24] zatrzymał ich, znaczy wszystkich mieszkańców obozu, tuż przed wyjściem do pracy i poprowadził do sąsiedniego obozu w dzielnicy Fuchsberg[25]. Ustawili wszystkich więźniów na dziedzińcu obozu, tam stały przyszykowane już szubienice i grała orkiestra.

Ugne znów zaciągnął się głęboko i kontynuował:

– Wprowadzono około trzydziestu osób, same kobiety. Żadnej z nich nie znał, nie wiedział nawet, jakiej były narodowości. Kazano im ustawić się na taboretach. Potem jeden mężczyzna w niemieckim oficerskim mundurze odsuwał je po kolei nogą. – Milicjant wypuścił dym z płuc. – Zwłoki wisiały tak na tych sznurach. Kołysały się w rytm jakiejś pierdolonej niemieckiej piosenki. Później, gdy już wykonali egzekucję, odprowadzili resztę, w tym mojego kolegę, do pracy. Tak po prostu[26].

Ugne nalał sobie kolejną szklanę, w butelce na dnie pozostała resztką. Blizny na jego twarzy wydawały się jeszcze głębsze.

– A gdzie ty wtedy byłeś, Ugne?

– Myślę, że temat obozu mamy już zakończony – wybełkotał Galant i opróżnił szklanę. Położył dłoń na kolanie Basi.

– Pal diabli obozy, Niemców, ubeków i zjadaczy ludzi. – Przysunął się do fotela, na którym siedziała dziewczyna. – My żyjemy...

Spojrzał błędnym wzrokiem w oczy milicjantki. Basia objęła małymi dłońmi chropowatą, zarośniętą twarz Ugne.

– Towarzyszu poruczniku... – Wpatrywała się w niego wielkimi, zielonymi oczami jak mała dziewczynka, która właśnie otrzymała w prezencie szczeniaka. – Jutro czeka nas kolejny piękny dzień.

Szybko pocałowała go w czoło i wstała, po czym pchnęła jego zwaliste ciało na kanapę. Ugne padł jak kłoda. Zebrała ze stołu talerze i sztuce i zniknęła w ciemnym korytarzu. Po chwili wróciła, trzymając w ręku koc. Rozłożyła go i otuliła nim leżącego mężczyznę.

– Śpij dobrze, wojowniku.

Spojrzała po raz ostatni na chrapiącego milicjanta i wyszła, wyłączając światło.

* * *

Ciszę poranka rozdarł budzik. Basia położyła dłoń na metalowym kowadełku zegara. Otworzyła oczy, zerknęła na cyferblat. Szósta. Wstała. Włożyła szlafrok. Wsunęła stopy w filcowe kapcie i wyszła na korytarz. Z salonu dochodziły dźwięki muzyki. „Nie trzeba słów, inaczej dziś do mnie mów” – śpiewał Olgierd Buczek. To z radia, które stało na szafce w salonie. Miły poranek, pomyślała Basia. Weszła do salonu. Ugne siedział przy zastawionym stole. Był tylko w czarnych wąskich spodniach. Na środku stołu kawowego, mniej więcej pomiędzy kurtyzaną a uśmiechniętym biesiadnikiem z kitką na głowie, leżał skrawek „Kuriera Szczecińskiego”. Na nim znajdowała się patelnia z jeszcze ciepłą jajecznicą na boczku. Obok deska do krojenia, na której leżała ćwiartka bochenka i nóż.

– Witam towarzyszkę – powiedział z uśmiechem Galant. – Zapraszam.

Basia podeszła bliżej i spojrzała na mężczyznę. Wyglądał jak nowo narodzony.

– Przepraszam, że tak bez koszulki, ale się suszy.

Usiadła i nałożyła sobie na talerz jajecznicę.

– Obawiam się, że ani lwowiak, ani my nic ciekawego w dokumentach nie znajdziemy – mówił, jakby Basia przerwała mu jakiś proces myślowy, który teraz zaczął głośno wyklądać. – Ten człowiek nie zabijał osób, które moglibyśmy w jakikolwiek sposób zidentyfikować. Myślę, że jego ofiarami byli bezimienni. A kim są bezimienni w tym mieście?

Spojrzał na Basię. Dziewczyna przeniosła wzrok z jego szerokiej klatki piersiowej na twarz. Poczzerwieniała.

– Bezimienni?

– Tak. Kim są ludzie, o których nikt się nie martwi, którzy nie mają rodzin, sąsiadów, świadków ich życia?

– Nie wiem. Może marynarze?

– Kurwy i Niemcy.

– Co?!

– Mówię... dziwki, mewki, gruzinki, no i ci wszyscy, których wykopaliśmy na drugi brzeg.

– Jakie mewki, jakie gruzinki? Kogo wykopaliśmy na drugi brzeg? O czym ty mówisz, Ugne? Wytrzeźwiałeś?

Galant podniósł kubek z kawą do ust i napił się. Popatrzył w kierunku balkonu. Drzwi prowadzące do niego były rozsunięte i przez otwartą przestrzeń wlewały się odgłosy miasta. Zgrzyt tramwaju mieszał się z równie zgrzytliwym śpiewem sąsiadki wieszającej na balkonie pranie.

– Basiu, poczekaj. – Przyłożył palec wskazujący do jej ust. – Na początku było łatwo. O Niemców nikt się nie martwił, nikt nie zadawał pytań. Jednak ostatni wyjechał w czterdziestym dziewiątym. Co było później? Kogo zabijał później?

Zaczesał dłonią do tyłu jasną grzywę włosów. Wstał od stołu. Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni paczkę giewontów. Pogrzebał w środku. Ostatni papieros. Włożył do ust i zapalił. Ruszył na balkon.

– Już nie było tak łatwo. Musiał się ukrywać. Maskować. Jak przez tyle lat mu się to mogło udawać? A może zakończył na Niemcach? Może przestał zabijać wraz z ostatnim pasażerem kutra do Lubeki? A chorzy na kuru dopiero teraz umierają?

– Źle stawiamy pytania – odezwała się z głębi salonu Basia. – Fakty są takie: mamy ofiary, które kilka lub kilkanaście lat temu zjadły ludzkie

mięso. Wiemy, w jakiej okolicy jadły to mięso. Zabrzmi to jak banał, ale musimy szukać śladów.

Ugne powoli wszedł do salonu. Ślady, ślady... Słowa Basi jak bęben waliły w jego korę mózgową. Zaciągnął się tak mocno, że niemalże poparzył się resztką spalanego tytoniu. Stał nad Basią, po czym chwycił ją oburącz za wątle ramiona i podniósł.

– Masz rację, dziewczyno! – W jego głosie odczuwało się podniecenie. – Przecież to jasne. Kości! Musimy szukać kości. Ubieraj się. Jedziemy do archiwum!

[22] Koniec na dzisiaj (lit.)

[23] ulica Buczka – obecnie ulica Piłsudskiego

[24] komendant obozu (niem.)

[25] Lisia Góra (niem. Fuchsberg) – wzniesienie (115 m n.p.m.) na Wzgórzach Warszawskich przy Puszczy Wkrzańskiej, w okolicy osiedla Podbórz. W tym miejscu bierze swój początek Osówka.

[26] Prawdziwa relacja Henryka Lewandowskiego przed okręgową komisją badania zbrodni hitlerowskich w Łodzi.

Szczecin Główny, 18 marca 1952 roku, godz. 21.17

Ulewa zamieniła wejście do dworca w archipelag kałuż. Marznący deszcz, spadłszy na ziemię, zamieniał śnieg w gołoledź. Od strony Odry wiatr rzucał strzępami ubrań i gałęzi, które zatrzymywały się na niedawno dobudowanym daszku przed wejściem do dworca. Wbiegający do głównej hali przeklinali i psioczyli. Byli przemoknięci i zziębnięci. Grupka dygoczących zuchów zebrała się na środku holu, tuż pod ścianą z wielką mozaiką przedstawiającą mapę, na której znajdowały się nazwy i herby miast północnej części kraju. Po chwili w miejscu, gdzie stali, pojawiła się kałuża brunatnej wody. Kolejna. Nikt się tym nie przejmował. Cała posadzka holu wyglądała jak boisko do piłki nożnej po przejściu ulewy.

– Kowalski! Ściągnij z siebie ten przemoknięty sweter – zwróciła się do chłopca wysoka dziewczyna w białej koszuli i czerwonej chuście, z długim warkoczem w kolorze kłosa. Oznaczenia na naramiennikach oraz złota Odznaka Organizacji Harcerskiej Związku Młodzieży Polskiej wskazywały, że nie była to zwykła ochotniczka. Nastolatka była orlą harcerką, mogła się pochwalić niemalże najwyższym stopniem w Organizacji Harcerskiej[27].

Chłopiec, może ośmioletni, z trudem zdjął przyduży wełniany sweter, spod którego ukazała się ciemnozielona koszulka mundurowa z zieloną chustą. Sweter ważył teraz kilka razy więcej niż wtedy, gdy mama wciskała go na chłopca. Rzucił ubranie na ziemię. Harcerka kucnęła, podniosła je i wykręciła. Lodowata ciecz rozlała się po marmurowej płycie głównego holu dworca, tworząc kolejną kałużę.

W ostatnim momencie dziewczyna zakryła twarz, by nie zostać obryzgana wodą, gdy wielki wojskowy but wylądował w kałużę. Poczowała intensywny zapach fiołków. Odwróciła się. Mężczyzna miał na sobie ciemnozielony

płaszcz, na głowę nasunął kaptur. Ciągnął za sobą wielką walizę na kółkach, które skrzypiały i zostawiały brunatny ślad. Mężczyzna skierował się w stronę przejścia podziemnego prowadzącego na perony.

– Mógłby pan chociaż powiedzieć „przepraszam” – rzuciła za nim. Nie odpowiedział. Nie odwrócił się.

Kobięcy głos z megafonu oznajmił przyjazd kolejnego pociągu.

– O, jest nasz! – krzyknęła do grupki zuchów dziewczyna i przebiegła jeszcze raz palcem po tablicy, na której umieszczono rozkład jazdy. – Trzebież, peron czwarty. Odjazd dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć. Zbiórka, Sokoły! Idziemy na peron!

Dzieci zbiegły się wokół drużynowej.

– Dobrze, teraz idziecie za mną i nie wyprzedzać mnie, to jest rozkaz!

Dziewczyna zrobiła surową minę i podniosła palec. W głośnikach zachręściło.

– Pociąg do Trzebieży przez Szczecin Turzyn, Szczecin Niebuszewo, Szczecin Gołęcino, Police, Jasienicę podstawiony na tor drugi przy peronie czwartym – wycedził beznamiętnie kobięcy głos.

Zuchy wyglądały teraz jak małe żołnierzyki na wielkiej szachownicy, które ruszyły do boju. Proporzec drużyny zamocowany na drzewcu, niesiony przez niskiego, pulchnego chłopca, wyznaczał jej czoło. Grupa sprawnie przecisnęła się przez stojących w kolejkach do kas. Szła falangą, jakby jej członkowie przez lata niczym innym się nie zajmowali, tylko przeciskaniem przez tłum. Każdy z tych małych zuchów wiedział, że jeżeli w jakikolwiek sposób odbije od grupy, może już do niej nie wrócić. Tłum drepczących w kolejkach, przeciskających się na perony, chodzących tam i z powrotem w poszukiwaniu swojego pociągu, był jak wielkie, żywe grzędawisko.

Drużyna dotarła na schody prowadzące do przejścia podziemnego. Teraz było łatwiej. Szerokim tunelem przeszła do kolejnych schodów, które prowadziły na peron czwarty. Niemalże biegli pod zadaszoną stylowymi wiatami część dworca. Pociąg już czekał. Mroźny deszcz zacinał od strony rzeki. Peron był pusty. Jego betonową płytę pokryła cienka warstwa lodu. Kto miał wsiąść do pociągu, już to zrobił. Nikt nie czekał na zewnątrz na odjazd. Trasa była zbyt krótka, a pogoda nie zachęcała do długich pożegnań.

– Ustawiamy się w kolejności.

Drużynowa jedną ręką trzymała drzwi wagonu, drugą wyciągnęła przed siebie, powstrzymując pierwszego zucha przed zbyt energiczną próbą wskoczenia na schodki.

– Jeden za drugim! – rozkazała, po czym dodała: – Przepuście tych towarzyszy.

Zrobiła miejsce dla mężczyzny i kobiety, którzy ominęli grupkę zuchów i wskoczyli po metalowych schodach do wagonu. Oboje wyglądali na parę żeglarzy – mieli na sobie kangurki. Różniły się tylko kolorem, jej kurtka była błękitna, jego granatowa. Zagraniczne, pomyślała harcerka. U nas takich klawych ubrań nie kupisz. Ciekawe, skąd są? Przyglądała się białym spodniom, które miała na sobie kobieta. Pewnie zacumowali jachtem w Trzebieży, przeszło jej przez myśl.

Dziewczyna wyciągnęła ręce do niskiego, pulchnego chorążego – tego samego, który z taką dumą prowadził drużynę Sokołów przez hol dworcowy. Pojedynczo, z pomocą opiekunki, chłopcy wspinali się do środka wagonu.

– Zajmujcie pierwsze trzy przedziały. Po sześć osób w każdym! – krzyknęła do wbiegających do wagonu chłopców.

Drużynowa spojrzała na pozostających na peronie. Jeszcze sześciu. W oddali zauważyła znajomą postać. Mężczyzna w sztormiaku, z wielką walizą zbliżał się powoli do wagonu. Wiatr szarpał jego kaptur i długi płaszcz. Nie robiło to na nim wrażenia. Nie zmienił kroku, nie podbiegł, by szybciej znaleźć się w środku, szedł niewzruszony, w tym samym tempie, powoli.

Dziewczyna wpuściła ostatniego zucha do środka i jeszcze raz zwróciła wzrok ku mężczyźnie. Był jakieś dziesięć metrów od niej. Podniósł głowę i wydawało się, że ją dojrzał. Kaptur miał na tyle zsunięty na twarz, że nie mogła jej zobaczyć. Przeszedł ją dreszcz. Poczula, że nie ma ochoty się z nim spotkać ani rozmawiać. Podniosła swój plecak i podreptała energicznie za ostatnim z chłopców.

Kierowała się na koniec wagonu do ostatniego przedziału zajmowanego przez drużynę. Kolejno zaglądała do poprzednich i sprawdzała, czy wszyscy usiedli na swoich miejscach. Gdy zamykała drzwi do drugiego przedziału, poczuła zapach, który już znała z holu dworca. To były fiołki. Usłyszała za sobą chropowaty, głęboki męski głos.

– Przepraszam.

Nie odwróciła się, tylko weszła do środka. Mężczyzna powoli ją minął. Czowała, jak ociera się o nią mokrym płaszczem. Poczekała, aż przejdzie. Wyszła. Widziała jego plecy. I wielką walizę z metalowymi okuciami, na małych kółkach, którą ciągnął za sobą. Mężczyzna zaglądał do każdego przedziału. Po chwili stanął przed jednym gdzieś pośrodku wagonu. Przez chwilę wpatrywał się w siedzących w nim, jakby rozważał, czy towarzystwo mu odpowiada lub czy jest wystarczająco dużo miejsca. Potem zdecydowanie otworzył drzwi.

– Dobry wieczór.

Ponownie usłyszała chropowaty głos mężczyzny, który witał się z pasażerami. Stała jeszcze chwilę i przyglądała się dwóm ciągnącym się śladom, jakie pozostawiły kółka walizy. Były jak dwie jasne wstążki na brudnej, zabłoconej podłodze korytarza. Następnie odwróciła się i weszła do przedziału, w którym panował gwar przekrzykujących się dziecięcych głosów.

– *Guten abend*[28] – usłyszał mężczyzna w odpowiedzi. Zasuwał drzwi. Ustawił walizę pionowo, tak że zasłonił wyjście. Ściągnął płaszcz i powiesił go na małym haczyku nad siedzeniami. Zanim usiadł, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni sztormiaka metalowy termos. W przedziale było ciepło.

Spojrzał na siedzącą przed nim parę. Oboje mieli niecałe trzydzieści lat. Jasne włosy dziewczyny opadały na kremowy golf, który ukrywał skromny biust oraz obfite wałeczki na biodrach i brzuchu. Jej białe spodnie zmieniły kolor na nogawkach na ciemnoszary, były to ślady nieskutecznego wycierania chusteczką plam po kałużach. Mężczyzna wyglądał jak dojrzały chłopiec. Chudy, z wątlymi ramionami, ciemna czupryna zaczesana do góry, pociągła twarz.

– Segler?[29] – zagadnął parę mężczyzna.

– *Ja. Wir haben unsere Yacht in Marina Gocław festgemacht. Direkt neben dem tollen Restaurant Jachtowa*[30]. – Dziewczyna ożywiła się, usłyszawszy, że mężczyzna mówi w ich języku. – *Morgen fahren wir zurück nach Rostock*[31].

– *Es hat sich ein bisschen verändert. Früher war es der Stettiner Yacht Club*[32]. – Mężczyzna uśmiechnął się. – *Ich heiße Witold*[33].

– *Ich heiße Ada und das ist mein Verlobter Hans*[34]. – Kobieta wskazała na siedzącego obok niej chłopaka, który wyciągnął do mężczyzny dłoń.

– *Vielleicht trinkst du heißen Tee mit Rum?*[35]

Witold postawił trzy metalowe kubeczki na składanym stoliku pod oknem i nalał gorącego płynu z termosu. Hansowi na wieść o gorącym napoju zaświeciły się oczy.

– *Mit großer Freude*[36].

Niemcy podnieśli metalowe kubeczki i zaczęli pić. Świadomość obcowania z osobą mówiącą w ich języku pokrzepiła ich. Poczuli się pewnie i bezpiecznie. Witold uzupełnił kubeczki. Rozmawiali o wojnie, socjalizmie, o nowym państwie niemieckim, o żeglowaniu. Skład pociągu wciąż czekał na podstawienie lokomotywy. Ze strzępków rozmowy dwóch kolejarzy, którzy stali niedaleko wagonu, można było się dowiedzieć, że szykuje się porządne opóźnienie. Mężczyzna wstał i zamknął okno. Podszedł do drzwi. Dosunął je i zablokował od środka. Zasłonił firanki z obu stron. Teraz z korytarza nie było nic widać. Postawił walizę na ziemi i ukląkł. Niemcy dopijali resztki herbaty i patrzyli na sprawne ruchy dopiero co poznanego towarzysza podróży. Mężczyzna rozsunął zamek w walizce i pogwizdywał. Hans znał tę melodię. Zaczynało mu się kręcić w głowie. Najwyraźniej w herbatce więcej było rumu niż herbaty, pomyślał, uśmiechając się do siebie.

– Czy, eee, to nie Michael Jary? – zwrócił się bełkotliwie do mężczyzny, który właśnie unosił jedną część walizy.

– Tak, czyż nie pięknie to ujął? – odpowiedział Witold i cicho, właściwie bardziej mruczając, niż śpiewając, zaintonował:

Du sprichst vom Abschied, für kurze Zeit,

Und bist schon morgen, von mir so weit.

Was sind schon Worte, im Augenblick.

Hans przytrzymał za rękę swoją narzeczoną, która już się śłaniała.

– Nic nie czuję – wyszeptała mu do ucha resztką sił dziewczyna i położyła głowę na jego ramieniu.

Niemiec opadł na miejsce. Para nie poruszała się, patrzyli przerażeni, jak mężczyzna wyciąga z kufra mniejszą walizkę oraz jakiś materiał, który zaczął rozkładać szczelnie na podłodze i siedzeniach. Po chwili podniósł się z kolan i zbliżył do sparaliżowanych podróżnych. Rozdzielił ich – Hansa przesunął na siedzenie przy oknie, a Adę przy korytarzu. Stanął i przyglądał się swojemu dziełu. Następnie, wygwizdując znaną melodię,

ściągnął z siebie sweter, który złożył w kostkę i położył na metalowej półce na bagaż pod sufitem. To samo zrobił z podkoszulkiem, spodniami i bielizną. Stał nagi pośrodku przedziału. Pod powiekami Ady pojawiły się łzy. Nie mogła się ruszyć.

Rozległ się gwizdek i po chwili pociąg ruszył. Witold wstał, podszedł do okna i je otworzył. Wyjrzał na zewnątrz. Peron powoli się oddalał. Silny wiatr wpychał lodowate krople do środka przedziału.

Mężczyzna pochylił się i sięgnął do walizy po jakiś przedmiot. Podszedł do dziewczyny i przysunął go do jej oczu. Poczowała, jak zimny pot oblewa jej plecy. To była brzytwa. Ciepły oddech owionął jej szyję, a zapach fiołków stał się intensywniejszy. Witold chwycił górną część jej golfa i bez pośpiechu, jakby ta czynność sprawiała mu szczególną satysfakcję, przeciągnął ostrzem po materiale. Bluzka rozpruła się na dwie części. To samo zrobił z rękawami. Strzępy ubrań zebrał i wrzucił do walizy. Rozpiął guziki od spodni i pociągnął za nogawki. Dziewczyna z przerażeniem spoglądała, jak z jego nagich pleców podrywa się kobieta ze skrzydłami o twarzy bestii. Wiedziała, że jej szpony zaraz wbiją się w jej szyję. Czuła, jak odpływa. Już po chwili była w samej bieliźnie. Mężczyzna chwycił ją wpół i przeniósł na przykryte materiałem siedzenie. Zerwał stanik i majtki, które wrzucił do bagażu. Potem podszedł do mężczyzny. Kilkoma sprawnymi ruchami brzytwy pozbawił go podkoszulka, ściągnął spodnie, buty i skarpetki. Jak przed chwilą, wszystkie elementy odzieży schował. Podniósł Niemca oburącz i położył na boku obok walizy. Naciągnął materiał na drugie siedzenie, na którym dotychczas siedzieli narzeczeni. Z bocznych kieszeni walizy wyciągnął worki różnej wielkości. Rozłożył je na podłodze. Teraz cały przedział wyglądał, jakby zaraz miała wejść do niego ekipa remontowa odmalowująca ściany. Mężczyzna podniósł Hansa z podłogi i przełożył na wolne miejsce. Spojrzał na zegarek. Była 22.12. Miał jeszcze trzynaście minut do swojej stacji – Golęcina. Później czekała go tylko krótka wspinaczka, przejście przez mostek i będzie w swojej świątyni. To później. Teraz najważniejsza była ta chwila. To na nią zawsze czekał. Znowu miał być jak Wielki Kreator. Po raz kolejny doznać oświecenia, być ponad nimi wszystkimi i zdecydować o losie zwykłego człowieka. Czuł wzbierające podniecenie. Pochylił się nad kufrem i wyciągnął dwa przedmioty. W jednej dłoni trzymał narzędzie o długim, cienkim i elastycznym ostrzu – to był nóż do filetowania, w drugiej tasak.

Zbliżył się do chłopaka. Wiedział, że jest świadomy. Wielkie oczy zdawały się krzyknąć z przerażenia.

– To już koniec. Pozdrów swoich tchórzliwych rodziców – powiedział, po czym zbliżył nóż do filetowania do brzucha ofiary i wbił go precyzyjnie w ciało pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Wiedział, że nie może uszkodzić narządów wewnętrznych.

Hans westchnął i stracił przytomność. Po chwili mężczyzna wkładał ociekającą krwią nerkę do przygotowanego wcześniej woreczka, a ten schował do walizy. Kości i nieprzydatne resztki wnętrzości odłożył do walizeczki.

Ada otworzyła oczy. Leżała na siedzeniu. Czuła paralizujący ból, który rozchodził się po całym ciele. Nie mogła obrócić głowy ani podnieść ręki. Leżała na boku w taki sposób, że dobrze widziała drugą stronę przedziału. Wszystko było we krwi. Na siedzeniach leżało otwarte ciało. Czaszka była przekrojona na poziomie czoła. W miejscu, w którym powinien znajdować się mózg, była pusta, zakrwawiona skorupa. Oczodoły też były puste. Zamiast policzków wyzierały zęby, które były jedynym znajomym elementem całej dolnej części twarzy. Niżej widniała rozpruta klatka piersiowa. Tam gdzie powinny znajdować się żebra, zwisały zakrwawione kawałki skóry. Ada przesunęła wzrok w dół, na dłonie, które poza tym, że były całe we krwi, wyglądały na nienaruszone. Na serdecznym palcu połyskiwała miedziana pętelka. Ta sama, jaką dała w prezencie Hansowi, gdy ten się jej oświadczył. Sama ją wykonała w odruchu wdzięczności za piękny pierścionek zaręczynowy, który podarował jej na pokładzie jachtu Cristine. To było dokładnie dwa tygodnie temu.

Nagle przed jej oczami pojawiła się postać. Podniosła się z podłogi. To był on – człowiek z rogatą bestią na plecach. Po jego rękach spływała brunatna krew. Uśmiechnął się.

– Przykro mi, moja piękna, nie mogę poświęcić ci tyle czasu co jemu. – Wskazał cienkim nożem na korpus leżący obok na kanapie. – Mogę ci jednak obiecać, że będziesz uczestniczyć w pobiciu rekordu świata w filetowaniu człowieka na czas.

Ada poczuła, jak ostrze wbija się w jej ciało. Już się nie bała. Czekwała na koniec. Na koniec bólu.

Pociąg zatrzymał się na małej, obskurnej stacji. Było pusto. Ciężki, lodowaty deszcz bębnił o dach niskiego budynku, czyniąc to miejsce jeszcze

bardziej ponurym. W tle majaczyły ciemne kontury lasu. Z wagonu wysiadł wysoki mężczyzna w sztormiaku. Na głowę nasunięty miał kaptur. Z trudem podniósł walizę i przeniósł ją na pokrytą lekką warstwą lodu ziemię. W tym samym momencie w świetle latarni pojawił się długi cień. Z ciemności do podróżnika podszedł niski, krępy mężczyzna. Chwycił rączkę walizy i ruszył w kierunku lasu. Poderwał się wiatr ciskający połamanymi gałęziami po małej stacyjce. Jeden z grubszych badyli uderzył w tablicę z napisem „Szczecin Golęcino”, wywołując panikę wśród siedzących na pobliskich drzewach kruków. Ptaki wzbiły się do lotu i donośnie kracząc, krążyły nad stacją. Mężczyźni wkroczyli na wąską ścieżkę. Zdążali w kierunku mostka, który łączył dwie części dzielnicy – północną, z kolorowymi domkami i ogródkami na wzgórzach, z południową, rozpoczynającą się na skraju ciemnego, mrocznego lasu, obejmującą ruiny i zgliszcza aż do doków i śmierdzących zgnilizną nabrzeży. Granicę pomiędzy nimi wyznaczała niebieska, metalowa kładka biegnąca nad torowiskiem na Wzgórze Kupały. Dwie postaci jak dwa cienie, jeden wysoki, drugi niski i szeroki, zniknęły w mroku lasu, pozostawiając po sobie tylko ślady na obsypanych białym puchem deskach kładki.

[27] 2 sierpnia 1950 r. władze komunistyczne podjęły decyzję o zlikwidowaniu odrębności organizacyjnej harcerstwa. W miejsce ZHP powołano Organizację Harcerską, działającą w ramach Związku Młodzieży Polskiej.

[28] Dobry wieczór (niem.)

[29] Żeglarze? (niem.)

[30] Tak. Zaczumowaliśmy nasz jacht w marinie na Gocławiu. Tuż obok świetnej restauracji Jachtowej (niem.)

[31] Jutro wracamy do Rostocku (niem.)

[32] Zmieniło się trochę. Dawniej mieścił się tam Stettiner Yacht Club (niem.)

[33] Mam na imię Witold (niem.)

[34] Jestem Ada, a to jest mój narzeczony Hans (niem.)

[35] Napijecie się może gorącej herbaty z rumem? (niem.)

[36] Z wielką przyjemnością (niem.)

16
Zarażeni

IV Komisariat Komendy Miejskiej MO, Szczecin, maj 1957 roku

W poczekalni komisariatu Szczecin Niebuszewo siedziało kilkanaście osób. W milczeniu cisnęły się na drewnianych ławkach. W większości były to kobiety z chustami na głowach, przyciskające do piersi torebki. Były ubrane w długie ciemne spódnice, niektóre miały na sobie palta pomimo upału panującego na zewnątrz. Na szczęście w gmachu komisariatu było chłodno. Wśród kobiet, niczym dwa czarne kruki pośród wron, znalazło się dwóch mężczyzn. Siedzieli obok siebie, jakby chcieli poczuć się bezpieczniej w swojej inności. Koszule w kratę ułatwiały zadanie. Prawdopodobnie byli pracownikami tego samego zakładu. Chodzili w tym, co dostali z przydziału. Jeden usilnie próbował wyskrobać brud spod grubych paznokci. Robił to z taką pasją, że nawet nie usłyszał, gdy go wywołano. Dopiero za drugim razem do niego dotarło.

– Marcinkiewicz!

Mężczyzna poderwał się i podszedł do dyżurki.

– Szeregowy zaprowadzi obywatela na przesłuchanie.

W drzwiach stał już młody milicjant.

– Proszę za mną – powiedział niepewnie. Dostrzegłszy wzrok dyżurnego, poprawił się: – Za mną!

Ruszyli schodami na dół i szli długim korytarzem. Po przejściu około stu metrów wyszli na dziedziniec gmachu i skierowali się do sutereny. Po kilku kolejnych schodkach szeregowy zapukał do drzwi.

– Wszedł! – Melodyjny głos ze wschodnim akcentem nie pozostawiał złudzeń.

Wewnątrz panował półmrok. Na środku pomieszczenia stał długi stół, przy którym siedziało dwóch mężczyzn.

– Proszę usiąść.

Jeden z nich wstał i wskazał mu krzesło. Marcinkiewicz usiadł niepewnie.

– Nazywam się Szymon Ferenc i jestem lekarzem. A to jest sierżant Wajda. – Wskazał na pucułowatego, uśmiechniętego mężczyznę. – Zaprosiliśmy tu pana ze względu na pańską żonę... znaczy świętej pamięci żonę.

Ferenc usiadł, spuścił wzrok na leżącą przed nim teczkę. Przez chwilę coś kartkował, po czym przełknął ślinę. W tym pustym pomieszczeniu ten czysto fizjologiczny odruch organizmu rezonował jak wystrzał kuli z makarowa.

– Przykro mi, że nie mógł pan pochować swojej żony, ale nie mogliśmy ryzykować... Również dlatego przebywacie teraz w izolacji. – Ferenc podniósł wzrok na siedzącego przed nim mężczyznę. Jego twarz się nie zmieniła. Dwa czarne węgielki beznamiętnie wpatrujące się w lekarza. – Wiem, że możecie czuć się zagubieni i zdezorientowani, ale...

– Jak pan doktor to powiedział? – Głos Marcinkiewicza brzmiał, jakby dochodził z głębi studni. – Zagubieni? A jak się ma czuć człowiek, gdy mu kobieta, z którą żył dziesięć lat, zamienia się w diabła i z tym piekielnym śmiechem wyskakuje przez okno, i to na oczach córki? – Marcinkiewicz przetarł chropowatą dłońią twarz, jakby chciał zrzucić niewidzialną pajęczynę, która wdzierała mu się do oczu i nosa. – A jeszcze po tym wszystkim przystawiacie mojej córce lufę do skroni i wywozicie nas nie wiadomo gdzie... Zdezorientowani? – Marcinkiewicz podniósł głowę. – Tak, szanowna władzo, czuję się zdezorientowany i zagubiony.

Ferenc nie wytrzymał lodowatego wzroku mężczyzny, spuścił głowę i zaczął wertować teczkę.

– No dobrze, nie ma co się tu gufrować[37]. Panie Marcinkiewicz, chwilę tu pobałakamy[38], zatem najprzód[39]. Niech nam pan opowie, od kiedy mieszka pan w Szczecinie i jak się pan tu znalazł.

Mężczyzna odchylił się do tyłu i nabrał głęboko powietrza.

– Urodziłem się pierwszego czerwca tysiąc dziewięćset trzydziestego roku w miejscowości Lachowicze, niedaleko Nowogródka. Lachowicze były, proszę pana, bardzo ciekawą miejscowością. Jest o nich nawet wzmianka w *Panu Tadeuszu*. Tam miał swoją siedzibę Rejtan.

– Do rzeczy, panie Marcinkiewicz.

– Dobrze. Jak przyszło nam wyjechać na tereny ziem zachodnich, to jako dziecko pamiętam, że w ogóle nie żałowałem. Dorośli zapewne nieco inaczej to przeżywali – dziecko to zawsze w prostszy sposób spostrzega. Tym bardziej że to wyglądało tak, że ojciec z frontu wrócił i o tym wyjeździe nam oznajmił. Mnie się to wszystko mieszało: olbrzymia radość z powrotu ojca, nadzieja na koniec tej biedy, jakiej ciągle doświadczaliśmy, i taka jakby ucieczka od rosyjskich żołnierzy, którzy nas tam strasznie traktowali. Każda rodzina dostała pół wagonu. Dobytek nasz nie był za wielki, na spokojnie mogliśmy się spakować. Ojciec jako wojskowy dostał przydział do czterdziestego pierwszego pułku w Stargardzie. Trzy tygodnie w podróży. Spanko, gotowanie na torach. Mama jakieś zupy robiła. Co mogła, to wzięła z takich rzeczy, które się nie psuły. Tam jakąś słoninę – wtedy taka słonina to był prawdziwy rarytas. Jak przekroczyliśmy granicę w Brześciu, to przywitała nas orkiestra. Gdy zagrali polski hymn, to trudno było łyż powstrzymać. Okazało się, że tuż za tą granicą można kupić bułki, biały chleb, jakieś tam masło, nawet kiełbasę.

Tym razem nikt mu nie przerywał, więc kontynuował:

– Jeszcze mnóstwo Niemców tutaj było. Oni się tak szwendali, szukali okazji, żeby jakąś robotę chociaż za jedzenie wykonać. Do nas taka Niemka sprzątać przychodziła, razem z synem. Traktowałem ich jak powietrze. Nie lubiliśmy Niemców, co tu dużo gadać. Nikt się z nimi już wtedy nie liczył. Pogarda była straszna, trzeba przyznać, choć nie każdy ją wyraźnie okazywał. Jakoś nie miałem potrzeby, żeby jakiemuś gówniarzowi niemieckiemu nakopać, ale też nie chciałem mieć z nimi nic wspólnego. Wtedy mieli, proszę pana, za swoje, jak to się mówi. Nikt ich raczej nie żałował. Ruskich zresztą też nie znosiliśmy. Ruskich za co innego, a Niemców za co innego. I trudno się dziwić po tym wszystkim, czego doświadczaliśmy. Ale awantury takie miejskie to były raczej z Ruskimi. Od czasu do czasu się schlali i strzelali po mieście. Nas wojskowych tak nie ruszali, bo wiedzieli, że i my broń mamy.

– To nas nie interesuje, panie Marcinkiewicz...

– Jeszcze w czterdziestym piątym mnóstwo tych domów pustych stało. Jak ktoś chciał, to można było chodzić i szabrować do woli. Meble, książki, różne naczynia. Wydawało mi się, że w pewnym momencie specjalnie w tym celu różne mendy się zjeżdżały. Całe wagony wynajmowali i wywozili w Polskę, co się dało[40].

– Nie interesuje nas historia, panie Marcinkiewicz. – Ferenc z trudem ukrywał irytację. – Gdzie pan mieszka?

– Na Niebuszewie, na Chopina, przy stadionie „Czarnych”. W czterdziestym dziewiątym, jak pobrałem się z Danusią, dostaliśmy kwaterunek na drugim piętrze, mieliśmy wspólny balkon z jakimiś kolchoźnikami, ale za to nie musieliśmy płacić za wejściówki na stadion.

– Z jakimi kolchoźnikami?

– No z tymi, których wyrzucili z naszego mieszkania, bo nie mieli na nie papierów, znaczy się nominacji. Nie nasza wina. Dostaliśmy skierowanie, to braliśmy, co dawali. Nie jesteśmy dobrymi towarzyszami. Zresztą sąsiadka sama wam powie, widziałem, że też czeka.

– Dobrze. Gdy już zamieszkaliście, to gdzie robiliście zakupy, co jedliście?

– Jedliśmy to, co było. Trochę z UNRRA, ale głównie to na ryneczku robiliśmy zakupy.

– Na jakim ryneczku?

– No tam, na placu Kilińskiego. Żona robiła zakupy, więc nie wiem dokładnie. Narzekała, że nic nie może dostać. Szczególnie problemy z mięsem były.

– To skąd mieliście mięso?

– Najczęściej nie mieliśmy. Na początku dawali puszki, z UNRRA. Później różnie się je zdobywało, ale to Danusia się tym zajmowała. Mówiła, że od Niemców.

– Pan nigdy nie robił zakupów?

– Nie. Od rana do wieczora w robocie, to jak miałem robić zakupy? Nieraz z knajpy przynosiłem w trojakiach, ale nawet nie wiem, co tam było.

– Słucham? – Ferenc podniósł wzrok znad papierów. – Jakie jedzenie w trojakiach?

– No mówiłem, że nie wiem. Ja tam na piwo i wódkę chodziłem. Danuśka się wściekała, jak wracałem pijany, więc po jakimś czasie do wódeczki zacząłem zamawiać zakąski, których i tak nie jadłem, bo ja, gdy piję, to nie mogę nic innego do ust... No to te zakąski przynosiłem do domu. Jak zobaczyłem, że kobieta jakoś mniej drażliwa jest, to zacząłem zabierać ze sobą trojaki, zamawiałem więcej i przynosiłem do domu.

– Co to za jedzenie było, panie Marcinkiewicz?

– A to różnie. Bigos. Jakieś podroby. Mówili, że mózdzki wołowe. Nie wiem. Mówiłem, że ja tego nawet nie otwierałem. Szefowa, jak wychodziłem

z knajpy, dawała mi trojak i mówiła, że żona będzie szczęśliwa. No i miała rację. Danuśka już nie robiła awantur. Kosztowało mnie to trochę, ale warto było.

– To pan nie jadł tych posiłków?

– Panie, ja od pięćdziesiątego pracowałem na wielkich piecach[41], mieliśmy jedzenia w bród, ale do domu nie można było zabierać. Za to dobrze płacili, więc stać mnie było na zarcie w knajpie.

– Jadał pan w jednej knajpie czy w kilku?

– Już panu mówiłem, że ja nie jadam w knajpach...

Lwowiak podniósł się znad stołu. Podszedł do siedzącego na krzesełku mężczyzny i pochylił się nad nim.

– No powiedźże człowieku, jaki to szynk był?

– No... Turczynka.

[37] gufrować się (gw. lwowska) – marszczyć się

[38] pobałakamy (gw. lwowska) – pogadamy, porozmawiamy; od słowa bałak – rozmowa, gadka

[39] najprzód – złożenie słów „najpierw” i „naprzód”

[40] Ze wspomnień Zbigniewa Jurkstawicza, projekt *Pionierzy Szczecina*, <http://www.pionierzyszczecina.pl/wspomnienia/zbigniew-jurkstawicz/>, dostęp: 4.01.2023.

[41] wielkie piece – Wydział Wielkich Pieców w Hucie Szczecin

Sekcja zwłok

Archiwum Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej, Szczecin, czerwiec 1957 roku

Ugne sięgnął po kolejną teczkę. Rozsznurował. W środku było jakieś siedem kartek. Wszystkie ułożone według tego samego schematu: protokół oględzin zwłok, odpis protokołu sekcji zwłok, dokumentacja fotograficzna, notatka o miejscu i czasie przechowywania zwłok, oznaczenie miejsca pochówku N.N., notatki z wykonanych czynności. Przerzucił pierwszą stronę. Na drugiej czarno-białe zdjęcia przedstawiały spalone ciało. Ugne wyciągnął kartkę zapisaną drobnym drukiem i zaczął czytać:

Oględziny i sekcja zwłok

Oględziny i sekcja zwłok N.N. mężczyzny wykazały: termiczne uszkodzenie narządów wewnętrznych, w miejscach zachowanych powłok cechy działania płomienia w postaci spalenia włosów głowy, brwi, rzęs i spojenia łonowego (4), a także cechy pośmiertnego zerwania zwierząt w obrębie tkanek szyi i kończyn dolnych. Kościec nie okazywał zmian pourazowych – mechanicznych. W ocieklinie ze zwłok nie stwierdzono obecności alkoholu ani hemoglobiny tlenkowej. Przeprowadzono również kompleksowe badania chemiczno-toksykologiczne. Stwierdzono śladową ilość tubokuraryny w skrzeplinie.

W celu potwierdzenia tożsamości zwłok wykonano: identyfikację stomatologiczną charakterystycznego uzębienia denata, które porównano z otrzymaną kartą stomatologiczną (ryc. 1), badanie zarysu chrząstki pośredniej w górnej części kości ramieniowej, by określić wiek denata, oraz badanie wzrostu na podstawie długości kości kończyn.

Wyniki sekcji zwłok i przeprowadzonej identyfikacji stomatologicznej w znacznym stopniu pozwoliły na potwierdzenie tożsamości spalonego mężczyzny zgodnie ze wstępnymi ustaleniami z dochodzenia.

Włożył kartkę z powrotem do teczki. Zamknął i z nieukrywaną rezygnacją odrzucił na górkę podobnych teczek. Sięgnął po kolejną, ale jej nie podniósł. Jego ręka zawisała nad stosem.

– Kurwa mać! – Jego krzyk poruszył nie tylko siedzącą obok Basię, ale też czterech innych siedzących za biurkami. – Dlaczego jestem tak tępy?

– Ciiiiii – syknęła milicjantka siedząca naprzeciwko.

Ugne chwycił ostatnio przeglądaną teczkę i poderwał się z krzesła.

– Siedz tu i czekaj na telefon – rzucił do Basi.

Gdy wybiegał z czytelnicy, usłyszał jeszcze za sobą głos milicjantki z Wydziału Informacji Niejawnych i Archiwum, która krzyczała coś o zakazie wynoszenia dokumentów, ale był już na półpiętrze. Dotarcie do łazika zabrało mu kilkadziesiąt sekund. Rzucił teczkę na siedzenie pasażera i włączył zapłon. Stoewer zaryczał. Ruszył. Mijając Bramę Królewską, w lusterku bocznym zobaczył, jak z piskiem opon do ruchu włączyła się czarna wołga. Jechali tym samym pasem. Była o dwa auta za nim. Zredukował bieg i wyprzedził wlokącego się przed nim stara z górą piachu na pace. Skręcił w Niepodległości i pędził do Niebuszewa. Było południe. Słońce paliło asfalt. Wokół unosił się pył i czuć było smród wypalanej ropy z rur wydechowych ciężarówek. Stary tworzyły sznur wyjących potworów. Wszystkie jechały w tym samym kierunku – na Roosevelta, tam gdzie był wielki plac budowy nowego osiedla. Ugne spojrział w jedno, potem w drugie lusterko boczne. Ani śladu czarnej wołgi. Dlaczego w ogóle się nad tym zastanawiam? Kto miałby mnie śledzić? Splunął przez ramię i dodał gazu.

Skręcił w aleję Jedności Narodowej[42]. Minął żelbetowy pomnik wdzięczności[43], by po kilku minutach znaleźć się na Jasnych Błoniach. Skręcił w Piotra Skargi. Zjeżdżając w dół, spojrział w lewo. Uśmiechnął się. Zawsze się uśmiechał, kiedy jechał tą ulicą. Widok radzieckiego konsulatu od pewnego czasu powodował, że jego twarz się wykrzywiała. Właściwie trudno było określić, czy oznaczało to szyderstwo, czy uśmiech. Miał tak od zeszłego roku, od grudnia. To pod koniec pięćdziesiątego szóstego w tym miejscu rozegrały się sceny, o których pewnie będą kiedyś pisali

w historycznych książkach. A może nie? Konsulat ZSRR został opanowany przez małodatów z Parkowej i Niebuszewa. Wyobrażał sobie, jak chłopaki z robotniczych dzielnic Szczecina po kilku głębszych tańczą walczyka na portrecie wielkiego przywódcy Nikity Chruszczowa. Dobrze. Jak on się nazywał? Bartosik[44]. Tak, to od pijanego Bartosika wszystko się zaczęło, a skończyło na huraganie w ruskim konsulacie. Dobrze, że leżał wtedy pijany w Zaciszu, bo pewnie jego też by ściągnęli do ganiań po Szczecinie demonstrantów.

Ugne przyhamował. Przepuścił nadjeżdżającego z naprzeciwka radzieckiego ziła. Czerwona gwiazda na masce ciężarówki dumie lśniła w promieniach porannego słońca. Na drzwiach pod mniejszą gwiazdą znajdował się symbol batalionu łączności z Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, stacjonującego w koszarach na Wojska Polskiego. Żołnierze jadący na pacy wyglądali na zadowolonych. Żwawo gestykulowali. Część z nich z nieukrywanym zainteresowaniem zaczęła pokazywać sobie auto, w którym siedział milicjant. Ugne spojrzał do góry na jednego z nich – niskiego, z rozdziawioną gębą wpatrującego się w maskę łazika. Właściwie, pomyślał, trudno im się dziwić, zaciągnęli ich do Szczecina ze stepów Kazachstanu czy spod pskowskich lasów. Jeszcze przed rokiem wielu z nich częściej widywało stado kóz na polu niż rower. Nie dotyczyło to tylko Rosjan. Wielu Polaków miało problem z nazwaniem tej marki samochodu. Wszak Stoewer był marką niemiecką. Ba, szczecińską. To właśnie na Niebuszewie były największe zakłady produkujące te samochody. Łazik, za którego kierownicą siedział Galant, nie był zwykłą terenówką. Stoewer R200 Spezial był samochodem stworzonym przez szczecińskich konstruktorów do walki w najtrudniejszych warunkach. To właśnie te maszyny służyły w słynnym dywizjonie Ramcke, wchodzącym w skład Afriki Korps Rommla. Ugne doskonale zdawał sobie sprawę, że jadąc łazikiem w kolorze piasku pustyni, robi wrażenie. Szczecinianie oglądali się za siebie, słysząc ryk czterocylindrowego silnika. Milicjant nie był tym zachwycony, nie lubił znajdować się w centrum uwagi. Uwielbiał za to nim jeździć, wskakiwać do środka, trzymając się jedną ręką ramy, i słyszeć szept sześciobiegowej skrzyni, która nie grzechotała tak jak w radzieckich gazikach czy amerykańskich willysach, gdy wrzucał kolejny bieg. Imponowało mu to, że jest jednym z niewielu, który otrzymał szansę od losu, by obcować z niewielką częścią historii tego miasta. Z jego namiastką.

Miasta, które zniknęło z powierzchni ziemi pod bombami angielskich halifaxów i lancasterów. Miasta, które już nigdy nie będzie takie samo. Wiedział, że pojazd, którym jeździ po nowych ulicach, o nowych nazwach, z nazwiskami nowych bohaterów, jest swoistym artefaktem. Symbolem starego świata. Lepszego? Tego nie był pewny. Miał jednak poczucie, że ludzie, którzy wprowadzali ten nowy porządek, robili to bez sentymentów. Wiedział, że pogrzebią wszystko, co choćby przypomina im stary świat. Ale to już nie była jego bajka.

Skręcił w kierunku szpitala. Szlaban był podniesiony. Minął rzeźbę przedstawiającą kobietę tulącą w ramionach niemowlę. Podjechał pod budynek, na którym wisiała wielka tablica z literą B, i zatrzymał się. Wbiegł do środka, po drodze omal nie tratując mężczyzny, który miał zabandażowaną nogę i kuśtykał o kulach. Podbiegł do recepcji. Odpychając pochylonego nad okienkiem mężczyznę w mundurze polowym, wykrzyczał:

– Gdzie jest Ferenc?

– Kto? – odwarknęła beznamiętnym głosem siedząca w recepcji kobieta w białym kitlu. Tłum stojący w kolejce do okienka zaczął się burzyć. Jakiś wysoki, chudy trzydziestoparolatek wyskoczył ze środka kolejki.

– Ej, koleżko, nie wpierdalaj się.

Ugne usłyszał świergot gwary poznańskiej za swoimi plecami i poczuł rękę na ramieniu. Nie zwracając uwagi na chudego, pochylił się nisko, by móc włożyć głowę w okienko.

– Szukam doktora Szymona Ferenca, miła pani. Proszę mi wskazać miejsce, gdzie teraz jest, a nie będę zabierał pani drogocennego czasu – powiedział i wykrzywił twarz w czymś, co można by nazwać uśmiechem.

W tym samym czasie błyskawicznie zacisnął dłoń na genitaliach chudzielca. Ten zgiął się wpół z piskiem przypominającym odgłos skrzypiących drzwi. Kobieta po drugiej stronie szyby spojrzała na twarz przeoraną bliznami.

– Pierwsze piętro, pokój sto trzydzieści osiem.

Ugne wyciągnął głowę z okienka i odwrócił się w kierunku źródła cichutkiego pisku. Puścił mężczyznę, który osunął się na posadzkę.

Ferenc siedział za biurkiem, przeglądając jakieś dokumenty. Galant nie pukał. Wpadł do środka, zrzucił z siebie emkę i wyciągnął z tylnej kieszeni spodni pogniecioną kartkę papieru.

– Czytaj! – rzucił do zdziwionego lekarza.

Ferenc odwrócił się, ale nie wstał. Domyślał się, że sprawa, z którą przyszedł, a właściwie wpadł do niego milicjant, nie jest z rodzaju tych, o których można pogadać przy herbatce. Poprawił okulary i wyciągnął dłoń po kartkę papieru. Nie spuszczać wzroku z Ugne, przez chwilę gładził ją na kolanie, jakby prasował rękaw koszuli, po czym odwrócił się do biurka i wsunął zapisaną drobnym drukiem kartkę w światło lampki. Teraz treść dokumentu była aż nazbyt czytelna. Przez chwilę panowała cisza, przerywana świstem szybkiego oddechu Galanta.

– No... – Głos lekarza wyrażał raczej rozczarowanie. – Normalny protokół oględzin zwłok. Nic nadzwyczajnego.

Odwrócił się do Ugne, który podparty pod boki wpatrywał się w lekarza. Zsunął okulary do połowy nosa. I jeszcze raz spojrzął na milicjanta.

– Jak to nic nadzwyczajnego?! – Ugne wyrwał mu papier z rąk. – Nie widzisz tego? – Wskazał palcem środek kartki i przesyłabizował: – Tu-bo-ku-ra-ry-na. Co to za gównno?

Lekarz jeszcze raz poprawił okulary i pochylił się nad tekstem.

– Hm. – Ferenc podrapał się po karku. – Że też tego wcześniej nie zauważyłem.

Wstał i podszedł do półki z książkami. Chwilę macał grzbiety książek, po czym wyciągnął tę z napisem *Farmakologia*. Wertując kolejne strony, zwrócił się do Ugne:

– Ilu ich jest?

– Kogo? – zapytał zaskoczony milicjant.

– Enenów ze śladami kurary we krwi – zamruczał pod nosem lekarz.

– Ze śladami czego?

– O, mam! – Ferenc zatrzymał się w połowie książki. – Tubokuraryna to organiczny związek chemiczny z grupy alkaloidów wyodrębniony z kurary. Powoduje porażenie mięśni zewnętrznych oka oraz mięśni twarzy, szyi, brzucha, kończyn, mięśni międzyżebrowych i przepony. W większych dawkach hamuje przekazywanie w zwojach układu autonomicznego.

– Kurary? – Ugne usiadł na biurku. – Czy to nie jej używają Indianie do zatruwania strzał?

– Tak. – Lekarz odstawił książkę na półkę i ściągnął okulary. – Jej niewielka ilość powoduje natychmiastowe wiotczenie mięśni. Niemcy wykorzystywali ją w anestezyjologii, ale od tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku stosuje się w tym celu czystą tubokurarynę.

Ugne zapalił papierosa, wciągnął dym w płuca i po kilku sekundach energicznie wypuścił.

– Kto może mieć dostęp do tego świństwa?

– To jest bardzo trudno dostępny związek. Może mają go na chirurgii, ale wątpię. – Ferenc chwilę się zastanawiał. – Specjalistyczne laboratoria? Może. Najbardziej prawdopodobne, że będą go mieli na uczelni.

– Na jakiej uczelni?

– Pomorskiej Akademii Medycznej.

Milicjant zaczął się nerwowo rozglądać po gabinecie.

– Szukasz czegoś?

– Na pewno masz tu coś do picia, muszę pomyśleć.

Ferenc schylił się pod łóżko i wyciągnął torbę. Po chwili trzymał w ręku butelkę ciepłego, mętnego alkoholu.

– Nie wiem, co to dokładnie jest. Przyniósł mi to jakiś pacjent. – Lekarz postawił butelkę na biurku i otworzył szufladę, z której wyciągnął dwie szklanki. – Mam nadzieję, że nas nie zabije.

Ugne obrócił butelkę do góry dnem i uderzył w nie dłonią, korek odskoczył. Wlał każdemu po pół szklanki. Podniósł swoją i lekko trącił naczynie Ferenca. Zabrzęczało. Szybko wypił zawartość. Skrzywił się, ale pozostał w tej samej pozycji. Rozkoszował się ciepłem, które rozlewało się po jego ciele.

– No, tego mi było trzeba. – Oczy Ugne zabłyszczały. – Pozbierajmy zatem to wszystko do kupy. – Podniósł butelkę i przechylił ją ponownie nad szklanką lekarza, lecz ten zakrył ją dłonią. Nie spoglądając na Ferenca, nalał sobie po sam brzeg. Wypił, nie uroniwszy nawet kropli mętnego napoju. Ferenc spoglądał na milicjanta z coraz większym zainteresowaniem. Jak ten człowiek mógł rozwiązać jakąkolwiek sprawę? Przecież do końca dnia będzie nawalony jak plecak ruskiego żołdaka pod Berlinem. Dlaczego major skierował go do tej sprawy?

– Niech mi szanowny doktor odpowie – chuchnął kwaśno w kierunku Ferenca – jak to możliwe, że nikt z twoich zacnych kolegów w tych białych kitlach nie zwrócił uwagi, że trupy są nafaszerowane jakimiś gównem, które powoduje, że nic nie czują i że można z nimi robić wszystko...

– Można było – poprawił go lekarz. – To proste. Po wojnie nikt nie robił autopsji ludzkim szczątkom. Było ich tak wiele... Znajdowano je w każdym ciemnym zaułku Szczecina, zbierano łopata i wrzucano do dołu.

Posypywano wapnem i zasypywano piachem. Było tak przez długi czas. Dopiero od niedawna, właściwie to od czasu, gdy powstała Katedra Medycyny Sądowej PAM, zaczęto wykonywać sekcje zwłok, a i tak robi się ją tylko wtedy, gdy jest to niezbędne. To są rzadkie, pojedyncze przypadki. Po drugie kurara i jej pochodne szybko się rozkładają, zatem rzadko kiedy zostawiają po sobie ślad. Anatomopatolog musiałby wiedzieć, czego szuka...

– Zaraz, zaraz! – Ugne wstał, wyciągnął z pogniecionej paczki równie poskręcane go papierosa, postukał nim o blat stołu, po czym go zapalił. – Ile zatem mamy czasu, aby sprawdzić, czy trup był wcześniej nafaszerowany jakimś indiańskim ziołem?

– Nie jestem pewien, ale myślę, że nie więcej niż dobę od zatrzymania akcji serca.

Lekarz wpatrywał się w chodzącego tam i z powrotem wysokiego mężczyznę, który przypominał mu starego tygrysa z zoo w Bytomiu. Często tam jeździł z mamą, by zobaczyć dzikie zwierzęta. Miejsce wtedy jeszcze nie nazywało się „zoo”, tylko „Miejski Ogród Botaniczny”. Mieścił się on przy ulicy Parkowej. Szczególnie fascynowała go rodzina dzikich kotów. Zamieszkiwała niewielki skrawek terenu zaraz za wybiegiem dla niedźwiedzi. Cały ich świat to było kilka kamieni rozrzuconych na piasku i jakieś rachityczne drzewo z pniem pokrytym bliznami po kocich pazurach. To była para tygrysów. Stary tygrys zawsze wstawał, gdy go widział. Podchodził do krat i nerwowo zaczynał chodzić tam i z powrotem.

– Dlaczego ma to w ogóle takie znaczenie i co ma wspólnego z naszą sprawą?

Ugne wypuścił dym z płuc, pochylił się i chwycił butelkę, w której została jeszcze połowa trunku. Nalał sobie.

– Otóż, doktorku, wydaje mi się, że wiem, jak zlokalizować ofiary naszego rzeźnika, a właściwie to, co z nich zostało...

Podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

– Jak się wychodzi na miasto?

– Przez zero.

Po chwili charakterystyczne grzechotanie wybieranego numeru na cyferblacie telefonu wypełniło ciszę gabinetu.

– Lwowiak? – W słuchawce odpowiedział mu śpiewny głos sierżanta Wajdy. – Wyciągnij z archiwum komendy wojewódzkiej wszystkie protokoły z autopsji spalonych, zżartych przez dzikie zwierzęta czy wyciągniętych

z Odry. Interesują nas te eneny, u których medyk sądowy znalazł ślady tubokuraryny. Zapisaleś? Aha, sprawdź mi jeszcze, kto zamawiał lekarstwa, w których składzie jest to świństwo. Poza tym zapytaj, czy w ostatnim czasie medyk nad czymś pracował... Weź Basię do pomocy. Serwus!

Ugne sięgnął po szklankę, wypił jej zawartość, po czym dźwięcznie postawił ją do góry dnem obok butelki, w której zafalowała resztką mętnego alkoholu.

– Teraz jadę coś zjeść, a później wracam na komendę. Muszę coś sprawdzić. Jeżeli nie masz nic do roboty, możesz się ze mną zabrać.

Podniósł kurtkę z kozetki i skierował się do drzwi.

– Poczekaj, w tym stanie nie możesz prowadzić, pojedę z tobą. – Lekarz podniósł się z krzesła. – Dokąd jedziemy?

– Jedziemy? Samochód zostaje, doktorku, a my się przejdziemy. Ruch dobrze nam zrobi.

Ugne zgasił papierosa i spojrzał błędnym wzrokiem na Ferenca.

– Mówiłeś, że zarazeni jadali w Turcynce. To niedaleko. Słyszałem, że dają tam dobrze zjeść. Chodźmy.

[42] W latach 1945–2007 była to aleja Jedności Narodowej. W 20. rocznicę pobytu Jana Pawła II w Szczecinie, 11 czerwca 2007 roku, Rada Miasta Szczecina zdecydowała o przemianowaniu alei Jedności Narodowej na aleję Papieża Jana Pawła II.

[43] Pomnik Wdzięczności dla Armii Radzieckiej – obelisk stojący w latach 1950–2017 w centrum Szczecina, przy placu Żołnierza Polskiego.

[44] Wieczorem 10 grudnia 1956 roku dwaj funkcjonariusze Komendy Miejskiej MO w Szczecinie zatrzymali w centrum miasta Stanisława Bartosika, awanturującego się pijanego trzydziestoletniego pomocnika murarza. Jego okrzyki „Za co mnie zamykacie?!“ oraz „Jestem Polakiem!“ wzbudziły zainteresowanie przechodniów. Wstrzymany został ruch tramwajów i utworzyło się zbiegowisko. Z tłumu dały się słyszeć głosy nawiązujące do wydarzeń października 1956 roku, z charakterystycznym śpiewem *Sto lat* na cześć Władysława Gomułki, nowego pierwszego sekretarza KC PZPR. Wkrótce ludzie skierowali swoją niechęć przeciwko strażnikom systemu komunistycznego – obecnym na miejscu funkcjonariuszom MO i Urzędu Bezpieczeństwa. Tłum skandował: „Milicja morduje ludzi!“, „Trzymać blacharza, lać go!“, „Bić blacharzy!“ oraz „Hura! Brać stalinowców!“. Milicjanci uciekli pod gradem kamieni i cegieł, towarzyszyły temu okrzyki żądające rozliczenia za popełnione zbrodnie i nadużycia. Manifestanci zaczepiali przechodniów, próbowali wyprowadzić na ulicę robotników szczecińskich zakładów, rozpowszechniając informację o wybuchu powstania. Porównywali wydarzenia

w Szczecinie do rewolucji węgierskiej. Równocześnie wznosili okrzyki: „Precz z rządem Kádára!” i „Wojsko na Węgry!”. Źródło: Paweł Knap, Paweł Skubisz, *Chłopcy z Pesztu*, „Przystanek Historia”, 23.10.2021, <https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/75506,Chlopcy-z-Pesztu.html>, dostęp 4.01.2023.

Niebuszewo, Szczecin, czerwiec 1957 roku

Było południe. Promienie słońca odbijały się w oknach stróżówki, gdy ją mijali. Wyszli na ulicę. Powietrze było pełne pyłu, który wzbiły koła ciężkich wozów jadących Piotra Skargi. Szli w dół, do zbiegu ulic. Na środku skrzyżowania w drewnianej budce chronił się przed żarem z nieba pulchny milicjant. Przez chwilę przyglądał im się z zaciekawieniem, po czym odchylił głowę do tyłu i zamarł w pozycji pólężącej. Skręcili w Roosevelta, szli wzdłuż secesyjnych budynków z bogato zdobionymi elewacjami, szerokimi gzymsami i małutkimi balkonami. Minęli zakład fotograficzny Ars i sklep ogrodniczy z wielkim szyldem „Nasiona”. Zza zakrętu, od strony Krasińskiego, krzykliwie wytoczyła się trójka. Czerwony brzuch tramwaju lśnił w majowym słońcu. Nie śpieszył się. Sunął dostojnie, jakby chciał, żeby wszyscy mieszkańcy Niebuszewa dowiedzieli się o jego misji. Galant i Ferenc szli teraz zacienioną stroną. Przed pijalnią piwa Zdrój kotłowało się. Poranna zmiana właśnie kończyła swoje tournée, popołudniowa zaś rozpoczynała. Zmierzający do Turczynki minęli warzywniak Walczewskiej i skierowali się w górę wzdłuż Krasińskiego.

Doktor musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć w zarośniętą, zmęczoną twarz chudego, przygarbionego mężczyzny.

– Jak myślisz, jak długo to mogło trwać? Znaczy to... zabijanie, to robienie mięsa z ludzi?

Ugne wpatrywał się w plombę po budynku z drugiej strony ulicy. W miejscu dawnego skrzydła kompleksu fabrycznego Stoewera stała teraz parterowa pozostałość po kamienicy. Wspomnienie dawnej świetności miasta. Pusta przestrzeń pomiędzy secesyjnymi budynkami, na których

wciąż widniały ślady niedawnej wściekłości. Dziury po kulach, jak nieme świadectwo gwałtu, wciąż dekorowały ścianę kamienicy.

– Dlaczego mówisz w czasie przeszłym? – zazgrzytał niczym trójka na zakręcie milicjant.

– Jak to? Ty wierzysz, że to wciąż może trwać? – Ferenc spuścił wzrok i patrzył przed siebie. – Rozumiem podczas wojny, nawet zaraz po wojnie, gdy panował głód... Może jeszcze kilka lat później, ale teraz? Przecież dzisiaj nie ma już takich problemów z zakupem mięsa.

Galant skrzywił się i oderwał wzrok od kamienicy.

– I ty myślisz, że głód miał tu znaczenie?

Zbliżyli się do skrzyżowania Krasińskiego z Rewolucji Październikowej.

– Sądzę, że głód i zapotrzebowanie na mięso były wtórne – powiedział Ugne i wskazał palcem barak, który stał kilkadziesiąt metrów przed nimi. – Jest i Turczynka!

Z nieskrywanym zadowoleniem przyśpieszył kroku. Przeszli na drugą stronę. Szum ulicy zagłuszył dźwięk brzęczącego telefonu. Hałas dochodził z budki. Metalowa skrzynka, w której umieszczony był aparat, działała jak wielkie pudło rezonansowe, który czyniło dźwięk jeszcze bardziej metalicznym i hałaśliwym. Do skrzynki powolnym krokiem zbliżył się taksówkarz, który właśnie wygramolił się ze stojącej na postoju warszawy. Chwilę pogrzebał w kieszeni, po czym wyciągnął mały kluczyk, którym otworzył drzwiczki. Ryk telefonu stał się jeszcze wyraźniejszy. Kierowca podniósł słuchawkę. Dzwonek umilkł. Taksówkarz odebrał zlecenie i ruszył z powrotem na postój.

Do baru mieli ze dwadzieścia metrów. Szli powoli. Ostatnie kilkaset metrów musieli podejść pod niewielkie wzniesienie, więc dostali lekkiej zadyszki. Przed wielkim, zielonym barakiem z szyldem Turczynki zaparkowała czarna wołga. Ugne przeszło przez myśl, że już ten samochód dzisiaj widział.

– Dlaczego twierdzisz, że głód i zapotrzebowanie na białko nie są powodami pojawienia się wyrobów z ludzkiego mięsa na rynku? – Ferenc musiał przyśpieszyć, by dogonić Galanta. – Przecież to jest bez sensu.

– Może. – Galant nie spuszczał wzroku z auta z uruchomionym silnikiem, które stało przed knajpą. – A może jest tak, że brak jedzenia był tylko i aż usprawiedliwieniem...

Mężczyźni zbliżyli się do samochodu. W przyciemnionych szybach warszawy Ugne zobaczył odbicie swojej twarzy. Odwrócił się. Turczynka przypominała bar z amerykańskich westernów, które oglądał w Młodej Gwardii[45]. Do knajpy prowadziły szerokie schody. Na rozległym tarasie, otoczonym drewnianą balustradą, rozstawione były stoliki. Jak na saloon z prawdziwego zdarzenia przystało do środka wchodziło się przez dwuskrzydłowe drzwiczki. Wewnątrz panował półmrok. Nieliczne małe okna, przysłonięte zgniłozielonym materiałem, stanowiły skuteczną ochronę przed promieniami słońca. Ugne uderzył zapach, który znał z innych lokalnych knajp – mieszanka stęchłego piwa i spalonego tłuszczu. Przy stolikach dogorywało kilku gości, pewnie z pierwszej, porannej zmiany. Wszystko odbywało się w ciszy. Popiół z kiepa w palcach kędzierzawego we flanelowej koszuli w kratę wpadał do kufla z resztkami piwa. Jego towarzysza właściwie już nic nie interesowało, bo z głową opuszczoną na blacie zipał, próbując otworzyć oko, by spojrzeć na nowych gości.

Masywnie zbudowana kobieta siedziała przy największym stoliku w rogu sali, otoczona wianuszkami facetów, i snuła swoją opowieść. Słuchacze otępiąłym wzrokiem wpatrywali się w nią. Nie mówiła głośno, jednak jej baryton odbijał się od ścian i kufla i rezonował po całej knajpie. Z fragmentów można było się domyślić, że nie jest to relacja z niedzielного kazania księdza Stańczaka z Najświętszego Zbawiciela.

– I ja go wtenczas z kolana w jaja, że zgiął się wpół, ten drugi próbował mnie z tyłu, odwróciłam się i tak mu wykurwiłam w szczenę, że złamał się i padł na glebę. Ale czuję, że mnie ręka piecze, i tak na nią patrzę i... – Zawiesiła głos i spojrzała ze smutkiem na swoją dłoń, po czym ścisnęła ją w pięść i podniosła do światła. – No, zostały mi te dwa... we mnie...

Światło lampy oblało swoim blaskiem napuchniętą dłoń kobiety, pomiędzy kostkami śródreçza wystawały dwa rdzawe siekacze. Były na tyle głęboko wbite w dłoń kobiety, że właściwie trzeba było specjalistycznej wiedzy stomatologicznej, by mieć pewność, że były to jedyne Stefana Marcinkiewicza z Rewolucji Październikowej.

Galant i doktor podeszli do baru.

– Halo, jest tu kto?!

Z zaplecza dotarły do nich dźwięk tłuczonego szkła i odgłosy przekleństw, po chwili ukazał się barman. Lada z wielką kasą znajdowała się na

wysokości jego klatki piersiowej, co mogło oznaczać tylko tyle, że nie cechował go zbyt wysoki wzrost. Tradycyjna koszulka w siateczkę odkrywała jego potężne barki i ramiona, pokryte niezbyt udanymi tatuażami. Nieogolona twarz kontrastowała ze skrupulatnie ogoloną czaszką. Jednak w obrazie mężczyzny najbardziej niepokojące wydawały się oczy. Rozbiegane. Jakaś wada wzroku powodowała, że gałki oczne w jednolitym tempie przemieszczały się to w lewą, to w prawą stronę.

– Co ma być?

Aksamitny głos barmana zamurował Ugne. Milicjant przez chwilę zastanawiał się, w jaki sposób ten anielski dźwięk mógł się wydobyć z tak nędznej postaci.

– Setka z piwem, a dla kolegi... – zaczął Ugne i spojrzał na towarzysza.

– Dla mnie jajecznicą z... Co tu macie do picia poza wódką i piwem?

Lekarz przeczesywał wzrokiem tablicę z nazwami dań. Barman, schylając się po butelkę z mętnym napojem, wyrecytował:

– Woda sodowa, cytrynada i mandarynka.

– Dobrze, zatem niech będzie woda.

– Jak długo tu pracujesz? – zwrócił się Ugne do barmana.

Barman nawet nie spojrzał na pytającego. Postawił szklanekę na ladzie i nalał do niej wódkę. Sto mililitrów. Bez miarki. Pochylił się i ze skrzynki, w której stało kilkanaście butelek piwa, wyciągnął jedną. Postawił ją obok szklanki z wódką i kufla. Woda sodowa była na wyciągnięcie ręki. Przesunął ją w kierunku lekarza.

– Na jajecznicę trzeba będzie poczekać – poinformował Ferenc.

– Pytałem o coś.

Ugne pochylił się lekko i oparł łokciami o ladę. Barman podniósł wzrok. Przez chwilę przyglądał się poharatanej gębie wysokiego blondyna, który wisiał teraz nad jego barem. Tradycyjny żul z Niebuszewa nie zadaje takich pytań, pomyślał. Wiedział, że posiadacz tej umęczonej alkoholem facjaty nie jest tu przypadkiem i stanowi zapowiedź nadchodzących kłopotów.

– A co, szukasz roboty?

Barman podniósł jeden z brudnych kufla stojących w zlewie, przemył go pod strumieniem wody i zaczął wycierać swoim fartuchem, nie spuszczając wzroku z milicjanta.

– Może. Robota niewymagająca znajomości Seneki, dostęp do nieograniczonych ilości moich ulubionych trunków w dobrym, kreatywnym środowisku. – Kiwnął na grubą z trzonowcem w pięści. – No i co najważniejsze, jako wybitny mięsożerca w końcu bym się najadł do syta.

Jego świdrujący wzrok zatrzymał się na barmanie, który już wiedział, że to nie będzie jeden z tych zwykłych, spokojnych dni.

– To nie te czasy. – Barman próbował uśmiechnąć się szyderczo, ale mu nie wyszło. – Coraz trudniej o dobre trunki. Wszystko schodzi na psy, nie mówiąc już o dobrych dostawcach produktów.

Ugne podniósł piwo i duszkiem opróżnił pół kufła. Wytarł pianę z ust.

– Nie te czasy, powiedziałaś... Jest pięćdziesiąty siódmy, a nie czterdziesty ósmy rok, kierowniku. – Milicjant wskazał ręką doktorowi najbliższy stolik. – Chyba powinno być odwrotnie, nie? Z tego, co pamiętam, to przynajmniej do pięćdziesiątego nie było szans na dobry bigos. Nie mówiąc o porządnym gulaszu. A ja słyszałem, że u was zawsze można było dobrze zjeść...

Zawiesił głos i przechylił ponownie kufel z piwem. Dopił do końca i uderzył głośno pustym naczyniem o blat.

– Ja tam nie wiem. Nie rządziłem tu. Jeszcze jedno?

Nie czekając na odpowiedź, barman pochylił się i wyciągnął kolejną butelkę piwa. Sprawnie otworzył i postawił przed Ugne. Milicjantowi zaświeciły się oczy.

– A kto wie?

Pochylił się i przysunął swoją twarz do twarzy barmana. Ten nie był zdolnym negocjatorem. Przez lata pracował w Turczyńce jako wykidajło, tragarz, niejednokrotnie kierowca. Nieraz miał do czynienia z mendami, nieraz siedział w kabarynie, ale ten tutaj to było coś innego. Czuł, że instynkt go nie myli. Każda kolejna sekunda dyskusji z tym facetem coraz bardziej go pogrążała.

– Moja była. Ona rządziła knajpą. Ja ją przejąłem kilka lat temu. Chyba lepiej jej to wychodziło niż mnie.

– A gdzie jest teraz twoja była? – Ugne nie odpuszczał.

– Nie wiem. Zostawiła mi list i spierdoliła... Ale to już nie twoja sprawa, blacharzu, prawda?!

Ostatnie zdanie barman wypowiedział na tyle głośno, że sala ucichła. Dotychczasowy pijacki gwar zastąpił wyczekujący szmer.

Milicjant odsalutował z uśmiechem i chwycił butelkę z piwem, kufel oraz szklankę z wódką i skierował się w stronę najbliższego stolika, nad którym wisiała lampa bez żarówki.

– Ugne, ty to masz styl. – Lekarz rzucił okiem w kierunku stolika grubej.
– Nie chciałbym w niego ingerować, ale masz świadomość, że rozpoczęcie dnia od setki wódy i popijanie jej piwem jest druzgocące dla twojego organizmu?

Ferenc przyjrzał się mętnemu płynowi w swojej butelce.

– Doktore – zwrócił się do niego, z lekka zaciągając, Galant – wiesz, że w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku statystyczny mieszkaniec naszego wspaniałego kraju wypijał półtora litra alkoholu, a dziś wypija trzy i dwie dziesiąte litra?[46] Przeczytałem w „Kurierze Szczecińskim”. Mieszkańcy naszej ludowej ojczyzny nie mogą się mylić.

Ugne jeszcze raz spojrzął na stół, przy którym siedziała „dentystka”, i uśmiechnął się pod nosem. Usiedli. Ferenc wyciągnął z kieszeni bawełnianą chustkę i przetarł stół, zanim postawił na nim butelkę z wodą sodową.

– No i co ci to dało? Poza tym, że wszyscy bywalcy tego miejsca będą wiedzieli, że po dzielnicy buja się pies w cywilu i grzebie w jakichś starych sprawach. A za chwilę dowie się o tym też pól Niebuszewa. – Ferenc z pasją przecierał chusteczką szklankę w ludowe wzorki. – Nikt nie będzie chciał z tobą gadać.

– O to właśnie chodzi. Niech zaczną gadać między sobą. – Ugne opróżnił kieliszek do połowy, wyciągnął zmiętolonego papierosa i zapalił. – Coś ciekawego na przesłuchaniach?

– Bez zmian. Mięso kupowali na ryneczkach, nieraz w knajpach. W Turczyńce. Ciekawe, mówili, że to u Niemców na straganach szybciej można było dostać podroby niż u naszych.

Do baru weszło dwóch mężczyzn. Ich wygląd wskazywał, że nie należą do bywalców lokalu. Rozejrzeli się. Wzrok jednego z nich zatrzymał się na Ugne. Mężczyzna o twarzy przypominającej kartofla przez chwilę przyglądał się, jak Galant wychyla resztki piwa, po czym obaj skierowali się do baru. Milicjantowi nie umknęło zainteresowanie Kartofla, zatem postanowił poszukać potwierdzenia uwagi. Wstał i podszedł do baru, trzymając w ręku pusty kufel po piwie. Ustawił się w kolejce za nowo przybyłymi. Teraz miał okazję przyjrzeć im się bliżej. Kartofel sięgał mu

wzrostem do ramienia. Niebieska flanelowa koszula opinała wystający brzuch i silne, muskularne ręce. Mężczyzna musiał mieć poważny problem z przyrostem owłosienia, ponieważ jasne kudły wychodziły mu z każdej wolnej przestrzeni na ciele. Poza głową. Tu panowała soczysta czerwień, jak przystało na prawdziwego komunistę, pokryta gdzieś strzępkami włosów. Archipelag owłosienia obejmował tylko potylicę i tworzył małe wyspy na czubku głowy oraz w okolicach uszu.

Drugi był nieco wyższy i zdecydowanie chudszy. Wyglądał jak księgowy. Binokle z grubymi szklami, równo przystrzyżona fryzura, brak zarostu na pociągłej, bladej twarzy – to wszystko wskazywało, że mężczyzna rzadko wypełzał z pomieszczenia, w którym spędzał całe dni. No, chyba że pracował na nocnej zmianie. Lub w kostnicy. Alkohol zaczął działać. Ugne poczuł przyływ pozytywnej energii podlanej dekadencją sosem. To był jego ulubiony stan. Delektował się nim. W pewnym momencie jego błędny wzrok przetoczył się na barmana, którego twarz się zmieniła. Był przerażony. Z oblicza znikł mu cwaniacki uśmiezek. Wpatrywał się tymi małymi oczkami w mężczyznę o twarzy zarośniętego kartofla, jakby oczekiwał aktu łaski.

– Dzień dobry, panowie. Czym mogę służyć?

– Dla mnie seta, a dla kolegi oranżada. – Kartofel nie spuszczał oczu z barmana. – Jak interesy, Wrzeciono?

– A, dobrze, dobrze. Dziękuję.

– No to w porządku, przynieś nam do stolika.

Mężczyźni odwrócili się i skierowali do stolika przy drzwiach wejściowych.

Ugne przesunął się w miejsce, w którym przed momentem stali mężczyźni.

– Dolej do pełna... Wrzeciono. Mogę ci zabrać chwilę?

Spróbował się uśmiechnąć do barmana, który w milczeniu nalał piwo i postawił na kontuarze.

– Nie rozmawiam z blacharzami. – Gdy to mówił, spoglądał ukradkiem na mężczyzn, którzy właśnie usiedli przy stoliku.

– Nie? To kim jest tych dwóch? – Ugne wskazał ich palcem.

– Nie twój interes.

Milicjant błyskawicznie złapał barmana za szyję. Przyciągnął go do siebie i wyszeptał do ucha:

– Posłuchaj, worku z flakami, podasz mi adres swojej byłej albo jeszcze dzisiaj przyślę ci tu społeczną inspekcję pracy, która tak przeora ci zaplecze, że przez pięć lat będziesz oglądał świat przez dziurkę w drzwiach swojej celi w Nowogardzie. Nic więcej nie chcę. Rozumiesz?

Barman próbował uwolnić się ze stalowego uścisku, ale tylko szamotał się jak ryba wyrzucona na brzeg, próbując złapać oddech.

– Do... dobrze, już... puść...

Ugne zwolnił uścisk, ale nadal trzymał go za kark. Barman, kaszłąc, łapał powietrze.

– Wiem tylko, że pracuje gdzieś na Gołęczynie. Daj mi dwa, trzy dni. Przyjdź w sobotę. Powiem więcej.

Oswobodził się z uchwytu. Przetarł szyję ręką, po czym głośno, by każdy na sali usłyszał, powiedział:

– Ciebie już nie obsługujemy. Zabieraj swojego ładnego kolegę i wypierdalać!

Ugne podszedł do stolika i zwrócił się do lekarza.

– Dobra, doktore. Nie lubią nas tu. Idziemy.

– A co z moją jajecznicą?

Ferenc z wyrzutem spojrzał na Galanta.

– Barman stracił dziś motywację do robienia jajecznicy. Jutro wpadniemy.

[45] Młoda Gwardia – pierwsze uruchomione po wojnie kino w Szczecinie

[46] Iwona Kienzler, *Życie w PRL. I strasznie, i śmiesznie*, Warszawa 2015.

Podzamcze, Szczecin, lipiec 1957 roku

Stała pośrodku ruin. Kikuty kilku samotnych budynków jak zagle wyrastały ponad pustynię wypełnioną pyłem i gruzem, od brzegu Odry aż po wzgórze zamkowe. Ciepły wiatr targał jej długim warkoczem. Raz w lewo, raz w prawo. Niesforne kosmyki opadały na oczy. Podniosła głowę, by jeszcze raz się przyjrzeć z bliska zdobieniom na fasadzie budynku. Ściana szczytowa utrzymywała się tylko dzięki prowizorycznej podporze. W miejscu, gdzie kiedyś były drzwi, teraz straszyla szeroka, ciemna czeluść. Otwory, w których wcześniej znajdowały się zdobione okna, zamurowano. Wszędzie były ślady po kulach. Z wewnątrz dochodził smród fekaliów. Wokół budynku ktoś ustawił prowizoryczną balustradę z drewnianych kołków. Leje po bombach zarosły trawą i krzakami. Teren, który niegdyś był płaski, teraz wyglądał na pofalowany. Smród był na tyle intensywny, że musiała odwrócić głowę.

Zrobiła kilka kroków do przodu. Złapała głęboki oddech. Kościół Świętego Jana Ewangelisty, który widziała przed sobą, stał nienaruszony. Jedynie budynki, które się z nim łączyły[47], były w opłakanym stanie. Z jednego pozostała fasada z otworami okiennymi. Nie było dachu. W drugim ocalała za to tylko część dachu. Ciekawe, pomyślała, dlaczego kościół pozostał nienaruszony? Amerykańscy lotnicy byli tak precyzyjni? Czemu bomby zapalające spadały tylko na domostwa, sklepy, knajpy? Czyżby purytańscy Angole bali się swojego Boga? Zresztą pal ich diabli, mogli spalić całe to miasto.

Spojrzała na zegarek. Dziesięć po dziesiątej. Punktualność nie jest jego mocną stroną. Odwróciła się. Od strony wzgórze, na którym majaczyły ruiny Zamku Książąt Pomorskich, podmuch wiatru wypluł wygniecioną

gazetę, która w swoim chaotycznym locie opadła i wylądowała na nienagannie wyprasowanej spódnicy milicjantki. Ta lekko się pochyliła i sięgnęła po nią. To była pierwsza strona „Kuriera Szczecińskiego”. Łamaną czcionką oznajmiała: „MARS zbliża się na spotkanie z ZIEMIĄ”. Spojrzała na datę – 20 stycznia 1956 roku. Uśmiechnęła się. Kurczę, dobrze, że to przeżyliśmy, pomyślała przekornie. To był główny materiał styczniowego wydania. Tekst o przewidywanym przez radzieckich naukowców zjawisku astronomicznym był wyjątkowy, stanowił egzotyczną odmianę pośród tradycyjnych informacji, takich jak *Dobry start stalowców z huty „Bobrek”* czy relacji ze zlotu młodzieży wiejskiej.

– Widzę, że towarzyska sierżant się nie nudziła.

Dudniący głos wyrwał ją z rozmyślań o ciemności zapadającej nad ziemią. Odwróciła się. Komendant wpatrywał się w nią z rękoma schowanymi w kieszeniach i papierosem żarzącym się w kąciku ust. Wyciągnął dłoń i się przywitał.

– Dzień dobry, towarzyszu komendancie. Dlaczego spotykamy się akurat w tym miejscu?

Basia poprawiła kosmyk kruczoczarnych włosów, który opadł jej na czoło.

Mężczyzna złapał ją pod rękę i ruszył w stronę budynku przed nimi.

– Ta ruina to dawny ratusz staromiejski. Dzisiaj to już szkielet, ale nie tak dawno tętniło tu serce administracyjne tego parszywego miasta.

Basia spojrzała na komendanta. Na jego zmęczonej twarzy pojawił się grymas.

– Dlaczego towarzysz mi to opowiada? Niemcy zapłacili za to, co nam zrobili. Nie szkoda mi tych budynków. Wybudujemy nowe. Lepsze. Dla ludzi. – Basia przeczesywała wzrokiem pustynię z gruzu. – Jest tutaj teraz tak dużo wolnej przestrzeni.

Komendant przytrzymał ją pod rękę.

– Dawniej w tym miejscu skazywano kobiety za uprawianie czarnej magii – kontynuował, nie zwracając uwagi na słowa Basi. – Jedną z kobiet skazanych na śmierć była niejaka Jolka, później nazywana Czarną Jolką. Otóż kobieta uniknęła śmierci dzięki temu, że rozkochała w sobie oddelegowanego do wykonania wyroku kata, który ostatecznie pojął ją za żonę[48]. Towarzyszko Romanowska, niech mi towarzyska odpowie, jak ta kobieta tego dokonała? Wierzy towarzyska w miłość lub czary?

Komendant wyciągnął z kieszeni klucz, którym ze zgrzytem otworzył ciężkie drewniane drzwi prowadzące do budynku. Z wnętrza buchnął odór wilgoci i uryny. Basia cofnęła się. W środku panował mrok. Przez zabite dechami okna wpadały wątle smugi światła. Na podłodze leżały porozrzucane krzesła i stoły, które blokowały przejście do dalszej części. Komendant położył jej rękę na ramieniu i pchnął ją do środka. Zrobili trzy kroki do przodu. Mężczyzna podniósł zdobiony, barokowy fotel i wskazał, by usiadła. Następnie stanął za nią.

– A więc?

– Więc co?

Basia starała się zachować spokój.

– Jak ona to zrobiła?

– Towarzyszu komendancie, ja nie wierzę ani w czary, ani w miłość. Myślę, że Czarna Jolka chciała przeżyć i zrobiłaby wszystko, by się wydostać z więzienia. Tyle.

Energicznie wstała i podniosła ze sterty mebli mniejsze, kuchenne krzesło, które ustawiła naprzeciwko swojego fotela.

– Towarzysz jednak zapomniał dodać, jak zakończyła się historia Czarnej Jolki. – Basia poprawiła fryzurę. – Otóż została asystentką swojego ukochanego, by po jego śmierci przejąć robotę i zostać katem...

Komendant przyjrzał się jej uważnie.

– Tak, czytałam tę historię. O Sydonii też, więc niech towarzysz daruje sobie te germańskie przypowieści. Proszę.

Wskazała mężczyźnie miejsce do siedzenia. W budynku zapanowała martwa cisza. W smugach światła krążyły pyłki kurzu, przywrócone do życia przez niespodziewanych gości. Zapach zgnilizny, szczurzych i gołębic odchodów stał się jeszcze intensywniejszy.

– Komendancie, do rzeczy.

Basia oparła łokcie na kolanach, a splecione dłonie podniosła do twarzy. Tak podparta, gładząc się kciukami po kącikach ust, wpatrywała się w czerwoną, pulchną twarz milicjanta. W ciemności rozbłysło czerwone światło płonącej zapalki. Sucharek podniósł do ust papierosa i go zapalił.

– Jak się współpracuje z Galantem? – wycedził, nie spuszczać wzroku z dziewczyny.

– Co to za pytanie? – Basia cofnęła się i odchyliła na oparcie fotela. – Chyba za wcześnie na ocenę, ale na razie nie narzekam. Dlaczego major

pyta?

– Galant to urodzony glina. Najlepszy pies gończy, jakiego znam. Analityczny umysł, dzięki któremu dostrzega pięć razy więcej rzeczy niż przeciętny śledczy. Do tego obóz... Nie wiem, co on tam przeszedł, ale na pewno zrobił z niego zimnego skurwysyna, którego ciężko złamać. Niestety nie pasuje do tego świata. – Sucharek wydmuchał dym. – Milicja Obywatelska to służba, która ma dbać o bezpieczeństwo obywateli, ale również pilnować, by obywatele nie przekraczali granic wskazanych przez partię. Galant tego nie rozumie, przez co staje się łatwym celem dla tych, którzy chcą znaleźć słabe punkty naszej formacji. Poza tym ma jeszcze kilka innych wad, ale jebać je. Przydzieliłem cię do tej sprawy, bo masz silny kręgosłup ideowy i porządne pochodzenie klasowe. Trudno ci cokolwiek zarzucić. Jak szambo wybuchnie, nic się do ciebie nie przyklei.

– Jakie szambo...?

– Poczekaj, nie przerywaj. – Sucharek zaciągnął się. – Jest kilka spraw, o których musisz wiedzieć. Ugne jest jak tykająca bomba. Gdy wywącha trop, idzie jak ogar za juchą. Nieważne wtedy są regulaminy, zasady, a co najważniejsze, zależności. A do tego chleje.

Komendant wyciągnął z kieszeni zmiętą bawełnianą chusteczkę i przetarł nią czoło, na którym wystąpiły pierwsze krople potu.

– Grzebiecie w sprawach, które nie bez powodu mają przybite wszystkie możliwe klauzule. I tak ma zostać. Wszystko ma przechodzić przeze mnie, a ty masz te działania autoryzować. Rozumiemy się?

– Czyli co, mam donosić na Galanta? – Basia podniosła się z fotela. Jej wzrok już zdążył przyzwyczać się do ciemności. – To nie ten adres.

– Siadaj! – Major chwycił ją za ramię. – To nie jest donoszenie. Gramy do tej samej bramki i muszę wiedzieć, w co się pakuje. A teraz posłuchaj.

Basia jeszcze chwilę postąpiła, a następnie powoli powróciła na swoje miejsce.

– Musicie przyjrzeć się kilku sprawom sprzed lat. Nie wiem, czy mają coś wspólnego z chorymi na kuru, ale warto, byście o nich wiedzieli. Po pierwsze, przekazuję ci akta sprawy niejakiego Cyppka. – Żachnął się, wymawiając to nazwisko. Znów wyciągnął z kieszeni chustkę i wytarł z czoła krople potu. – Myślałem, że już nigdy nie będę musiał wracać do tego ścierwa. Przeczytasz, zrozumiesz.

Sucharek pochylił się i z torby leżącej pod krzesłem wyciągnął kilka wiązanych na tasiemkę tekturowych teczek. Podał je Basi, dodając:

– To są nierozwiązane sprawy. Wszystkie łączy jedna rzecz. Nie znaleźliśmy śladu tych ludzi. Prędzej czy później byście do nich doszli, ale nie do wszystkich.

Sucharek rzucił niedopałek na posadzkę i przygniótł go butem.

– Dlaczego? – zapytała Basia.

– Bo te sprawy nie istnieją. Turyści z Niemiec nigdy nie byli w Szczecinie, a kurwy z Bajki nigdy tu nie pracowały, nie wspominając już o tych siostrach z Niebuszewa.

– Siostrach z Niebuszewa?

– Przeczytasz, to zrozumiesz. – Major nachylił się po torbę i podniósł się z trudem. – Na dzisiaj kończymy. Pamiętaj, aby mnie o wszystkim informować – powiedział i pchnął ciężkie drzwi.

Do ratusza wdarła się fala światła, jakby słońce czekało na swoją kolej. Basia przez chwilę trwała w oślepieniu, delektując się ciepłem słońca na policzkach, po czym podniosła się, wytarła energicznie dłońmi spodnie i ruszyła w kierunku światła.

[47] Budynek dawnego domu towarowego Braci Karger przy Schulzenstraße 22 / Heiligegeiststraße 1–4 (obecnie róg Sołtysiej i Świętego Ducha), obok ruin kamienicy Schulzenstraße 21, która przed drugą wojną należała do Stettiner Stadtwerke (Miejskich Zakładów Komunalnych).

[48] *Czary i czarownictwo na Pomorzu*. Materiały z konferencji naukowej, która odbyła się w dniach 17–18 maja 2007 r. w Marianowie, red. Arleta Majewska, Stargard 2008.

Niebuszewo, Poniedziałek Wielkanocny, 14 kwietnia 1952 roku

Na ten dzień dziewczynki czekały tygodniami. Lany poniedziałek. Bezkarne pojedynki z chłopakami z bloków na Długosza i Niemcewicza, ucieczki przed grupami pościgowymi wyposażonymi w wiadra z lodowatą wodą. A na deser wycieczka na karuzelę. Pieniądze przeznaczone na bilety wstępu zbierały już od świąt Bożego Narodzenia. W tajemnicy, żeby tata nie wiedział, gdzie ukrywały drogocenne monety. Już od tygodnia z przejęciem obserwowały, jak na plac przed ich kamienicą przyjeżdżają kolejne wozy, jak mężczyźni o ciemnej karnacji rozstawiają namioty i strzelnice, jak budują wielki obóz, który za chwilę miał się zamienić w wesołe miasteczko. Tłoczyły się w wąskim oknie, obserwując, jak ci sami mężczyźni krzyczą do siebie w nieznanym języku podczas rozstawiania drewnianej platformy z masztem i zadaszeniem, do której przyczepiali łańcuchy z drewnianymi krzeselkami. Na to właśnie czekały. To była karuzela z ich marzeń.

Zosia i Ania Mucha były bliźniaczkami. Mieszkały same z ojcem, matka nie przeżyła skomplikowanego porodu. Lekarz ze szpitala na Piotra Skargi, który odbierał poród, stwierdził, że powodem było niezdiagnozowane zatrucie ciążowe. Dziewczynki wychowywał Witek Mucha, który ciągnął ciężarną żonę przez pół Polski, nęcony obietnicą darmowych willi i poniemieckich bogactw. Dostali „nominację” na Niebuszewie. Lejbuszewo, tak nazywali tę część miasta autochtoni. Prawda była taka, że najmniej było tu Polaków, najwięcej Żydów i Niemców. Żydzi zjeżdżali ze wschodu, licząc, że stąd będzie im bliżej do Palestyny. Niemcy wrócili, bo wierzyli, że miasto pozostanie niemieckie. Mucha był zgermanizowanym Mazurem, ale dla władz repatriacyjnych nie miało to znaczenia. Po jakichś biednych

Niemcach otrzymał skromne, czterdziestometrowe mieszkanie ze wspólną łazienką na piętrze, w starej kamienicy przy Świętej Barbary pod numerem drugim.

Witek pił. Pił tak tęgo, że nie mógł utrzymać żadnej roboty dłużej niż przez pół roku. A i to tylko z tego powodu, że pracodawcom żal było chłopca, bo sam z dziewczynkami, bez żony. Dziewczynki pomimo młodego wieku – w marcu ukończyły dziesięć lat – stały się jego opiekunkami. Żyli jednak w dwóch równoległych światach. Dziewczynki chodziły do szkoły, dbały o mieszkanie, gotowały, ubierały i karmiły ojca, zabierały nieprzytomnego z melin i chodników. Witka świat to była wegetacja. Jedynym celem – utrata świadomości, ucieczka od przytłaczającej rzeczywistości. A im w lepszej kompanii, tym lepiej.

Niebuszewo znał jak własną kieszeń, a Niebuszewo właściwie go... nie znało. Mimo że nie ruszał się stąd na krok, nie żył tym samym życiem co reszta pionierów. Jego dzielnica to były meliny, brudne klatki i skwery. Praca w zajezdni tramwajowej na stanowisku robotnika torowego odeszła wraz z dłonią, którą odrąbał Jankowi Żelatynie podczas układania torów gdzieś na trasie Kołłątaja – Dworzec Niebuszewo. To, że był nawalony jak stodoła, nie przekonało dyrektora Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, by go zostawić. Wiadomo, wszyscy pili, ale obowiązywały jakieś reguły. Nie można było być nieprzytomnym o ósmej rano. Tym razem bycie w stanie upojenia alkoholowego nie zostało uznane za okoliczność łagodzącą. Wyleciał na zbity pysk.

W socjalistycznej Polsce nie ma miejsca dla nierobów; choćbyś nie chciał, i tak musisz pracować. Witek dostał zatem skierowanie do Wojewódzkiego Zarządu Miejskich Przedsiębiorstw Remontowo-Budowlanych i Robót Specjalnych. Miał odgruzowywać Niebuszewo. Nawet się ucieszył, perspektywa pracy blisko domu, blisko starych, dobrych kumpli oraz znanych melin – nie mógł sobie lepszej fuchy wymarzyć. Pierwszą robotą, jaką wykonywał, była rozbiórka zbombardowanego budynku fabrycznego na Wilsona. Okazało się, że przydział na mieszkanie dostał tu jego dobry kumpel, Józek, ślusarz w zajezdni tramwajowej Pogodno. Poznał go jeszcze podczas pracy przy układaniu torów. Dzień zaczynali tak samo. Spotykali się na Wilsona przed kamienicą, w której mieszkał Józek, na skwerze pod wiaduktem na Orzeszkowej. Rozkładali „Kurier Szczeciński” na ławce, po czym każdy wykladał, co miał. Nazywali to śniadaniem pionierów. W wersji

podstawowej składało się z połowy bochenka chleba, ogórków, no i oczywiście wódeczki. Czasem elementy śniadania się zmieniały – chleb zastępowały bułki, kiszone zastępowały korniszony, niekiedy pojawiały się śledzie, a nieraz nawet konserwa, kiełbasa lub słonina, które przynosił Józek. Witek nie pytał, skąd je bierze. Cieszył się chwilą. Jedynie wódeczka pozostawała ta sama – bez etykiety, z kapslem, kolorem przypominająca ciecz, z której wyciągali ogórki. Ją organizował Witek. Po kilku miesiącach byli jak najlepsi przyjaciele.

Józek pochodził z Górnego Śląska. Zaciągał gwarą śląską i bluzgał po niemiecku. Witkowi to nie przeszkadzało, sam pochodził z Piszca i nie raz złorzeczył w mazurskiej gwarze. Józek, gdy już był łożarty, opowiadał Witkowi o sąsiadce z naprzeciwka, dwudziestoletniej Irenie, którą podglądał każdego wieczora, gdy ta przed snem czesała swoje długie blond włosy. Mówił o synu, który nie chciał już z nim mieszkać. Opowiadał o Opolu i wojnie, i komunistach, którzy go zdradzili. Witek przeważnie słuchał. Nie chciał opowiadać o swojej żonie, bo wtedy się rozklejał, łzy mu ciekły po zarośniętych policzkach i nie mógł poprawnie wydusić jednego zdania. Płacz zamieniał się w szloch, a słowa w jęklivy bełkot. Wolał opowiadać o swoich córkach, jak jest z nich dumny i kim w przyszłości zostaną. Ostatnia kropla w butelce była zawsze sygnałem kończącym śniadanie pionierów, znakiem, że czas do roboty.

Podnosili się z trudem, ściskali dłonie na pożegnanie i rozchodzili każdy w swoją stronę. Gdy siedzieli na ławce, nie było widać znaczącej różnicy we wzroście pomiędzy nimi. Józek nie miał nawet stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu, był niski i krępy. Gdy szedł, ciągnął za sobą kikut, drewnianą pamiątkę z czasów Wielkiej Wojny. Witek, jak na prawdziwego Mazura przystało, był wysoki i chudy. Codziennie poruszał się z taką samą werwą, niezależnie od tego, ile czystego alkoholu krążyło już w jego krwi.

Rytuał pionierskich śniadań trwał do Świąt Wielkanocnych. W ostatnim dniu roboty Witek, opróżniając butelkę, w przyпіływie serdeczności zaprosił Józka na święta do siebie. Obaj byli samotni, zatem pomysł wydawał się wyjątkowo trafiony. Józek zareagował tak, jakby tylko na to czekał. Miał jednak prośbę. Jego dobry znajomy z czasów służby wojskowej, od którego zresztą, jak zaznaczył, pochodziły te wszystkie precjoza i delicje, co to je spożywali na śniadania, też nie ma gdzie się podziać na święta. Czy mógłby im towarzyszyć? Dla chudego Mazura nie było różnicy. Perspektywa dobrej

imprezy, z porządną zakąską, była tak kusząca, że właściwie nie miało znaczenia, kogo wpuści do mieszkania. Umówili się na pierwszy dzień świąt, po południu.

Dziewczynki przystroiły salon, który na co dzień pełnił funkcję ich pokoju oraz jadalni, w sposób nie do poznania. Na podłodze leżał czysty dywan, skutecznie zasłaniający drewniane deski, z których płatami odchodziła farba, odkrywając różnorodność gustów wcześniejszych lokatorów. W kącie stał piec kaflowy. Miodowe kafle odbijały promienie przedpołudniowego słońca, które wpadały przez uchylone okno do wnętrza pomieszczenia. Pośrodku stał szeroki drewniany stół, przykryty białym obrusem. Pięć talerzy, pięć szklanek i pięć kompletów sztućców. Tak jak im powiedział ojciec. Trzy dla nich, dwa dla gości. Pośrodku waza, z której wydobywał się zapach majeranku i czosnku. Dziewczynki nie wyobrażały sobie świąt bez żurku. Obok koszyka ze święconką stał talerz z pokrojonym chlebem, a na drewnianej desce czekoladopodobny zawijas układał się w napis „alleluja” na jeszcze ciepłym mazurku. Siostry wiedziały, że muszą wstać wcześniej, by przygotować ciasto. Efekt był niesamowity. Zapach migdałów mieszał się z kwaśną wonią żurku, a przez otwarte okno płynęła muzyka. Skoczna, wesoła. Dziewczynki podbiegły do okna i aż otworzyły buzie z zachwytem. To była karuzela. Rozpoczęła swój taniec. Po chwili dotarł do nich zapach waty cukrowej i już nie mogły wytrzymać. Kiedy przyjdą goście? Dlaczego ojciec jeszcze nie wraca? Wyszedł po nich już jakieś pół godziny temu. Czemu to wszystko trwa tak długo? Nagle, jak na zawołanie, dźwięk obracanego klucza w zamku przedarł się do salonu jak głos zza świątów. To był tata! Dziewczynki pobiegły na korytarz. Ich wzrok rozpalony słonecznym blaskiem nie mógł przez moment przyzwyczaić się do zmroku tam panującego. Drzwi się uchylily i rozpoznały wchodzącego ojca. Tuż za nim niepewnym krokiem skradał się niski grubas z koszem pełnym różności. Zanim dziewczynki przyjrzały się trzeciej postaci, która wyrosła, wychylając się spod futryny, poczuły słodki zapach świeżych kwiatów. Nie wiedziały jakich, ale był przyjemny, ciepły i taki wiosenny. Mężczyzna trzymał coś w ręku. Wiaderko?

– Na co czekacie?! Zabierzcie od pana Józefa kosz i porozkładajcie na stole.

Zabrał pakunek mężczyźnie i podał go Zosi.

– Zapraszam do środka, proszę się rozebrać. – Już miał chwycić płaszcz mężczyzny, ale ten odepchnął jego rękę.

– Mój kolega nie lubi być dotykany – pośpieszył z tłumaczeniem Józek. – Zostawmy go. Chodźmy do kuchni zobaczyć, co tam możemy rozlać.

Józek objął gospodarza i wyciągnął z kieszeni kurtki butelkę mętnej cieczy. Witkowi zaświeciły się oczy. Przeszli do niewielkiej kuchni.

– Jak ten twój kolega ma na imię? – zapytał Witek, choć właściwie nie interesowała go odpowiedź. Trzymał w ręku butelkę samogonu, chciał już mieć te wszystkie uprzejmości za sobą.

– Lubi, jak się mówi do niego „profesor” – poinformował Józek, otwierając kolejną szafkę w poszukiwaniu kieliszków. – Mam.

– Dziewczynki, zajmijcie się panem profesorem. Zaraz przyjdziemy! – krzyknął Witek w kierunku salonu, z wysiłkiem opanowując radość w głosie.

Józek nalał po sam brzeg. Podnieśli szkło i wychylili. Gość wyciągnął papierosa i zapalił.

– Może przejdziemy do salonu i tam dokończymy?

Witek sięgnął po butelkę i już miał odchodzić, ale Józek go chwycił za ramię.

– Poczekaj, gdzie się śpieszysz? Nie będziemy przy dziewczynkach pili – powiedział, po czym zaciągnął się papierosem, rozpalając go do czerwoności. – Gdzie masz popielniczkę?

Witek pochylił się i zaczął szperać pod zlewem. W tym czasie mężczyzna wyciągnął z kieszeni małą fiolkę i wlał kilka kropel do kieliszka gospodarza.

– Mam!

Witek postawił przed Józkiem słoik z utopionymi w wodzie petami.

– Dobra, wypijmy!

Gość uzupełnił kieliszki samogonem. Stuknęli się i wypili.

– Gorąco tu u ciebie.

Józek zgasił resztkę papierosa w słoiku i zaczął ściągać brązowy sweter. Witek przyglądał się mężczyźnie. Gdy ten podniósł rękę, pod pachą ukazał się tatuaż, dwie błyskawice. Przez chwilę Witek próbował przedrzeć się myślami przez coraz bardziej ogarniającą jego umysł alkoholową mgłę. Tak, dwie błyskawice, dwa pioruny, znak SS. Jego serce szybciej zabiło. Kręciło mu się też w głowie. Józek rzucił sweter na mały taboret stojący

przy szafce obok zlewu. Był w podkoszulku z siatki, spod której wystawały gęste włosy.

– To co, jeszcze po jednym? – zwrócił się do Witka.

– Nie... Wiesz, może pójdźmy już do dziewczynek? Zjedzmy coś – wypowiedział drżącym głosem, po czym chwycił za szafkę wiszącą nad zlewem, by nie upaść. – Chyba muszę się położyć.

– Tak, usiądź.

Józek pomógł spocząć gospodarzowi na taborecie.

– Mistrzu, możemy już?! – krzyknął w stronę salonu.

Cisza. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk poza tym z karuzeli. Nagle muzyka się zmieniła. Dotychczasowe wesołe, dziecięce rytmy zastąpione zostały przez rzewniejsze. Inne, niepokojące. Mężczyzna śpiewał po niemiecku:

*Du sprichst vom Abschied, für kurze Zeit,
Und bist schon morgen, von mir so weit.
Was sind schon Worte, im Augenblick.*

Piosenka dochodziła z wesołego miasteczka. Witek podniósł się. Przytrzymując się ścian, wyszedł z kuchni, minął korytarz i na kołyszących nogach wtoczył do salonu. Tyłem do niego, przy stole, siedział wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu. Pochylał się nad talerzem z zupą. Jadł. Po obu jego stronach, na krzesłach siedziały dziewczynki. Dopiero teraz zauważył, że były tak samo ubrane – w sukienki, w których były u komunii świętej, białe, z falbankami i granatowymi wstążkami. Ich długie jasne włosy w promieniach słońca przypominały kłosa na polu tam, na Mazurach. W domu.

Jednak teraz było inaczej, nienaturalnie. Dziewczynki siedziały nieruchomo. Przypominały bardziej lalki na wystawie niż dwa żywioły. I ta muzyka. Dlaczego, do cholery, ten człowiek śpiewa po niemiecku? Upadł na kolana. Na czworakach zbliżył się do stołu. Kątem oka zobaczył, że pod krzesłami dziewczynek stoją dwa wiaderka, takie same jak te, w których handlary na ryneczku trzymają kwiaty. Nie było w nich jednak kwiatów. Nie widział, co było w środku, ale usłyszał. Powoli, kropla za kroplą, po ramie krzesła spływała do środka gęsta ciecz. Przy każdym uderzeniu

kropi w ściankę metalowego wiadra słycać było charakterystyczny dźwięk. Był coraz głośniejszy, jak dzwon.

Nie miał sił. Jego ciało odmówiło posłuszeństwa. Poczul, jak Józek go podnosi i sadza na krześle. Teraz przed sobą miał wysoką postać, po jej obu stronach siedziały jego córki. Pokój wirował w takt tej diabelskiej, hitlerowskiej piosenki. Dziewczynki były grzeczne, z rękoma złożonymi na stole czekały na modlitwę przed świątecznym posiłkiem. Tylko ich sukienki nie były już białe, z każdą sekundą stawały się coraz czerwienisze. Witek poczul, jak jego głowa opada na stół. Tak bardzo chciał spać. Istota w czerni zwróciła się do jego kolegi, Józka, który stał za nim.

– *Cyppek, du bist dran*[49].

Ojciec dziewczynek poczul ostry ból pod szyją. Ciepła ciecz rozlała się na jego białą, odświętną koszulę.

[49] Cyppek, twoja kolej (niem.)

Litwa, dwudziestolecie międzywojenne

Kiejdany – spokojne, można powiedzieć, zapomniane przez Boga miasteczko, którego tętno wyznaczała wijąca się smętnie rzeka Niewiaża, nie różniło się od wielu podobnych osad leżących w sercu Litwy. Poza jedną wyjątkową cechą – historią. O Kiejdanach pisał Sienkiewicz, wielki Polak, noblista. To właśnie dlatego każdy ich mieszkaniec, mówiąc, skąd jest, podkreślał z dumą: z tych Kiejdan. Gdy jednak nieznamy w swojej ignorancji nadal nie kojarzył, można było mu przypomnieć losy Radziwiłła, Kmicica, obronę Jasnej Góry... I gdy już wszystko stawało się jasne, gdy wyobraźnia rozpalala obrazy bitew, opowiadała historie zdrad i miłości, pozostawała puenta – to wszystko zaczęło się w Kiejdanach.

To właśnie tu, w tychże Kiejdanach, hetman wielki litewski rzucił Wielkie Księstwo Litewskie do nóg królowi szwedzkiemu. Jedni twierdzą, że był zdrajcą, inni – że wyzwolicielem. Nieważne, tu wszystko się zaczęło. I tak mieszkaniec tej małej dziury, leżącej gdzieś na pograniczu okręgu kowieńskiego, stawał się spadkobiercą wielkiej historii, wielkiego świata. Jego życie nabierało sensu, nie tak jak nędzny los jakiegoś wieśniaka z Szydłowa.

To właśnie w tym mieście, w Kiejdanach, urodził się, dorastał i stąd wyjechał, by zdobywać wiedzę na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, Bolesław Galant. To do tego miasta powrócił już jako magister, jako pierwszy absolwent wydziału matematyczno-przyrodniczego odrodzonej uczelni. Wrócił, bo nowa Litwa nie chciała Polaków. A on uparł się, że Kiejdany pozostaną polskie. Miał szczęście, że to była Lauda[50]. Tu większość stanowili Polacy. Postanowił zostać politykiem, działaczem polonijnym, prawdziwym patriotą, takim, o którym zapewne myślał Józef

Piłsudski, mówiąc: „Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo, zwyciężyć i spocząć na laurach to klęska”[51]. On nie zamierzał spoczywać na laurach. Po czterech latach od przyjazdu został wybrany na radnego miejskiego w stołecznym Kownie. Był jednym z szesnastu Polaków na tym stanowisku. Na jednej z pierwszych sesji rady miejskiej podeszła do niego niziutka brunetka o wielkich brązowych oczach. Przedstawiła się jako Gabije. Nie mówiła po polsku. Na szczęście Bolesław mówił po litewsku. Okazało się, że jest dziennikarką nowego pisma „Kauno Naujienos”[52] i jej pierwszym zadaniem w tej pracy było przeprowadzenie wywiadu z jednym z radnych. Wybrała Bolesława, bo jak później wspominała, miał najwięcej ognia w oczach.

To była miłość od pierwszego wejrzenia. Witka i Gabije różniło wszystko. Ona pochodziła z tradycyjnego rodu żarliwych litewskich nacjonalistów, luteranów, on był polskim patriotą, katolikiem na obcej ziemi. Burzliwa miłość zaowocowała dwoma synami. Pierwszy urodził się Józef. Umówili się, że pierwszeństwo w nadaniu imienia będzie miał mąż. Dla Bolesława nie była to zwykła czynność, to był manifest. Symbol, chorągiew. Werbel, który miał wybębnić światu, kim jest jego syn i skąd pochodzi. Jego „czterdzieści i cztery”. Nie było wątpliwości, jak będzie miał na imię. To było oczywiste, że jego synowi musi patronować on, twórca niepodległości, bohater narodowy, wielki naczelnik. Nie czekał. Kiedy Gabije leżała jeszcze w Szpitalu Czerwonego Krzyża w Kownie, półprzytomna po ciężkim, dwunastogodzinnym porodzie, Bolesław był już w drodze do Urzędu Miejskiego w Kownie, by w akcie urodzenia dziecka wpisać imię Józef.

Gabije przez tydzień nie odzywała się do męża. Dotrzymała jednak słowa i uznała prawo ojca do nadania imienia pierworodnemu. Radość ojca nie przełożyła się na entuzjizm w wychowaniu małego Józka. Polityka wchłonęła go jak gąbka. Kobieta wychowywała syna właściwie sama. Oboje zdecydowali, że odejdzie z redakcji i zajmie się dzieckiem. Po piętnastu miesiącach Gabije ponownie zaszła w ciążę. Gorąco modliła się, by Bóg zesłał jej córkę, jednakże ten najwyraźniej miał inne plany. Może trzeba było się modlić do boga katolickiego, pomyślała. Urodził się syn. Tym razem Bolesław nie miał nic do gadania. Nadała mu imię Ugne, w starolitewskim oznaczające ogień. Zwykle nosiły je dziewczynki. Nazwała to kompromisem. Taki układ z kapryśnym bogiem. Gabije wierzyła, że imię da jego synowi siłę i będzie wyznacznikiem jego tożsamości narodowej. Chciała, by Ugne

był inny niż ojciec. W samotności i rozgoryczeniu postanowiła, że zrobi wszystko, by stał się prawdziwym Litwinem. Miała na to dużo czasu. Bolesław przebywał z chłopcami dłużej tylko w niedziele – w drodze do kościoła, podczas mszy i w drodze powrotnej. Wkrótce jednak i to się zmieniło.

W 1929 roku kościół karmelitów pod wezwaniem Świętego Józefa w Kiejdanach objęły sankcje językowe, od tego czasu nabożeństwa w języku polskim zastąpiono modlitwą w języku litewskim[53]. Księża przestali spowiadać po polsku. To był koniec wspólnych niedziel. Bolesław na znak protestu przestał chodzić do kościoła. Coraz częściej przebywał w Kownie. Wstąpił do Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego „Pochodnia”, jedynej organizacji polonijnej, na której działalność zezwalali Litwini. W tym czasie jego dom stawał się coraz bardziej litewski. Chłopcy uczyli się w tym języku, poznawali historię narodu ciemzonego przez Lachów, wchłaniali tradycje i legendy obce kulturze ich ojca. Ta stawała się coraz bardziej odległym wspomnieniem.

Różnili się. Starszy był uczniem wyjątkowym. Po jego recytacjach na apelach w rocznicę odzyskania niepodległości przez Republikę Litewską następowała burza oklasków. Był wzorem, przewodniczącym samorządu uczniowskiego w szkole elementarnej w Kiejdanach oraz gimnazjum Maironisa w Kownie. Brylant, mówili nauczyciele. Ugne był inny. W szkole podstawowej był średniakiem. Po jej ukończeniu pozostał w Kiejdanach i chodził do uważanego za słabe gimnazjum Kėdainių Šviesioji przy Didžioji 62. Urywał się często z lekcji, by popędzić do czerwonego domku nad rzeką, w którym mieszkali jego dziadkowie. To była tajemnica jego i dziadka Janka. Babcia Anna odeszła na początku trzydziestego roku. Byli sami. Wspólne wędkowanie z trzeszczącego pomostu, który wychodził bezpośrednio z ogródka dziadków, było jak wieczne wakacje albo czytanie bajek przed snem. Podobnie jak opowieści o kraju, do którego nie można było wyjechać, o jego historii i potędze, o zaborach i o ojcu, którego nie ma. Dla Ugne nie było nic bardziej emocjonującego. Dziadek zmarł, gdy Ugne zaczynał czwartą klasę gimnazjum. Jednak wtedy wszystko było już inne.

Jego brat Józef już nie miał na imię Józef, ale Josephas. Kilka lat później wstąpił w szeregi Lietuvos vietinė rinktinė[54], tak daleko rozeszły się drogi obu braci. Tymczasem ich ojciec jeszcze przed wojną trafił do więzienia. Aresztowali go 23 maja 1938 roku, gdy stając w obronie młodego

dziennikarza „Dziennika Kowieńskiego”, rzucił się na dwóch krzepkich Litwinów, którzy wtargnęli do redakcji z metalowymi prętami. To było podczas tak zwanego drugiego pogromu Polaków, gdy władze zorganizowały demonstracje antypolskie. Nieopanowany motłoch biegał po ulicach z pianą na ustach, krzycząc: „Bij Polaków!”. To wtedy zdemolowano Gimnazjum Polskie przy ulicy Leśnej, redakcję gazety „Dzień Kowieński”, polską księgarnię Stella przy ulicy Kiejstuta 29, znany zakład fotograficzny Sawsienowicza, cukiernię Perkowskiego i polski klub sportowy Sparta Kowno[55].

Ugne kończył jedenaście lat i myślał o ucieczce. Daleko, najlepiej do kraju, o którym opowiadał dziadek. Marzył, by uczyć się w gimnazjum, w którym nauczyciele będą mówili do niego w języku polskim. Jednak matka miała inne plany wobec młodszego syna. Zanim jeszcze Bolesław trafił do więzienia, podjęła pracę w Kownie. Dzięki wpływom swojego ojca w Ministerstwie Spraw Zagranicznych udało jej się zdobyć etat w Inspektoracie Służby Zagranicznej. Była świetna: zdyscyplinowana, obowiązkowa, kreatywna, a co najważniejsze – lojalna. Doskonale mówiła w trzech językach. Na Litwie wiele osób mówiło po polsku i naturalnie po litewsku, jednak tylko nieliczni tak sprawnie jak ona władali językiem niemieckim. A ten był cenny. Odkąd Litwa zacieśniała współpracę z Trzecią Rzeszą, towarem deficytowym stawali się Litwini znający język Goethego. W ciągu trzech lat awansowała na kierownika wydziału. A miesiąc po aresztowaniu Bolesława przełożeni zaproponowali jej awans. Konsulat Republiki Litewskiej w mieście Stettin w Rzeszy. Bez zastanowienia się zgodziła, po czym pobiegła do koleżanek z Departamentu Zachodniego, by powiedziały jej, gdzie leży to miasto. Pokazały jej na mapie mały punkcik, leżący nieopodal wielkiego rozlewiska, które niemalże łączyło się od północy z Morzem Bałtyckim. O mało nie zemdląca. Bała się i cieszyła jednocześnie. Z wielu powodów była to dla niej rewolucyjna decyzja. Po pierwsze, uwierzyła, że w końcu wyrwie się z tego prowincjonalnego miasta. Po drugie, Ugne miał zmienić klimat. Obawiała się o niego. Wiedziała, że odwiedzał ojca Bolesława, zanim ten umarł, i obawiała się, że miało to na niego za duży negatywny wpływ. Po trzecie wyjeżdżała do Rzeszy – do wielkiego świata, cywilizacji europejskiej, kraju luterańskiego. Miała się znaleźć daleko od męża, Polaków, tej całej biedy. Postanowiła, że radosną informacją podzieli się z synami podczas

uroczystego obiadu z okazji zakończenia roku szkolnego. Josephas przyjechał wcześniej z Kowna. Było to jego ostatnie pożegnanie z gimnazjum, dlatego nauczyciele puścili ich szybciej. Oboje musieli czekać na Ugne, gdyż ten postanowił odwiedzić ojca w więzieniu. Wrócił smutny, właściwie zdruzgotany. Zawsze po wizycie w posępnym budynku przy Mickevičiaus 11 czuł się źle. Był za młody, żeby zrozumieć istotę tego smutku, jednak wiedział, że to wszystko jest nie tak. Do pierogów siadał ze spuszczoną głową. Gdy matka rozemocjonowana zaczęła oznajmiać nowinę, spojrzał na starszego brata, który na tę wieść aż podskoczył na krześle, zrzucając kubek z barszczem. Czerwony płyn rozlał się po wylakierowanych drewnianych deskach. Ugne tęym wzrokiem wpatrywał się w czerwoną plamę, a w głowie wciąż mu dudniło jedno słowo – Stettin...

Josephas nie chciał wyjeżdżać. Wierzył, że nadchodzą czasy wielkich zmian na Litwie, a on będzie ich ważną częścią. Zdecydował się pozostać w Kownie i rozpoczął studia na Uniwersytecie Witolda Wielkiego. Ugne z matką zamieszkali w pięknej kamienicy przy Kronprinzenstraße[56] w samym centrum Stettina, w mieszkaniu nad biurami konsulatu Republiki Litewskiej. Matka zapisała go do prestiżowego Stadtgymnasium Stettin[57], najlepszej szkoły średniej w mieście. Dla Ugne nie miało to żadnego znaczenia. Chłopak był nieszczęśliwy. Nie potrafił znaleźć wspólnego języka z rówieśnikami, którzy uczyli się w jednej klasie od lat, znali, przyjaźnili. Różnił się od nich nie tylko akcentem, kolorem włosów, oczu, lecz także wzrostem. Wyglądał przy nich jak starszy brat, który został po lekcjach, żeby przypilnować młodszego rodzeństwa. I tak też go traktowali – nieufnie, obco. Siedział w ostatniej ławce, by nie zasłaniać innym widoku. Był sam. Na przerwach spacerował po szerokich korytarzach albo ukrywał się gdzieś z tyłu budynku. Jedyłą radość sprawiały mu lekcje szachów i gimnastyki, a właściwie boksu. Pan Johan, nauczyciel sportu, gdy tylko zobaczył, jaki potencjał drzemie w chłopaku, z miejsca zapisał go do klubu lekkoatletycznego Preußen Stettin, do sekcji bokserskiej. Boks nie był popularny tak jak piłka nożna. Uprawiały go głównie dzieci robotników, emigrantów. Nie wymagał specjalnych nakładów finansowych, dlatego większość młodych bokserów stanowiły dzieciaki polskich czy czeskich robotników sezonowych, którzy przyjechali

tutaj, by pracować w stoczniach, fabrykach, cementowniach oraz w drobnych warsztatach rzemieślniczych.

Ugne odkrył nową pasję i dni przestały się dłużyć w nieskończoność. Teraz brakowało mu czasu na wszystko. Zaraz po lekcjach wsiadał na błyszczący rower marki Stoewer Greif V8, który matka otrzymała od samego Bernarda Stoewera, właściciela lokalnej fabryki samochodów, w prezencie na otwarcie konsulatu, i pruł co sił w nogach wzdłuż Barnimstraße[58]. Droga do Preußen-Sportplatz[59] zabierała mu jakieś dwanaście minut. Przebranie i rozgrzewka tyle samo, a układy i techniki kolejną godzinę. Na koniec część, którą Ugne najbardziej lubił – sparing. W myślach zawsze prosił Boga, by trener wystawił mu Niemca. Nie żeby miał uprzedzenia, ot tak, po prostu odreagowywał w ten sposób szkołę. Odzyskiwał spokój ducha, gdy tłukł przeciwnika, który przeklinał po niemiecku.

Po treningu następował zimny prysznic. Potem ruszał rowerem na plac Cesarza Wilhelma[60] na partyjkę albo dwie szachów z przypadkowymi pasjonatami drewnianych figur i biało-czarnych plansz. Najczęściej byli to emeryci, którzy przesiadywali godzinami przy stolikach wokół placu i z pasją rozgrywali kolejne partie pomiędzy sobą albo z podróżnymi, którzy na chwilę zatrzymywali się po wyskoczeniu z tramwaju numer cztery linii Arndtplatz – Cap Cherie/Tiergarten. Po kilku miesiącach młody Galant był na ty z każdym z placowych graczy. Był dobry. Jego partie zawsze gromadziły tłumy gapiów, którzy ustawiali się pod rozłożystymi magnoliami wokół stolika i ze zdumieniem obserwowali, jak trzynastolatek dawał mata za matem starym szachistom. Kółko szachowe oraz nocne studiowanie dwustu dziewięćdziesięciu partii Morphy’ego przyniosły owoce. Tłumaczenie *Szachmatnyje partie P. Morphy*[61] z rosyjskiego zabrało mu jakieś pół miesiąca, ale ostatecznie się opłacało. Roznosił w pył towarzystwo z Kaiser-Wilhelm-Platz. Był szczęśliwy.

Przyszło lato. Treningi bokserskie zawieszono. Matka proponowała mu wyjazd nad morze, ale odmówił. Wolał szachy. Tym bardziej że wygrane w pojedynkach z turystami z Rzeszy się opłacały. Ich jachty, żagłówki, stateczki wycieczkowe oraz największe parowce pasażerskie przybywały do szczecińskiego portu i cumowały przy bulwarach u podnóża Hakenterrasse[62]. Turyści w koszulkach w paseczki i słomianych kapelusikach lub z parasolkami wysypywali się na bulwary. W pełnym

słońcu wspinali się po szerokich schodach na taras widokowy, z którego podziwiali panoramę Odry oraz Lastadie[63]. Wymęczeni wspinaczką w palącym słońcu, ulgę odnajdowali nieopodal, pośród egzotycznych drzew i krzewów w ogrodzie botanicznym i rosarium w Grabower Anlagen[64]. Raczyli się kawą i wyśmienitymi lodami w Parkhausie[65], po czym leniwie docierali do placu, na którym siedział Ugne. Każdy mógł się z nim zmierzyć, wystarczyło wyłożyć jedną markę. Za zwycięstwo nad młodym można było ściągnąć dziesięć marek. Wielu próbowało, do końca wakacji nikomu się nie udało.

Chłopak traktował plac jak swój drugi dom. Przyciągały go zapachy begonii i pelargonii, którymi ogrodnicy miejscy obsadzili ustawione wokół wieże kwiatowe. Nęciła go chęć rywalizacji. Nie przeszkadzały mu nawet przetaczające się przez Friedrich-Karl-Straße[66] kolumny ciężkich wozów bojowych. Był w stanie znieść zgrzyt gąsienic *Panzerkampfenwagen* oraz transporterów i ciągników artyleryjskich, których potężne opony, tłukąc o bruk, tworzyły piekielną symfonię. Od połowy sierpnia stawało się to jednak coraz bardziej męczące. Ciężkie pojazdy w barwach kamuflażowych, z nazistowskimi krzyżami belkowymi na burtach, blokowały przejazd, tworząc korki. Pył i smród palącej się ropy wypłoszył turystów z okolicy. Huk przelatujących nisko junkersów z lotniska w Berlinie potęgował nastrój nadciągającego huraganu, który miał zmienić wszystko. Ugne czuł ten mroczny klimat, nie tylko obserwując kolumny wojska i ciężkiego sprzętu jadącego do portu, lecz także widząc nerwowe zachowanie matki. Ta zamykała się w swoim gabinecie i długimi godzinami rozmawiała przez telefon albo do późnych godzin przesiadywała ze swoimi współpracownikami w zakopconych pokojach konsulatu. Tak było do pierwszego września. Wszystko się wtedy zmieniło. To był pierwszy dzień z tysiąca, które miały zaprowadzić go pod bramy obozu pracy przy ulicy Bandurskiego w Szczecinie.

[50] Lauda – kraina nad rzeką Laudą, tworząca trójkąt między Kiejdanami, Poniewieżem i Szawłami. Na początku XX wieku obszar ten zamieszkiwało 200 tysięcy osób narodowości polskiej. Stanowiły 55 procent ludności tych ziem. Zaściankowa szlachta laudańska wiodła raczej skromny żywot i poziomem życia niewiele różniła się od chłopstwa. Charakterystyczną cechą Laudy była i jest dwujęzyczność. Duży wpływ

na to miała znaczna popularność zawierania małżeństw mieszanych, polsko-litewskich, która m.in. doprowadziła do dosyć szybkiej lituanizacji ludności po 1920 roku. Źródło: *Polacy na Wschodzie. Historia mówiona*, <http://www.polacynawschodzie.pl>.

[51] Józef Piłsudski, *Myśli, mowy i rozkazy*, Warszawa 1989.

[52] „Kauno Naujienos” – litewski dziennik wydawany od 1925 roku

[53] Krzysztof Buchowski, *Polacy w niepodległym państwie litewskim 1918–1940*, Białystok 1999.

[54] Litewski Korpus Lokalny – kolaborancka litewska formacja zbrojna działająca podczas drugiej wojny światowej na terytorium okupowanej Litwy.

[55] Krzysztof Buchowski, *Polacy w niepodległym...*, dz. cyt.

[56] Kronprinzenstraße – obecnie ulica Rayskiego, numer kamienicy 23

[57] Stadtgymnasium Stettin – obecnie I Liceum Ogólnokształcące im. Marii Skłodowskiej-Curie

[58] Barnimstraße – obecnie aleja Piastów

[59] Preußen-Sportplatz – dziś Miejski Stadion Lekkoatletyczny im. Wiesława Maniaka w Szczecinie

[60] plac Cesarza Wilhelma – obecnie plac Grunwaldzki

[61] G. Maroczy, *Szachmatnyje partie P. Morphy*, 1929.

[62] Hakenterrasse – obecnie Wały Chrobrego

[63] Lastadie – Łasztownia

[64] Grabower Anlagen, park Grabowski – obecnie park im. Stefana Żeromskiego

[65] Parkhaus – dawny lokal gastronomiczny, dziś hotel Park

[66] Friedrich-Karl-Straße – obecnie ulica Piłsudskiego

Kości się wysypały

Niebuszewo, Szczecin, sierpień 1957 roku

W suterenie budynku komendy miejskiej Szczecin Niebuszewo panował twórczy chaos. Byli tu wszyscy. Lwowiak siedział przy ławie, na której piętrzyły się sterty teczek. Część z nich była otwarta, inne leżały na kilku kupkach. Obok papierów stały odczynniki i aparatura, która wcześniej znajdowała się w laboratorium. Wajda co jakiś czas z leżącej na podłodze drewnianej skrzynki wyciągał kolejne elementy odzieży: strzępy przypominające sukienkę, nogawkę spodni, pasek od zegarka...

Obok przy biurku Ferenc przyglądał się ludzkiemu szkieletowi, który zajmował cały blat i wyglądał jak ułożony z puzzli. Stół nie miał więcej jak półtora metra długości, zatem szkielet musiał należeć do dziecka. Doktor od czasu do czasu unosił za pomocą specjalnej pęsety element układanki i zbliżając go do światła lampy, obracał i przyglądał się mu z uwagą. Jeżeli go coś zainteresowało, zapisywał to w zeszycie.

Basia siedziała po turecku na kanapie z telefonem w jednej dłoni, w drugiej trzymała akta jakiejś sprawy. Krzyczała do słuchawki.

W pewnej chwili z trzaskiem otworzyły się drzwi i do środka wtoczył się Galant. Nie utrzymał równowagi i upadł na dwie albo trzy drewniane skrzynki, które stały na schodach. Z rozbitych skrzyń wysypały się kości.

– Co tu się, kurwa, dzieje? Co to jest?! – wybełkotał.

Basia powstrzymała go stanowczym ruchem ręki, który, jak nietrudno było się domyślić, oznaczał, by poczekał, aż skończy rozmawiać przez telefon. Doktor i lwowiak spojrzeli na leżącego Galanta, po czym jak gdyby nigdy nic wrócili do swoich czynności. Milicjantka odłożyła słuchawkę. Ugne wstał, ale musiał się chwycić stołu, by ponownie nie znaleźć się na podłodze. Zaduch, wilgoć i smród kości przyprawiały go o mdłości.

– Widzę, że towarzysz porucznik miał ciężką noc – skomentowała kpiąco Basia. – Nie było z tobą kontaktu przez dwa dni. Nie interesuje mnie, co robisz w życiu prywatnym, ale my tu pracujemy. Nie przychodź w takim stanie. Zaraz towarzysz Wajda cię odwiezie.

– Nie – odparł Ugne i zaczął zbierać szczątki kości, pogruchotane czaszki, piszczele i drżącymi dłońmi wkładać je z powrotem do skrzynki. – Wypiję mocną kawę, a ty mi opowiesz, co przez te dwa dni spierdoliliśmy, że przenieśli nas do sekcji grabarzy.

Basia starała się ukryć uśmiech. Dystans i autoironia. To go różniło od tych dziesiątków facetów, których spotkała na swojej drodze. Po chwili jednak przypomniała sobie, jak jest na niego wściekła. Dwa dni bez znaku życia, a tu tyle nowych rzeczy się pojawiło.

– Ugne...

– Dobrze, dobrze, usiądę w kuchni, zrobię kawę, poczytam, a później mi powiecie, co straciłem. – Rozejrzał się po stertach teczek, które leżały przed Wajdą. – Dajcie coś do czytania!

Basia wstała z kanapy i sięgnęła do skórzanej aktówki, która leżała na krześle. Wyciągnęła z niej kilka szarych teczek z czerwonym pasem pośrodku i napisem „ściśle tajne”.

– Dostałam to od majora. Nie pytaj, dlaczego o tym nie wiedzieliśmy.

Podawała dokumenty zaskoczonemu koledze. Ugne usiadł na kanapie. Wyciągnął nogi na środek pomieszczenia i zwrócił się do dziewczyny:

– Zrób kawę, dobra kobieto.

Uśmiech wykrzywił jego zarumienioną i pokrytą jasnym zarostem twarz. Basia spojrzała na Galanta z wyrzutem, ale pod wpływem jego błagalnego wzroku skierowała się do kuchni. Ugne sięgnął po pierwszą teczkę. Na lekko zniszczonej okładce z rozprutymi brzegami wielkie litery oznajmiały: „Akta w sprawie karnej”. Niebieskim flamastrem dopisano: „Józef Cyppek osk. z art. 225 Kodeksu karnego”. Ugne otworzył teczkę. Na oko jakieś dwieście stron. Dokumenty leżały luzem, niechronologicznie. Pierwsza była notatka sierżanta Zygmunta Woźniaka z godziny 23.40. Galant przysunął się do okna i zaczął czytać:

Dnia 11.IX.1952 r. zgłosił się o godz. 20.30 do tut. Komis. M.O. w Szczecinie ob. Jarosz Józef, zam. Szczecin, ul. Wilsona 7/2, który to zameldował, że przybył z pracy wieczorem i w mieszkaniu nie zastał swej

żony, oraz stwierdził brak pierzyny, koca, prześcieradła z pokoju sypialnego, oraz garnitur i zegarka, po rozpytaniu i upewnieniu się, że nie było żadnych nieporozumień pomiędzy małżeństwem, udałem się na miejsce, gdzie stwierdziłem na podstawie zeznań rozpytanych osób, jak Szafernoga Józefa, zam. Szczecin ul. Sportowa nr 2 m. 7, która zapodała, że o godz. 14.00 11.IX.52 r. przybyła do znajomej Jarosz Ireny, drzwi mieszkania zastała zamknięte, gdy poczęła dzwonić, nikt się nie odzywał, a jedynie słyszała płacz dziecka, gdy wzięła za klamkę, drzwi otworzyły się i weszła do mieszkania, gdzie to zastała w nim jedynie płaczące dziecko, natomiast Jarosz Ireny w domu nie było, za którą to czekała do godz. 16.00, gdy ta nie przychodziła, zabrała dziecko do siebie, drzwi zamknęła na klucz, jaki znajdował się w drzwiach od strony wewnętrznej, i powiadomiła sąsiadów, by powiedzieli, że dziecko znajduje się u niej, gdy ktoś przyjdzie. Następnie ob. Tonder Wanda, zam. Wilsona 7 m. 12, podała, że rozmawiała z Jarosz Ireną o godz. 9.00 i od tego czasu jej już nie widziała. Ja poleciłem wówczas, by Jarosz Józef sprawdził u krewnych, czy nie ma tam jego żony, co zostało wykonane z wynikiem negatywnym. Jak dalej dowiedziałem się z rozmów sąsiadów, to pod zapodanym adresem m. 3 odbywała się libacja, gdzie wówczas nasunęło mi się podejrzenie, że Jarosz I. mogła zostać tam zaproszona, upita do utraty przytomności i zgwałcona, gdzie to wystąłem w celu kontroli 4 funkcjonariuszy M.O. wraz z Kier. Ref. IV. st. sierż. Krupeckim, którzy to powrócili po paru minutach i oświadczyli mi, że w mieszkaniu jest ciemno i nie ma tam nikogo, lecz obecny z funkcjonariuszem Jarosz Józef rozpoznał przez okno swoją pierzynę, co też ja poleciłem im obserwować dane mieszkanie i o ile zgłosi się tam ktoś, by dał natychmiast znać, gdzie to około godz. 22.30 otrzymałem wiadomość, że właściciel tegoż mieszkania jest, ja ponownie natychmiast wystąłem 3 funkcjonariuszy jako d-ą sierż. Koryzmą A. z zadaniem przeprowadzenia kontroli, co za osoby znajdują się w mieszkaniu, wylegitymowania ich i ewentualnego doprowadzenia do komisariatu M.O. Po upływie około 15 minut od wysłania funkcjonariuszy zostałem powiadomiony telefonicznie z kina Młoda Gwardia, że pod zapodanym adresem znajdują się zwłoki kobiety poćwiartowane. Gdzie natychmiast powiadomiłem Kierownika Komis. M.O. i Z-cę, oraz powiadomiłem dyżurnego K-ndy M.O. m. Szczecina.

Ugne sięgnął po kolejny dokument. Był to protokół oględzin miejsca zbrodni sporządzony 12 września 1952 roku o godzinie 14.30.

Ja chor. Mazela Tadeusz z Komendy M.O. w Szczecinie w celu utrwalenia śladów i dowodów przestępstwa [...] przy udziale protokolanta sierż. Fijałkowski Zygmunt, przedstawiciele Prokuratury Łojko Bolesław, Ogrodziński Stefan, dokonałem oględzin w dwóch pokojach, jednej kuchni i przedpokoju prowadzącego bezpośrednio do kuchni i pokoi, przy czym ustaliłem, co następuje: Wejście do przedpokoju z oknami naprzeciw budowane jest pod klatką schodową z pochyłością na schody. W przedpokoju na wzniesieniu murowanym pod klatką schodową znajdują się trzy butelki po piwie „Porter”, półlitrowe butelki od wódki, butelka po lemoniadzie, stare żelazko do prasowania na ogień oraz puszka blaszana prawdopodobnie po landrynkach, w której znajdują się dwie butelki ćwierćlitrowe, i na dnie tych butelek widać, że wódka była zaprawiana. Z lewej strony przedpokoju jest wejście zamykane drzwiami, w którym jest brak drzwi wejściowych, i naprzeciwko drzwi wejściowych do kuchni są drzwi prowadzące do pokoju. Po prawej stronie drzwi wejściowych do kuchni znajdują się zlew żelazny z kranem niklowym, na którym to zlewie znajdują się rozpryski czerwone o wyglądzie krwi, następnie obok zlewu stoi umywalka, na której to z prawej strony widnieją drobne plamy krwi. Z lewej strony drzwi wejściowych z kuchni do pokoju stoi stołeczek drewniany malowany na czerwono, na którym to znaleziono nożyk kuchenny z rączką drewnianą, na którego ostrzu są jakieś ślady przypalenizny i prawdopodobnie pochodzą one z przypalonego tłuszczu. Nożyk ten zabezpieczono jako dowód rzeczowy. Pół metra dalej od tego stołka znajduje się: kuchnia kaflowa z zawieszonymi dwiema blachami, na której to znajduje się elektryczna kuchenka, trzy rondle, jeden garnek oraz kubeczek emaliowany. Tuż obok kuchni stoi drewniana półka z czterema przegródkami i na wierzchni[ej] półce znajduje się miseczka emaliowana objętością około pół litra, w której to w środku jest lejek i około pół miseczki cieczy o zabarwieniu czerwonym [-] wygląda to na pozostałości kawy lub płukania krwi. Przy dotyku ciecz ta jest lepka. Na dole tejże półki znajduje się maszynka do mielenia mięsa, która posiada znaki po przemielonym jakimś tłuszczu. Obok tejże półeczki stoi kredens kuchenny kombinowany, gdzie na samej podstawie tego kredensu znajdują się cztery ogórki surowe

w łupinie, pół chleba z piekarni Stanisława Kotkowiaka, zam. Wilsona nr 5, na dole tej etykiety jest dopisek chleb łódzki jeden kilogram, następnie obok stoi pięć torebek z cukrem i kawami częściowo rozsypane. Następnie na pomocniku w kredensie [...] na talerzu fajansowym znajduje się wątroba 1 kg, na drugim talerzyk znajduje się kawałek masła i serce ludzkie, na dalszych górnych półkach znajdują się szklanki. Obok kredensu znajduje się stolik kuchenny, na którego wierzch porozrzucane w nieładzie jest pięć butelek po piwie porter, jedna butelka jedna czwarta litra po wódce zwykłej, w której znajdują się resztki po zaprawie, obok tego na patelni znajduje się resztką niedojadłej jajecznicy na łyżeczce z jakimś tłuszczem. Jajecznicę tę zabezpieczono celem zbadania chemicznego, następnie na stole znajdują się dwa kieliszki i szklaneczka 50 gr, trzy łyżeczki od herbaty, nóż stołowy i szpilorek prawdopodobnie służący do otwierania wódki i piwa, talerz białej pasty z resztkami pomidorów i cebuli, spodeczek, na którym znajduje się kawałek chleba posmarowany szmalcem, puszka po konserwie, w której znajduje się sól, cukierniczka z cukrem, włoszczyzna do rosółu, kawałek surowego mięsa wołowego, popielniczka z niedopałkami papierosów, w której znajduje się korek, oraz trzy korki luzem, z których jeden jest od wódki, stół ten obstawiony jest trzema krzesłami, z czego wynika, że trzy osoby musiały brać udział w libacji. Na ścianach kuchni i futrynach drzwi wejściowych do kuchni widnieją drobne odpryski krwi, jak również na szybie od kredensu, a w rogu ściany od kredensu od stołu długości około 2 m, wysokości 1 m widnieje wyraźny znak na ścianie, w miejscu byłaby zmywana. Krzesło stojące między stołem a kredensem jest powalane krwią, i widać, że było ono zmywane. Następnie dokonano oględzin pierwszego pokoju, gdzie stwierdzono dwie leżanki i łóżko z materacem bez nakrycia, szafę białą, na półkach znajduje się bielizna damska i męska, oraz na wieszakach garderoba damska, oraz płaszcz damski. Na stole w pokoju leżała torebka damska stara, w której znajdują się różne dokumenty w języku niemieckim. W następnym pokoju znajdują się dwie kanapy postawione do ściany przeciwległej do drzwi wejściowych, pod kanapą znajdującą się bliżej drzwi wejściowych jest rozlana krew na przestrzeni pół metra kwadrat, na drugiej kanapie znajdują się zwłoki kobiety z odciętymi rękami i nogami oraz głową, z wyjętymi wnętrznościami. W środku znajduje się lewa nerka, przy tym z lewej strony wejścia do pokoju przy szafie znajdują się dwoje rąk ludzkich przeciętych w okolicy łokci oraz 1.

udzie bez goleni i stopy, za drzwiami pod oknem znajduje się wiadro napętnione wnętrznościami i krwią, obok wiadra znajduje się wanienska poplamiona krwią, postawiona obok okna znajduje się półka, na której znajduje się książka w języku niemieckim w czerwonych okładkach. W książce tej w środku są poplamione kartki starą zeschniętą krwią, na sznurze rozciągniętym w pokoju wiszą dwie dziecinne sukieneczki i majteczki, pod oknem od strony ulicy znajduje się 6 par ubrania damskiego rzuconego na kupę w nieładzie.

Na tym protokół zakończono.

Ugne podniósł wzrok na stojącą przed nim milicjantkę. Trzymała w ręku blaszany kubek. Przez panujący w środku pomieszczenia zaduch i stęchliznę kości, strzępów ubrań, przeżartych wilgocią teczek z dokumentami, przedarł się zbawienny aromat kawy. Milicjant chwycił drżącymi dłońmi naczynie, ale nie mogąc go utrzymać tak, by nie rozlać zawartości, postawił na podłodze.

– Za gorące – bąknął nieprzekonująco pod nosem i wrócił do lektury.

W toku dalszej rewizji w mieszkaniu oskarżonego Cyppka Józefa ujawniono leżące na kanapie pokawałkowane zwłoki płci żeńskiej, które rozpoznał ob. Jarosz jako zwłoki jego żony Ireny po ogólnym wyglądzie i budowie.

Ugne przerzucił kolejną kartkę.

Protokół oględzin zwłok Ireny Jarosz z dnia 11 września 1952 roku.

Sposób poćwiartowania zwłok – jednorazowe cięcia, bez powtórzeń, równo w stawach i wydobywanie narzędzi wewnętrznych świadczą o pewnej fachowości sprawcy, wprawnej technice cięcia.

Do protokołu oględzin zwłok załączono grafikę przedstawiającą ludzką postać z liniami, na których zaznaczono miejsca, gdzie ciało kobiety zostało rozczłonkowane przez Józefa Cyppka.

Następna kartka. Ugne rzucił okiem na zdanie podkreślone czerwonym mazakiem: „Brak głowy – nie wiadomo więc, co było przyczyną śmierci” – dopisek kolejnego z lekarzy.

Galant z pasją przelatywał wzrokiem po kolejnych dokumentach. Kolejne strony zawierały czarno-białe zdjęcia przedstawiające miejsce zbrodni. Każdemu towarzyszył opis: „Pierzyna państwa Jaroszów, znaleziona w domu Cypka”, „Kuchnia w mieszkaniu Józefa Cypka”, „Odrąbane części rąk z dłońmi leżące pod stołem obok wiadra z ludzkimi wnętrznościami”.

Następna kartka. *Protokół przesłuchania podejrzanego Józefa Cypka z dnia 13 września 1952 roku.* Przebiegł po tekście, zwracając szczególną uwagę na zdanie podkreślone na czerwono.

Wyjaśniam, iż morderstwa tego dokonałem dlatego, ponieważ chciałem mieć z Jarosz Irena stosunek płciowy, a ona mi odmawiała, wobec czego upatrzyłem moment, gdy ta wykręciła się twarzą do ściany i złapałem obok leżący młotek [...]. Po zadaniu jej ciosu upadła ona na podłogę, wówczas zadałem jej jeszcze dwa ciosy, gdy zauważyłem, że jeszcze żyła. Moim celem było zamordowanie Jarosz Ireny po to, aby następnie ją pokochać, to zn. mieć z nią stosunek. Dawno już myślałem o Jarosz, gdyż od momentu, gdy zamieszkałem przy ulicy Wilsona i zobaczyłem ją, to od razu mi się spodobała [...]. Wyjaśniam, że po dokonaniu morderstwa odstąpiłem od pierwszego planu zakopania trupa na cmentarzu, gdyż nie miałem szufli do kopania w ziemi.

Na kolejnych kartach spisano protokoły przesłuchania sąsiadów. Jeden dokument wyróżniał się spośród nich. Był to wniosek o utajnienie sprawy.

Ugne zwrócił uwagę na inny zakreślony na czerwono fragment: „Okoliczności popełnionego przestępstwa przez oskarżonego Cyppek Józefa mogłyby wywołać niepokój publiczny”. Pod wnioskiem podpis: „Wiceprokurator Wojewódzki Franciszek Muszyński”.

Kolejny dokument: *Akt oskarżenia przeciwko Cyppek Józef z 15 września 1952 r.* Trzy strony maszynopisu. Następny – wyrok z dnia 17 września 1952 roku. Sentencja podkreślona na czerwono: „Kara śmierci przez powieszenie”. I ostatnia kartka: *Notatka z Prokuratury Generalnej.* Zawiadomienie informujące, że Prezydent RP Bolesław Bierut nie skorzysta z prawa łaski[67].

Na samym końcu do akt podłączono spinaczem dużą, szarą kopertę. Ugne oderwał jej krawędź. W środku była notatka milicyjna, decyzja

Wojewódzkiego Urzędu Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk w Szczecinie oraz „szczotka” egzemplarza „Kuriera Szczecińskiego”. Milicjant odczytał datę – 19 września 1952 roku. Dokumenty dotyczyły „zdjęcia” przez cenzora materiałów o morderstwie na Wilsona 7. Notatka zawierała informację o przeszukaniu redakcji „Kuriera Szczecińskiego” i zatrzymaniu do wyjaśnienia towarzysza Adama Komorowskiego na podstawie decyzji prokuratora Muszyńskiego. Ugne rzucił okiem na podpis. Dokument sporządził kapitan Łuczenko. Owca

Galant wrócił do gazety. Spojrzał na okładkę. Była nietypowa. Nie było zajawek, horoskopów i pogodynek, tylko jeden tekst z wielkim tytułem: *Kara śmierci dla rzeźnika z Niebuszewa*, pod nim jeszcze nagłówek: „Niemiec kozłem ofiarnym?”. Trzy szpalty tekstu oraz zdjęcia. Fotografie przedstawiały kamienicę na Wilsona 7, gdzie mieszkał Cyppek, oraz dwa zdjęcia z miejsca zbrodni. Ugne przebiegł wzrokiem po tekście. Dotarł do końca. Wyjął notatnik i zapisał imię i nazwisko, które znalazł pod artykułem: Adam Komorowski.

Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął zmiętą paczkę. Przez chwilę ugniatał tytoń w poskręcany papierosie, wpatrując się w kości wystające z jednej z drewnianych skrzyń, przy których gmerał Ferenc. Wstał i podszedł do Wajdy.

– Daj ognia.

Wajda wyciągnął zapalki i podał milicjantowi. Ugne przypalił papierosa. Zapach siarki zakłócił smród panujący w pomieszczeniu. Pochylił się i podniósł kubek z kawą. Była zimna. Wypił do połowy i zaciągnął się głęboko.

– Czytaliście to?

Przesunął wzrok na lekarza i lwowiaka. Obaj przytaknęli. Rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Co tu się właściwie dzieje?

– Nie czytałeś akt? – Basia usiadła na krześle i położyła nogi na stole. – Wyciągnęliśmy z ziemi wszystko, co zakopano, by zapomnieć o sprawie. Sucharkowi widać zależy. Ekshumacje w dwa dni? Uwierzysz?

Doktor Ferenc odłożył część miednicy na stół, zdjął okulary i przetarł oczy.

– Sprawdzamy, co się da. Ślady tubokuraryny. Porąbane albo wycięte kości. Ślady obróbki mechanicznej. Na stole albo w skrzyniach mamy

resztki tych dziewczynek z Niebuszewa, kości z morderstwa w pociągu znalezione w walizce, sukienki kobiet z wysypiska na Gołęczynie, do których udało się dokleić kości z plaży – recytował jak w transie Ferenc. – No i te wszystkie dziecięce czaszki, które wyłowiono z Rusałki. Poza tym kilka skrzyń enenów, których nie połączyliśmy z żadną sprawą.

Ugne stał jak wryty. Próbował to wszystko jakoś poukładać, posegregować, usystematyzować, ale nie potrafił. Być może to kac? Przecie przez dwa dni nic nie jadł, tylko pił. Może to ten zaduch, trupi jad, zamrocył mu umysł? A może po prostu za dużo informacji na raz? Mózg nie radził sobie z analizą. Nie, to nie to. Brakowało mu danych, informacji. Dlatego nie rozumiał, co ci ludzie do niego mówili. Wskazał na teczki rozrzucone na kanapie.

– To wszystko tu jest?

– Wszystko, co dostałam od majora – wyjaśniła Basia, obserwując, jak obłąd odciska swoje piętno na wyniszczonej twarzy milicjanta. – I kilka dodatkowych spraw, które wygrzebał Wajda, a które mogą mieć związek z naszymi kurucjuszami. Mamy też zeznania członków rodziny tych, którzy zeszli na kuru.

– Kurucjuszami?

Ugne nie spuszczał wzroku z akt.

– Naszymi ofiarami kuru, poruczniku. Nie zapomniałeś, jaką sprawę badamy? – Basia podeszła do wysokiego milicjanta i położyła mu rękę na ramieniu. – Chyba jednak przyda ci się odpoczynek.

Galant odwrócił się do milicjantki.

– Nie, nie. – Przetarł twarz, jakby chciał zerwać niewidzialną pajęczynę. – Mam spotkanie z barmanem.

– Z jakim barmanem?! – Basia złapała go za koszulkę i przyciągnęła wściekła do siebie. – Galant, nie będziesz od rana pił!

– Zaraz, zaraz! – Doktor poderwał się z krzesła. – Ugne ma rację. Umówiliśmy się w Turczynce z barmanem. Może coś wiedzieć.

Basia puściła koszulkę milicjanta. Ugne zerknął na Ferencą.

– Jakie my?! Ty zostajesz w tym smrodzie i liczysz kosteczki, doktore.

Ferenc spojrział błagalnym wzrokiem na Galanta.

– Ale, Ugne, przecież razem byliśmy...

Basia zdecydowanie przerwała Ferencowi:

– Porucznik ma rację, to są sprawy milicji, proszę wrócić do analizy, doktorze.

Milicjant uśmiechnął się przekąsem, dopił kawę, zaciągnął się resztką papierosa, a kiepa zgasił w metalowym kubku.

– Aha, jeszcze jedno, Wajda. Sprawdziłeś, co z tymi śladami tubokuraryny?

– Tak. Choć bez doktora by się to nie udało – odpowiedział lwowiak i puścił oko do Ferenc.

– Dobra, dobra, bez lizania się po jajach. Co ustaliliście?

– Miałeś rację, poruczniku. – Ferenc umieścił ołówek za uchem i przyjął pozycję wykładowcy. – O dziwo udało się wyodrębnić śladowe ilości tubokuraryny w szczątkach tych dzieciaków wyłowionych z Rusałki oraz szczątkach tych kobiet z Golęcina. To na pewno. Nie mam pewności co do dziewczynek ze skrzyń z Niebuszewa, ale jeszcze musimy nad tym posiedzieć.

– To bardzo dobra wiadomość, doktore.

Ugne uśmiechnął się i ruszył w kierunku wyjścia.

– Aaa, jeszcze jedno...

– Tak, tak – uprzedził pytanie lwowiak. – Sprawdzałem, gdzie trafiały pochodne tubokuraryny. W Polsce nie wiedzieli albo nie chcieli mi udzielić takiej informacji. Odesłali do Ministerstwa Przemysłu Chemicznego. Okazało się, że lekarstwo to jest objęte ścisłą ewidencją, jakimiś restrykcjami w obrocie. Na szczęście znam tam jednego naczelnika... Okazuje się, że od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego do Szczecina trafiła tylko niewielka ilość tego związku.

– Wajda, gdzie?!

– Do Pomorskiej Akademii Medycznej.

– Do kogo?!

– To muszę jeszcze sprawdzić.

– To na co czekasz, towarzyszu? Nie wiesz, że „każdy procent ponad plan ciosem w podżegaczy wojennych” – zacytował zdanie z popularnego plakatu Ugne. – Do roboty, lwowiak!

Otworzył drzwi i wbiegł po schodach, by zatrzymać się w pół kroku. Przytrzymał drzwi, odwrócił się jeszcze i krzyknął:

– Ferenc, mówiłeś o dziewczynach z Golęcina?!

– Gadaj z lwowiakiem, on mi znosi te skrzynie ze szczątkami.
Wajda podniósł głowę znad papierów.
– Nie. Mówiłem o sukienkach tych dziewczyn znalezionych na Golęcinie oraz o kościach, które wypłynęły z Odry...
– Gdzie na Golęcinie?
– No sukienki gdzieś w śmietniku... chyba na Świętojańskiej, niedaleko Wzgórza Kupały, a kości przy jednej z przystani. Przy Grobli czy jakoś tak. Wszystko jest w dokumentach.
– Dobra, sprawdzę to, a ty podjedź do redakcji „Kuriera Szczecińskiego” i pogadaj z tym Komorowskim, wygląda na to, że musiał być dobrze poinformowany.
– Jak to ja? – Lwowiak wbił wzrok w Romanowską. – Przecież ja mam tu kupę roboty, ja stąd nie wychodzę, ja...
– Galant ma rację, sierżancie. Porozmawiajcie z tym dziennikarzem, tylko dyskretnie, ja wezmę sprawę tych dziewczyn. – Basia pośpiesznie podniosła jedną teczkę z podłogi. – Czeka mnie spotkanie z kierownikiem Bajki. Musi mi wyjaśnić, dlaczego nie zgłosił zaginięcia tych dziewczyn.
– Dziewczyn? – Ugne skrzywił się w szyderczym uśmiechu.
– Galant, nie masz czegoś do zrobienia?
Basia podeszła do milicjanta i pchnęła go w pierś.
– Już!
Ugne zawrócił. Zebrał dwie tečky z kanapy i zapakował je do chlebaka. Machnął ręką na pożegnanie i wybiegł z zatęchłej suteryny, pozostawiając za sobą jedynie zapach niedopalonego giewonta.

[67] Więcej na temat sprawy Józefa Cypka zob. Jarosław Molenda, *Rzeźnik z Niebuszewa. Seryjny morderca czy kozioł ofiarny władz PRL-u?*, Poznań 2019 oraz Marcin Czarnecki, *Józef Cyppek – rzeźnik z Niebuszewa*, „Tropiciele Historii”, 3.03.2020, <https://tropicielehistorii.pl/jozef-cyppek-rzeznik-z-niebuszewa/>, dostęp: 5.01.2023.

23
Julia

Jechał szybko. Skręcił w lewo obok ryneczku na placu Kilińskiego. Przez chwilę zastanawiał się, czy przystanąć i wyskoczyć na setę. Spojrzał w lewo, przed zielonym barakiem już ustawiała się kolejka chętnych. Nie, jeszcze nie teraz, pomyślał. Załatwi sprawę i wróci. Spotkanie z barmanem nie powinno trwać długo. No tak, ale gdy wróci na komisariat, Basia wyczuje. Pewnie nic nie powie, ale spojrzy tymi swoimi wielkimi, czarnymi oczami. Te jej oczy. Nie pamięta, kiedy ostatni raz myślał o kobiecie w ten sposób. Czyżby mu zależało? Nie, nie może pozwolić sobie na to, by mu zależało. Obiecał sobie, że już nigdy na nikim nie będzie mu zależało.

Kiedy ostatni raz był z kobietą? Nie, kurwy się nie liczą. Zaraz, to nie może być aż tak dawno. Tak, to było tuż po wojnie, gdy Niemcy uciekli z obozu. Nie, wtedy jeszcze nie uciekli. Jak ona się nazywała? Julia. Tak Julia Walkowiak. To był jego pierwszy raz, właśnie skończył siedemnaście lat. Jeszcze zanim weszli Ruscy. Przywieźli ją pod koniec czterdziestego trzeciego. Długie jasne włosy, piwne oczy i kształtne piersi. Te piersi. Miesiącami o niczym innym nie myślał, tylko o tym, co się kryje pod szarą koszulą z wielkimi guzikami, na której niedbale naszyto literkę P. Wypatrywał jej. Była starsza. Wyglądała na dwadzieścia dwa, może trzy lata. Mijali się, gdy kobiety w kolumnie maszerowały do pracy w polu, a on z innymi mężczyznami wracał z pracy w stoczni Oder Werke. Patrzyli na siebie. Z początku ich wzrok odnajdywał się przypadkiem. Uśmiechali się do siebie. Po kilku tygodniach wyszukiwali się w tłumie. Po miesiącu ustawiali się tak, by podczas mijania móc dotknąć się końcówkami palców. Raz udało mu się podejść do baraku kobiecego i przez okno podać jej kawałek kiełbasy, który dostał od Helmuta w stoczni. Była wdzięczna. Wychyliła się i pocałowała go w policzek. Obóz przestał już być miejscem, z którego chciał uciec.

Podczas któregoś z bombardowań alianckich zapalił się jeden barak strażników, a po nim kolejne. To było 25 sierpnia 1944 roku wieczorem. Doskonale zapamiętał tę datę. Wszyscy biegali po całym obozie w poszukiwaniu wiader z wodą. Odgłos syren alarmowych i wycie psów potęgowały chaos. Teraz albo nigdy. Biegł przez środek obozu, pośród wybuchów i jęzorów ognia, które pożerały kolejne drewniane budynki. Gnał w rytm odgłosu, który wydawał ciężki karabin maszynowy wypuszczający serie pocisków smugowych w kierunku nocnego nieba. Spojrzał do góry na siedmiometrową wieżę strażniczą, z której dochodził turkot wystrzałów. W ciemności tańczyły słupy światła. Ugne domyślił się, że to potężne szperacze obrony przeciwlotniczej umieszczone na Lastadie przebijały się przez balony zaporowe zwisające nad portem i przeczesywały czerni nieba w poszukiwaniu lancasterów. Ryk tych maszyn rozdzierał niebo nad Szczecinem. W pewnym momencie niebo zamieniło się w kaskadę fajerwerków i ognistych kropek, które zaczęły się rozwijać jak pąki kwiatów na wiosnę. Po kierunku, z którego uderzano, zorientował się, że to obrona przeciwlotnicza ze Skórczej Góry i Stettiner Straße na Warszawie waliła z flaków[68]. Rozpoznawał ich odgłos.

Potężna eksplozja rzuciła Ugne na ścieżkę. Podniósł się. Huczało mu w głowie. Przez chwilę stał, próbując dojść do siebie. Zrozumiał, że jest w żeńskiej strefie obozu. Otrzepał się z piachu i błota i ruszył przed siebie. Z baraków wybiegały kobiety. Niektóre miały w rękach buty, inne sukienki i bluzki. Część z nich, półnaga, wbiegała z powrotem do baraków, do których nie dotarła jeszcze fala ognia. Chwytały, co było pod ręką, i wybiegały na zewnątrz. Galant zatrzymał się przed barakiem numer siedem. To był jej barak. Dach stał w płomieniach, ale ogień nie dostał się jeszcze do środka. Z okien wydobywał się dym. Próbował otworzyć drzwi, ale były zatrzaśnięte. Ze środka dochodziły krzyki. Niektóre kobiety próbowały wydostać się przez okna, ale były umieszczone zbyt wysoko, by jedna osoba mogła się na nie wspiąć. Ogarnięte paniką wdrapywały się jedna na drugą i zrzucały wzajemnie.

Ugne rozejrzał się dookoła. Cofnął się do prowizorycznego szlabanu, obok którego stała budka strażnicza oddzielająca część żeńską obozu od męskiej. Zajrzał do środka. Na haczyku wisiał płaszcz przeciwdeszczowy, a pod nim, oparty o ścianę, stał karabin Mauzer. Najwyraźniej strażnik w panice zapomniał zabrać go ze sobą. Wiedział, że jeżeli choćby dotknie kolby

karabinu, zawiśnie. Nie zastanawiał się długo. Chwycił broń i pobiegł do baraku. Już nie tylko dach płonął, ale również część tylnej elewacji. Ugne zamachnął się i uderzył z całej siły kolbą w drzwi. Deski pękły. Kolejne uderzenia i po chwili objął go gęsty dym. Nagle ze środka zaczęły wybiegać przerażone kobiety. Nie zwracały na niego uwagi, objęły go. Upadł na bok. Złapał się jakiejś pryczy i podniósł z wysiłkiem. Dym szczypał w oczy i nie pozwalał oddychać. Kaszląc, szedł do przodu. Wiedział, że prycza Julii jest na samym końcu, tam gdzie ogień.

– Julia! Julka! Odezwij się, proszę!

Ugne szedł po omacku. Dotarł do końca budynku. Ogień nie pozwalał mu zbliżyć się do ostatniej pryczy. Priczy Julki. Zaczęło mu się kręcić w głowie, a kaszel nie pozwalał złapać oddechu. Upadł na kolana.

– Jul... ka!

Wiedział, że jeżeli się nie odwróci i nie zacznie pełznąć w stronę wyjścia, to już tu zostanie. Nagle poczuł czyjąś dłoń na swoim kolanie. Pochylił głowę. Pod pryczą leżała ona. Właściwie nieprzytomna. Ostatkiem sił zdołała wyciągnąć dłoń spod łóżka. Ugne nadludzkim wysiłkiem podniósł się i złapał dziewczynę za nogi. Wyciągnął nieprzytomną na środek pomieszczenia i unióś. Ogień zaczął obejmować kolejne prycze. Chłopak, niosąc w ramionach dziewczynę, wybiegł z baraku, który z trzaskiem zaczął się rozsypywać. Wokół stały kobiety wpatrzone albo w nich, albo w rozsypujący się z trzaskiem w płomieniach ich dotychczasowy dom. Galant położył dziewczynę na ziemi i otworzył usta. Nabrał powietrza i wpuścił je do jej płuc. Zrobił tak kilka razy. Nic. Ponowił. Nic. Zaczął uciskać jej klatkę i robić sztuczne oddychanie, tyle że nie wiedział, czy dobrze. Przechodzili szkolenie na przygotowaniu obronnym, ale wtedy to go zupełnie nie interesowało, wtedy żył ostatnią walką bokserską Kolki ze Szwedem Erikiem Ågrenem... Kolejne uciski. Łzy zaczęły mu ściekać po czarnych od sadzy policzkach, zostawiając na nich jasne smugi. Nagle usłyszał lekki świst. Zbliżył ucho do ust dziewczyny. Tak. Oddycha! Jeszcze raz nabrał powietrza i zbliżył usta do twarzy dziewczyny, gdy ta nagle otworzyła oczy. Odetchnął z ulgą. Przez chwilę patrzyli na siebie. Julia uśmiechnęła się, ale zaraz zaczęła kaszleć. Pomógł jej usiąść.

– Czy tylko mnie się robi tak gorąco, gdy się spotykamy? – powiedział Ugne, po czym usiadł obok dziewczyny i objął ją w pół. Położyła mu głowę na ramieniu. – Nie możemy tu siedzieć. Wiem, gdzie jest bezpiecznie.

Galant wstał i wyciągnął ręce do Julii. Pomógł jej się podnieść. Ruszyli w kierunku męskich baraków. Szli środkiem alei, wzdłuż której płonęły kilkuletnie jesiony, po obu stronach w ogniu stały baraki żeńskie. Przy kolejnych biegali strażnicy, próbując ugasić to, co pozostało. Wciąż słychać było dudnienie artylerii przeciwlotniczej i turkot karabinu maszynowego umieszczonego na siedmiometrowej wieży strażniczej. Jednak wycie silników halifaxów było coraz odleglejsze.

Dotarli do budynku łaźni. Weszli do środka. Było pusto. Minęli szatnię z metalowymi szafkami i trafili do dużego pomieszczenia z prysznicami. Przez małe okienka do środka wpadało światło z reflektorów, a co jakiś czas pomieszczenie rozświetlały kolorowe rozbłyski eksplozji. Było wilgotno i ciepło. Czuć było zapach wody.

– Muszę się umyć – powiedziała Julia, dojrzaawszy swoje odbicie w małym lusterku, które jakimś cudem znalazło się w tym miejscu. Pewnie strażnik zapomniał je ze sobą zabrać. Julia zobaczyła w nim czarną od sadzy twarz smutnej dziewczyny w poszarpanej, uszytej z drelichu, oblepionej zaschniętym błotem sukience. Przy kołnierzyku nie było trzech guzików.

– Zaraz zobaczę, czy nie ma tu jakiegoś ręcznika.

Ugne wybiegł do szatni. Drżącymi dłońmi macał w kolejnych szafkach w poszukiwaniu jakiegoś materiału, który przypominałby ręcznik. Dotarł do szafki strażnika. Była otwarta. W środku szczoteczka do zębów, proszek, kostka mydła i biały ręcznik. Chwycił go i zbliżył do twarzy. Pachniał detergentem. Jezu, jak dawno nie czuł tego zapachu. Z tyłu dotarł do niego szum prysznica. Chwycił mydło i ręcznik. Wszedł do łaźni. Zdziwiło go, że wszystkie prysznice były włączone. Na posadzce uformowało się wielkie rozlewisko ciepłej wody. Wokół unosiła się para. Poczul, jak jego stopy ogarnia ciepły płyn. Kolejna eksplozja oświetliła łaźnię. Julia stała pośrodku naga. Odchyliła głowę do tyłu i pozwoliła, by ciepły strumień wody spływał po jej piersiach. Ugne ścisnęło w gardle. Musiał przełknąć ślinę. Pierwszy raz widział nagą kobietę. Podszedł bliżej.

– Julia...

Nie patrzył na nią, odwrócił wzrok w drugą stronę i wyciągnął rękę z mydłem w kierunku dziewczyny.

– Mam mydło, niełatwo było...

Jej palce odnalazły kostkę i już miał się wycofać, gdy poczul, jak dziewczyna obejmuje jego dłoń i lekko przyciąga do siebie. Ciepła woda

ogarnęła jego ciało. Drelichowa kurtka i spodnie zaczęły mu ciążyć, musiał je z siebie zrzucić. Czas przyśpieszył. Julia zdierała z niego obozowe łąchy. Kolejna eksplozja zamieniła łaźnię w jasnopurpurową wyspę na nierealnych mokradłach. Silne ramiona Ugne przyciągnęły dziewczynę. Górował nad nią. Pochylił się. Zbliżył swoje usta do jej ciepłych, aksamitnych warg. Wzbierało w nim zupełnie nieznanne uczucie. Instynkt kazał mu poznać każdy zakamarek jej ciała. Zejść niżej do piersi i jeszcze niżej. Ukląkł i położył swoje silne dłonie na jej pośladkach. Strumień wody zalewał mu twarz. Słyszał jej coraz szybszy oddech i wyczuwał drzenie ciała. Krzyknęła. Gestem dłoni wskazała mu, by się podniósł. Wstał, chwycił ją za uda, lekko uniósł i oparł o mokrą ścianę. Położyła dłonie na jego szerokich ramionach. Karabin maszynowy na chwilę zamilkł. Krzyki strażników stawały się coraz wyraźniejsze. Wszedł w nią. Szybko. Kolejny wybuch, jedno z okien nie wytrzymało i drobiny szkła wystrzeliły w róg łaźni, a pomieszczenie zamigotało jasnopomarańczowym światłem. Poczul, jak dziewczyna wbija palce w jego ramiona. Nie przestawał. Pojękiwała. Czul, jak ogarnia go wewnętrzne ciepło, czul, że się zbliża. Poruszał się coraz szybciej. Jego dłonie zaciskały się na jej udach. Szczekanie psów i krzyki Niemców były coraz bliższe. Karabin maszynowy zamilkł. Teraz słyszał tylko swój chrapliwy głos i coraz głośniejsze pojękiwanie dziewczyny. W pewnej chwili Julia krzyknęła i spazmy objęły ich ciała. Trwali tak przez chwilę, jakby chcieli przedłużyć to uczucie. Przez rozbite okno wdarł się zapach kwiatów, dobiegający z ogrodu komendanta. Julia położyła dłonie na twarzy Ugne.

– Fiołki, uwielbiam ich zapach.

Uśmiechnęła się, nie spuszczać wzroku z Galanta.

– Też je lubię. – Odwzajemnił uśmiech. – Nie mówiłem ci, jak jesteś piękna.

Julia wyswobodziła się z ramion Galanta i zaczęła chodzić po całej łaźni. Wyłączyła najpierw jeden prysznic, potem kolejne. Ugne usiadł i śledził ją wzrokiem.

– Wiesz, że nie możemy tu zostać. Zaraz to wszystko się skończy i wrócimy do obozu.

Dziewczyna podniosła ręcznik i zaczęła się nim wycierać.

– Kocham cię, Julio.

Ugne nie spuszczał z niej wzroku. Uśmiechnęła się.

– Musimy się zbierać. Za chwilę będą tu strażnicy.

Podniosła mydło i w pośpiechu skierowała się do szatni.

– Julia, poczekaj. – Ugne podniósł mokre spodnie i zaczął je wkładać. – Julia!

Nasiąknięte wodą ubranie stawiało opór. Ugne, szarpiąc się ze spodniami, próbował wcisnąć nogę w jedną z nogawek. Kiedy w końcu mu się udało, wbiegł do szatni. Była pusta. Krzyki Niemców przybierały na sile. Wiedział, że nie mogą go tu znaleźć. Otworzył szafkę strażnika. Sprawdził, czy wszystko jest na swoim miejscu. Zbliżył się do drzwi i wychylił głowę. Na głównej alei, która oddzielała dwa szeregi baraków, kłębiło się. Strażnicy ustawiali więźniów w szeregach. Krzyczeli. Niektórzy trzymali na smyczy wielkie wilczury, które ujadły na przerażonych więźniów. Ugne przykleił się do ściany od strony ogrodzenia i zaczął przesuwac wzdłuż baraku. Po chwili poderwał się i skulony dobiegł do grupy jeńców. Stał z tyłu. Po chwili któryś ze strażników wyciągnął go i przesunął do pierwszego rzędu. Reflektory oświetlały grupy jeńców. Włączono też latarnie. Dopiero teraz Galant mógł ocenić efekty bombardowania. Z sześciu baraków kobiecych pozostały dwa. Męskie zostały właściwie nienaruszone. Po jednej wieży strażniczej pozostała tylko dymiąca kupa zgliszczy. Naprzeciwko leżały ciała tych, którzy nie mieli tyle szczęścia co on. Większość stanowiły kobiety. Sto metrów dalej przysłonięte białym brezentem leżały trupy w mundurach. To nie był wcale taki zły dzień, pomyślał Ugne. Właściwie to był piękny. Najlepszy od...?

– *In die Kaserne! Lauf!*[69]

Krzyk strażnika wyrwał go z rozmyślań. Leżąc na swojej pryczy, odtwarzał sobie sceny z łaźni. Jakby oglądał film. Tylko w kolorze i do tego z zapachem... fiołków. Obudził go ryk syren. Zerwał się na równe nogi. Spojrzał na starszego, wychudłego więźnia z naprzeciwka, który z trudem podnosił się na swojej pryczy.

– Dzień dobry, panie profesorze!

Ugne z entuzjazmem wyciągnął rękę do mężczyzny. Wysoki, łysiejący mężczyzna tak naprawdę nie był starcem. Nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat. Jednak wygląd temu przeczył. Długa, siwa broda, blada, żółtawa cera i wory pod oczami – obraz człowieka u krańca życia. Więźniowie mówili, że zmienił się, gdy wrócił z czerwonego pałacu. Królestwa, pana życia i śmierci, komendanta Erbacha. W miejscu przedwojennej restauracji[70],

Lagerführer Hans Erbach urządził willę w stylu dworku pruskiego, a tam gdzie przed laty stała strzelnica sportowa, kazał zbudować wielką szklarnię, a właściwie ogród zimowy, w którym hodował fiołki. Tysiące różnych gatunków fiołków. Mówiło się, że te wyjątkowo pachnące kwiaty były mu potrzebne, by zabić smród rozkładających się ludzkich zwłok. Jedna z więźniarek, która służyła w willi, opowiadała, że podczas prac porządkowych w ogrodzie w beczce na kompost znalazła palce. Dwa ludzkie palce. Serdeczny i kciuk. Zaraz po tym po obozie poszła fama, że Erbach jest kanibalem. Galant w to nie wierzył. Wiedział, że komendant był sadystą. Okrutnym i bezwzględny degeneratem. Lecz który z esesmanów nie był?

Profesorowi dali wybór. Mógł iść służyć do czerwonego pałacu albo ciężko pracować z resztą więźniów w stoczni. Zdecydował się na pracę z więźniami. Erbach nie zostawił tak sprawy. Wydał rozkaz ściągnięcia do pałacu żony profesora, Ireny. To złamało jego opór. Dlaczego tak Erbachowi zależało na tym człowieku? Otóż profesor był germanofilem. Perfekcyjnie znał język niemiecki, niewiele gorzej literaturę germańską i historię Niemiec. Władał jeszcze pięcioma innymi językami. Przed wojną wykładał literaturę i filozofię na uniwersytetach w Heidelbergu i Krakowie. Z czerwonego pałacu wrócił po sześciu miesiącach. Sam, milczący. Od tego czasu już do nikogo się nie odezwał. Nigdy.

– Cóż, piękny dzień przed nami! Żyjemy, panie profesorze! – Galant z uśmiechem podniósł się i z werwą ruszył w stronę łaźni.

Podczas apelu robił wszystko, aby stanąć jak najbliżej baraków kobiecych. Był jednym z pierwszych, więc wybrał sobie dogodne miejsce, z którego miał świetny punkt obserwacyjny na żeńską część. Zdziwiło go, że kobiety ustawiono inaczej niż zwykle. Nie w kilku szeregach jak zawsze, ale pojedynczo. Jedną obok drugiej, w odległości pół metra od siebie. Kilka strażniczek przeszukiwało zgliszcza baraków. *Oberaufseherin*^[71] krzyczała do więźniarek. Ugne stawał na palcach, by dojrzeć szczupłą sylwetkę z jasnymi włosami. Jest! Stała na wprost swojego dawnego baraku. Zauważyła Ugne. Lekko się uśmiechnęła. Poczul, jak ciepło spływa po całym jego ciele.

W pewnym momencie nadszedła ciężarówka. Minęła ich i zatrzymała się przed szlabanem. Strażnik wyszedł z budy, chwilę porozmawiał z kierowcą i wskazał ręką plac, na którym jeszcze wczoraj stały cztery baraki. Dopiero

teraz Galant zauważył, że na nadwoziu spod plandeki wystają deski i drewniane krokwie. Pewnie na nowe baraki, pomyślał. Ciężarówka zatrzymała się we wskazanym miejscu, jeden z Niemców wskoczył na pakę i ściągnął plandekę. Krzyknął coś do więźniarek, które od razu zaczęły biec w kierunku wozu. Strażnik już miał schodzić, ale jeszcze pochylił się i wziął coś z naczepy. Podniósł i zrzucił z pojazdu. To były liny. Kilkadziesiąt metrów liny jutowej. Po co im lina? Jego rozważania przerwała komenda wymarszu.

W stoczni o niczym innym nie myślał, tylko o Julii. Robota mu się nie kleiła. Potykał się. Kilka razy o mały włos nie wpakował się do doku. Odliczał każdą chwilę, która dzieliła go od powrotu do obozu. Jeszcze nigdy tak bardzo nie chciał wrócić do tego miejsca. Myślał o wczorajszej nocy, ale również o kolejnych nocach, o tym, kiedy się spotkają, o czym będą rozmawiać. Tyle pytań, które pozostawały bez odpowiedzi. Aż w końcu zabił ten cholerny dzwon. Gdy zbliżali się do obozu, czuł wzrastające napięcie. Zeszli z Swinemünder Straße[72] i skręcili w polną drogę. Z oddali słyszeli melodię. Pochmurniał. Nie, to się nie działo naprawdę. Gdy stanęli przed bramą główną, dźwięki były już dobrze słyszalne. To była ta sama piosenka. Wiedział, co to oznaczało. Jeden z nowych więźniów przed nim zaczął podrygiwać w takt piosenki. Drugi, stojący obok, złapał go za bark i wyszeptał mu do ucha:

– Co ty, kurwa, robisz?

Nowy spojrzał na sąsiada i z uśmiechem odrzekł:

– No co? W końcu jakaś rozrywka, gramofon, dziewczyny, to i może jakaś wódeczka się znajdzie? – Z uśmiechem odwrócił się do Ugne. – Nie, młody?

Sąsiad przysunął się jeszcze bliżej do nowego.

– Posłuchaj, szcunie, bo widzę, że masz wysoki numer[73] i nie wiesz, co się tu dzieje. Erbach lubi posłuchać dobrej muzyki podczas egzekucji. Ma swoją ulubioną płytę z jedną piosenką. Jak ją słyszysz, to znaczy, że ktoś umiera. Więc nam tu, kurwa, nie tańcz, tylko się zacznij modlić.

Nowy zdrętwiał. Przestał tańczyć i odwrócił się do Ugne z przerażonym wzrokiem, ale nic nie powiedział. Brama się otworzyła. Ruszyli do przodu. Z naprzeciwka szła kolejna grupa mężczyzn, która ich zmieniała. Gdy mijali się, Ugne zdążył zapytać jednego z mężczyzn:

– Co się dzieje?

Niski w okularach, który przechodził najbliżej kolumny, wyszeptał:

– Znaleźli karabin pod łóżkiem jednej z dziewczyn.

Po plecach Ugne przeszedł zimny dreszcz. Muzyka przybierała na sile, w głowie coraz donośniej dudnił mu głos mężczyzny, który wyśpiewywał żale po rozstaniu z miłością swojego życia.

Weszli do obozu. To było słoneczne, bezchmurne popołudnie. W powietrzu unosił się zapach fiołków i świeżego drewna. Po obu stronach drogi leżały surowe deski, które zapewne miały posłużyć do budowy nowych baraków. W miejscu spalonych podczas bombardowania drzew stały teraz... szubienice. Konstrukcje w kształcie litery T ustawiono wzdłuż alei, która się ciągnęła od budki do wieżyczki strażniczej. Kolumna mężczyzn zbliżyła się w ciszy do ścieżki szubienic. Przy każdej szubienicy na drewnianych stołkach stały dwie kobiety. Każda miała założoną na szyi pętlę i ręce z tyłu związane sznurem, który Ugne widział jeszcze rano. Przy każdej stacji stała jedna wrona^[74] w czarnym mundurze z orłem na furazerce. Jego wzrok przebiegał po kolejnych stacjach. Przelykając ślinę, z nadzieją przemierzał wzrokiem następne szubienice. Aż wreszcie zatrzymał się na ostatniej – pojedynczej, stojącej na końcu drogi prowadzącej do domu komendanta. Jasne włosy Julii powiewały na wietrze. Wyczekiwała jego spojrzenia. Gdy ją zobaczył, poczuła ulgę. Ugne sparaliżowało. Chciał krzyknąć, ale jego organizm się zbuntował. Teraz byli dwoma różnymi bytami. Jego umysł wrzeszczał, Ugne chciał biec, wyrwać karabin z rąk najbliższego strażnika i strzelać, dopóki wszystko nie ucichnie, do czasu aż ten upiorny Niemiec przestanie śpiewać. Organizm odpowiedział mu konwulsjami. Zgiął się wpół i wymiotował. Usłyszał pojedynczy wystrzał. Wyprostował się. Na balkonie czerwonego pałacu, naprzeciw którego umieszczono szubienicę Julii, stał komendant Erbach z wyciągniętą do góry dłonią, w której trzymał dymiącego mauzera.

Od tej chwili wszystko toczyło się błyskawicznie. Wrony na komendę kopnęły drewniane stołki i kobiety zaczęły bezwładnie opadać, naciągając sznury. Wiele z nich się szamotało. One go nie interesowały. Zamroczone patrzył, jak twarz jasnowłosej ogarnia grymas bólu, a ciało drętwieje. Jeszcze przez chwilę podskakiwała jak ryba wyciągnięta z wody. Próbowwała podciągnąć spętane nogi. Każdy ruch odbierał energię, zbliżał do niechybnego końca. W końcu opadła. Jej ciało dyndało na sznurze w rytm piosenki: *Was sind schon Worte, im Augenblick, Was ein versprochenes*

Glück?[75] Nie spuszczał z niej wzroku. Pomimo żaru, który zalewał plac, czuł lodowate ostrza wbijające się w każdą część jego ciała.

– To wszystko twoja wina! – usłyszał chrypliwy głos z tyłu. Obejrzał się. Więźniowie stali w milczeniu. Nikt się nie ruszał. Nie odzywał. Nagle usłyszał zgrzyt jak drapanie pazurem po płycie winylowej, który gwałtownie przerwał muzykę. Zapanowała cisza. Martwa cisza.

[68] Flak 39 – niemieckie ciężkie działo przeciwlotnicze kalibru 105 mm, używane w czasie drugiej wojny światowej.

[69] Do baraków! Biegiem! (niem.)

[70] Marek Jaszczyński, *Historia Szczecina: Morderstwo sprzed lat*, „Nasze Miasto”, 20.11.2011, <https://szczecin.naszemiasto.pl/historia-szczecina-morderstwo-sprzed-lat/ar/c1-2822666>, dostęp: 6.01.2023

[71] *Oberaufseherin* – główna nadzorczyń w kobiecym obozie

[72] Swinemünder Straße – obecnie ulica Bandurskiego

[73] Numery wskazywały na czas przebywania więźnia w obozie. Wysokie oznaczały stosunkowo nowych więźniów.

[74] wrona – ironiczne określenie nadzorczyń, pochodzące od noszonych przez nie czarnych peleryn

[75] Nie mam słów, które to opiszą. Gdzie to obiecane szczęście? (niem.)

24
Kocioł

Gdy tylko skręcił w Rewolucji Październikowej, zauważył, że coś jest nie tak. Zazwyczaj już z daleka widać było te kraciaste koszule i białe podkoszulki przestępujących z nogi na nogę jak w takt marsza żałobnego. Sterczeli na tarasie Turczynki, przy wysokich stolikach, z kuflami pełnymi mętnego napoju w dłoniach. Rechotali, machając wielkimi, owłosionymi dłońmi. Szczęśliwi, że żyją i... piją. Teraz jednak było pusto. Być może skwar zagnał wszystkich do środka. Z doświadczenia wiedział, że bywalcy tego rodzaju przybytków lepiej się czują, siedząc pośród swoich w oparach tanich fajek, najlepiej w przyciemnionych pomieszczeniach, gdzie nie widać dobrze ich facjat, dzięki czemu stają się wyjątkowe.

Zjechał na skwer przed knajpą. Wbiegł po szerokich drewnianych schodach. Szarpnął za klamkę. Drzwi, podobnie jak okiennice, były zamknięte. Ruszył na zaplecze. Tam również zamknięte. Na trawniku leżała gruba „dentystka”, którą widzieli dwa dni temu w knajpie. Przyklejony do niej jakiś chudy facet podniósł z trudem głowę i na widok milicjanta zaczął bezskutecznie szturchać ją łokciem. Galant podszedł i trącił ją nogą. Kobieta się obudziła.

– Co jest, kurwa?!

Próbowała się podnieść, ale Ugne ją powstrzymał.

– Leż! Dlaczego Turczynka jest zamknięta?

– Nie wiem. Już trzeci dzień. – Gruba splunęła na trawę. – Wrzeczono po tym, jak wyszliście, wyrzucił wszystkich i zamknął budę.

– Wszystkich?

– No nie... Tych dwóch z nim zostało, ten fircyk w okularach i ten przystojniak.

– Przystojniak?

– No ten nabity, ze szczeciną na plecach.

– Długo tam siedzieli?

– Nie, ci dwaj po kwadransie wyszli, wsiedli do warszawy i pojechali.

Kobieta próbowała się podnieść, jednak grawitacja posadziła ją na ziemi.

– I co? Wciąż jest zamknięte?

– No... Obsługa tego lokalu jest skandaliczna.

„Dentystka” zakryła kciukiem jedną dziurkę od nosa i wydmuchała zawartość drugiej na ziemię. Ugne uśmiechnął się i przez chwilę nie odrywał od niej wzroku. Czyż takie życie nie jest lepsze? Nie pamiętasz, co było wczoraj, żyjesz tym, co dzisiaj. Żyjesz do pierwszych trzech łyków, później nic nie ma znaczenia.

Otrząsnął się, odwrócił i skierował w stronę drzwi na zaplecze. Sprawdził, czy tetetka[76] wciąż jest z tyłu za paskiem. Drzwi były z taniej sklejki, więc jeden kopniak wystarczył, by klamka wraz z zamkiem wylądowała na ziemi. Pchnął je, a te, wydając ostatnie tchnienie, uderzyły o futrynę. W środku panował półmrok. Przez chwilę stał w sieni, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Sięgnął po pistolet.

– Halo! Wrzecziono?!

Chrypliwe pytanie pozostało bez odpowiedzi. Ugne zalała fala śmierzących odpadków i stęchłego piwa. Dwa dni w upale zrobiło swoje, pomyślał. Zaczął rozpoznawać kształty. Minął skrzynie z butelkami po piwie i worki z ziemniakami. Przez zaplecze kuchenne przeszedł do baru. Wymacał włącznik światła. Lampy nad stolikami objęły wnętrze ciepłym światłem. Na barze leżała rozpruta żeliwna kasetka, wokół niej porozrzucone monety. Przeszedł pomiędzy stolikami na środek baru. Rozejrzał się. Dziwne. Jakby właśnie wstali od stołów i wyszli. Popielnice pełne kiepów, talerze z niedokończoną kaszanką. Kufle z niedopitym piwem. Inscenizacja. Tak, to wyglądało jak scena, oczekująca na aktorów i widownię. Butelki, talerze, popielnice to rekwizyty. A aktorzy? Intuicyjnie odwrócił się i spojrzał w róg sali – tam gdzie ostatnio siedziało dwóch typów, którzy za nim łazili. Lampa, która wisiała nad stolikiem, nie świeciła, ale wyraźnie można było zauważyć, że ktoś siedzi odwrócony do baru.

– Wrzecziono?! – zapytał i od razu zdał sobie sprawę, że nikt mu nie odpowie.

Wymierzył tetetkę w stronę przygarbionej postaci.

* * *

– Mówiłem, że warto było czekać. – Mężczyzna poprawił binokle na nosie, odłożył lornetkę i odwrócił się do kolegi. – Swoją drogą, skąd wiedziałeś, że będzie chciał wejść od zaplecza?

W ciemnym pokoju powietrze stało w miejscu. Mieszkanie zlokalizowane było od strony północnej, zatem promienie słońca nie miały nawet szans przeniknąć do środka. W pomieszczeniu panował zaduch. Zapach potu i zgnilizny kleił się do ścian.

– Niezawodny nos czekisty. – W ochryplym głosie siedzącego w starym fotelu i czytającego gazetę mężczyzny zabrzmiała nutka triumfu. – Ciekawe, gdzie on, kurwa, przez te dwa dni się podziewał? – Zza gazety wychyliła się twarz Kartofla. – Dobrze, że w ogóle się pojawił, bo już się muchy zlatywały.

Mężczyzna podniósł się energicznie, podszedł do okna i uchylił lekko zasłonę. Spojrzał w dół. Tuż pod nimi, kilka metrów poniżej okna, stała budka MO z dyżurującym milicjantem.

– No dobra. Trzaskaj zdjęcia, bo zaraz wejdzie do środka.

Mieszkanie mieściło się na trzecim piętrze budynku po dawnej fabryce przy ulicy Zygmunta Krasińskiego. Okno wychodziło na skrzyżowanie z Rewolucji Październikowej. Roztaczał się stąd doskonały widok na plac przy Turczynce.

Chudy wyciągnął z torby aparat i przymocował do statywu. To był zenit z wąskokątnym obiektywem, prezent od towarzyszy radzieckich. Jedyne egzemplarz w całej komendzie wojewódzkiej. Migawka strzeliła. Głośno. Żaden aparat nie brzmi tak samo. Każdy model danego aparatu wydaje inny dźwięk. To kwestia zastosowanego mechanizmu, uszczelnień, wielkości matrycy lub błony, lustra. Wszystko ma znaczenie. Zenit trzaskał głośno.

– Dobra, wszedł do środka. – Chudy przestał robić zdjęcia. – Co robimy?

– Jak to co robimy? – Łysy był już w połowie naciągania na zarośnięty tors koszuli. – Zapierdalamy po niego!

Chudy zerwał się, wrzucił aparat i statyw do torby i sprawdził, czy w tetecie jest magazynek.

– Ja biegnę do knajpy. – Jego rumiana skóra na głowie zdawała się żarzyć gorącym blaskiem. – Wejść od zaplecza. Ty wyciągnij stójkowego z tej

jebanej budki telefonicznej i czekajcie przed tylnym wejściem do Turczynki. Jak krzyknę „rzuć broń”, wejdźcie do środka. Świadek się przyda – powiedział i wybiegł, trzaskając drzwiami.

* * *

– Wrzeciono? – Ugne nie widział twarzy barmana, ale jego postura, siatkowy podkoszulek i więzienne dziury nie pozostawiały wątpliwości. Milicjant obszedł stół, tak by znaleźć się naprzeciwko niego. Trzymając broń w jednej ręce, drugą chwycił lampę wiszącą nad sąsiednim stolikiem i zbliżył ją do skulonej postaci. Wrzeciono nie przypominał tego pełnego życia i pyszałkowatej energii barmana, z którym rozmawiał jeszcze dwa dni temu. Dotychczasową opaleniznę na łysej głowie zastąpił kolor siny. Opuchlizna i obrzęki na twarzy świadczyły o tym, że barman nie żyje od ponad czterdziestu ośmiu godzin. Ugne schował pistolet za pasek i podszedł bliżej trupa. Lekko odsunął krzesło, na którym siedział barman. Teraz dopiero odczuł smród rozkładającego się ciała. W pierwszym odruchu zasłonił przedramieniem usta i nos. Chwilę przeczekał, po czym splunął na podłogę i zaczął się przyglądać trupowi. Ręce i nogi miał związane kablem. Niezły węzeł, pomyślał. Na pierwszy rzut oka widać było, że wiązanie nie było przypadkowe. Oparł się o stół i nogą pchnął krzesło z trupem. Teraz mógł przyjrzeć mu się dokładnie.

Okazało się, że kabel, którym był związany, przechodził również wokół szyi. Ta dość skomplikowana konstrukcja powodowała, że każdy ruch ofiary pociągał za sobą samoistne zaciskanie się pętli na szyi. Najwyraźniej pan barman nie był zbyt rozmowny i trzeba było mu pomóc, pomyślał Galant. Przyjrzał się bliżej. Na przedramieniu mały siniak, jak po ugryzieniu albo... Ugne pochylił się. Pod krzesłem leżała strzykawka. Podniósł ją i powąchał. Naszprywali go czymś? Bez sensu. Po co ta cała szopka? Nie lepiej było...? Zaraz... To wszystko wygląda tak, jakby ktoś się tu włamał, wyciągnął kasę i torturował biednego Wrzeciono, by wyciągnąć informację, gdzie ukrył resztę kasy. Bez sensu. Każdy średnio rozgarnięty obszczymur niebuszewski wie, że nie robi się włamów w swojej dzielnicy, a już na pewno nie w Turczynce. Chyba że to jest przedstawienie?

Błyskawicznie zaczął analizować każdy swój ruch, gest, rozmowę, wszystko to, co wydarzyło się, zanim stanął naprzeciwko martwego

Wrzeciono. Już wiedział. Szach! Przeleciało mu przez myśl. Nagle od strony głównego wejścia usłyszał, jak ktoś szarpie klamką. Wiedział, co zaraz się stanie. Spojrzał na drzwi od zaplecza. Atak nastąpi stąd. Błyskawicznie wykonał trzy długie susy w kierunku lady, chwycił widelec leżący na kontuarze i kucnął, by nie być widocznym od strony zaplecza. Zdawał sobie sprawę, że jest w pułapce. Wzrokiem wyszukał najbliższe gniazdko. Było na wyciągnięcie ręki, w ścianie pod stołem. Błyskawicznie wbił ostrze widelca w jedną z dziurek. Wystrzeliły iskry i zapanowała ciemność, wokół rozszedł się zapach spalonej gumy. Ci, którzy próbują się dostać głównym wejściem, to pionki, pomyślał. Zagrożenie nadciąga z tyłu. I wtedy to zobaczył. Długi cień padł na środek baru.

– Milicja! Rzuć broń, Galant! – rozszedł się po sali chrypliwy głos. – Wiemy, że tu jesteś.

Gdzieś już go słyszał. Delikatnie przesunął się na koniec lady. Obcy cień stawał się coraz krótszy.

– Niepotrzebnie wpierdoliłeś się w sprawy, które już dawno zostały wyjaśnione i zamknięte. – Mężczyzna zbliżał się z wyciągniętą do przodu bronią. – Mogłeś spokojnie zapijać się w swojej piwnicy, przychodzić do pracy i udawać stróża prawa.

Główne drzwi zaczęły jęczeć pod wpływem silnego naporu. Jeszcze dwa uderzenia i będą w środku, pomyślał Galant. Zostawały mu sekundy.

– A teraz twoje chłaństwo doprowadziło cię tutaj. – Jeszcze dwa kroki i mężczyzna miał postawić stopę obok ukrywającego się Galanta. – Okradłeś i zabiłeś biednego Wrzeciono. Wiemy, że nie zaplanowałeś tego sam. To doktorek załatwił ci... Jak to gównem się nazywało? Tubu...?

Ugne przypomniał sobie ten głos. Teraz zaczęło mu się to wszystko składać w całość. Czarna milicyjna wołga, włochaty w Turczyńce dwa dni temu. To on. Tylko czemu jego w to wkręcają? I jeszcze Szymona?

W tej samej chwili, gdy mężczyzna postawił stopę obok dłoni Galanta, drzwi z hukiem się wyłamały i do sali wpadło dwóch mężczyzn. Jeden w mundurze milicjanta, drugi chudy w binoklach. Mężczyźni z trudem przecierali oczy od kurzu, który się wzbił w powietrze po upadku drzwi. Ugne wiedział, że to ostatni moment. Czas zbić królową, pomyślał, i wbił widelec w but włochatego. Uderzenie było silne, końcówki sztucца przeszły przez cienką skórę mokasy, stopę i zahaczyły o deski. W pomieszczeniu rozległ się skowyt, równocześnie usłyszeć można było huk wystrzału.

Włochaty, wyjąc z bólu, strzelał na oślepa. Mężczyźni dotychczas stojący w blasku słońca w panice wybiegli na ulicę. Ugne przeskoczył przez bar i w jednej chwili znalazł się za plecami włochatego. Lewym sierpowym uderzył go w okolicach nerki, przez co ten zgiął się wpół. Prawy cios wylądował na jego szczęce. Głuchy trzask, który przeszył powietrze, musiał oznaczać jej złamanie. Dwa błyskawicznie wyprowadzone ciosy pozbawiły włochatego świadomości. Bez tchu osunął się na ziemię. Ugne nie czekał na wyniki swojej akcji. Widział już wiele takich zakończeń. Szybko wybiegł z budynku. Na zewnątrz nadal siedziała w rozkroku „dentystka”, która oparta, a właściwie leżąca na swoim chudym towarzyszu, z zaciekawieniem spoglądała na całą akcję. Ugne zwrócił się do niej.

– Proponuję, abyś zawinęła swojego donżuana i przeniosła się na inny śmietnik. Gdy tamci dojdą do ładu, to będą cię ciągać po komendach.

– Dzięki, wodzu, za radę. – Gruba z wysiłkiem wstała i zaczęła podnosić zamrozonego kompana. – Nas tu nigdy nie było.

Ugne podbiegł do stojącego na krawężniku łazika. Odpalił i z piskiem opon ruszył. Mijając zielony zakład introligatorski i piekarnię, kątem oka zobaczył dwóch mężczyzn zerkających zza uchylonej bramy. Jeden miał na głowie czapkę milicjanta, drugi binokle na nosie. Nad bramą wisiał jeszcze stary numer budynku z dawną nazwą ulicy, którego gospodarz nie zdążył zdjąć. Wilsona 7.

[76] tetetka, TT – radziecki pistolet samopowtarzalny

– To wszystko budny bajer![77] – śpiewny akcent Wajdy przedarł się przez gęsty zaduch panujący w pomieszczeniu. – Jakiś szturpak[78] prowadził tę sprawę?!

Ferenc podniósł wzrok znad skrupulatnie poukładanych kosteczek składających się na ludzki szkielet.

– Lwowiak, ile lat mieszkasz w Szczecinie? – Z pogodnym wyrzutem spojrzał w kierunku kryminalnego. – Chociaż postaraj się mówić po polsku i nie wrzucaj tych swoich... bałaków, bo zamiast koncentrować się na sensie tego, co chcesz powiedzieć, zastanawiam się, co do mnie mówisz.

Wajda głęboko westchnął i rzucił papierową teczkę przed siebie. Siedział zgarbiony na podłodze, otoczony stertami teczek. Jego pucułowate policzki poczerwieniały jeszcze bardziej. Krople potu spływały na okulary. Wyciągnął bawełnianą chusteczkę i zaczął przecierać nią grube szkła.

– To się po prostu nie trzyma kupki – mruczał pod nosem.

– Kupy! – krzyknął Ferenc, nie podnosząc głowy.

– Że co?

– Kupy! Nie mówi się „to się nie trzyma kupki”, tylko „to się nie trzyma kupy”. – Ferenc za pomocą urządzenia przypominającego pęsetę dłubał w kości miednicznej. – Co się nie trzyma kupy?

– To ich całe śledztwo – powiedział i zerwał się na równe nogi. Przez chwilę szukał czegoś wzrokiem, po czym zrobił dwa kroki i sięgnął po teczkę leżącą na kanapie. Podeszedł do tablicy i zaczął ją wycierać suchą gąbką. Pył kredy rozniósł się po pomieszczeniu. Zaczął pisać.

„1. Szybkie śledztwo”.

Wajda odłożył kredę i wpatrując się w to, co napisał, zaczął wyjaśniać:

– Pięć razy przeglądałem akta sprawy Cyppka i dopiero teraz to do mnie dotarło. Po pierwsze, ekspresowe śledztwo. Cyppka zatrzymali – przerwał,

by upewnić się co do daty w otwartej teczce leżącej na biurku – jedenastego września tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Dwa dni później, czyli trzynastego września, do sądu trafił akt oskarżenia, rozprawa główna odbyła się siedemnastego września i w tym samym dniu zapadł wyrok. Facet zawisł na sznurze trzeciego listopada. Niespełna pięćdziesiąt dni od zbrodni!

– Wajda, po co szukasz dziury w całym? Przecież ten cały Cyppek się przyznał, więc o co chodzi?

– Tak, i sąd uznał to za najmocniejszy dowód jego winy. Przyznał się podczas śledztwa, ale... zaraz, gdzie to mam? – Lwowiak chwilę drapał się po kędzierzawej czuprynie, podszedł do kanapy i z kupki teczek wyciągnął tę leżącą na samym spodzie. – O, tu. – Poprawił okulary. – Przed wiceprokuratorem wojewódzkim Stanisławem Beńskim trzynastego września odwołał zeznania. Słuchaj. „Prostuję złożone w MO zeznania z tym, że morderstwo dokonane na Jarosz Irenie było pierwsze, a uprzednio nikogo więcej nie zabiłem”.

– No i co w tym dziwnego? – Ferenc tym razem podniósł jakąś piszczel i zbliżył ją do światła lampy. – Potwierdza, że zabił Irenę Jarosz.

– Tak, ale co odwołuje? Że nie zabił innych? Czyli było jakieś przesłuchanie, w którym stwierdził, że zabijał innych? W dokumentach nigdzie tego nie ma. Nie ma żadnego protokołu przesłuchania. To nie wszystko.

Lwowiak zapisał na tablicy punkt drugi: „Opinie lekarzy”.

– Sprawdźmy ustalenia medyków.

Wajda znowu dał susa w okolice kanapy i wyciągnął kolejny plik dokumentów. Wrócił za biurko, drżącymi dłońmi rozsznurował plik papierów i podniósł jedną kartkę. Zbliżył ją do oczu i zaczął czytać:

– „Protokół numer 153 łamane przez 52 oględzin i sekcji zwłok Jarosz Ireny przeprowadzonej trzynastego września tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku w Zakładzie Medycyny Sądowej PAM w Szczecinie przez doktora Jana Z. Walczyńskiego”.

Na chwilę się zawiesił, próbując złapać powietrze, po czym pomruczał coś pod nosem, by przejść do innego miejsca.

– „Obie kończyny górne oddzielone zostały w stawach, przy czym skóra i mięśnie były gładko przycięte i w niektórych tylko miejscach okazywały dodatkowe nacięcia. Klatka piersiowa przycięta wraz z mostkiem, gładko,

w linii środkowej ciała”. I dalej: „Sposób rozkawałkowania denatki, niepowtarzanie cięć, dokładne wyłuszczenie kończyn w stawach przy bardzo nieznacznych tylko uszkodzeniach powierzchni stawowych i kości, wydobycie narządów wewnętrznych nieznacznie tylko uszkodzonych świadczą o pewnej fachowości sprawcy i znajomości z jego strony tak teoretycznej, a więc anatomii, jak i samej dość wprawnej techniki wykonania rozkawałkowania”.

Przestał czytać, rzucił teczkę na stos innych na kanapie i spojrzał wyczekująco na lekarza.

– „Fachowości sprawcy”. A przecież Cyppek był prostym ślusarzem. Rozumiesz?!

Ferenc odłożył narzędzia, a kości przykrył bawełnianym prześcieradłem. Dłonie wytarł w ręcznik. Powoli skierował się za długi stół, na którym leżały sterty dokumentów. Przesunął dwie kupki, by lepiej widzieć pucułowatą twarz śledczego.

– Słucham cię.

– W tej sprawie nic się nie zgadza. Pośpiech, niechlujstwo i, mam wrażenie, szycie dowodów pod figuranta.

– No, to już chyba zbyt odważna teza.

– Odważna? Na pierwszym roku studiów uczą, jak zabezpieczać ślady na miejscu zdarzenia. Przynajmniej mnie tak uczyli w Mostach Wielkich[79]. Potrzebne są do tego dwa pędzelki, najlepiej z włosia końskiego, i proszek daktyloskopijny. Trwa to może z piętnaście minut i w efekcie otrzymujemy odciski palców. Nie do podrobienia. Jedyne w swoim rodzaju. Mocny dowód. Dlaczego nikt nie pobrał odcisków z noża czy miski?

– No wiesz, to było kilka lat temu, niedługo po wojnie, milicja słabo wyposażona. – Ferenc próbował postawić się w roli adwokata diabła, choć jego głos stawał się coraz mniej przekonujący.

Wajda wstał i zakreślił na tablicy kolejny punkt: „3. Brak odcisków palców”.

– Pamiętasz sprawę Kawczyńskiego z Bydgoszczy?[80]

Lwowiak z niecierpliwością wpatrywał się w lekarza.

– Tego od morderstwa dziewczyny z Centrali Odzieżowej? – Lekarz nie podnosił wzroku. – Jak jej było?

– Teresa. Zenon Kawczyński był jej facetem. Facet walnął ją dla trzydziestu siedmiu tysięcy złotych dziennego utargu. Dziewczyna była

kasjerką w Centrali Odzieżowej. Gdy już go złapali, przyznał się do zabójstwa jeszcze innej dziewczyny. Skazali go na śmierć w kwietniu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku. Jednak nie to jest najważniejsze. Wiesz, jak facet wpadł? Otóż kluczowe okazały się zeznania bliskich zamordowanej. Matka poznała specyficzny ścieg na pończochach wyjętych z kosza podczas przeszukania na kwadracie Zenona Kawczyńskiego. Wyobraź sobie, że w koszu do prania znaleźli pocerowane pończochy. Dokładnie takie same jak w dniu morderstwa włożyła Teresa. Facet wpadł po analizie specyficznego ściegu na pończochach. Rozumiesz? Psy wykonały swoją robotę. Począwszy od zabezpieczenia odcisków palców poprzez zabezpieczenie śladów traseologicznych[81] i śladów biologicznych. Wyobraź sobie, że sprawa dostała klauzulę „ściśle tajne”, podobnie jak sprawa Cypka. Mimo to śledztwo trwało blisko rok. Było drobiazgowe. Co ważne, te dwie sprawy rozgrywały się mniej więcej w tym samym czasie, a odnoszę wrażenie, że dzielą je lata świetlne.

– Trudno nie przyznać ci racji, lwowiak, ale to trochę za mało, żeby uznać Cypka za niewinnego. – Ferenc przechylił się na krześle. – Też czytałem te akta. Cyppek był cały we krwi, gdy milicjanci weszli do jego mieszkania.

– Tylko czekałem, aż to powiesz. – Lwowiak zniknął na chwilę pod biurkiem, po czym pojawił się z kolejną teczką w dłoni, wyciągnął z niej maszynopis i zaczął czytać: – „Protokół przesłuchania świadka Marii Nachmanowicz przez chorążego Stanisława Raginio z dnia trzynastego września tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. [...] W trakcie mojej obecności, będąc zdenerwowaną, uderzyłam kilka razy mieszkańca nr 3 o nieznanym mi nazwisku, o ile jest mi wiadomym Niemca, krzesłem po głowie”. Krzesłem po głowie! – Wajda podniósł głos. – Nic dziwnego, że facet był cały we krwi.

Wajda odwrócił się i naskrobał na tablicy białą kredą „4. Ślady krwi”.

– To nie jedyne wątpliwości. – Podeszedł do kuchni i wstawił czajnik na kuchence. – Przyjrzyjmy się postaci Cypka bliżej. Facet był Niemcem. Nie, nawróconym Niemcem. Właściwie Ślązakiem. Z pierwszej wojny światowej wrócił bez nogi. Rozgoryczony i sfrustrowany. Wstąpił do niemieckiej partii komunistycznej, co w tamtym czasie należało uznać za postawę całkiem odważną. Pracował na kolei. Za działalność polityczną trafił do więzienia. Gdy wybuchła wojna, zgłosił się do Wehrmachtu. Nie przyjęli go ze względu na kikut, który ciągał zamiast nogi. Po wojnie przyjął obywatelstwo polskie

i stał się „polskim Niemcem”, nienawdził Niemców, którzy go opuścili, zostawili, skazali na bycie Polakiem...

Gwizd czajnika przerwał wywód Wajdy, milicjant podszedł do kuchenki i wlał do blaszanego kubka wrzątku. Po chwili siedział znowu za biurkiem, z herbatą w dłoni. Pochylił się i ze sterty dokumentów wyciągnął teczkę innego koloru. Wzdłuż okładki przechodziły dwa czerwone pasy, a pośrodku drukowanymi literami napis: „Teczka personalna tajnego współpracownika”.

– On był chatrakiem.

– Kim? – zapytał lekarz. Z coraz większym zainteresowaniem wsłuchiwał się w słowa lwowiaka.

– Konfidentem. – Wajda, głośno siorbiąc, napił się gorącej herbaty. – Zaraz po wojnie nasz wywiad zatrudniał „polskich Niemców”. Jeżeli któryś miał tak chwalebny historię jak Cyppek, to wchodził do wyższej kasty. Prawdziwy komunista. Niemiec. Perełka dla służb.

Lwowiak otworzył teczkę i wyciągnął z niej jedną stronę maszynopisu.

– To jest zobowiązanie Cyppka do utrzymania w tajemnicy charakteru współpracy i aktywnego rozpracowywania wszelkiej wrogiej działalności. Jego prowadzącym był niejaki kapitan Kluska z UB. Poza tą jedną kartką nic więcej nie ma. I tak dobrze, że mamy dostęp do tej teczki. Dlaczego zatem Cyppek z żoną przyjechali do Szczecina z Wałbrzycha? Czy miało to związek z pracą dla Urzędu Bezpieczeństwa?

Ferenc już nie kiwał się na krześle, tylko z otwartymi ustami wsłuchiwał się w śpiewny rytm słów śledczego.

– I najważniejsze: Cyppek podczas aresztowania był zalany w trzy dupy. Przyznał się do wszystkiego. Przez całe śledztwo zachowywał się... można powiedzieć wzorowo. Sprawiał wrażenie człowieka, który jest przekonany, że nic mu się nie stanie. Dopiero gdy sąd go skazał, zaczął zmieniać zeznania. Wpadł w panikę. Jednak już nikt z nim nie rozmawiał. Bierut nie skorzystał z prawa łaski i faceta powiesili.

– Wszystko to wygląda całkiem zgrabnie. Tylko powiedz mi, Wajda, po co? Po co władza miałaby to wszystko zainscenizować?

– No właśnie, i tu dochodzimy do sedna sprawy. Wszystkie te te czki – Wajda wstał zza biurka i podszedł do stołu – te wszystkie sprawy łączy jedno. – Podniósł jedną z nich. – Ciała pokrojone z precyzją chirurga. Brak

wątrób, jelit, głów i rąk. Nie są to zwykłe sprawy zabójstw. Tylko celowe, przemyślane akty. Łączy je sztuka.

– Że co proszę? – Doktor o mało się nie zakrztusił.

– To wszystko sprawia wrażenie jakiegoś diabolicznego ceremoniału. Nie mogę tylko znaleźć klucza, tego jedyne, który by otworzył wszystkie drzwi. – Wajda pogładził swoją długą, gęstą brodę.

– Lwowiak, za dużo Agathy Christie czytasz i przesiadujesz w tej zatęchłej piwnicy. Wyjdź, przespaceruj się, odetchnij, chłopie. I przerzuć się na inne książki. Może coś bardziej polskiego, naszego. O, w księgarni Wiedza przy placu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej[82] rzucili właśnie *Złego Tyrmanda*, polecam.

– *Złego*? Nie czytam komiksów, ale może masz rację, czas się przewietrzyć. Pojadę do redakcji „Kuriera Szczecińskiego”, pogadam z tym Komorowskim.

[77] bajer (gw. lwowska) – zwykle kłamstwo

[78] szturpak (gw. lwowska) – niedorozwinięty

[79] W 1928 roku utworzono Szkołę Oficerską w Warszawie oraz trzy szkoły dla policji – w Żyrardowie, Sosnowcu i Mostach Wielkich. Ostatnia z nich istniała tylko do wybuchu wojny. Kursy w nich trwały pięć miesięcy.

[80] Marcin Kowalski, Waldemar Wojtkowiak, *Głośne bydgoskie zbrodnie. O Zenonie, który mordował kobiety*, „Gazeta Wyborcza”, dodatek „Tygodnik Bydgoszcz”, 5.05.2016, <https://bydgoszcz.wyborcza.pl/bydgoszcz/1,71270,20026759,glosne-bydgoskie-zbrodnie-o-zenonie-ktory-mordowal-kobiety.html>, dostęp 6.01.2023.

[81] Traseologia – technika śledcza zajmująca się w przypadku przestępstwa ustalaniem osoby, pojazdu lub zwierzęcia na podstawie śladów przemieszczania się pozostawionych na miejscu zdarzenia.

[82] plac Przyjaźni Polsko-Radzieckiej – obecnie plac Zgody

Redakcja „Kuriera Szczecińskiego”, Szczecin, sierpień 1957 roku

Wajda pchnął ciężkie drzwi prowadzące do redakcji „Kuriera Szczecińskiego”. Nienawidził ruszać się z komendy. Wydział techniki kryminalistycznej był jego prywatnym królestwem. Dzięki temu, że jego gabinet mieścił się w części piwnicznej budynku, rzadko kiedy ktokolwiek go tam odwiedzał. Mniej więcej raz w tygodniu wpadali ludzie z dochodzeniówki i przynosili mu kilka skrzyń przedmiotów znalezionych na miejscu przestępstwa. Kwitował ich odbiór, oddawał skrzynię z papierowymi torbami, w których znajdowały się drobiazgowo opisane dowody, uśmiechał się i czasami rzucił jakiś żart. Na tym się kończył jego kontakt ze światem zewnętrznym. Z innymi ludźmi. Pomimo że z natury był ciepłym i nawet zabawnym człowiekiem, unikał bliskiego kontaktu z przedstawicielami swojego gatunku. Kiedy milicjanci umawiali się na piwo do Sorento czy na wieczorki taneczne do Artystycznej, Wajda zalewał sobie mocny czaj, nastawiał gramofon ze swoją ulubioną płytą z piosenkami Szczepcia i Tońcia z *Wesołej Lwowskiej Fali* i zasiadał na bujanym fotelu, który przytargał po kryjomu z targowiska przy placu Teatralnym. Wypatrzył go kilka miesięcy temu w drodze do pracy. Mieszkał przy Wielkopolskiej 43, tuż za ryneczkiem. Zakwaterowali go z rodziną repatriantów z za Buga, których poznał w pociągu w Przemyślu. Do dziś bolały go plecy na wspomnienie wagonu towarowego i pryczy pokrytej słomą, na której spędził ponad tydzień. Rodzina, z którą podróżował, jechała już od miesiąca. Zabrali się jednym z pierwszych transportów. Jak się później okazało, byli forpoczta blisko ćwierćmilionowej fali przesiedleńców, którzy trafili na Pomorze Zachodnie. Szczeciński PUR przydzielił im wspólne mieszkanie na Wielkopolskiej. Wajda był

zadowolony. Miał mały pokój na parterze tylko do swojej dyspozycji, z oknem wychodzącym na zburzoną kamienicę na Śląskiej. Nie było tak cicho jak w komendzie, ale nie narzekał. Sąsiedzi nie wiedzieli, gdzie pracuje lwowiak. Ot miły i uprzejmy grubasek, trochę dziwny, chodzący w przydużym płaszczu, z dziurami przy kieszeniach. Gdy wymykał się ze swojego mieszkania, było jeszcze ciemno. W świetle latarni miejskich wyglądał jak giermek błędnego rycerza z powieści Cervantesa, który zaraz wsiądzie na osiołka i pogna za swoim mistrzem.

Wajda zatrzymał się przy recepcji.

– Dzień dobry. Szukam Adama Komorowskiego.

Siedzący za ladą mężczyzna tak był pochłonięty lekturą „Kuriera Szczecińskiego”, że nawet nie podniósł wzroku. Wajda z ciekawości wyciągnął szyję, by zobaczyć, co tak zainteresowało portiera. To była ostatnia strona, sportowa, po tytule zrozumiał, że przedstawia relację z meczu Pogoni Szczecin z Flotą Gdynia.

– Ależ ten Krygier ich przygotował. – Mężczyzna za ladą nadal nie podnosił wzroku.

– Przepraszam, ja do pana Komorowskiego – spróbował nieśmiało jeszcze raz Wajda.

– Drugie piętro, „Opowieści szczecińskich ulic”...

– Przepraszam, jakie opowieści?

Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na Wajdę. Nawet nie ukrywał swojej irytacji.

– Panie, pokój sto trzynaście, drugie piętro. Redaktor Komorowski siedzi w dziale „Opowieści szczecińskich ulic” – powiedział i pochylił się znowu nad gazetą. – Awansujemy jak nic, nie uważa pan?

– Wie pan, ja tam nie jestem kibicem...

– Ech... – jęknął mężczyzna i przesunął gazetę do góry, tak by nie było go widać.

Lwowiak minął windę i wszedł na kręte schody. Nie śpieszył się. Pokonując kolejne stopnie, przytrzymał się drewnianej balustrady. W powietrzu unosił się zapach farby drukarskiej. Minął długi korytarz na pierwszym piętrze z pootwieranymi drzwiami gabinetów. Pokonał następne stopnie krętych schodów. Na drugim piętrze był podobny korytarz, który prowadził do szeregu biur i gabinetów. Zapach farby drukarskiej zastąpił duszący dym papierosowy, który rozchodził się z pomieszczeń. Spojrzał na

numer pierwszych drzwi z brzegu. Sto pięć. Nie było daleko. Mijał kolejne pokoje, wszystkie były otwarte. W środku przy biurkach siedzieli przeważnie faceci, z papierosami w kącikach ust, stukali pojedynczymi palcami w klawiaturę maszyn do pisania. Ten wyjątkowy i specyficzny odgłos rozchodził się po całym pięttrze. Było duszno i parno, promienie słońca jak słupy światła wpadały na ciemny korytarz. W końcu Wajda dotarł do właściwego biura. Było na samym końcu. Tutaj drzwi były jednak zamknięte. Zapukał. Nie usłyszawszy odpowiedzi, delikatnie otworzył drzwi. Ujrzał mały pokoik. W pierwszej chwili myślał, że trafił do jakiegoś magazynku. Cofnął się i ponownie spojrzął na numer. Sto trzynaście, jak nic. Pchnął drzwi.

Gabinet zawałały meble, na których piętrzyły się stosy gazet. Nie było okna, na biurku stała mała lampka, która oświetlała tylko część pokoju. W metalowej popielnicy dopalała się resztką papierosa. Wciśnięty pomiędzy meblościankę a biurko siedział okrągławy, łysy facet. Tak na oko dobiegał pięćdziesiątki. Wypełniał sobą właściwie cały pokój. A może ten pokój był tak mały? Gdy Wajda podszedł, proporcje się zmieniły, okazało się, że ten wielkolud wcale nie jest wysoki. Miał może z metr osiemdziesiąt. Wyglądał jak po ciężkim balu. Podkrążone oczy, kilkadziesiąt zarost i ten kwaśny odór alkoholowy. Niedźwiedź w cyrku. Lwowiak nie wiedział dlaczego, ale tak mu się skojarzyło. Mężczyzna spoglądał beznamietnie na Wajdę.

– Redaktor Komorowski? – wolał się upewnić milicjant.

– Nie przesadzałbym z tymi tytułami. – Mężczyzna otworzył szufladę i wyciągnął metalową piersiówkę. – Po prostu Adam.

Postawił przed sobą dwa kieliszki i nalał do połowy, po czym schował piersiówkę do szuflady.

– Proszę czuć się jak u siebie. – Wskazał gościowi przestrzeń przed sobą.

Lwowiak rozejrzył się dookoła, ale żadnego krzesła nie zobaczył. Nie było na nie miejsca. W kącie stała mała szafka, na której leżała sterta gazet. Wajda odłożył je na podłogę i usiadł.

– Nie, dzięki, nie piję. – Odsunął kieliszek.

Komorowski patrzył na gościa z coraz to większym zainteresowaniem.

– Po akcencie wnoszę, że nie jest pan krajanem, ale jeżeli znalazł się pan na tym niewielkim skrawku ziemi, który zasiedla Komorowski, to musi się

pan dostosować do tutejszego prawa, a zatem? – Podniósł kieliszek i pozostał w zawieszaniu.

Wajda przełknął ślinę, zrozumiał, że to będzie jego najgorszy dzień. Wyciągnął rękę po kieliszek i jednym haustem wypił jego zawartość. Ciepły samogon. Ohydny, smolisty, ciepły samogon. Bronił się przed wyrzuceniem z siebie całej zawartości na biurko. Po chwili się uspokoił.

– Widzę, że nie przyszedł pan tutaj, by konsumować ze mną ten wybitny trunek?

Wajda złapał głęboki oddech.

– Ze szperką byłoby łatwiej. – Odkaslnął i przez chwilę próbował złapać oddech jak ryba wyrzucona na brzeg.

Zaśpiew Wajdy najwyraźniej spodobał się Komorowskiemu. Twarz mu nabrała kolorów, uśmiechnął się. Jakby całe napięcie z niego zeszło. Dopiero teraz Wajda zauważył kurze łapki w kącikach oczu dziennikarza, które mogły świadczyć o jego pogodnej naturze.

– Widzę, że mam przyjemność z baciarem? – Komorowski z entuzjazmem pochylił się i ponownie wyciągnął rękę do szuflady.

– Baciarem to nie... Nazywam się Wajda i jestem... z milicji jestem.

Komorowski przez chwilę jakby zawisł w powietrzu, po czym cofnął rękę i cały się wyprostował.

– Aha... W czym zatem mogę pomóc, panie władzo?

– Panie Komorowski, nie przyszedłem tu oficjalnie. Badamy pewną sprawę, która wydarzyła się kilka lat temu. – Wajda zastanawiał się, ile może powiedzieć temu człowiekowi, żeby wzbudzić w nim zaufanie. – Nie jestem śledczym. Pracuję w wydziale kryminalistyki. Badam ślady. Jestem prostym technikiem.

Komorowski z zaciekawieniem wsłuchiwał się w to, co mówi siedzący przed nim człowiek. Nie wyglądał jak milicjant. Nie zachowywał się jak oni. Był – szukał w myślach dobrego słowa, które by go opisało – taki swojski, prawdziwy.

– O jakiej sprawie pan mówi i co ja mam z tym wspólnego?

– No właśnie. Mówię o sprawie rzeźnika z Niebuszewa...

Komorowskiego przeszedł dreszcz. Oparł się rękami o blat stołu i wstał, podszedł do uchylonych drzwi. Zamknął je i przysunął szafę, by lekko zablokowała wejście. Wyciągnął rękę w górę i nad drzwiami wymacał włącznik kołchoźnika. Rozległ się skrzeczący dźwięk, który po chwili

zamienił się w muzykę. Męski mocny głos śpiewał, że „nie trzeba słów”. Komorowski wrócił za biurko i znowu pochylił się do szuflady. Tym razem metalowe kieliszki napełnił po sam brzeg.

– Czytałem pański artykuł, dotyczący sprawy...

– ...który się nigdy nie ukazał, a właściwie został wydrukowany, tylko nikt nie miał szansy go przeczytać.

Komorowski przechylił kieliszek i spojrzał wyzywająco na lwowiaka. Wajda sięgnął po trunek, podniósł do ust i wypił. Tym razem wódka smakowała nieco lepiej.

– No właśnie... – Przełknął ślinę. – W artykule zasugerował pan, że Cyppek nie mógł sam tego zrobić. Dlaczego pan tak myślał?

Komorowski pogładził się po szyi.

– O kanibalach na Niebuszewie ludzie gadali już od początku pięćdziesiątego pierwszego, a może i wcześniej. Pamięta pan, jak trudno było dostać mięso. To wtedy pojawiła się legenda o ludziach, którzy kroją innych na bigos. Wyobraźnia szczecinian była nieograniczona, każde tajemnicze zniknięcie znajdowało swoje wyjaśnienie w plotkach. Tyle że w każdej plotce jest ziarno prawdy. Kiedy złapali Cypka, naczelny wysłał mnie na Niebuszewo, żebym zrobił z tego materiał na jedynekę. Blacharze byli otwarci jak nigdy. Bez problemu można było wejść na miejsce zbrodni. Chyba cała Rewolucji Październikowej tam była. Sąsiedzi, przypadkowi ludzie. Przejrzałem dokumenty, protokoły przesłuchań. Rozmawiałem ze wszystkimi z Wilsona. Nawet z tymi, z którymi nie rozmawiali milicjanci. I co? I... to wszystko nie trzymało się kupy. Cyppek był nowy na dzielnicy. Mieszkał tam niespełna pół roku. Ci sąsiedzi, którzy zeznawali, też nie mieszkali tam zbyt długo. A z tymi, którzy mieszkali tam od lat, nikt nie chciał rozmawiać. Dziwne. Dopiero gdy pogadałem z sąsiadami, którzy zasiedlili Niebuszewo zaraz po wojnie, sytuacja się nieco wyjaśniła, a właściwie jeszcze bardziej zagmatwała... Okazało się, że Cyppek był współpracownikiem.

Komorowski spojrzał przez ramię na drzwi.

– Współpracownikiem? – Lwowiak nie lubił się mylić, a słowa wypowiedziane przez tego faceta o wyglądzie niedźwiedzia potwierdzały jego wcześniejsze ustalenia.

– Tak twierdziła pani... Zaraz jak jej było...? Genowefa, tak pani Genowefa, sąsiadka Cypka spod ósemki. Mówiła, że Cyppek bardzo często

gościł u siebie towarzyszy z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego...

– Czyli był tajnym współpracownikiem?

– Tego nie wiem na pewno, ale na Niebuszewie nikt normalny nie przyjmował u siebie ubeków.

Komorowski wstał i z trudem przecisnął się pomiędzy biurkiem a szafą z makulaturą. Zrobił krok i stanął przed przeciwległą szafą z półkami, na których leżały gazety. Wyciągnął rękę i chwilę macał pod jedną z kupek, aż na zarośniętej twarzy pojawił się uśmiech. Lwowiak dopiero teraz zauważył, że przedmiotem, którego tak usilnie poszukiwał Komorowski, była rozpoczęta butelka z mętną cieczą. Wajda poczuł, jak poranna jajecznicza podchodzi mu do gardła. Wyciągnął notes i zaczął pisać. Uświadomił sobie, że może nie pamiętać wielu wątków tej rozmowy.

– Oficjalna wersja przebiegu zbrodni wygląda tak... – rozpoczął Komorowski. Ponownie wcisnął się za biurko i zanim jeszcze usiadł, rozlał samogon. – Rankiem jedenastego września tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku naszego bohatera odwiedza sąsiadka, Irena, żeby pożyczyć mąkę. Cyppkowi bardzo podoba się Irena, więc próbuje się do niej zbliżyć, rozumiesz? – Adam puścił oko do coraz bardziej skołowanego lwowiaka. – Ta go odtrąca i wychodzi. Jednak za chwilę wraca i wtedy Cyppek nie wytrzymuje, i łapie ją wpół, Irena się wrywa. Cyppek chwyta młotek i rozwala jej czaszkę.

Komorowski sięgnął po kieliszek i gestem ponaglił Wajdę. Gdy ten wypił, kontynuował:

– To tak w skrócie. Później odcina głowę nożem kuchennym i ćwiartuje resztę zwłok. I wiesz, teraz zaczyna się najciekawsze. Po tym, jak zrobił rzeź, zaprasza na imprezę sąsiadów. Jankowskiego ze swoją dziewczyną Jadzią. Jedzą i piją kilka godzin.

Dziennikarz ponownie rozlał wódkę do kieliszków.

– Przecież widziałeś te zdjęcia z miejsca zbrodni.

Lwowiak zreflektował się, że umknął mu moment, kiedy przeszli na ty. Adam nie musiał tego opisywać.

– Zlew cały we krwi. Przy maśle na porcelanowym talerzyku serce, na talerzu obok wątroba z kawałkiem przepony, a w wiadrze koło kanapy jelita i krew. To wszystko w tym samym miejscu, gdzie trwa impreza, rozumiesz?! – Na twarzy dziennikarza pojawiły się różowe rumieńce. – Ale najlepsze jest to, że ani Jankowskiego, ani jego dziewczyny Jadwigi milicja

nigdy nie przesłuchała. Wyobrażasz sobie? Swoją drogą sąsiedzi po całej sprawie szybko zniknęli. Ślad po nich zaginął. Cyppek wziął wszystko na klatę.

Komorowski wyciągnął butelkę i rozlał resztkę bimbrowa do kieliszków.

– A teraz ostatni akt sprawy. Słyszałeś o sprawie Szambelanów z Warszawy?

Wajda pokręcił głową.

– Tak myślałem. Nie mogłeś słyszeć, bo sprawa najpewniej dostała klauzulę ściśle tajną. Otóż jakieś pół roku przed aresztowaniem Cyppeka zamknięto nielegalną rzeźnię na ulicy Szczecińskiej. Właściwie nikt nie wie z jakiej przyczyny. Poza kilkoma osobami, które już dziś nic nie powiedzą – zachnął się Komorowski i sięgnął do szuflady po piersiówkę. Nalał sobie i poczęstował gościa. – Posłuchaj historii i powiedz mi, czy z czymś ci się kojarzy. W mieszkaniu przylegającym do nielegalnej masarni mieszkali państwo Szambelanowie. Szewc z żoną i dwiema córkami. Pewnego popołudnia pani Szambelanowa poinformowała męża, że idzie do sąsiadki. Gdy kobieta długo nie wracała, mąż rozpoczął poszukiwania. Odwiedził koleżankę, która stwierdziła, że jego żona wyszła już kilka godzin wcześniej. Zdenerwowany Szambelan wrócił do domu, ale gdy mijał masarnię, przez otwarte okno zobaczył wiszącą sukienkę. To była ta sama sukienka, w której do sąsiadki wyszła jego żona...

– Zaraz, zaraz. – Lwowiak podniósł się nerwowo z szafki, na której siedział. – Przecież ty opowiadasz historię Ireny Jarosz, zamordowanej przez Cyppeka. To jej mąż zobaczył sukienkę w mieszkaniu Cyppeka.

– Ha! – Komorowski się uśmiechnął. – To nie wszystko. Mąż wezwał dozorcę, który stwierdził, że rzeźników z masarni nie ma, bo o tej porze są w kinie. Zatem wezwali milicję. Blacharze wyważyli drzwi i na stole znaleźli ciało nagiej kobiety z odciętą głową. To była pani Szambelanowa. Milicja wpadła do kina i skuła zaskoczonych rzeźników. Z moich ustaleń wynika, że kobieta znalazła się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Miała pecha. Rzeźnicy prawdopodobnie przez pomyłkę czy niedbałość zostawili uchylone drzwi do masarni. Bogu ducha winna kobieta chciała sobie skrócić drogę do domu i weszła do rzeźni. Jej oczom ukazała się scena jak z najgorszego koszmaru. Rzeźnicy właśnie byli w trakcie ćwiartowania zwłok. Przestraszyli się i doszli do wniosku, że

jedynym wyjściem jest zlikwidowanie świadka. Tak też zrobili. I wiesz, co w tym wszystkim jest najdziwniejsze?

– Co?

– Sprawa nie istnieje. Milicjanci nic o niej nie wiedzą. Rodziny Szambelanów na Wilsona nie ma. Stary Szambelan wyjechał. Starsza siostra wyjechała. Nie wiadomo dokąd. Nikt nic nie wie. O sprawie lepiej nie rozmawiać. Tylko lokalni, jak popiją, gadają...

– Co gadają? – uchwycił się ostatniego słowa Wajda.

– Ano, że to jakaś sekta, że w masarni odbywały się jakieś obrzędy, że jakieś symbole krwią na drzwiach... Pijackie majaki.

Lwowiak miał już dość. Krople potu spływały mu po rozpalonych policzkach, ale musiał zadać jeszcze jedno pytanie.

– Zatrzymali twój tekst. Jak myślisz dlaczego?

Komorowski chwilę wpatrywał się tępym wzrokiem w pyzatego Ukraińca, który siedział przed nim.

– Jak ty właściwie masz na imię? Zresztą... To był piękny słoneczny dzień. Pamiętam doskonale, bo siedziałem nad tym tekstem trzy dni. Gdy go oddawałem do korekty, wiedziałem, że zrobiłem kawał dobrej roboty. Szczęśliwy wsiadłem w trójkę i pojechałem do domu. Kiedy wszedłem do mieszkania, nie powitał mnie jak co dzień głos żony ani nie podbiegła do mnie córeczka. Zobaczyłem je dopiero w dużym pokoju. Obie były związane, patrzyły na mnie tymi swoimi wielkimi, błagalnymi oczami. W ustach miały jakieś szmaty, a nogi trzymały w misce. Obok nich siedział typ z nochem jak ziemniak i byczym karkiem. Wstał, wyciągnął nóż i ukląkł przed moimi dziewczynami. „Widzisz, tu jest tętnica udowa”. Patrzył na mnie, ale ostrzem noża przesuwiał się po udzie mojej córki. „Wystarczy, że ją przetnę, a w ciągu siedmiu minut ta miska wypełni się krwią twojej córki. A później twojej żony”. Potem wstał i podszedł do mnie. Byłem sparalizowany. „Zapomnisz o sprawie rzeźnika z Niebuszewa, a ja już nigdy się tu nie pojawię. Gdyby ci się jednak zebrało na wspominki, to zostawiłem ci pamiątkę naszego spotkania”. Odwrócił się i spojrzał w stronę przerażonych dziewczyn. „Twoja miła żona wie, o czym mówię. Serwus, redaktorze”. Poklepał mnie po ramieniu i po prostu wyszedł. Podbiegłem do dziewczyn i uwolniłem je z więzów. Długo siedzieliśmy wtuleni w siebie. Dopiero po chwili zobaczyłem krwawy ślad na sukience Agaty. –

Komorowski wstrzymał głos i jeszcze raz spojrzął na drzwi. – On ją oznaczył...

Wajda przestał notować.

– Oznaczył?

– Wypalił jej na plecach jakiś znak z dziwnymi napisami...

– Pamiętasz, jak wyglądał ten znak?

– Trudno zapomnieć, widzę go każdej nocy...

– Możesz mi go narysować?

Wajda podał Komorowskiemu notes i ołówek. Adam przez chwilę szkicował coś, po czym podał rysunek lwowiakowi.

– Rana była głęboka, dzięki czemu znak jest wyraźny...

– Sprawdziłeś, co oznaczają te napisy i ten znak?

Komorowski machnął ręką.

– Jest taki profesor na PAM-ie. Pracuje w Katedrze Farmakologii, nazywa się Józef Kazgan. On zna się na takich symbolach.

– Rozmawiałeś z nim?

– Nie. Już z nikim więcej o tym nie rozmawiałem.

Rejon portu, Łasztownia, 21 marca 1952 roku, wczesny ranek

Ciężarówka wpłynęła na drewniany most. Belki zatrzeszczały pod ciężarem trzyipółtonowego furgonu. Porywy wiatru szarpały fale na rzece, a te wdzierały się na prowizoryczną konstrukcję kładki, zamieniając ją w lodową pułapkę. Dwóch mężczyzn w kabinie opla blitza w skupieniu próbowało przebić wzrokiem bałwany przewalające się przed autem. Kierowca spojrzął w lusterko. W śnieżnym pyłe migotał zarys częściowo zburzonej wieży kościoła Świętego Jakuba. Rzucił okiem na swojego towarzysza, który z zamkniętymi oczami szeptał coś pod nosem. Blitz powoli przetoczył się przez drewniany most, zawieszony na stalowych podporach, które jeszcze przed kilkoma laty tonęły w odmętach Odry. Dzisiaj pośpiesznie i dość prowizorycznie ułożona drewniana kładka zapewniała jako takie połączenie z prawym brzegiem miasta, będąc jednocześnie jedyną drogą, którą można dostać się do portu.

Ciężarówka przyspieszyła na ostatnich kilku metrach, tak jakby kierowca chciał jak najszybciej pozostawić za sobą w tyle lodową pułapkę. Wjechali na Łasztową. Trudno to było nazwać ulicą, ale tabliczka już wisiała. Przejechali ze sto metrów i zatrzymali się przed posterunkiem MO. Z budynku wyszedł zgarbiony milicjant, który robił wszystko, żeby nie stracić okrycia głowy. Kierowca z trudem otworzył okno. Posterunkowy próbował wcisnąć głowę do środka kabiny, jednak okno zaprotestowało, nie chciało opuścić się niżej. Dał za wygraną. Jedną ręką nadal podtrzymywał kaptur sztormiaka, drugą wyciągnął w kierunku kierowcy, krzyżując:

– Przepustka!

Kierowca wyciągnął dokument i wskazał wielki emblemat na boku kabiny. Milicjant cofnął się i spojrzął na grafikę przedstawiającą zielony

glob poprzecinany siecią równoleżników i południków, obok którego ciągnął się przez całą długość wielki napis „C. Hartwig”. Milicjant oddał kierowcy dokumenty i machnął ręką.

– Jedź!

Wozy firmy Hartwig, obok rosyjskich lenwniesztransów[83], były jedynymi, które miały stałą przepustkę zezwalającą na wjazd do portu. Firma nie tylko handlowała towarami, które wpływały do Szczecina, lecz także zatrudniała polskich pracowników, którzy mieli prawo pracować w enklawie – radzieckiej strefie eksterytorialnej, do której Polacy raczej nie mieli wstępu. Milicjanci z posterunku na Łasztowej woleli nie wnikać w zawartość i przeznaczenie tego, co było na pace ciężarówki z emblematem zielonego globusa.

Opel ruszył do przodu. Po obu stronach drogi samotne pojedyncze latarnie uliczne podświetlały kurhany gruzu pokryte białym puchem. Po jakimś czasie po prawej stronie ukazał im się kościół, a trochę dalej po lewej – pojedyncze budynki. Kompleks czterech z nich tworzył resztki tego, co kiedyś można było nazwać kamienicą.

– To tu – zwrócił się do siedzącego obok mężczyzny kierowca i skręcił w lewo. – Pamiętaj, że im więcej wyłapiesz tych małych szkopów, tym większa czeka nas nagroda.

Pasażer odwrócił się do tyłu i zza fotela wyciągnął torbę, którą położył przed sobą.

– Dobrze, ale czy na pewno będą tu sami Niemcy?

– Nie ma wątpliwości. To jest ostatnie miejsce w tym parszywym mieście, w którym te świny cieszą się wolnością. – Kierowca o twarzy przypominającej kartofel zatrzymał ciężarówkę pomiędzy dwoma budynkami. – Ruscy dali im mieszkania i wykorzystują ich do pracy w porcie, a ci myślą, że są dalej u siebie. A tu czeka ich niespodzianka. – Mężczyzna zarechotał. – Zanim stąd uciekną, zabierzemy im wszystko, co kochają, i po małej obróbce oddamy... w konserwach, które ci z radością i wdzięcznością zaborą do swojego nowego kraju.

Mężczyzna otworzył okno i nabrał powietrza, płatki śniegu wdarły się do środka, by po chwili rozpląnąć się w ciepłej kabinie opla.

– No teraz to morowy z ciebie kacap. – Kierowca uśmiechnął się, widząc pasażera, który poprawiał czapkę oficera Armii Czerwonej. – Pamiętaj, co masz robić?

– Tak.

– Przypomnij.

– Pukam do drzwi, otwierają. Mówię, że zbieramy ich dzieci na szczepienie przeciw durowi wysypkowemu i że za godzinę wrócą. Swoją drogą, czemu akurat przeciw durowi wysypkowemu? Nie lepiej przeciw ospie?

– Nieważne, mistrz to wymyślił.

– A co jak nie uwierzą?

– Powołaj się na pułkownika Fiodorowa. – Kierowca spojrział w lusterko i przyglądając się gładko ogolonej, wręcz młodzieńczej twarzy, zwrócił się na koniec do pasażera: – Klawo, pamiętaj w razie wpadki...

Mężczyzna w mundurze radzieckiego oficera wyciągnął ampułkę z kurtki, pokazał ją kierowcy, po czym włożył ją z powrotem i z uśmiechem poklepał się po bocznej kieszonce.

– Żywcem nas nie wezmą!

Wyskoczył z ciężarówki i szybkim krokiem ruszył w kierunku zabudowań.

Śnieżyca równie szybko ustała, jak się pojawiła. Wiatr przegonił chmury. Od strony Odry wstawał dzień. Pierwsze promienie słońca wdrapywały się po budynkach portowych, odsłaniając poranioną dzielnicę. Zapadła cisza. Minęła godzina od chwili, gdy jeden z mężczyzn wysiadł z ciężarówki i poszedł w kierunku kamienic. Kierowca stał oparty o zderzak opla. Palił papierosa i wpatrywał się w okna budynków naprzeciwko. Śnieg pomalował Łasztownię na białą. Nie było spalonych budynków, gruzowisk i błota, tylko biała pustynia, od której bolały oczy. Zapowiadał się piękny, słoneczny dzień. Kierowca podniósł rękę i spojrział na zegarek. Parę minut po dziesiątej. Odwrócił się i zrobił kilka kroków. Śnieg zachrząścił pod butami. Po drugiej stronie drogi stały zrujnowane budynki. Niektóre z nich nadawały się jeszcze do zamieszkania, ale widać było, że są to pustostany. Mężczyźni nie interesowały budynki. Stawał na palcach, by dostrzec, co jest za ruinami – tam skąd wyrastała wieża, tam gdzie był kościół Świętej Trójcy. Pamiętał, że o dziesiątej trzydzieści zaczyna się nabożeństwo. Nielegalne, bo ewangelicy nie otrzymali od władz miasta budynku. Jednak ludzie się złazili i msze się odbywały. Na razie, na szczęście, było pusto. Jednak czas naglił.

Kierowca wyciągnął platerowaną papierośnicę, która zabłysła w promieniach słońca. Gdy zapalał papierosa, z kamienicy, do której sporo wcześniej wybrał się jego towarzysz, doszedł go jakiś dźwięk. Odwrócił się zdziwiony, śpiew stawał się coraz donośniejszy. Wyrzucił papierosa i szybko ruszył do opla. Nagle jego oczom ukazał się przedziwny widok. Główną ulicą, która prowadziła do czterech budynków mieszkalnych, szła kolumna ubranych na galowo dzieci. Na czele grupy kroczył mężczyzna w mundurze sowieckiego oficera, a za nim sześć-, siedmiolatki, które trzymając się za dłonie, śpiewały jakąś niemiecką piosenkę. Mężczyzna przyglądał się chwilę tej wyjątkowej scenie, po czym przeszedł na tył samochodu i otworzył drzwi do kabiny pasażerskiej. W środku zamocowano dwa rzędy ławek, a na podłodze położono brezent. Rozproszone światło z lampki na suficie podkreślało surowe wnętrze. Mężczyzna sięgnął po metalowe schodki umieszczone pod podwoziem i je rozłożył. Rozśpiewana grupka podeszła do kierowcy. Mężczyzna w mundurze podawał rękę każdemu dziecku i pomagał wejść do środka. Gdy już cała szóstka siedziała w środku, kierowca spojrzął na kolegę.

– Wiesz, że to będzie najtrudniejszy kawałek?

– Nic się nie bój. – Mężczyzna poprawił czapkę i wskoczył do środka. – Jak dojedziemy na miejsce, będzie po wszystkim. Daj mi dziesięć minut, zanim ruszysz.

Kierowca, zanim zatrzasnął drzwi do kabiny, zauważył, jak mężczyzna sięga do skrzyni znajdującej się pod jedną z ławeczek i wyciąga butelkę napełnioną jasnym płynem i szklaną strzykawkę. Zatrzasnął drzwi i wyciągnął papierośnicę. Przez chwilę patrzył w poślaczane pudełko. Trzy papierosy. Czy mu starczą? Teraz jeden, potem drugi w okolicy parku Kasprowicza, gdy będą obrabiali mięso, no i trzeci na moście, gdy już wyrzucą kości do Rusalki. Powinno wystarczyć. Śpiew dzieci był coraz słabiej słyszalny, aż w końcu ucichł zupełnie.

[83] Lenwniesztransy – potoczne określenie samochodów Leningradzkiego Biura Transportu i Handlu Zagranicznego „Lenwniesztrans”, przedsiębiorstwa handlowo-przemysłowego funkcjonującego na początku lat 50. XX wieku w Szczecinie.

CZEŚĆ II

POŚCIG

28
Bajka

Śródmieście, Szczecin, wrzesień 1957 roku

Basia się nie śpieszyła. Postanowiła drogę do Bajki pokonać na piechotę. Galant zabrał auto, a nie chciała angażować jakiegoś milicjanta z samochodem służbowym, by ją podrzucił dwa i pół kilometra dalej. Do tego był taki piękny dzień. Plac Grunwaldzki pachniał kwiatami. Ruszyła. Skręciła w Jedności Narodowej[84]. Orzełek na jej czapce lśnił w promieniach słońca. Była w pełnym umundurowaniu. Napięty skórzany pasek od raportówki podkreślał jej piersi. Widziała, że mężczyźni się za nią oglądają. Milicjantka nie była częstym widokiem na ulicach Szczecina, w służbie nie było wiele kobiet. Czasami zdarzały się w drogówce. Jednak wydziały śledcze były zarezerwowane dla facetów. Wiedziała, że jest forpocztą, pionierką, która przeciera szlak innym kobietom. Nie musiała nosić munduru. To był jej wybór. Była dumna, że jest pracownikiem Milicji Obywatelskiej. Tak jak jej rodzice. Nie, wcale nie tak samo. Oni byli policjantami. Służyli opresyjnemu państwu, którym ona gardziła. Dobrze, że po tym, co się wydarzyło w lesie, trafiła do domu dziecka. Państwo dało jej nowe życie, partia otworzyła oczy. Teraz może się przydać, oddać ojczyźnie to, co od niej otrzymała. Kręgosłup ideowy, wykształcenie i przyszłość.

Przechodząc obok remontowanej kamienicy, spojrzała na swoje odbicie w szybie. Zobaczyła szczupłą, pewną siebie brunetkę w granatowej spódniczce i szaroniebieskiej bluzie. Uśmiechnęła się. Przeszła przez ulicę i znalazła się na środku placu Lotników. Dotychczasowy skwer zamienił się w skład cegieł i pustaków niezbędnych do remontu kamienicy. Przystanęła i spojrzała na budynek. Był na ukończeniu. Drewniane rusztowania nadal przytulały się do ścian, jednak już można było zauważyć przemianę.

Dotychczasową „poniemiecką” zabudowę secesyjną zastąpiła prosta, bez zbędnych zdobień, elewacja. No i to jest coś, na co czekają ludzie, pomyślała. Odwróciła się i ruszyła w kierunku strzelistego pomnika z gwiazdą na szczycie[85].

Idąc pustą aleją, układała sobie w głowie pytania, jakie zamierza zadać kierownikowi Bajki. W aktach sprawy znalazła notatkę młodszego aspiranta Bartosza Klepackiego. Do komisariatu podczas jego dyżuru przyszły dwie obywatelki, które zgłosiły zaginięcie dwóch koleżanek. Twierdziły, że od trzech dni nie mają z nimi kontaktu. Wskazały również, że ostatnią osobą, z którą dziewczęta rozmawiały, był niejaki Rychter, kierownik baru w Bajce. W kolejnych dokumentach nie ma już o tym słowa. Jedynie do protokołu z zamknięcia sprawy była dołączona krótka informacja, że nieznane z imienia i nazwiska kobiety wycofały zgłoszenie. Dziwne. Będzie musiała spotkać się z tym Klepackim.

Przeszła na Obrońców Stalingradu[86]. Przyśpieszyła. Nie lubiła tej części Szczecina. Wszędzie mniejsze lub większe składowiska gruzu i strzępy starych budynków. Z dawnego domu towarowego[87] wзираły puste okna. W większości na parterze i pierwszym piętrze nie było szyb, na drugim i trzecim jeszcze się zachowały, ale były zasłonięte jakimś materiałem, być może starymi zasłonami. Na poboczu, na kawałku jakiegoś betonu, siedział znudzony facet w granatowym kombinezonie roboczym i berecie tego samego koloru. Pałac papierosa, przyglądał się, jak wielka łycha czarnego potwora zatapia się w górze gruzu, by po chwili zrzucić ze zgrzytem zawartość na cierpliwie czekającą ciężarówkę. Zgrzytała przy tym niemiłosiernie, jakby chciała dać wszystkim dookoła znać, że oto wraz z resztkami budynków odchodzi jakaś część starego świata. Nikogo to jednak nie interesowało, no może poza facetem w granatowym berecie, z kiepem w gębie.

Basia przepuściła sunący ze zgrzytem tramwaj i przeszła na drugą stronę. Zwolniła jednak, by złapać oddech. Poczowała, że ten krótki spacer w pełnym słońcu odebrał jej sporo sił. Spojrzała w prawo. Wzdłuż ścieżki rosły dorodne buki. W ich cieniu można było spocząć na jednej z ławek lub spokojnie dojść aż do Bramy Portowej. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie przysiąc. Właściwie poza rozmową z kierownikiem Bajki nic innego nie miała w planach. No może jeszcze porozmawia z tym Klepackim. A to już razem mogło zabrać jej trochę czasu. Poza tym chciała się spotkać

jeszcze z Ugne, by ustalić, co zrobią dalej. Tylko jak się z nim umówić? Próbować oficjalnie złapać go przez radio czy może poczekać w komendzie? Jeżeli go nie będzie w aucie, to radio nie pomoże. Cóż, trzeba będzie czekać.

Milicjantka złapała się na tym, że stoi na początku alei Niepodległości, w samym sercu Szczecina, i planuje spotkanie z Galantem. Niedobrze ze mną, pomyślała. Ruszyła. Przeszła przez ulicę. Po lewej stronie odgruzowywano jakieś ruiny, a w oddali majaczyły budynki, którym udało się przetrwać bombardowanie. Minęła plac po prawej i skierowała się w stronę Bajki. Przed restauracją, na wysokości baru Extra, stały dwie garbate warszawy. Basia spojrzała na kolorowy neon. Na elewacji obok bystre oko mogło dojrzeć ślady dawnej niemieckiej nazwy restauracji – Ohlen. Kobieta pchnęła ciężkie drewniane drzwi.

* * *

Ugne skręcił w Żupańskiego. Koła łazika dudniły po brukowanej ulicy. Na poboczu, przed bramą secesyjnej kamienicy noszącej ślady kul rosyjskiej pepeszy, stała biała warszawa. Chudy facet z klatką piersiową pokrytą tatuażami przypominającymi szachownicę, na której zamiast figur widniały rozneglizowane tancerki, pucował karoserię, nie zwracając uwagi na przejeżdżający z hukiem wóz. Schylił się do blaszanego wiadra, by ponownie zamoczyć materiał w wodzie z pianą. Ugne spojrzał w lusterko. Znając czas reakcji milicjantów z Niebuszewa, nie spodziewał się fajerwerków. Co teraz? To oczywiste, że to była ustawka. Tylko czyja? Tamci dwaj to z pewnością esbecy. Ci sami, których spotkał w Turczynce. Milicjanta pewnie ściągnęli z jakiegoś krawężnika, by mieć świadka. Od kiedy za nim łazili i dlaczego?

Wyciągnął papierosa i zaczął szukać zapalek. Rozejrzał się po wnętrzu samochodu. Nic. Przypomniawszy sobie, że schował je do tylnej kieszeni spodni. Zdał sobie sprawę, że trzymając kierownicę, ich nie sięgnie. Musi się zatrzymać. Skręcił w Słowackiego. Na ulicy nie było ani jednego samochodu, chodniki puste. Spojrzał w kierunku parku Kasprowicza. Po japońskim mostku spacerowała jakaś para. Chłopak w krótkich spodenkach wspinał się od strony parku na wieżę bramy. Drugi, niższy, ewidentnie mu kibicował. Jednocześnie oglądał się za siebie, czy jakiś dozorca nie wyskoczy z którejś z bram z naprzeciwką albo nie pojawią się

milicjanci, którzy zakończą zabawę we wspinaczkę. Ugne przycisnął pedał gazu. Po chwili był już na wysokości Wyższej Szkoły Rolniczej. Wyjeżdżając zza zakrętu, o mało nie wpadł na stara, który zapakowany workami cementu próbował wtoczyć się do parku. Za nim w kolejce stało kilka innych wozów. Niektóre miały na pace piach, inne jakieś metalowe konstrukcje. Milicjant przypomniał sobie nagłówek w „Kurierze Szczecińskim” z apelem towarzystwa jazzowego: *Wyremontujmy scenę w Parku*. Ciężarówki, które zakorkowały przejazd aż do Akademickiej[88], pewnie jadą właśnie na budowę kolejnego dzieła socrealizmu, pomyślał Galant. Z rezygnacją sięgnął po zapaliki. Zapalił papierosa. Dlaczego barman musiał zginąć? Czy był przypadkową ofiarą jakiegoś esbeckiego spisku, którego ofiarą miał paść on, czy może jednak wiedział coś ważnego dla śledztwa? Co on mówił o tej właścicielce baru? Że przeniosła się i pracuje gdzieś na Stołczynie? Nie, na Gołęczynie. Czy to nie tam, gdzie znaleźli ubrania tych zaginionych dziewczyn?

Ugne ujrzał przed sobą mapę, która w mgnieniu oka zapełniała się kolejnymi strzałkami łączącymi osoby, miejsca, bohaterów teczek i milicjantów. To było jak jakiś miraż. Widział rzeczy, których nie było. Zawsze mu się to zdarzało, gdy na czymś się mocno skoncentrował. Zapadał się w niebyt. Podczas kluczowych partii szachowych tak widział szachownicę i kolejne ruchy przeciwnika. Tak samo przewidywał ruchy przeciwnika podczas pojedynków bokserskich. Jakby mózg rozrysowywał mu różne możliwe scenariusze. Zamknął oczy i poczuł, że robi mu się niedobrze. Silna dłoń trzymająca piłę, którą zbliża do jasnej jak śnieg kobiecej nogi. Znowu ten koszmar. Otworzył drzwi i zwymiotował. Wisiał tak przez chwilę z głową nad brukiem, zastanawiając się nad obrazem, który zobaczył. Splunął, odchylił się na fotelu, po czym uruchomił silnik. Stoewer z piskiem opon wdarł się na chodnik, wyminął machających rękoma i wyrzucających z siebie obelgi budowlańców i ruszył w kierunku Arkońskiej. Wiedział, że musi pojechać na Gołęczin.

* * *

W środku było chłodno i ciemno. Przeszła po omacku przez korytarz i dotarła do głównego holu. Po prawej stronie był bar, po lewej mały parkiet otoczony stolikami. Z zaplecza kuchennego dochodziły podniesione głosy.

Basia tam weszła. Poczła zapach przypalonej cebuli. Odsunęła zasłonkę i zajrzała do kuchni. Światło było na tyle mocne, że musiała podnieść dłoń, aby zakryć oczy przed jego blaskiem. Dwóch mężczyzn się kłóciło. Niższy, brunet, z charakterystycznie zakrzywionym nosem, ubrany w czarną marynarkę i białą koszulę, najwyraźniej był tu szefem. Wzburzony wykrzykiwał w stronę stojącego po drugiej stronie dużego metalowego stołu kucharza.

– Pamiętaj, nie będzie drugiego razu! Jedzenie jest świętością, tępy chochole[89]! – krzyczał mężczyzna, wymachując młotkiem do ubijania kotletów. Dopiero po chwili zauważył Basię.

– A ty co tu robisz? – Zlustrował ją od góry do dołu. Była od niego wyższa, więc musiał podnieść wzrok, by spojrzeć jej w oczy. – To striptizerki ubierają się teraz w mundury naszej władzy? Klawo!

Podszedł do Basi na tyle blisko, że mogła poczuć zapach taniej wody brzozonej próbującej zakamufłować wielodniowy brak kąpieli. Odrzuciło ją. Cofnęła się i sięgnęła po legitymację służbową. Sprawnym ruchem otworzyła ją i przycisnęła do nosa natarczywego mężczyzny, który już wyciągał łapy w kierunku jej spódnicy.

– Sierżant Romanowska, wydział śledczy Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej. Cofnijcie się, towarzyszu, o metr.

Ton, którym to wypowiedziała, był jak wyrok, kategoriyczny, nieprzyjmujący odmowy. Niski w garniturze momentalnie zrobił dwa kroki w tył. Jego twarz nie wyrażała już agresji i pewności siebie. Oblędny wzrok spoczął na zimnej posadzce, dłonie zamieniły się w kłębek, a całość stała się unizona.

– Ja nie wiedziałem... Przepraszam... Proszę wybaczyć, towarzyszeko... Ja...

– Towarzysz Rychter? – Teraz to Basia zbliżyła się do niego na wyciągnięcie ręki. – To wy tu jesteście kierownikiem baru?

– Tak, tak, to ja. Ale w czym problem?

Kucharz, który dotychczas stał z boku i przypatrywał się całej sytuacji, usiadł na taborecie i widząc swojego przełożonego tłumaczącego się milicjantce, z zadowoleniem zaczął wgrzyzać się w soczystą, świeżą marchew.

– Czy możemy porozmawiać w innym miejscu?

Nie trzeba było dwa razy prosić. W Rychtera momentalnie wstąpiły siły witalne, burknął do kucharza:

– Wracaj do roboty! – Wskazał dłonią wejście na salę. – Proszę za mną.

Przeszli przez bar. Rychter przekręcił kremowy włącznik, na którym wciąż można było dostrzec napisy *ein* i *aus*. Biały blask rozświetlił małą scenę. Stoliki objęło ciepłe światło małych lampek.

– Może usiądziemy tutaj – zaproponował miejsce przy pierwszym stoliku nad parkietem. – Coś do picia?

– Nie, dziękuję.

Basia nie zamierzała przebywać w tym miejscu dłużej niż trzeba. Mężczyzna wyjął jeszcze nieotwartą paczkę waweli, przysunął do siebie kryształową popielnicę, po czym powoli, wręcz ceremonialnie zaczął rozpakowywać kremowe pudełko. Basia przyglądała się temu z rosnącą irytacją. W głowie miała obraz dwóch kobiet, które, jak twierdził Ferenc, zostały obdarte ze skóry i wyfiletowane, będąc tego w pełni świadome, a ten mały, oślizły typ mógł mieć coś z tym wspólnego. Zawsze to wyczuwała.

Już w szkole milicyjnej, gdy uczestniczyła w przesłuchaniach, była pierwszą osobą, która doskonale typowała winnego, szczególnie gdy miała do czynienia z ofiarami gwałtów. Tu była bezkonkurencyjna. Jakby kierował nią jakiś szósty zmysł. Ofiary zazwyczaj zamykały się w sobie. Nie chciały zeznawać. Milicjanci z komendy powiatowej w Szczytnie, gdzie studenci szkoły oficerskiej mieli praktyki, nie potrafili się do tego zabrać. Odklepywali te swoje formułki, nie patrząc ofiarom w oczy. Takie sprawy najczęściej kończyły się umorzeniem wobec braku zawiadomienia o przestępstwie. Tak było do czasu, gdy pojawiła się ta szczupła brunetka z wielkimi piwnymi oczami. Nie powinna była się włączać. Studenci mieli tylko obserwować i robić notatki. Basia nie wytrzymała. Śledczy jej nie przeszkadzali, odwalala za nich kawał roboty. Przysuwała swoje krzesło do krzesła, na którym siedziała ofiara. Wszystkie dziewczyny wyglądały podobnie: skulone, nieobecne, z wciąż świeżymi zadrapaniami. Kładła im dłonie na udach i szeptała. Tak cicho, że milicjant musiał się pochylać nad biurkiem, aby coś usłyszeć. Niepotrzebnie. Kończyło się to najczęściej pełnymi zeznaniami i w konsekwencji wyrokiem skazującym. Podczas przesłuchań sprawców rzadko zabierała głos. Świdrowała ich tylko tym

swoim nieprzeniknionym wzrokiem. Gdy milicjanci pytali, czemu się nie włącza, odpowiadała: „Uczę się ich”.

Wiść o skuteczności studentki ze Szczytna rozniosła się po pobliskich komendach powiatowych. Komendanci z Mrągorowa, Pisz, a nawet Olsztyna, pisali prośby do dziekana, by ten wyraził zgodę na odbycie dodatkowych praktyk w ich komendzie. Za późno. Właśnie kończyła studia z wyróżnieniem i pamięcią do twarzy.

– Jak długo tu pracujecie?

Basia przysunęła krzesło jeszcze bliżej stolika, by nie umknęło jej nawet niekontrolowane mrugnięcie mężczyzny siedzącego przed nią, który właśnie zapalał zapalniczkę.

– No, od czasu gdy dostałem tu skierowanie w czterdziestym szóstym.

– Od początku jesteście kierownikiem baru?

– No gdzie tam? Na początku pracowałem za barem, dopiero po pięciu latach szef dostrzegł we mnie potencjał.

Mężczyzna uśmiechnął się kącikiem ust i zaciągnął głęboko papierosem.

– To wy selekcjonowaliście dziewczyny do pracy?

Rychter podniósł brwi, ale nie spojrzał na nią. W jednej dłoni trzymał papierosa, którego właśnie skierował do popielnicy, w drugiej obracał paczkę zapalek.

– Za barem nie pracują dziewczyny.

– Nie mówię o barze, towarzyszu Rychter, ale o dziewczynach pracujących na zewnątrz. Mówię o mewkach...

Ostatnie zdanie zabrzmiało, jakby wypowiedział je ktoś inny, jakby w pomieszczeniu był ktoś obcy. Mężczyzna podniósł wzrok i na wszelki wypadek rozejrzał się dookoła.

– Nie wiem, o czym pani mówi. Nie zatrudniamy żadnych mewek. – Rychter ponownie zaciągnął się papierosem. – Nie mamy wpływu na te kurewki, które wystają pod naszym barem. Informowaliśmy już milicję, że trzeba z nimi zrobić porządek, ale milicja, jak widać, czym innym się zajmuje.

Tym razem uśmieszek, który wykrzywił jego twarz, był jednoznacznie sarkastyczny.

– Sprawdzimy.

Basia sięgnęła do wewnętrznej kieszeni bluzy, wyciągnęła złożony na pół dokument i położyła go przed sobą.

- W marcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku zagięły dwie kobiety, które pracowały w tym miejscu. Słyszeliście może coś o tym?

- Już pani mówiłem, że tu żadne kobiety nie pracowały, a jeżeli chodzi o kurwy, to ich z zasady nie pilnuję. - Rychter rozwalił się na krześle, spojrzał prosto w oczy milicjantce i dmuchnął w jej kierunku dymem papierosowym. - Kurwa powinna znać swoje miejsce, chyba zgodzi się ze mną pani sierżant.

Basia odkasznęła.

- Widzi pan ten dokument? - Basia popukała palcem w kartkę leżącą na stole. - To protokół przesłuchania. Świadkowie wskazali pana jako osobę, która ostatnia rozmawiała z ofiarami - zablefowała.

Rychterowi paczka zapalek wypadła z dłoni i podskakując, potoczyła się gdzieś w kierunku parkietu. Przez chwilę patrzył na milicjantkę, po czym zgasił do połowy wypalonego papierosa.

- Jakie zeznania? Nie rozumiem? Przecież nie powinno być żadnych... - Rychter spojrzał na milicjantkę i zrozumiał, że popełnił błąd.

- Nie powinno być żadnych zeznań - dokończyła milicjantka.

Z kuchni dobiegł dźwięk tłuczonego szkła i stłumione odgłosy przekleństw. Basia wyciągnęła kartkę papieru i przez chwilę coś na niej notowała, po czym wręczyła ją siedzącemu bez ruchu mężczyźnie.

- To jest wezwanie na przesłuchanie. Komisariat Szczecin Niebuszewo. Jutro o godzinie ósmej rano. Tym razem, towarzyszu Rychter, zróbcie porządny rachunek sumienia.

Basia wstała od stołu i ruszyła do drzwi wyjściowych, na chwilę się jednak zatrzymała i odwróciła do stolika, przy którym siedział mężczyzna.

- I jeszcze jedno... Jeżeli jeszcze raz nazwiesz jakąkolwiek kobietę kurwą w mojej obecności, to złamię ci ten garbaty nos.

Dźwięk zatraskujących się ciężkich drzwi wejściowych wyrwał Rychtera z odrętwienia. Wstał i szybkim krokiem ruszył na zaplecze. Drżącymi dłońmi sięgnął po słuchawkę telefonu i wybrał numer. Po trzech sygnałach w słuchawce odezwał się głęboki męski głos.

- Słucham?

- To ja, mistrzu, Rychter. - Cały drżał. - Była u mnie mi... milicjantka. O-o-o... oni wiedzą o tych mewkach.

- Kto to był? - Mężczyzna po drugiej stronie jeszcze nie zdradzał oznak zdenerwowania.

– Jakaś baba, sierżant z komendy wojewódzkiej...
– A czy ta sierżant się przedstawiła? – Powoli zaczął się irytować.
– No jakoś tak z rosyjska... Zaraz, zaraz kojarzę coś... Tak samo jak ta rodzina carska, co ją bolszewicy...
– Romanow?
– Nie, Romanowska.
– Pytała tylko o mewki? Nie pytała o córkę rybaka?
– Nie, na szczęście... na szczęście nie.
– Dobrze, rób swoje. Zachowuj się normalnie, a resztę zostaw nam.
– Tyle że ona zostawiła mi wezwanie na komisariat.
– Nigdzie nie pójdziesz.
Trzask słuchawki i długi sygnał mogły oznaczać tylko jedno. Koniec rozmowy.

[84] aleja Jedności Narodowej – obecnie aleja Jana Pawła II

[85] pomnik wdzięczności Armii Czerwonej

[86] ulica Obrońców Stalingradu – obecnie ulica Bałuki

[87] dawny dom towarowy – późniejszy Kombinat Gastronomiczny „Kaskada”

[88] obecnie ul. Pawła VI

[89] chochoł – pogardliwe określenie Ukraińca, występuje też w formie „chachoł”

Północne dzielnice Szczecina, wrzesień 1957 roku

Ugne, nie ściągając nogi z pedału gazu, spojrział na teczki leżące na siedzeniu pasażera. Jedną ręką trzymał kierownicę, drugą zaczął wertować pierwszą z nich. Zeznania świadka, który zgłosił odnalezienie ubrań zaginionych dziewcząt. Przelatywał szybko wzrokiem w poszukiwaniu nazwiska i adresu. Jest. Sara Maćkowiak, zamieszkała Grobla 8. Milicjant wrzucił niższy bieg i docisnął pedał gazu. To na Gołęczynie. Zamknął teczkę. Tę drugą musiał wziąć przez pomyłkę. Otworzył. Jakieś oficjalne pismo w języku niemieckim. W górnym lewym rogu pieczęć ambasady Niemieckiej Republiki Demokratycznej w Warszawie. Przerzucił stronę, polskie tłumaczenie pisma od ambasadora do Komendanta Wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej w Szczecinie. Przeleciał po nim wzrokiem. Małżeństwo obywateli niemieckich wypłynęło na wycieczkę swoim jachtem z Rostocka do Szczecina i ślad po nich zaginął. Nie ma ani jachtu, ani żeglarzy. Kolejne kartki to protokoły przesłuchań kierowników portów jachtowych od Dziwnowa po Dąbie. Widać, że chłopaki się spięli. Następną kartka – decyzja prokuratora o umorzeniu postępowania. Spojrział na podpis: „starszy referendarz śledczy prokuratury wojewódzkiej Franciszek Muszyński”. Podniósł kartkę, by upewnić się, że się nie pomylił. Wcisnął hamulec i zatrzymał się na poboczu.

Muszyński, znowu on. To nie może być przypadek. Zaczął jeszcze raz wertować dokumenty. Przesłuchanie kierownika Nabrzeża Północno-Zachodniego w Wolinie, przesłuchanie kierownika przystani żeglarskiej Ośrodka Kultury i Sportu w Kamieniu Pomorskim, przerzucił kartkę i się zatrzymał. Protokół przesłuchania kierownika przystani żeglarskiej w Goławiu Jarosława Burczy. Przeleciał po tekście. Burcza nie widział

żadnego niemieckiego jachtu, żadnych Niemców, podobnie jak żaden z pracowników przystani. Ugne cofnął się i przeczytał jeszcze raz. Burcza powołał się na rozmowę ze swoimi pracownikami, którzy mieli potwierdzić, że żaden niemiecki jacht nie wpływał do przystani. Tylko jak mógł rozmawiać ze swoimi pracownikami o nieistniejącym niemieckim jachcie, skoro jeszcze nie znał sprawy?

Galant rzucił protokół przesłuchania na boczne siedzenie i włączył rozrusznik. Wiedział, że przez Osów i Warszewo będzie dłużej, ale jazda wzgórzami dawała mu pewność, że nie natknie się na jakiś zagubiony patrol milicji. Miał świadomość, że czas nie jest jego sojusznikiem. Czuł też, że zbliża się kolejna aura. Strużki potu dotarły do spierzchniętych ust. Słońce, sól, zmęczenie. Recepta na kolejny odlot. Nie mógł sobie na to pozwolić. Musiał się napić. Jego mózg włączył tryb poszukiwania knajpy, sklepu monopolowego, okrągłaka[90]. Przed oczami przetoczyła mu się mapa knajp i sklepów z wódą. Już wiedział. Na Światowida, niedaleko przystani, jest sklep monopolowy, a nieco dalej Jachtowa. Jedna, dwie sety, papieros, no i za rogiem stoi dom, w którym mieszka świadek. Dobrze się składa.

Rozejrzał się dookoła. Po lewej kościół, po prawej niskie zabudowania wiejskie. Warszewo. Jeszcze z pięć kilometrów. Nie ma ruchu. Za dziesięć minut powinien wchodzić do monopolu, ogień rozleje się po jego całym ciele, a on ponownie odżyje. Postanowił dotrzeć tam Łączną, wiedział, że stoewer poradzi sobie z tymi dziurami. Nie będzie musiał jechać przez Bandurskiego. Nie będzie musiał patrzeć na zgliszcza po obozie, nie będzie musiał sobie przypominać...

Na skrzyżowaniu Hożej ze Studzienną mało nie potrącił rowerzysty. Usłyszał tylko trzask bitych butelek. Spojrzał w lusterko. Facet leżał na ulicy, obok niego rower, a wokół pieniał się rozlany płyn. Mężczyzna wymachiwał w rozpaczy pięścią.

Robotnicza. Po obu stronach gruzowisko. Gdzieniegdzie pojedyncze, szare, czteropiętrowe budynki. Przed bramami budynków grupki autochtonów. Kilku facetów i dwie babki. Butelka wódki tańczyła, przechodziła z ręki do ręki. Zmieniała partnerów. Nadodrzański walczyk[91]. Na chwilę zatrzymali się, patrząc na Ugne. Stoewer skręcił w Dębogórską i z rykiem pędził przed siebie. Wreszcie Światowida. Jechał środkiem, po torowisku. Po obu stronach dziury. Takie same pojedyncze

czteropiętrowe budynki. W bramach tacy sami ludzie, ten sam taniec. Jakby trafił do innego świata gdzieś na skraju miasta pełnego nadziei i miasta upiorów. Po lewej minął budynek fabryczny z czerwonej cegły, z powybijanymi szybami. Dziwne, że jeszcze nikt nie zeszkrobał białego napisu świadczącego o czasach świetności tego miejsca. Zostawili, bo chcieli pamiętać? *Arbeitsgemeinschaft* napisane szwabachą[92], jak kawałek drzazgi pod paznokciem.

Galant czuł, że zbliża się kolejne zaćmienie. Ból głowy napływał falami. Coraz bardziej błędny wzrok w końcu odnalazł to, czego z utęsknieniem szukał – blaszany szyld z białym napisem na czerwonym tle: „Spirytusowy sklep nr 31”. Wjechał z hukiem w jakąś koleinę i gwałtownie zahamował. Nie wyłączywszy silnika, wyskoczył z samochodu. Wbiegł do środka. Przy ladzie stało trzech facetów. Ugne już miał złapać za kark pierwszego przy kasie i wypchnąć go z kolejki, ale się zatrzymał. To był Gocław, nie Śródmieście, nawet nie Niebuszewo. Tylko pierdolona północ. Za taki manewr szedłeś do piachu. Koledzy tylko czekają na rogu i nie potrzebują specjalnego powodu, żeby wyciągnąć kosy i pożenić je kozakowi, który przyjechał ładnym wozem ze Szczecina. Nie, Ugne, chwilę jeszcze wytrzymasz. Musisz. Galant stanął na końcu kolejki. Na szczęście szło szybko, faceci nie wybrzydiali.

– Dwie z czerwoną kartką, pani pozwoli.

Ugne rozpoznał po głosie, że mężczyzna jest smakoszem.

– Sto dziesięć.

Chuda w białym fartuchu i w białym czepku, z twarzą pokrytą dziurami po źle zaleczonej ospie, zgarnęła banknoty z lady i zanotowała kwotę w kajeciku.

Dobrze, że jest z czerwoną kartką, pomyślał Ugne. Ekspedientka spojrzała na bladą, porytą bliznami i kroplami potu twarz i się uśmiechnęła. Z żalu? A może te blizny, jak dziury na jej twarzy, przemówiły do głęboko ukrytej dziewczynki i poczuła, że coś ich łączy? Może zobaczyła w nim siebie – odrzuconą i skrzywdzoną? A może po prostu ta twarz była inna niż wszystkie, a jednak tak pasująca do tego miejsca, że aż stało się to zabawne?

– Dla mnie to samo.

Ugne wyciągnął zwitek banknotów i położył na blacie.

– Czysta zwykła została jedna, ale jest jeszcze pomarańczówka słodka. – Chuda wpatrywała się w każdy jego gest, ciekawiło ją, jak zareaguje. – Pomarańczówka jest tańsza, kosztuje trzydzieści trzy złote – zachwalała.

Właściwie Galantowi było wszystko jedno. Jedna półlitrowkę trzymał już w ręku. Czuł jej chłód. Tą drugą chciał wrzucić na tylne siedzenie, żeby mieć tak na wszelki wypadek. Pił już tę pomarańczówkę wcześniej. Zrobił to w akcie desperacji. Smakowała jak nafta wymieszana z jakimś gównem, które nawet nie przypominało pomarańczy. Zresztą nawet tego nie ukrywali. Bajeranci z Warszawskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego i Drożdżowego musieli mieć niezły ubaw, gdy ją mieszała. Na etykiecie poza narysowanymi pomarańczowymi owocami jak byk napisane było: „barwione”.

– Dobrze. Wezmę.

Ugne nie wsiadał do samochodu, wrzucił na tylną kanapę butelkę z pomarańczami na etykiecie. Poszedł na tył sklepu. Budynek dawał cień. Śmierdziało szczynami. Wokół leżały potłuczone butelki i kiepy. Było grząsko od moczu. O ścianę opierało się dwóch facetów. To byli ci z kolejki. Palili papierosy i podawali sobie butelkę. Nadodrzański walczyk, pomyślał Ugne. Wyciągnął flaszkę. Mężczyźni spojrzeli na niego. Niższy podał mu niepełną już butelkę. Milicjant schował swoją do tylnej kieszeni spodni i podniósł do ust flaszkę, którą otrzymał od nieznanego. Wódka była ciepła. Wziął długi łyk. Paliła w gardło. Spojrzał w niebo. Zbierało się na deszcz. Szare chmury wdrapywały się nad te białe, puszyste. Teraz to poczuł – błogie ciepło rozplywające się po całym ciele. Kolory nabrały barwy. Przekazał butelkę drugiemu z mężczyzn. Teraz dopiero mógł im się przyjrzeć. Obaj byli ubrani w szaro-granatowe kombinezony fabryczne. Jednemu z kieszeni wystawała gazeta. Ugne zdołał odczytać czerwony tytuł pisma „Skolwin”, a pod spodem mniejszymi: „Pismo Pracowników Szczecińskich Zakładów Celulozowo-Papierniczych”. I jeszcze tytuł na rozkładówce: *22 lipca 13-ta rocznica rządów prawa i sprawiedliwości*. Galant nabrał śliny i splunął w kałużę. Chłopaki z fabryki papieru mają przerwę na podwieczorek, pomyślał.

* * *

Basia odetchnęła głęboko. Fala ciepłego powietrza otuliła jej twarz. Stała tak przez chwilę, rozkoszując się tym uczuciem. Barman kłamał. Teraz żałowała, że tak szybko z nim skończyła. Mogła go docisnąć. Nie, to byłoby niezgodne z procedurą. Poza tym pewnie by się wyparł. Na komisariacie wszystko idzie do protokołu. Tego się nie wyprze. Teraz musi się skontaktować z tym milicjantem, który sporządził notatkę. Jak on się nazywał? Basia sięgnęła do raportówki. Wyciągnęła notes i zaczęła wertować. Jest. Klepacki. Młodszy aspirant z Komendy Miejskiej Szczecin-Śródmieście. Tylko gdzie ona jest?

Nie poznała jeszcze dokładnie miasta, choć spędziła trochę czasu, studiując jego mapę. Miała doskonałą pamięć, ale w dokumentach nie zapisała, na jakiej ulicy mieści się akurat ten komisariat. Cóż, trzeba sobie radzić. Przeszła na drugą stronę ulicy, znowu znalazła się na szerokiej alei spacerowej obsadzonej po obu stronach drzewami. Skierowała się w stronę Bramy Portowej. Niektóre z ławeczek były zajęte. Na pierwszej z brzegu siedziała jakaś kobieta, która bujała wózeczek. Basia uznała, że ta jej się do niczego nie przyda. Kolejne zajmowali starsi ludzie. Z nich też pożytku nie będzie. Po przejściu stu metrów zobaczyła dwóch młodych mężczyzn na drewnianym oparciu, z nogami na miejscu służącym do siedzenia. Tak, ci będą wiedzieli. Wyglądali na uczniów szkoły średniej. Śmiali się głośno i co jakiś czas wypluwali łupinki słonecznika.

– Cześć, młoda gwardio. – Basia starała się być do bólu miła. – Wiecie, jak dojść na najbliższy komisariat?

Spojrzeli na nią ze zdziwieniem i wybuchnęli śmiechem.

– Powiemy – wyrwał się pierwszy, wyższy, z blond czupryną i pryszczami na twarzy – jak towarzyszka milicjantka nas ładnie poprosi.

Obaj najwyraźniej mieli już nieźle w czubie. Basia podeszła bliżej.

– Macie świadomość, towarzysze, że niszczenie mienia społecznego jest przestępstwem?

Drugi, niższy i tęższy, z jedną ręką w kieszeni i drugą sięgającą do papierowej torby ze słonecznikiem, splunął łupinkami w kierunku milicjantki.

– Ale my, towarzyszeko milicjantko, mienia nie niszczymy.

Basia chwyciła niskiego za buty i pociągnęła do góry. Mężczyzna w jednej chwili wykonał salto do tyłu i wylądował na trawniku.

– Ławka jest mieniem społecznym, trzymanie na niej butów jest przestępstwem.

Podeszła do drugiego, który z otwartymi ustami wbijał wzrok w próbującego się pozbiierać kolekę.

– Zatem jak dojść do komisariatu, towarzyszu? – Basia uśmiechnęła się, ukazując rząd białych zębów.

– Pójdzie pani prosto, po prawej minie pani Bramę Portową, dojdzie do Powszechnego Domu Towarowego[93], pójdzie pani dalej, minie szkołę, skręci w Narutowicza i wyjdzie pani na ulicy Kaszubskiej, tam już blisko na komisariat.

Mężczyzna stał wyprostowany. W skrzyżowanych na klatce piersiowej rękach trzymał kurczowo papierową torbę ze słonecznikiem.

– Dziękuję ci, młody człowieku, naprawdę mi pomogłeś.

Odchodząc, jeszcze odwróciła się, jakby czegoś zapomniała.

– A i pamiętaj, nie trzymamy nóg na ławce.

Dojście do Kaszubskiej zabrało jej piętnaście minut. Już z daleka widać było komisariat. Trudno było go pomylić z jakimkolwiek innym budynkiem. Wyglądał jak średniowieczna twierdza. Długi, ponury budynek z pruskiej cegły, z wieżyczkami, przypominał jej zamczysko z mostem zwodzonym, o jakim słyszała od mamy w bajkach o księżniczkach zamkniętych w samotnych wieżach. Do środka prowadziła główna brama, umieszczona w wysokiej, ostrołukowej wnęce. Po jej obu stronach na czerwonych cokołach znalazły się dwa kościuszkowskie orły. Musiały robić wrażenie na każdym, kto wchodził po marmurowych schodach. Pchnęła wielkie drewniane drzwi i po chwili znalazła się w chłodnym wnętrzu. Po prawej zobaczyła dyżurkę i wychylającą się z zaciekawieniem twarz milicjanta. Nudzi się, pomyślała. Podeszła bliżej.

– Sierżant Romanowska, wydział śledczy komendy wojewódzkiej. – Basia pokazała legitymację młodemu milicjantowi siedzącemu w dyżurce. – Szukam Klepackiego... – Przeczesała pamięć w poszukiwaniu imienia i funkcji, a nie znalazłszy niczego, otworzyła torbę i zaczęła szukać notesu.

– Młodszego aspiranta Bartosza Klepackiego... – dokończył chłopak, który wstał i patrzył na nią wielkimi piwnymi oczyma. Był w jej wieku. Skąpy wąsik pod nosem nie dodawał mu lat. Wręcz przeciwnie. Nie pasował do munduru, który wyglądał na za duży o dwa numery. Basia pokiwała głową. – Nie ma go – jego głos zabrzmiał, jakby mówił z otchłani.

– Dobrze, a kiedy mogę przyjść? Kiedy ma służbę?

Basia otworzyła notes, który w końcu udało jej się znaleźć, i przyłożyła do niego ołówek.

– Już nigdy. Nie żyje.

Mężczyzna usiadł i odchrząknął.

– Jak to nie żyje? – Basia zwiesiła rękę.

– Po prostu. Utonął. Na rybach.

– Jak to? Kiedy?

Basia czuła, jakby coś jej umykało.

– Kilka lat temu... Nie wiem, jak do tego doszło. Przecież on nawet nie chodził na ryby.

[90] Okrągłak – budka, w której można było na stojąco wypić piwo i zjeść kaszanke lub kielbaske.

[91] Dzielnica Północ w latach 1954–1975 nosiła nazwę Nad Odrą.

[92] szwabacha (niem. *Schwabacher*) – pismo gotyckie

[93] Powszechny Dom Towarowy – budynek biurowo-handlowy w Szczecinie, w którym przed wojną mieścił się szczeciński UFA Palast, po wojnie Powszechny Dom Towarowy „Posejdon”, a następnie Galeria Centrum. Obecnie Posejdon Center.

30
Kasia

Ulica Buczka, Szczecin, wrzesień 1957 roku

Basia z niemałym trudem poradziła sobie z ciężką, gustownie zdobioną bramą. Tęskniła za wielkim łóżkiem w jeszcze większej sypialni. Nie było jej własnością, ale i tak czuła się w nim jak u siebie. Mieszkanie na Buczka mieściło się w starej poniemieckiej kamienicy. Lubiła je. Znajdowało się tam jeszcze siedem innych mieszkań, które zajmowali funkcjonariusze. Po takim fatalnym dniu jak dzisiaj potrzebowała ciszy i cieplej pościeli.

Na początku ten barman z Bajki. Miała wyrzuty, że go nie docisnęła. No i ten milicjant, młodszy aspirant Bartosz Klepacki. Chłopak przyjął zgłoszenie mewek, a dzisiaj nie żyje. Poczowała kluchę w gardle. Zrobiła dwa kroki po schodach i zatrzymała się. Czy to był jęk? Spojrzała w górę. Kręte schody prowadziły w ciemność. Przez chwilę stała bez ruchu, wsłuchując się w ciszę. To był płacz, a właściwie szloch dobiegający gdzieś z ciemności. W trzech susach pokonała kolejne schody. Po chwili stała na początku długiego, ciemnego korytarza. Podeszła do ściany i przekręciła włącznik światła. W połowie korytarza coś się poruszyło. Kucająca postać zareagowała na blask światła, próbując wcisnąć się za gzyms. Basia podeszła bliżej. To była kobieta, a właściwie młoda dziewczyna. Siedziała skulona, twarz, na którą opadały ciemne włosy, ukrywała w dłoniach. Na jej kolanach leżała ciemna marynarka. Milicjantka przycupnęła przed dziewczyną. Zauważyła, że jej śnieżnobiała koszula jest rozerwana i nie było kilku górnych guzików, a na kołnierzyku rozpoznała ciemnoczerwone plamki. Krew, pomyślała.

– Mam na imię Basia, mieszkam piętro wyżej. Czy mogę ci jakoś pomóc?
– Położyła rękę na jej ramieniu.

Dziewczyna podniosła głowę. Z podpuchniętej wargi spływała krew. Opuchlizna wokół oka ograniczyła jej pole widzenia, a zaschnięta krew pod nosem nadawała twarzy groteskowy wyraz.

– Powiedz, co się stało. – Basia próbowała ją podnieść. – Kto ci to zrobił?

Dziewczyna zaczęła głośno szlochać i trząść się.

– Nie, nikt mi tego nie zrobił... To... ja... to ja sama spadłam ze schodów.

– Dobrze, już dobrze. – Basia podniosła marynarkę, przytuliła dziewczynę i zaczęła ją prowadzić wzdłuż korytarza. – Już spokojnie, wszystko mi opowiesz w mieszkaniu, tam będziesz bezpieczna.

– Nie, ja nic nie mogę powiedzieć... nie...

Pokonanie schodów z wiszącą na jej ramieniu dziewczyną było wyczerpujące. Gdy weszły do mieszkania, zamknęła drzwi na podwójny zamek i zaprowadziła ją do salonu.

– Usiądź, rozpalę w piecu i przygotuję ci gorącą kąpiel.

Basia wskazała jej kanapę. Wiele razy stykała się z ofiarami gwałtów. Nie miała wątpliwości, co się stało. Tylko czemu akurat w tej kamienicy? Czy weszła z ulicy i schowała się w pierwszym lepszym budynku? Czy...? Nie, to niemożliwe. Basia odegnała myśli, które wydały się jej zbyt absurdalne. Przecież nie mógł tego zrobić nikt stąd. W kuchni nie bez trudu otworzyła zdobione drzwiczki pieca. Wrzuciła trzy polana i zgmiotła wyrwaną stronę z jakiegoś starego wydania „Kuriera Szczecińskiego”. Rozpalenie ognia pod paleniskiem zabrało jej chwilę. Zamknęła górne drzwiczki i otworzyła dolne. Wspięła się na palcach i ściągnęła dwa garnki stojące na najwyższej półce wielkiego kafłowego pieca. Dziesięciolitrowy i ośmiolitrowy garnek wystarczały na skromną kąpiel. Nalała wody i z trudem postawiła je na palenisku. Dziewczyna powinna jechać do szpitala na obdukcję, ale nie zechce. Basia była o tym przekonana. Trzeba ją przynajmniej obejrzeć. Otworzyła szufladę i wyjęła apteczkę. Weszła do salonu.

– Jak masz na imię? – zapytała, siadając obok dziewczyny na kanapie.

– Kasia – wydusiła z siebie młoda kobieta.

– Dobrze, Kasiu, ja mam na imię Basia. Pozwól, że cię opatrzę.

Basia wyciągnęła opatrunek i polała go spirytusem. Zaczęła przecierać nim miejsca, na których znajdowały się zadrapania. Dziewczyna nawet nie syknęła z bólu. Powoli ściągnęła z niej koszulę. Stanik był rozdarty. Basi przyszło do głowy, że musiał zostać zerwany z dużą siłą.

– Powiedz, Kasiu, czy to się zdarzyło gdzieś niedaleko, czy w naszej kamienicy?

Nie było odpowiedzi.

Milicjantka zauważyła ciemnoniebieskie zasinienia na ramionach i takie samo, choć nieco większe, w okolicach nerek. Na przegubach rąk krwawe otarcia. Odłożyła marynarkę, którą dziewczyna cały czas trzymała na kolanach. Dopiero teraz dostrzegła na jej granatowej spódnicy ciemniejsze plamy. Nie musiała pytać.

– Kasiu, na chwilkę zostawię cię samą. Naleję wody do wanny i już do ciebie wracam.

Woda w garach już bulgotała. Musiał ją uderzyć kilkakrotnie pięścią w nerki. Ciosy są na tyle skuteczne, że momentalnie „uciszają” ofiary. Do tego te siniaki na ramionach. Musiał ją mocno ścisnąć. No i te ślady na rękach. Przywiązał ją sznurem? Nie, otarcia byłyby bardziej nieforemne i szersze. Garnek z dziesięcioma litrami wody nie należał do najlżejszych. Przechyliła go nad wanną i po chwili niewielką łazienkę wypełniły kłęby pary. Odkręciła kurek. Przez chwilę trzymała dłoń pod spływającą wodą. Była zimna. Odprężająca. Jakiś kabel czy drut? Nie, wtedy ślady byłyby głębsze i nie tak jednorodne. Kolejny garnek z gorącą wodą był na szczęście lżejszy. Wlała go i przez chwilę przyglądała się, jak chmura pary wznosi się i obejmuje jej twarz. Ciepła bryza. Przecież to oczywiste. To były kajdanki.

Wróciła do salonu. Kasia siedziała bez ruchu. W powietrzu unosił się zapach zakrzepłej krwi. Basia pomogła dziewczynie wstać i zaprowadziła ją do łazienki. Zdjęła z niej wszystko. Spódnice i rozdarty stanik. Nic więcej nie było. Musiała wrócić do salonu po nożyczki. Nogi dziewczyny stanowiły jedną wielką ranę. Materiał przykleił się do ciała. Przy próbie jego zdjęcia dziewczyna syczała z bólu. Każde kolejne cięcie odsłaniało rany. Basia przyjrzała się bliżej. To były ślady... zębów. Ugryzienia ciągnęły się od kolana aż po pośladki. W niektórych miejscach były to głębokie rany wdzierające się w głąb tkanki mięśniowej, do kości. Ból musiał być niewyobrażalny. Na udach były też ślady krwi, które nie pochodziły z ugryzień. Świadczyła o tym krew o jaśniejszym odcieniu, zaschnięta po wewnętrznej stronie. Milicjantka zrozumiała, że dziewczyna była dziewicą. Uniosła głowę i próbowała uchwycić wzrok Kasi, jednak ta była nieobecna,

patrzyła w jeden punkt przed sobą. Bez emocji. Bez wyrazu. Jak ceramiczna lalka.

Milicjantka obejrzała dziewczynę jeszcze raz. Dopiero teraz to zobaczyła. Na pośladku miała krwawy ślad wielkości pięciozłotowej monety. Jak pieczęć. Kucnęła, żeby przyjrzeć się bliżej. To był wypalony symbol dwóch trójkątów. Dziwne. Przyszło jej na myśl znakowanie koni. Pamiętała je jeszcze z domu rodzinnego. Takie wypalanie polega na przyłożeniu rozgrzanego do czerwoności żelaza, uformowanego w kształt odpowiadający danej rasie, i przyłożeniu na parę sekund do skóry konia. Pozostawia bliznę – piętno. Znaki wypala się na zadzie konia.

Woda była ciepła. Basia pomogła dziewczynie ułożyć się w wannie. Namydliła bawełnianą szmatkę i zaczęła ją obmywać z krwi. Po chwili woda była brunatna. Po kąpieli Basia delikatnie wytarła ją i opatrzyła rany. Z szafki wyciągnęła świeży szlafrok i pomogła jej go włożyć.

Kiedy już siedziały razem w salonie, Basia postanowiła dowiedzieć się więcej. Czas był decydujący w sprawach dotyczących gwałtów. Otworzyła butelkę kryniczanki, nalała wodę do szklanki i podała dziewczynie.

– Kasiu, jestem milicjantką, możesz mi powiedzieć wszystko bez obaw. Nie możesz tego tak zostawić. Zostałaś skrzywdzona, osoba, która to zrobiła, musi ponieść karę.

Kasia spojrzała w wielkie brązowe oczy milicjantki.

– Nie mogę – odpowiedziała beznamiętnie.

Basia położyła swoje ciepłe dłonie na jej dłoniach.

– Rozumiem, że się boisz, ale daję ci słowo honoru, że ten człowiek już cię nie skrzywdzi.

Kasia nie spuszczała wzroku z milicjantki. To już nie była ta sama dziewczyna. Biła z niej pewność siebie i determinacja.

– Nie boję się o siebie.

Wzięła kolejny łyk wody.

– A o kogo? O swoich bliskich? Szantażuje cię?

Kasia kiwnęła głową. Basia wstała. Podeszła do balkonu i otworzyła szeroko drzwi. Do wnętrza wpłynęło ciepłe, lepkie powietrze. Było parno. W oddali słychać było szum miasta. Jakaś ciężarówka z rozkołatanim zawieszaniem przeturlała się po bruku. Gdzieś z okolic ulicy Roosevelta dochodziły rytmiczne metalowe uderzenia, które przerywało ochryple: „Noże! Nooooożeeeeeee!!! Ostre noże!”. Pan Stefan, ostrzyiciel. To była jego

trasa. Szedł z Niebuszewa, z Długosza, gdzie mieszkał. Zaczynał przed południem, bo wcześniej to nie miało sensu. Kończył po osiemnastej.

Milicjantka przez chwilę wpatrywała się w miejsce, z którego dochodziło pokrzykiwanie, po czym weszła z powrotem do pokoju. Wiedziała, że dziewczyna nie może stąd wyjść, dopóki jej nie powie, kto to zrobił. Musiała zablefować.

– Wiem, że jest to milicjant. Ślady na twoich rękach pozostawiły kajdanki. W naszej kamienicy mieszkają tylko ludzie ze służb. Nie musisz mi odpowiadać, kiwaj tylko głową. – Basia powiedziała to tak przekonująco, że właściwie nie zostawiła jej wyboru.

Dziewczyna potaknęła.

– Znasz go?

Głowa Kasi powędrowała delikatnie z góry na dół.

– Jest milicjantem?

Kasia się zawahała.

– Jest funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa?

Kasia potaknęła.

Pisk nienaoliwionych kół wózka ostrzyciela wdarł się do salonu. „Noże!!! Ostrze noże!” Basia wstała i zamknęła drzwi balkonowe. W tym samym czasie rozległ się łomot do drzwi wejściowych. Basia spojrzała na dziewczynę. Kasia z przerażeniem wstała i pędem pobiegła za piec kaflowy, który stał za drzwiami.

– Spokojnie, Kasiu, to nic takiego. Zaraz sprawdzę.

Basia stanowczym krokiem podeszła do drzwi i otworzyła jeden z zamków.

– Kto tam?

– Służba Bezpieczeństwa, otwórzcie, towarzyszeko.

Basia cofnęła się, by zamknąć drzwi do salonu, po czym otworzyła drzwi wejściowe. Przez chwilę przyglądała się mężczyźnie, który stał w mroku. Nie wiedziała czemu, ale jego twarz skojarzyła jej się z kartoflem osadzonym na byczym karku. Tyle że ten ziemniak osadzony był w metalowej siatce. Ze szczęki mężczyzny wystawały bowiem druty. Najwyraźniej musiał mieć złamaną zuchwę. Wyciągnął legitymację służbową, którą zamachał przed twarzą Basi. Gdy miał już ją schować, przeciąg otworzył drzwi do kuchni i oświetliło ich światło słoneczne. Wtedy milicjantka dostrzegła refleks, który odbił się od kawałka metalu na palcu

mężczyzny. To był sygnet. Basia przez chwilę śledziła wzrokiem opadającą dłoń, by przyjrzeć się bliżej pierścieniowi.

– Możemy zamienić dwa słowa, towarzyszek sierżant? – powiedział mężczyzna przez zaciśnięte zęby.

– Nie zdążyłam przyjrzeć się legitymacji służbowej, może mi towarzysz pokazać ją jeszcze raz? – Musiała się upewnić, że ta myśl, która teraz drażyła jej umysł, jest prawdziwa.

– Widzę, że towarzyszek lubi patrzeć.

Rechocząc, wsadził dłoń w okolice krocza, chwilę pogmerał dłonią w spodniach, po czym powoli wyciągnął dokument i przysunął go do nosa Romanowskiej. Milicjantka poczuła smród tytoniu i zgnilizny. Miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje, jednak się opanowała.

– Łuczenko, kapitan Służby Bezpieczeństwa, towarzyszek sierżant. Ale po co tak formalnie?

Mężczyzna wciąż trzymał legitymację przed twarzą milicjantki. Nie miała wątpliwości. To był sygnet z dwoma trójkątami. Taki sam jak ten, który zostawił ślady na ciele dziewczyny. Czyli to ten obleśny, stojący przed nią facet był gwałcicielem? To on zmasakrował siedzącą dwa metry dalej dziewczynę. Wypalił jej znak krzyża na ciele. Oznakował jak zwierzę. Nie mogła go wpuścić do środka. Nie może wiedzieć, że Kasia jest u niej.

– Właśnie miałam wyjść, w czym mogę pomóc?

– Ależ towarzyszek, zabiorę towarzyszkę tylko chwilę. – Uśmiech odsłonił zacerowaną metalowymi drutami szczękę. – Może jednak wejdziemy do środka. Co będziemy tak stali w korytarzu?

Kastet pchnął drzwi i wszedł do mieszkania, zanim Basia zdążyła zaprotestować. Rozejrzał się i już miał kierować się do salonu, gdy kobieta zastąpiła mu drogę.

– Duży pokój mam zagracony. Przejdźmy do kuchni. – Stanowczo przytrzymała go jedną ręką, a drugą wskazała drogę do kuchni.

– W porządku, towarzyszek sierżant, ty tu rządzisz.

Znowu zobaczyła te zadrutowane zęby. Weszli do niewielkiego pomieszczenia. Wielki piec kaflowy, z grawerowanymi kwiatami, zajmował połowę przestrzeni. Oprócz niego był jeszcze mały stolik, przy którym stał taboret, i szafki kuchenne.

– Proszę usiąść. – Basia schyliła się i wysunęła taboret. – Przyniosę jeszcze jeden.

Nie czekając na odpowiedź esbeka, szybko skierowała się do salonu. Kasia siedziała skulona za drzwiami. Milicjantka pochyliła się i położyła ręce na jej kolanach.

– Słyszałaś go? – mówiła szeptem. – Czy to on? Czy to ten mężczyzna cię zgwałcił?

Dziewczyna trzymała głowę w dłoniach. Szlochała.

– Kasiu, powiedz mi proszę. Muszę to wiedzieć, muszę mieć pewność.

Dziewczyna podniosła głowę.

– Tak, to on.

Milicjantka położyła dłonie na jej głowie i zbliżyła do niej twarz.

– Niczym się już nie martw – wyszeptała.

Wyprostowała się i rozpięła bluzę. Tetetka wisiała na pasie. Wyciągnęła broń i przez chwilę trzymała ją w dłoni, jakby chciała poczuć jej ciężar, upewnić się, że jej nie zawiedzie. Przycisnęła spust magazynku. Pełny. Dźwięk kliknięcia dał znać, że magazynek jest w środku. Odbezpieczyła i schowała pistolet do kabury. Nie zapinała jej. Chciała zrobić to bez emocji, profesjonalnie, regulaminowo. Tylko jak regulaminowo aresztuje się esbeka? Jak on się zachowa? Czy będzie się bronił?

– Towarzyszko! Zaczynam korzenie tu puszczać! – Rehot Łuczenki rozszedł się po mieszkaniu.

– Chwilka, szukam krzesła...

A co, jeżeli wyciągnie broń? Co ma zrobić, gdy zacznie się bronić? Facet wygląda groźnie, nie ma z nim szans w walce wręcz. Jednak jeżeli teraz nic nie zrobi, sprawie może zostać ukręcony łeb. W końcu jest oficerem Służby Bezpieczeństwa. Trudno, musi podjąć to ryzyko. Nie po to zostawała milicjantką, by teraz się wycofać. Podniosła taboret i otworzyła drzwi. Czuła, że każdy mięsień jej szczupłego ciała jest napięty, gotowy do akcji. Była zdecydowana. Wtem w pokoju rozległ się przeraźliwy dźwięk dzwonka telefonicznego.

Północne dzielnice Szczecina, wrzesień 1957 roku

Ugne z trudem otworzył oczy. Ból rozsadzał mu czaszkę. Rozejrzał się dookoła. Był środek nocy. Leżał na tylnej kanapie swojego samochodu. Usiadł. Próbował sobie przypomnieć, jak tutaj wylądował. To mu najbardziej przeszkadzało w picciu. Nie smak wody. Nie kac. Nawet nie ból głowy, ale te czarne dziury. Całkowity brak świadomości. Budził się w dziwnych miejscach, a nie wiedział, jak do nich dotarł. Sprawdzał, czy wszystko jest. Wychylił się i otworzył skrytkę. Broń była na miejscu. Emka leżała na przednim siedzeniu, pod nią butelka po pomarańczówce z resztką wódki. Tak na jeden łyk, pomyślał, może przejdzie ból głowy. Swoją drogą to po wypiciu tego syfu musiał wczoraj odjechać. Odkręcił zakrętkę i wypił resztkę. Skrzywił się. Poczul wilgoć na nogach. Spodnie były mokre. Przetarł ręką nogawki i zbliżył dłoń do twarzy. Śmierdziało moczem. Ciekawe, czy jego, czy gdzieś się wyłożył. Sprawdzał, czy w tylnej kieszeni są wciąż papierosy. Wyciągnął mocno wygniecioną paczkę. Spojrzał do środka. Trzy. Nie jest źle, pomyślał. Wsadził dłoń do przedniej kieszeni spodni. Zapalki też są na miejscu. Zapalił papierosa. Jak to wczoraj się zakończyło? No tak. Chłopaki ze Skolwina. Jak im było? Janek i... Mniejsza z tym.

Ugne wysiadł z samochodu i zaczął spacerować po wybrukowanej ulicy. Powoli odtwarzał sobie rozmowę z facetami z papierni. Opowiadali o dziwnych historiach związanych ze Wzgórzem Kupały, terenem zamkniętym dla mieszkańców. O jakiejś spółdzielni i dziwnych imprezach, które miały się odbywać w każdy ostatni piątek miesiąca. O czarnych wołgach i warszawach zaparkowanych na przystani. O tym, że nieraz znajdowali płytko zakopane ubrania. O tym, że psy wykopywały ludzkie kości z ziemi. O tym, że ludzie znikali. I o tym, że to wszystko plotki

rozsiewane przez dozorcę, który nie chciał, żeby ludzie łazili mu po terenie. Gdy zapytał o właścicielkę Turczynki, która miała się gdzieś tu przeprowadzić i znaleźć pracę, mówili, że o tym trzeba gadać z Krystyną ze sklepu monopolowego. O Burczy z przystani nie chcieli gadać. Widział, że się bali. Pili ich wódkę, później jego. Tyle, więcej sobie nie przypomni. Ciemność.

Spojrzał na zegarek. Szósta dwadzieścia. Pierwsze promienie oświetlały ruiny – szkielety pofabrycznej dzielnicy, góry gruzu. Blask odbijał się od archipelagu gliny i błota, który rozchodził się od strony nabrzeża aż do wybrukowanej ulicy. I ten smród. Dziesięć lat po wojnie, a wciąż czuł ten odór trupiego jadu. Powinien zadzwonić do Basi. Ostrzec ją i doktora. Jeżeli polowali na niego, to za chwilę dowiedzą się o całej grupie. Co na to major? Odwrócił się i zadarł głowę, spoglądając na ciemne wzgórze pokryte młodym lasem. Wzgórze Kupały. Kojarzył je jako Elisenhöhe. Leje po bombach jak dziury w twarzy ekspedientki z monopolowego, jak świadectwo dojrzałości, utraconego dziewictwa. Ugne wskoczył do łazika i odpalił silnik. Ze Świętojańskiej wjechał w Białogórską. Stoewer z rykiem wspinał się po krętej drodze. Zatrzymał się na skraju wzgórza. W dole tory przecinały je na dwie części. Galant zauważył most, który prowadził na drugą stronę wzniesienia. Podszedł bliżej. Stalowy, solidny, niemiecki most. Tylko ten kolor. Niebieski. Nie szary, nie czarny, nawet nie w kolorze miedzi. Bardziej przypominał kolor nieba. Ugne zatrzymał się na środku. Rozpościerał się stąd piękny widok na dolinę Odry. W dole mała stacyjka. Po obu stronach młody las. Milicjant przeszedł na drugą stronę. I teraz to poczuł. Zapach, którego nigdy nie zapomni, który go prześladował latami. Ugne z biciem serca wszedł w głąb lasu. Chciał jak najszybciej to poczuć, zobaczyć. Ścieżka prowadziła do ciemnej bryły jakiegoś kompleksu. Podszedł bliżej. To był wysoki na trzy metry płot z dębowych desek, u szczytu zabezpieczony drutem kolczastym. Całość pomalowana została czarną farbą olejną. Ugne próbował dojrzeć coś przez szpary, ale bez powodzenia. Najwyraźniej z drugiej strony zostały obite jakimś ciemnym materiałem. Trzymając się płotu, szedł dalej w poszukiwaniu wejścia. W pewnym momencie dotarł do bramy, na której wisiała czerwona tablica z wielkim napisem „Wejście wzbronione. Teren Socjalistycznego Towarzystwa Opieki nad Pionierami”. Co to, kurwa, jest? Galanta zamurowało. Po raz pierwszy w życiu usłyszał o takiej organizacji.

Próbował pchnąć bramę. Bezskutecznie. W pewnym momencie ciszę przeciął donośny męski głos.

– Kto?!

– Milicja! Otwieraj!

Zapach roznoszący się wokół obiektu spowodował, że Galantowi krew zaczęła szybciej płynąć.

– Cofnij się i odejdź od płotu!

Mężczyzna nie był błyskotliwy i z pewnością nie miał natury negocjatora. Galant zrobił dwa kroki do tyłu, po czym usłyszał metaliczny dźwięk zasuw. Brama się otworzyła. Ugne ruszył do przodu, ale na drodze stanął mu dryblas. Był wyższy od niego o dwie głowy. W rękach trzymał strzelbę. To, co na początku Ugne uznał za militarny strój, w rzeczywistości było ubraniem myśliwego – bluza w kolorze khaki, przez którą przechodził skórzany pas na amunicję. U boku spodni, w takim samym kolorze, wisiał długi nóż. Na zarośniętej, kwadratowej twarzy mężczyzny nie pojawiło się zaskoczenie.

– Czego? Nie widzi, co tu napisano? – Dryblas wskazał tablicę.

– Milicja. – Ugne wysunął rękę z legitymacją służbową do przodu. – Jest tu jakiś kierownik?

– Ja jestem kierownik.

Galant poczuł na sobie tępy wzrok wielkoluda. Więc to jest ten nowy człowiek socjalistyczny, przemknęło mu przez głowę.

– Gratuluję. Czy zatem mogę wejść do środka, towarzyszu kierowniku?

– Hasło! Podaj hasło!

– Jakie hasło?

– Jak nie zna hasła, to nie wchodzi. – Wielkolud miał dosyć jasny przekaz.

– Jestem milicjantem i...

– Chuj mnie to! Nie zna hasła, to wypierdala!

Wielkolud wymierzył strzelbę w kierunku Galanta i przeładował.

– W porządku, spokojnie. – Ugne podniósł ręce. – Z kim mam rozmawiać o dostępie... do hasła?

– Nie moja sprawa! Nie zna hasła, to niech wypierdala!

Dryblas wycofał się, nie spuszcżając Galanta z muszki strzelby, by po chwili zniknąć po drugiej stronie ogrodzenia.

Czy alkohol go tak trzymał? Czy może nadchodziły kolejne aury? Miał wrażenie, że las ożył i zaczął tańczyć. Może to ten zapach? Ugne chwiejnym krokiem zaczął schodzić z góry, chwytając się gałęzi, niektóre smagały go po twarzy. Nie wiedział, dokąd idzie. Po chwili zobaczył betonowy budynek wyłaniający się z zarośli. Bunkier? Z trudem zszedł po stromej skarpie do obiektu. Dopiero teraz odkrył, że jest to schron przeciwlotniczy. Obszedł pionową, wysoką na jakieś pięć metrów ścianę, aż dotarł do wejścia. Rozrzucone betonowe bloki świadczyły o tym, że jednak komuś udało się dostać do środka. Rosyjski trotyl czy bomba aliancka? Uderzenie było na tyle skuteczne, że metrowej grubości brama wyleciała w powietrze. Do dziury w ścianie ktoś jednak przymocował metalową kratę. Ugne podszedł bliżej. Betonowe spoiwa wokół bramy były całkiem świeże. Otwór w schronie musiał zostać zamurowany nie tak dawno. Z pewnością nie było to dzieło Niemców.

Milicjant szarpnął kratą. Trzymała mocno. Nie ma szans bez łomu. Próbował dojrzeć cokolwiek w ciemności, ale poza przykopconymi ścianami tunelu prowadzącego do nieznanego miejsca nic nie był w stanie dostrzec. Czuł tylko smród wilgoci i zgnilizny stamtąd dochodzący. Usiadł na bloku betonu i spojrzał przed siebie. Znajdował się gdzieś w połowie wzgórza. Rozciągał się stąd widok na rzekę. Jakieś dwieście metrów niżej, niedaleko niewielkiej chaty, do prowizorycznej przystani próbował przycumować łódkę chwiejający się na nogach wędkarz. Ugne spojrzał niżej. Do miejsca, w którym siedział, prowadziła ścieżka, niewidoczna z ulicy ani nawet ze wzgórza, schowana za wysoką trawą. Wyciągnął paczkę papierosów. Wsadził do środka palec i zaczął nim poszukiwać znajomego kształtu. Bezskutecznie. Zgniół papier i rzucił nim w kierunku zakratowanego pomieszczenia. Ku swojemu zdziwieniu zauważył, że zgnieciona paczka wróciła. Wstał i dopiero teraz poczuł zimny, wilgotny ciąg powietrza. Czyżby tunel prowadził do budynku za ogrodzeniem? Jeżeli tak, to może istnieje system tuneli, które łączą ze sobą bunkry? Słyszał o tym, że Niemcy, budując twierdzę Szczecin, stworzyli taki labirynt. Czyżby to był jeden z elementów podziemnego miasta? Jeżeli tak, to do środka można się dostać z innego bunkra, który ma podziemny tunel... Znał jeden taki...

Przemyślenia przerwał piekielny ból głowy. Wiedział, że zaraz coś się wydarzy. Upadł na ziemię. Przed oczami pojawiły mu się ciemne postaci wyładowujące z łódki worki i ciągnące je na wzgórze do schronu. Wielka

ciemna postać podrzynała gardło. Czuł, że powoduje to ból. Czuł, że on jest temu winien...

Ugne odzyskał świadomość. Zbierało mu się na wymioty. Odwrócił się i zwrócił niewchłonięte resztki pomarańczówki. Po wszystkim ponownie usiadł na betonie. Tak cholernie chciało mu się palić. Musiał się uspokoić i czegoś napić. Tak, napić, to było jedyne rozwiązanie.

Zaraz, gdzie mieszkała ta Maćkowiak? Ugne wyciągnął skrawek papieru i przeczytał głośno: Grobli 8. Przecież to jest tutaj. Ta chatka na dole, ostatni budynek, na brzegu Odry, łupina, z której przed chwilą wypełził ten nawalony wędkarz, to była właśnie Grobli 8. Ugne czuł, że te wszystkie puzzle zaczynają się składać w całość. Gdyby tylko nie ten ból głowy. Podniósł się i otrzepał spodnie z ziemi. Delikatnie, żeby nie stawiać zbyt gwałtownych kroków, zaczął schodzić ścieżką. Przeszedł przez Strzałkowską i już poczuł zapach bryzy. Przyśpieszył kroku. Po chwili stał przed drzwiami rozsypującej się chaty. Zapukał. Nie czekał długo. W drewnianej futrynie, z której płatami odklejała się farba, stanął niski, przygarbiony staruszek z długą, siwą brodą. Mężczyzna miał może z metr sześćdziesiąt wzrostu, więc futryna nie wydawała się tak mała. Ugne przedstawił się i przeszedł od razu do rzeczy.

– Szukam Sary Maćkowiak. – Odchrząknął. – Wiem, że tu mieszka.

Starzec, nic nie mówiąc, odwrócił się i ruszył w głąb domu. Galant pochylił się i podążył za nim. Wąskim korytarzem doszli do pomieszczenia, które służyło za salon i sypialnię równocześnie. W domu było przyjemnie chłodno i pachniało rosołem oraz suszonymi grzybami. Starzec wskazał milicjantowi kanapę. Ten usiadł i wyciągnął nogi, dotykając niemalże bujanego fotela, na którym zaczął się kiwać mężczyzna.

– Czekaliśmy na ciebie – cedził powoli każde słowo. – Długo to trwało, ale w końcu trafiłeś.

– Jak to czekaliście?

Ugne nawet nie udawał zaskoczenia. Starzec podniósł rękę, jakby chciał powstrzymać Galanta przed mówieniem.

– Ja i moja córka... Sara.

Trzęsącą się dłonią wskazał komodę. Ugne spojrzał w jej kierunku, po czym podszedł do niej. Na szafce stało zdjęcie dziewczyny. Wokół płonęły świeczki. Milicjant wziął do ręki fotografię i przyjrzał się bliżej. Ze zdjęcia uśmiechała się do niego ładna, dwudziestokilkuletnia brunetka z długimi

kręconymi włosami i wielkimi, czarnymi oczami. Dziewczyna siedziała na pomoście. Rybaczki podwinięte do kolan podkreślały jej zgrabne nogi. Tuż za nią stała starsza kobieta, brunetka z modnie przystrzyżonymi włosami. Opierała dłonie na ramionach dziewczyny. Obie wyglądały na szczęśliwe. Zdjęcie wykonano od strony wody, zatem fotograf musiał znajdować się na łódce. Za kobietami w tle majaczyło ciemne wzgórze, z charakterystycznym betonowym molochem pośrodku.

– Sara i Hania – wyszeptał starzec. – To już siedem lat...

Wyciągnął okopconą, ciemnobrązową lufkę oblepioną tytoniową mazią i podpalił resztkę tytoniu, który zachował się w środku.

– To był ciepły kwiecień. Sara właśnie zaczęła pracę w szkole. Tutaj, niedaleko. – Wskazał ręką jakieś miejsce w oddali. – Realizowała swoje marzenie. Zawsze chciała być nauczycielką, jak jej matka. I wszystko było dobrze. Do czasu aż znalazła te sukienki w śmietniku.

Mężczyzna zaciągnął się głęboko i kontynuował:

– Obie sukienki i ta futrzana kurtka były całe we krwi. Mówiłem jej, żeby to zostawiła. Nie, uparła się. Zaniosiła je na najbliższy posterunek. Po kilku dniach pojawiło się takich dwóch. Jeden niski, krępy, łysawy, drugi dużo wyższy, z nosem jak kartofel. Zabrali Sarę. Miała im pokazać, gdzie znalazła te rzeczy. Nie było jej kilka godzin. Gdy wróciła, to już nie była moja Sara...

Starzec ostukał lufkę o drewnianą poręcz bujanego fotela, wyciągnął paczkę giewontów i poczęstował Galanta. Sam przełamał papierosa na pół i jedną część wcisnął do lufki, drugą schował do kieszeni.

– Oni ją... oni ją skrzywdzili. Nie chciała pójść na milicję. Zamknęła się w swoim pokoju i przez kilka dni nie wychodziła. Hania, moja żona, nie chciała odpuścić. Pojechała do magistratu. Spotkała się z jakimś ważnym urzędnikiem. Opowiedziała mu o wszystkim. Mówiła, że sprawą zajmie się sam przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. No i się zajął. Na drugi dzień, gdy wróciłem do domu, obie już tu były. Siedziały w tym samym miejscu, gdzie teraz pan. Przytulone do siebie. W kompletnej ciszy. Jakby czekały na mnie. Nawet mnie to ucieszyło, że w końcu Sara wyszła ze swojej izby. Dopiero gdy usiadłem obok, zobaczyłem, że nogi trzymają w misce. Tej samej, której Hania używała zawsze do prania. Zdziwiłem się, że one tak razem, te nogi... Dopiero gdy spojrzałem do miski... Zamiast mydła z wodą była wypełniona krwią. Czarną krwią.

Mężczyzna wstał, podszedł do komody i otworzył szufladę, z której wyciągnął kopertę i skórzany woreczek.

– Milicja uznała, że to było samobójstwo. Powiedzieli, że poderżnęły sobie tętnice udowe. Tą oto brzytwą. – Starzec wyciągnął z woreczka brzytwę i uniósł ją, przez chwilę przeglądał się w niej. – Tą samą, którą się codziennie goliłem. – Usiadł w fotelu. – Po miesiącu podczas robienia porządków w izbie Sary znalazłem to.

Mężczyzna podniósł kopertę i dał ją Galantowi. Ugne spojrział na miejsce, w którym zazwyczaj wpisuje się dane odbiorcy. Ładnym pismem kaligraficznym, z wieloma zawijasami, tak jak uczono w starszych klasach przed wojną, napisano tylko dwa słowa, które spowodowały, że Galant poczuł, jak kropla potu rozpoczęła gonitwę wzdłuż kręgosłupa – „Dla sprawiedliwego”.

Ugne rozerwał kopertę, otworzył złożoną kartkę papieru i przebiegł wzrokiem po tekście. Przez chwilę jeszcze wpatrywał się w delikatnie zarysowane litery, po czym złożył list i wsunął z powrotem do koperty.

– Skąd wiesz, że można mi zaufać? Dlaczego myślisz, że „sprawiedliwy” to ja?

Starzec pochylił się i sięgnął ręką pod obicie fotela, na którym siedział. Przez chwilę poszukiwał czegoś dłonią, po czym wyciągnął złożony dokument. Wstał i podszedł do Galanta.

– To ona zdecydowała. – Położył dłoń na ramieniu milicjanta. – Musisz już iść. Nie masz wiele czasu.

Ugne chciał jeszcze zadać kilka pytań, by dowiedzieć się, co mężczyzna miał na myśli. Jednak ten człapał już do wyjścia.

– Panie Maćkowiak...

Gdy podeszli do drzwi, gospodarz wręczył Galantowi dokument.

– To jest mapa przedstawiająca sieć podziemnych tuneli, które przebiegają pod północnymi dzielnicami. Sporządzenie jej zabrało mi kilka lat. Bez niej tam się nie dostaniesz. Idź i udowodnij, że Sara się nie myliła...

Galant nie zauważył, gdy drzwi się zatrzasnęły. Zrobił kilka kroków do przodu i stanął na wprost ciemnego wzgórza. Podniósł głowę. Miał w ręku dwa kawałki papieru. Czuł, że zmieniają wszystko.

* * *

Ugne w jednej dłoni trzymał słuchawkę telefonu, drugą przypalał papierosa. Pomimo że był odwrócony tyłem do lady, czuł na sobie wzrok chudej kobiety z twarzą porytą dziurami po ospie. Dwa sygnały i... tak, odebrała.

– Romanowska.

Jej przyspieszony oddech zaniepokoił Galanta.

– Czy wszystko w porządku, Basiu?

– Galant? Co się z tobą dzieje? Gdzie...? – Basia zdała sobie sprawę, że przecież teraz to jest nieważne. W kuchni siedzi gwałciciel, a ona musi coś z tym zrobić.

– Posłuchaj, Galant, nie mogę z tobą teraz rozmawiać, jest tu jakiś facet z SB. Wypytuje o ciebie...

– Zaraz... Jak on wygląda?

– Co to ma za znaczenie? Ugne, muszę kończyć...

– Basiu! Jak on wygląda?!

– Jak to jak? Jak esbek... Nie za wysoki, łysiejący... Nie wiem czemu, ale kojarzy mi się z ziemniakiem.

O mało się nie ugryzła w język, szczyt elokwencji w opisie znaków szczególnych: twarz jak kartofel. Skąd jej to przyszło do głowy?

– Basiu, musisz wyjść z domu! – Ugne czuł, że za chwilę straci kontakt z rzeczywistością.

– Jak to wyjść? Dlaczego?

– Ten człowiek przyszedł, żeby cię zabić. – Słowa Ugne zazgrzytały jak metal o metal.

– Co?!

– Basiu, nie mam czasu ci wyjaśniać... Zbierz chłopaków i spotkajmy się przy ruinach... wieży... tunelu.

– Ugne? Ugne!!! Halo?! Ugne, jakiej wieży?

Galant opadł na posadzkę. Przez chwilę próbował jeszcze się podnieść, chwycić wiszącą słuchawkę, wsłuchać się w głos, taki łagodny, troskliwy. Jej głos. Po chwili nie było już sklepu, rozbłysk zamienił wszystko w wielką jasność, palące światło, które przechodziło w fontannę kolorów. Z oddali dochodził do niego przeraźliwy, przeszkadzający krzyk ekspedientki. Wzywała pomocy. Ciemność i cisza.

* * *

Promienie słońca gładziły jego zarośniętą twarz. Siedział oparty o ścianę. Rozejrzał się. Z tyłu sklep monopolowy, ten sam, w którym kupił wódkę czystą i pomarańczówkę. Naprzeciwko jego samochód. Nad nim dwie babki w fartuchach i czepkach. Palą fajki i rozmawiają o jakiejś Krystynie, która nie przychodzi do roboty. Ugne podniósł się z trudem.

– Zaraz, zaraz, panie ładny! – Niższa miała głos jak facet. – Żebyś nam się znowu nie bujnął.

– Jak się pan czuje? – Druga, wyższa, była nieco subtelniejsza. – Czy pamięta pan, co się stało?

Ugne zaczął poklepywać się po kieszeniach spodni. Kobieta o męskim głosie wyciągnęła paczkę junaków i podsunęła mu pod nos. Wyciągnął papierosa i podziękował skinieniem głowy. Wymacał paczkę zapalek w lewej bocznej kieszeni spodni i zapalił. Zaciągnął się mocno, aż poczuł, że lekko mu się zakręciło w głowie.

– Co się dzieje? – zapytał i od razu poczuł w gardle trociny.

– No zemdłał pan. – Wyższa okazała się nie tylko subtelniejsza, lecz także bardziej wygadana. – Później zwymiotował na naszą koleżankę i znowu zemdłał, nie wiedziałyśmy, co się z panem dzieje. Na szczęście wystawała panu legitymacja służbowa, więc koleżanka ją wyciągnęła, no. I jak się okazało, że jest pan funkcjonariuszem, to zdecydowałyśmy z koleżanką, że zadzwonimy do pana pracy. No i zadzwoniłyśmy na komisariat. Bardzo się sprawą przejęli pana koledzy z komendy. Powiedzieli, że zaraz będą i żeby się pan nie ruszał, więc tak stoimy z koleżanką i tak pana pilnujemy...

Ugne skorzystał z chwili, by posklejać w całość fragmenty poranka. Zdał sobie sprawę, że ma mało czasu. Wygadana i ta z męskim głosem załatwiły mu towarzystwo psów, które lada chwila pojawią się na sygnale. Z pewnością nie będzie kwiatów na powitanie.

– Dziękuję miłym paniom, ale na mnie już czas.

Zrobił dwa susy w kierunku łazika i bez otwierania drzwi wskoczył do środka. Zanim zdążyły zaprotestować, uruchomił silnik i z piskiem opon ruszył przed siebie. Jeżeli nic się nie wydarzy, w Lasku Arkońskim powinien być za dziesięć minut. Oby tylko byli.

* * *

Basia odłożyła słuchawkę. Przez chwilę stała w milczeniu, wpatrując się w matową bryłę aparatu telefonicznego. Co on miał na myśli, mówiąc o spotkaniu przy wieży? Jakie ruiny? Dlaczego ktoś, a tym bardziej szpicel ze służb chciałby ją zabić? Co się stało Galantowi? Zrobiła dwa kroki do tyłu i opadła na kanapę. Spojrzała w kierunku narożnika pokoju, w którym stał piec kaflowy. Siedząca tam dziewczyna nie spuszczała z niej wzroku.

– Towarzyszko Romanowska, nie chcę być niegrzeczny, ale Polska Ludowa potrzebuje mnie w kilku innych miejscach!

Podniesiony głos dobiegający z kuchni wskazywał na coraz większą irytację mężczyzny. Basia poderwała się z miejsca.

– Już, tylko skończę rozmowę telefoniczną.

Chwyła za słuchawkę i wykręciła numer.

– Komisariat Szczecin Niebuszewo, słucham.

– Sierżant Romanowska, połączcie mnie z Wajdą – wyszeptała. Miała nadzieję, że dotrze to do dyżurnego.

– Chwila, towarzyszko.

Po kilku sekundach w słuchawce odezwał się znajomy głos.

– Wajda, czym mogie służyć? – Melodyjny głos lwowiaka sprawił, że Basia poczuła się pewniej.

– Galant ma jakieś problemy, zabierz doktora i jedźcie tam, gdzie są ruiny i... wieża, mamy tam spotkanie...

– O, i nasza dziunia^[94] się odnalazła. – Lwowiak przełykał właśnie duży kęs kaszanki. – Pani sierżant, ale jakie ruiny i wieża?

– No właśnie nie wiem. Ty znasz Szczecin, więc dedukuj.

– Zaraz, może doktor coś będzie wiedział...

Przez chwilę w słuchawce można było usłyszeć niewyraźną rozmowę lwowiaka z Ferencem, a po chwili głos lekarza.

– Basiu, jak Ugne to dokładnie powiedział? – Ferenc miał oddech przyśpieszony, czuł, że nareszcie zaczyna się coś dziać. – Powiedz to dokładnie w takiej kolejności jak on.

– No jakoś tak: „Zbierz chłopaków i spotkajmy się przy ruinach... wieży...”. I jeszcze coś o jakimś tunelu.

– Dobrze, czyli ruiny, ważniejsze są ruiny... W Szczecinie jest kilka wież, tylko nie kojarzę tuneli. Jest wieża Bismarcka na Goławiu... tyle że trudno nazwać to miejsce ruiną... Zaraz, wieża Quistorpa! Na pewno

chodzi o wieżę Quistorpa w Lasku Arkońskim. Wieża z kawiarnią została zbombardowana przez...

– Halo, doktorze! – przerwała brutalnie jego wywód Basia. – Skoro już wiemy gdzie, to zbierajcie się i jedźcie do tego Lasku Arkońskiego. Ja, gdy tylko załatwię tutaj pewną sprawę, też przyjadę. – Urwała i przez chwilę wpatrywała się w ciemny przedmiot stojący w rogu salonu. – Albo przyjedźcie po mnie i wejdźcie do środka, pomożecie mi w czymś. Tylko ruszcie się!

Romanowska odłożyła słuchawkę, podeszła do szafy i zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi. Po chwili na kanapie wylądował kompletny mundur polowy.

– Ubierz się. Wychodzimy.

Podeszła do wieszaka, który stał w kącie, i podniosła długi czarny przedmiot. To była pałka patrolowa używana przez ZOMO do rozpędzania demonstracji. Gdy tu zamieszkała, długo zastanawiała się, co ona właściwie tu robi. Chciała nawet ją wyrzucić, jednak świadomość, że pałka jest własnością publiczną, ją powstrzymała. Wtedy nie wiedziała, że może się przydać. Otworzyła drzwi do salonu i wbiegła do kuchni. Esbek siedział przy stole na wprost wejścia i palił papierosa.

– O, w końcu raczyła dama się poja...

Zanim zdążył zamknąć wypowiedź kolejną kąśliwą uwagą, dostrzegł w ręku dziewczyny pałkę. Basia błyskawicznie doskoczyła do mężczyzny, wzięła potężny zamach i jednym uderzeniem w głowę powaliła go na ziemię. Atak był tak zaskakujący, że Kastet nie zdołał nawet zasłonić twarzy. Pałka wylądowała z potężną siłą na wysokości oczodołu. Nos pod wpływem uderzenia eksplodował, a krew trysnęła na stół. Basia podbiegła do mężczyzny, aby zadać kolejny cios, ale ten leżał bez ruchu. Kucnęła i położyła dłoń na jego szyi. Żył.

Komitet Wojewódzki PZPR, Szczecin, wrzesień 1957 roku

W gabinecie panował zaduch. Ciężkie zielone zasłony szczelnie zakrywały wielkie okiennice wychodzące na plac Żołnierza Polskiego. O tej porze słońce świeciło prosto do pomieszczeń i lustrowało całą powierzchnię gabinetu. A tego gospodarz nie chciał. Dym papierosowy unosił się nad długim drewnianym stołem, za którym siedzieli mężczyźni. Wszyscy trzech ubrani byli w podobne garnitury. Ich idealnie przylegające do ciała marynarki oraz cienkie krawaty kontrastowały z ubiorem innego, który siedział naprzeciwko. Grubas w błękitnoszarym mundurze. Na pagonach dwie belki i gwiazdka. Major Milicji Obywatelskiej. Pocił się.

Do pokoju weszła sekretarka.

– Towarzyszu sekretarzu, czy coś podać dla gości? – zwróciła się cienkim głosem do mężczyzny w garniturze, który siedział pośrodku, od strony okna.

– Sucharek, chcecie coś do picia? – odezwał się szpakowaty mężczyzna aksamitnym, łagodnym, wręcz kobiecym głosem, który mógł wskazywać jego dość łagodną osobowość albo... preferencje. – Trochę tu posiedzicie.

– Tak, proszę sodową, towarzyszu sekretarzu.

– No dobrze. Wiem, że z prokuratorem Muszyńskim już towarzyszysz się zna. – Sekretarz wskazał dłonią na siedzącego obok niego wysokiego bruneta. – Ale z towarzyszem Dyczyńskim chyba się jeszcze nie poznaliście?

– Nie miałem przyjemności – odpowiedział Sucharek.

– Towarzysz Dyczyński jest przewodniczącym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i członkiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Ten skrzywił się, co zapewne w zamyśle miało oznaczać uśmiech. Mężczyzna wyglądał albo na zmęczonego życiem, albo mocno

nadużywającego alkoholu. Wąsy i kozia bródka nie pomogły ukryć nalanej i czerwonej twarzy. Tak jak kręcone siwe włosy nie były w stanie zakryć coraz większych zakoli, a kanciaste okulary w czarnych szerokich ramkach – worków pod oczami.

– Martwimy się, towarzyszu Sucharek, jedną sprawą...

Sekretarz poprawił krawat, otworzył połączoną papierośnicę i wyciągnął rękę w stronę majora. Sucharek zwrócił uwagę na dziwny symbol, który znajdował się wieczku – dwa trójkąty, opierające się na wspólnej podstawie, którą stanowi długa linia z oczkami na końcu. Już gdzieś widział ten symbol. Wyciągnął papierosa. Zapalił.

– Dotarły do nas informacje, że milicjanci z komendy wojewódzkiej chodzą po naszym mieście i wypytyują dobrych towarzyszy o jakieś dziwne sprawy z przeszłości. Powiem więcej. Wiemy, że zajmuje się tym człowiek, wobec którego toczy się postępowanie, a który kilka miesięcy temu najprawdopodobniej dokonał zabójstwa – powiedział, sięgając do szarej teczki leżącej na stole. Wyciągnął z niej kilka zdjęć, które przesunął w stronę majora. – Wiemy, że towarzysz jest zasłużonym komunistą. Znamy chwalebny historię towarzysza. Pamiętamy, że w trudnych chwilach towarzysz major nie bał się brać odpowiedzialności i podejmował trudne decyzje w obronie dobrego imienia partii i naszych sojuszników. Dlatego wierzymy, że sprawę uda się szybko wyjaśnić.

Sucharkowi słowa tego szpakowatego mężczyzny przypominały echo nic nieznaczącego przemówienia, jakich wiele w radiu. Przed oczami majaczył mu wciąż ten dziwny symbol. Dlaczego nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go już widział? Wiedział, że to jest ważne.

– Cóż, towarzysze, nie mogę mówić o śledztwie, którym zajmują się Galant i sierżant Romanowska, gdyż jest objęte klauzulą ściśle tajne.

– A kto mu nadał tę klauzulę, towarzyszu majorze?

Muszyński nie patrzył na milicjanta, tylko wpatrywał się w obraz przed sobą. Płótno przedstawiało dwie kobiety. Po lewej ładna, szczupła, w modnej sukience, ozdobionej napisami w języku angielskim. W dłoniach trzymała zieloną, elegancką torebkę. Twarz skrywała za dużymi okularami przeciwsłonecznymi. Druga stała obok, z jedną ręką opartą na biodrze, a drugą wspartą na trzonku łopaty. Silna, prawdziwa kobieta. Podwinięte rękawy ukazywały grube przedramiona. Stojący obok niej mężczyzna, ubrany w strój roboczy, z trzonkiem łopaty w prawej ręce, lewą obejmował

swoją wybranekę. Oboje byli zdrowi, opaleni, krzepcy. Za kobietą po lewej straszyły ruiny, za parą robotników wznosił się świeżo zbudowany, nowoczesny, kilkupiętrowy budynek.

– Ja. – Sucharek powędrował wzrokiem za tym, na co patrzył Muszyński.
– Korzystam z uprawnień.

– Towarzyszu Sucharek, sprawa tak zwanego rzeźnika z Niebuszewa została rozwiązana pięć lat temu – powiedział szybko Dyczyński. – Państwo ludowe zdało egzamin. Po co wracacie do spraw, które mogą tylko jątrzyć? Kulisy tamtej sprawy zostały wyjaśnione, winny został skazany. Uspokoiłmy społeczność. Dlaczego wasi ludzie przesłuchują ważnych towarzyszy, członków partii, podważając ich wiarygodność w oczach innych towarzyszy? – Podniósł głos. – Sucharek, to nie jest atak na członków partii. To jest zamach na partię! – wykrzykiwał już na stojąco w kierunku milicjanta.

– Spokojnie, towarzyszu. – Sekretarz przytrzymał go uspokajająco za rękę i skinął, aby usiadł. – Towarzyszu majorze – zwrócił się do Sucharka – przypominam, że stanowisko Komendanta Wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej nie jest dożywotnie. Oczekuję, że towarzysz przemyśli sobie nasze słowa i pilnie podejmie działania wyjaśniające. Ma towarzysz czterdzieści osiem godzin na ustosunkowanie się do naszych wątpliwości. Jeżeli sprawa nie zostanie zamknięta w tym czasie, zwołam prezydium komitetu wojewódzkiego partii i podejmiemy decyzję. Jeżeli partia się ze mną zgodzi, to nie skończy się tylko na usunięciu ze stanowiska.

Sucharek spojrzał na Muszyńskiego, który z wyrazem triumfu w oczach i z nieukrywanym zaciekawieniem obserwował, co zrobi komendant. Major wstał i podał rękę szpakowatemu.

– Poczęstuje mnie towarzysz jeszcze papierosem?

Sekretarz ze zdziwieniem przyjrzał się Sucharkowi, ale nie odmówił. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki pozłacaną papierośnicę i ją otworzył. Wieczko zabłysło w świetle ognia zapalniczki, którą zapalił Muszyński, i ukazało symbol w całej swojej okazałości.

Tak, teraz sobie przypomniał. Widział to wcześniej. Pięć lat temu. Na zdjęciach z wizji lokalnej na miejscu zbrodni. W domu Cyppka. To była książka w czarnej oprawie, dokładnie z takim samym symbolem na okładce.

Lasek Arkoński, Szczecin, wrzesień 1957 roku

– Zabieraliśmy stąd cegłę do remontu bloku B – mówił głośno Ferenc, by przebić się przez ryk silnika.

Gaz 67 w kolorze zgniłej zieleni pruł środkiem szerokich kamiennych schodów prowadzących do ruin na wzgórzu. Kierowca najwyraźniej nic sobie nie robił z faktu, że jedzie wzdłuż otoczonej z obu stron jodłami i świerkami alei służącej zazwyczaj spacerowiczom.

– Ledwie wysiadłem z pociągu, od razu skierowali mnie na dział błonicy – mówił Ferenc w stronę lwowiaka, ale nie patrzył na niego. – Nazywali go „przedszkolem kostuchy”, bo traciliśmy tam dziecko co dwie godziny. – Ferenc odchrząknął. – Ale przynajmniej w końcu zaczęli płacić. Nawet wódkę dali na święta.

Było ciepło, wręcz parno. Powietrze przyklejało się do zarośniętych twarzy mężczyzn i osiadało na świeżo upudrowanych policzkach pasażerek. Łazik wyminął mosiężną głowę, która najprawdopodobniej należała do posągowego korpusu leżącego w bezładzie obok arkadowej zabudowy dawnej kawiarni. Ta część jakimś cudem przetrwała wybuch.

– Wyobraź sobie, że jeszcze przed kilkunastoma laty po tych schodach, które ty teraz rozjeżdżasz tym ruskim gazikiem, spacerowali szczecinianie, a z czterdziestopięciometrowej wieży rozpościerał się niesamowity widok na miasto. To nie wszystko, wyobraź sobie restaurację...

– Jacy szczecinianie? – Lwowiak spojrzał z wyrzutem na Szymona. – Nie ma czegoś takiego jak szczecinianie, toż to szkopy były! Sam mówisz, że dzieci na błonicy umierały, bo ci barbarzyńcy zostawili po sobie spaloną ziemię! Polskie dzieci! Dlatego nie mów mi o jakichś germańskich wieżach. – Wajda odwrócił się i splunął przez ramię. – Zasłużyli sobie.

Szymon Ferenc zamilkł. Odwrócił się. Romanowska i dziewczyna w mundurze polowym miały zamknięte oczy. Upał i zmęczenie były silniejsze od nich. Spojrzał na zaciśnięte szczęki lwowiaka. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego ten zazwyczaj przemiły gaduła, z rubasznym poczuciem humoru, tak zareagował. Ostro, wręcz agresywnie. Nie widział go wcześniej w takim stanie. Wojna pozostawiła wiele ran w każdym z nich, jednak minęła już dekada, emocje opadły, rany się zabiłiły. A może jednak nie? Może są ludzie, którzy potrzebują więcej czasu? Uświadomił sobie, że właściwie niewiele wie o tym człowieku, choć spędził z nim w ciasnym pomieszczeniu tyle czasu. Dziwne, że nie zwrócił na to uwagi wcześniej. Lwowiak nic o sobie nie mówił. Tyle gadał, ale nic o sobie, rodzinie, migracji z Lwowa. Szymon już miał na końcu języka, by zapytać go o podróż na zachód, o ukończoną szkołę, o rodzinę... Zanim jednak wypowiedział słowo, samochód się zatrzymał. Lwowiak przekręcił kluczyk w stacyjce. Zapadła cisza i nagle zrobiło się ciemno. Nad ruinami zebrały się stalowe chmury.

– To zamówiłeś pogodę, doktorze. – Wajda uśmiechnął się i zza fotela kierowcy wyjął latarkę. – Koniec podróży, moje panie.

Basia otworzyła oczy i położyła dłoń na udzie dziewczyny.

– Poczekaj na nas.

Wysiedli z samochodu. Zerwał się wiatr, a powietrze stało się ciepłe i wilgotne. Minęli szerokie kamienne schody prowadzące na drugą kondygnację dawnej restauracji. Odgłos pierwszych kropli deszczu, które zabębniły o maskę gazika, rozszedł się po lesie. Grupa okrążyła budynek. Dopiero teraz zobaczyli stoewera Galanta. Podeszli bliżej. Nikogo w nim nie było.

– Myślę, że Ugne jest już w środku. – Basia wskazała ruiny.

Dawna restauracja dzięki otwartym arkadom była dostępna z każdej strony. Składała się z kilku pomieszczeń przykrytych sklepieniem krzyżowym, nad którymi obecnie pozostały ruiny tarasu widokowego. Rozpadało się na dobre, a sosny i jodły zamieniły się w zieloną orkiestrę odgrywającą deszczową symfonię. Krople deszczu rozbijały się o gałęzie i spływały na wyczekującą wody ziemię. Las ożył.

Wbiegli do jednego z pomieszczeń. Było ciemno i śmierdziało uryną. Wokół wałały się butelki po piwie i wódce.

– Ugne! – krzyknęła Basia w kierunku innych pomieszczeń. Nagle z ciemnego rogu doszedł do nich odgłos trzaskającego kamienia i poczuli zapach palącej się benzyny. Żółty płomień zapalniczki oświetlił nierówno zarośniętą twarz Galanta.

– Serwus! – Głos milicjanta był jeszcze bardziej chropowaty niż zwykle. – Dobrze was widzieć.

– Galant, co się z tobą działo? – Basia, rozkładając ręce, zrobiła krok w jego kierunku, po chwili jednak uznała swoją reakcję za zbyt emocjonalną i cofnęła się. – Może łaskawie nam wytłumaczysz, co się wydarzyło. Gdzie byłeś przez ten cały czas i dlaczego szuka cię Służba Bezpieczeństwa?

Ugne podszedł do jednego z filarów i spojrzał na las.

– Wygląda na to, że nasi „kurucjusze” są przypadkowymi ofiarami człowieka albo grupy ludzi, którzy nadal zabijają i ćwiartują ofiary. Przeszkadza im nasze śledztwo. Chronią ich, likwidując świadków. Stoją za tym milicjanci i esbecy. – Galant zaciągnął się mocno papierosem. – Obserwowali mnie. Skasowali naszego świadka, barmana z Turczynki, bo mógł coś opowiedzieć o mięsie, które trafiało do knajpy. Zajmowała się tym stara Hermanowa. Okazało się, że teraz pracuje na Golęcinie w jakimś dziwnym miejscu na Wzgórzu Kupały. Jakiejś restauracji czy hotelu, który należy do Socjalistycznego Towarzystwa Opieki nad Pionierami. Budynek ogrodzony jest jak jakaś warownia, a na straży stoi wielki gnom, który niespecjalnie zna się na żartach. Przy okazji, lwowiak, sprawdź w rejestrze, kto jest założycielem tego towarzystwa i siedzi w jego władzach.

Wajda pokiwał głową, a Galant kontynuował:

– Okazuje się, że pod tym budynkiem jest bunkier, do którego również nie można się dostać, ponieważ wejście jest zakratowane. Ktoś musiał włożyć wiele wysiłku, żeby chronić to miejsce przed światem zewnętrznym.

Galant pstryknął wypalonego papierosa w kierunku stosu cegieł, przez które teraz przepływał deszczowy potok.

– Nie powiedziałem wam jeszcze wszystkiego. Miałem sprawdzić tego świadka, który zgłosił znalezienie tych sukienek na Golęcinie. Okazało się, że dziewczyna nie żyje. Oficjalnie to było samobójstwo. Przed śmiercią napisała list.

Sięgnął do kieszeni emki i wyciągnął złożoną na pół kopertę. Otworzył ją.

– Posłuchajcie.

Jeżeli czytasz ten list, to ja zapewne już nie żyję, a ty jesteś człowiekiem, który opowie prawdę. Jakiś czas temu u podnóża wzgórza, zaraz przy starym bunkrze, znalazłam sukienki, na których były ślady krwi. Podejrzywałam, że musiało dojść do jakiejś zbrodni. Zaniiosłam je na komisariat. Po kilku dniach mój dom odwiedzili dwaj mężczyźni. Jeden był funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa. Pokazał legitymację. Nazywał się Łuczenko. Drugi się nie przedstawił. Niski brunet z semickim nosem pachniał wodą brzoową. Zaprowadziłam ich na miejsce, gdzie znalazłam sukienki. Nie interesowały ich okoliczności znaleziska, ale komu o tym powiedziałam. Zaprowadzili mnie do bunkra. Okazało się, że brunet miał klucze do bramy. Przez tunel doszliśmy do wielkiej sali. Środek przypominał komnaty zamkowe. Od głównej sali odchodziły boczne tunele. Dotarliśmy do dużej komnaty, która wyglądała jak sypialnia królewska. Tam mnie zgwałcili. Po wszystkim zagrozili mi, że jeżeli komukolwiek o tym powiem, taki sam los czeka moją matkę. Nie posłuchałam ich. Opowiedziałam o wszystkim mamie. Nie wierzyłyśmy milicji. Postanowiłyśmy udać się do magistratu. Spotkałyśmy się z towarzyszem Dyczyńskim. Obiecał zająć się sprawą. Jeżeli jednak czytasz ten list, to popełniłyśmy błąd, a oni wrócili. Pozostaje mi czekać na sprawiedliwość zza grobu, aż wszystko się zmieni, aż przyjdzie ten sprawiedliwy... aż przeczytasz ten list.

Sara

Ugne złożył kartkę na pół i wsunął do koperty. Zapadło milczenie. Tylko bębniący o ziemię deszcz dawał znać, że czas nie stanął w miejscu. Pierwszy odezwał się Ferenc.

– Jeżeli tak jest, to mielibyśmy do czynienia ze spiskiem, w którym bierze udział kierownictwo partii, wysokiej rangi funkcjonariusze milicji i Służby Bezpieczeństwa, sędziowie i urzędnicy. – Zaczął chodzić od jednego filara do drugiego i gestykulował. – Czy wy zwariowaliście?

– Może coś w tym jest? – Basia poklepała po plecach doktora i stanęła pośrodku. – Barman z Bajki kręci, z pewnością wie coś o zabójstwie dziewcząt. Do tego ten młody milicjant...

– Jaki milicjant? – Ugne zatrzymał wzrok na twarzy Basi.

– Ten, który przyjął zgłoszenie od mewek. To on z nimi rozmawiał. Okazało się, że zaraz po tym miał wypadek. Nie żyje.

– Trochę za dużo tych przypadków, nie uważasz, doktorze? – Lwowiak podniósł głowę i spojrzał w stronę Ferencza.

– Tylko że to nie jest żaden dowód. – Ferencz schował ręce do kieszeni. – Poza tym, Galant, klawo, że prowadzisz śledztwo, ale możesz nam łaskawie powiedzieć, dlaczego szuka cię milicja?

Butelka, którą kopnął w złości Szymon, roztrzaskała się o kamienną ścianę.

– Nie wspominałem? – Ugne krzywo uśmiechnął się do Basi. – Nasi koledzy z SB zrobili ustawkę w Turczynce, miałem zostać bohaterem mordu rabunkowego na barmanie. Myślę, że za chwilę będzie o tym głośno.

Przebiegł wzrokiem po obecnych. Wiedział, że wrzucenie im kolejnego problemu na głowy może tylko ich zniechęcić.

– Nie martwcie się tym. A wy co ustaliliście?

Lwowiak usiadł na gzymsie i oparł się o kolumnę.

– Spotkałem się z tym redaktorem z „Kuriera”, któremu zatrzymali artykuł o rzeźniku...

– A, właśnie sam miałem z nim gadać...

– Już nie jest redaktorem. Przenieśli go do jakiejś klitki z archiwaliami. Teraz to wrak człowieka. Potwierdził moje przypuszczenia. Wszystko wskazuje na to, że Cyppek był tylko kozłem ofiarnym. Komorowski przeprowadził swoje śledztwo. Całkiem nieźle udokumentowane. Wygląda na to, że akcja z Cypkiem miała odsunąć podejrzenia od jakiejś dziwnej historii, która się wydarzyła w prawdziwej masarni na Warszawie. Według niego to właśnie tam miało dochodzić do procederu oporządzania ludzkich zwłok i przerabiania ich na te wszystkie bigosy i gulasze.

– Można mu wierzyć? – zapytał Ugne.

– Myślę, że tak. Facet nie ma już nic do stracenia. Jestem przekonany, że mówił prawdę... Jedna rzecz nie daje mi spokoju.

– No? – Galant zaciągnął się papierosem.

– Komorowski mówił coś o jakiejś dziwnej sekcji, która miała tam w tej rzeźni biesiadować...

– Sekcji? Co miał na myśli? – Ugne pochylił się z zainteresowaniem nad Wajdą.

– To, że wszędzie były jakieś dziwne znaki wymalowane krwią.

– Powiedział ci jakie?

– Nie.

– To niewiele nam daje. – Galant odrzucił niedopałek i spojrzał pytająco na Basię.

– Jeszcze jedna sprawa... – Lwowiak położył dłoń na ramieniu Galanta, komunikując, że ma coś do dodania. – Za tym wszystkim stoją ludzie ze służb...

Galant nabrał śliny i splunął do kałuży.

– Dlaczego tak myślisz?

– U Cypka częstym gościem był jakiś pułkownik z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

– Teraz już rozumiem... – Basia powiedziała to tak cicho, że właściwie wydawało się, że nikt nie ma prawa tego usłyszeć.

– Co rozumiesz, Baśka?

– Później... A co z tym Komorowskim? Dlaczego nic z tą wiedzą nie zrobił?

– Bał się, zresztą do dzisiaj się boi. Na szczęście nie boi się pić dużych ilości samogonu. – Na wspomnienie alkoholowej przygody jego żołądek zareagował nagłym skurczem. – A ten, jak wiemy, rozwiązuje język. Gdy złożona gazeta trafiła do drukarni, w jego mieszkaniu pojawił się facet o twarzy barabola[95].

– Jakiej twarzy? – zapytała Basia.

– No jak to się mówi? Kartofla. No i sterroryzował jego córkę i żonę... A żonę ponadto – lwowiak rozejrzał się po zgromadzonych wokół, wszyscy w skupieniu wsłuchiwali się w każde jego słowo – oznakował.

– Że co?! – nie wytrzymał Ferenc.

– Wypalił jej na plecach jakiś znak, symbol.

Basia odchrząknęła i podeszła bliżej.

– Powiedz, Wajda, czy wiesz, jak wyglądał ten znak?

– No... to były trójkąty i... zresztą, zaraz, mam to narysowane.

Wajda pokazał odręczny szkic w notesie. Twarz Romanowskiej momentalnie się zmieniła. Poczowała, jak nogi się pod nią uginają. Musiała usiąść. Oparła się plecami o gzyms.

– Muszę wam coś opowiedzieć. – Podniosła wzrok. Teraz wszyscy z zaciekawieniem wpatrywali się w milicjantkę.

– Ten Łuczenko przyszedł dzisiaj do mnie wypytywać o Galanta. Okazało się, że mieszka w mojej kamienicy, więc nie miał daleko...

– No i co mu powiedziałaś? – Lwowiak nie mógł się powstrzymać.

Basia przez chwilę milczała, zastanawiając się, w jaki sposób opisać to, co się dzisiaj wydarzyło.

– W samochodzie siedzi i czeka na nas dziewczyna. Ma na imię Kasia i pracuje w hotelu Gryf. Zna Łuczenkę, a właściwie Kasteta, bo tak na niego mówią. Okazuje się, że raz w miesiącu odwiedza dyrektora Gryfa i ściąga z niego haracz. Tak go poznała.

– Jak to siedzi w samochodzie? – Galant wysunął głowę spod arkady i próbował wyszukać wzrokiem łazik lwowiaka. – Przywiozłaś tu cywila?

Basia puściła mimo uszu pytanie Galanta.

– Kastet jest perwersyjną mendą nadużywającą władzy. Zaszantażował ją, że może skrzywdzić jej rodziców. W ten sposób zmusił ją do odwiedzenia go w mieszkaniu. Tam ją zgwałcił. Znalazłam ją siedzącą i płaczącą w kącie klatki schodowej. Nie chciała nic mówić. Jest wystraszona.

– Basiu, wszystko rozumiem. – Ugne podszedł do milicjantki i złapał ją za ramiona. – Ale na cholerę ją tu przywiozłaś? Trzeba było ją zawieźć do najbliższego komisariatu.

– To nie wszystko. – Romanowska mimo uszu puściła uwagę Galanta. – Łuczenko ją oznakował. – Przebiegła wzrokiem po twarzach mężczyzn. – Wypalił na jej ciele ten sam znak!

Basia wskazała kartkę, którą otrzymała od Wajdy. Deszcz przestawał padać i już tylko pojedyncze krople wydawały ostatnie tchnienie na murku okalającym budynek. Na kamiennej rzeźbie przedstawiającej siedzącą na tronie kobietę, której zbląkana kula oderwała głowę i wyrzuciła ją na drugą stronę budynku, usiadł teraz kos, który delikatnie i z początku niepewnie, jakby nie chcąc spłoszyć gości, rozpoczął swoje trele.

– Teraz leży związany u mnie w kuchni. – Basia schowała twarz w dłoniach.

– Jak to leży związany? – Dotychczas milczący Ferenc podszedł do Basi. – Uwięziłaś esbeka?

Basia wstała i zrobiła dwa kroki do przodu. Przeskoczyła przez trzydziestocentymetrowy gzyms. Stała teraz pośrodku błotnistej ścieżki. Rozejrzała się dookoła i nabrała głęboko powietrza w płuca.

– Myślę, że Kastet jest nie tylko gwałcicielem, a tym znakiem piętnuje swoje ofiary.

– No tak, ale skoro przyszedł do Komorowskich, to nie zrobił tego z własnej inicjatywy, tylko został tam wysłany. Czyżby był jakimś cynglem ludzi, którzy chcą zatuszować sprawę tych morderstw? – zastanawiał się na głos Galant. Wyszedł z wilgotnego pomieszczenia i skierował się w stronę ścieżki. Tuż za nim ruszył lwowiak i powoli, ze spuszczoną głową Ferenc.

– Nie odpowiedziałaś na pytanie – nie dawał za wygraną doktor.

Basia przez moment wpatrywała się w niego beznamiętnym wzrokiem, potem uśmiechnęła się.

– Doktorze, czasami los stawia przed nami przeszkody, które musimy pokonać w sposób nieregulaminowy. Pewnie jeszcze kilka tygodni temu zachowałabym się inaczej. Dzisiaj wzięłam do ręki pałkę i złamałam nos człowiekowi, który skrzywdził niewinną dziewczynę. Tyle.

Galant podszedł do Basi i objął ją swoim długim ramieniem.

– Morowa dziewczyna!

– Ni ma co bańdziurzyć! – Wajda poprawił kołnierz w palcie i wyciągnął paczkę papierosów. – Co robim?

Galant przejął zręcznie paczkę papierosów od lwowiaka, wziął jednego i oddał mu resztę. Zapalił.

– Zrobimy tak: ja z Ferencem pojedziemy do mieszkania Basi i porozmawiamy z towarzyszem Kastetem. Baśka, spotkaj się z tym profesorem od znaków i wypytaj go, co ten symbol oznacza. Lwowiak, ty sprawdź mi to towarzystwo ze Wzgórza Kupały w jakimś rejestrze organizacji – zarządził Ugne i zaciągnął się głęboko papierosem. – No i zrób coś z tą dziewczyną, może trzeba ją zawieźć do jakiegoś kościoła?

– Gdzie? – Basia spojrzała na niego z wyrzutem.

– Nieważne. Sama wiesz najlepiej.

Galant wyrzucił papierosa przed siebie. Przez chwilę patrzył, jak smuga dymu przemieszcza się w kierunku niewielkiego budynku, który stał nieopodal głównego kompleksu.

– Ferenc, a co to właściwie jest? – Wskazał ceglany obiekt wysoki na jakieś dwa metry i szeroki na pół metra.

– My to nazywaliśmy okrągłakiem. To wejście do jakichś tuneli czy bunkrów. W pierwszym roku po moim przyjeździe to nawet tam zesłaliśmy, ale na dole wybija woda i jest od cholery szczurów. Nie szliśmy dalej.

Zbliżyli się do budynku. Galant spojrział w dół. Spiralne schody prowadziły w ciemność.

[95] barabol (gw. lwowska) – ziemniak

34
Teczki

Wały Chrobrego, Szczecin, październik 1957 roku

Lwowiak spojrział jeszcze raz na kartkę, którą dostał od Basi. Wydział Spraw Wewnętrznych Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej przy ulicy Wałów Chrobrego 1. Popatrzył w górę. Stał pośrodku kamiennych schodów, przed głównym wejściem do gmachu z czerwonej cegły. Pod kolumnami dźwigającymi obszerny taras, pośrodku balustrady, wisiał kartusz z godłem państwowym. Wajda zachnął się na samą myśl, jaka czeka go droga krzyżowa w tym urzędniczym piekle. Ile czasu straci na tłumaczenie urzędnikom, czego potrzebuje i dlaczego na wczoraj? Wiedział, że zanim dotrze do rejestru organizacji i stowarzyszeń, będzie musiał złożyć dziesiątki podpisów i wypełnić tony dokumentów. Wbiegł po schodach i z całej siły pociągnął wielkie drzwi do siebie. W środku panował miły chłód. Jednak są jakieś pozytywy, pomyślał. Wbiegł po kolejnych schodach na górę. Ponownie zmierzył się z ogromnymi drzwiami i dotarł do wielkiego holu. Na wschodniej ścianie wisiała dużych rozmiarów tablica informacyjna. Zaczął szukać.

Wydział do spraw Wyznań – pokój sto dwa, Wydział Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej – sto siedem, Wydział Organizacyjno-Prawny – sto piętnaście, Wydział Zatrudnienia – sto trzydzieści trzy, Wojewódzka Komisja Cen – sto czterdzieści cztery, a Wydział Spraw Wewnętrznych – sto sześćdziesiąt cztery. Jest! Odwrócił się. Strzałka na ścianie korytarza wskazywała, że pokoje od sto dziesiątego do sto sześćdziesiątego znajdują się po drugiej stronie budynku. Czuł, że musi przyspieszyć, Galant z pewnością już wchodzi do mieszkania. Podbiegł przez długi korytarz, aż znalazł się po drugiej stronie budynku. Mijał kolejne pokoje i gabinety Wojewódzkiej Komisji Cen. Gdy przechodził obok następnych drzwi,

przeszło mu przez głowę, że ustalanie ceny każdej paczki fajek musi zabierać trochę czasu. Pewnie dlatego pracuje tu tak dużo ludzi. Jest – sto sześćdziesiąt cztery, Sekretariat Wydziału Spraw Wewnętrznych. Odchrząknął i poprawił pomarszczony prochowiec. Delikatnie otworzył drzwi i wszedł do środka. Za niewielkim stołem siedziała pokaźnych rozmiarów urzędniczka. Przed nią na biurku leżała sterta dokumentów. Kobieta sprawnym ruchem otwierała kolejną teczkę i uderzała pieczęcią na ostatniej stronie. Uderzała. Waliła! Stół trzeszczał po każdym zetknięciu się drewnianej pieczętki z papierem. Wajda pomyślał, że było w tym coś nienaturalnego i niepasującego do tego miejsca. Podszedł bliżej.

– Szkoda, że nie wziął makagig[96] – wyszeptał pod nosem. Kobieta najwyraźniej usłyszała głos Wajdy, bo jej dłoń, w której trzymała pieczętkę, zawisała wysoko w powietrzu. Podniosła wzrok na pulchnego brodacza, który stał przed nią i memlał róg swojego przymałego prochowca.

– Balikasz?[97] – krzyknęła z uśmiechem kobieta.

Lwowiak, gdy usłyszał znajomą melodię w jej głosie, poczuł, że to nie będzie wcale taki zły dzień. Okazało się, że Jewgienija, bo tak miała na imię urzędniczka, pochodziła z tej samej miejscowości, w której urodził się Wajda, i – co więcej – bardzo dobrze знаła jego młodszego kuzyna. Jak dobrze? Tego nie chciała zdradzić, ale najwyraźniej nie była to zła znajomość, bo Jewgienija uznała, że może się odwdziaczyć Wajdzie za wszystko to, co otrzymała od młodego kuzyna z Brodów.

Nie dość, że po chwili siedział w zacisznym gabinecie naczelnika wydziału, a przed nim leżała teczka Socjalistycznego Towarzystwa Opieki nad Pionierami, to jeszcze obok teczki, na małym talerzyku w kwiatki, spoczywał wielki kawał sernika lwowskiego. Nie pamiętał, kiedy praca sprawiała mu taką satysfakcję jak właśnie w tej chwili. Odkroił widelczykiem mały kawałek sernika i powoli skierował do ust. Poczuł błogą słodycz, która objęła jego całe ciało. Uśmiechnął się do siebie. Wyciągnął z kieszeni grube okulary i je założył. Drugą ręką rozwiązał tasienkę i otworzył teczkę. Typowe dokumenty. Statut. Dokumenty rejestrowe. Kopie wniosków do Prezydenta Miasta o przekazanie kilku gruntów w dzierżawę wieczystą na Warszewie i Gołęcinie. Mapki z wytyczonymi działkami. Decyzje o przekazaniu nieruchomości. Dalej. Lista Komitetu Założycielskiego. O! Tego szukał. Dziesięć imion i nazwisk. Przeleciał pobieżnie wzrokiem po liście. I poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba.

Cyppек. Galant jednak miał nosa. Rzeźnik z Niebuszewa był członkiem stowarzyszenia, i to w jakim towarzystwie! Byli tu wszyscy, którzy w tym mieście coś znaczą: sędziowie, wysocy rangą urzędnicy miejscy, esbecy, milicjanci, kierownicy największych zakładów pracy i klubów. No i oczywiście partyjniacy, ale nie jakieś tam pionki z komitetu osiedlowego w Brojcach, to były nazwiska grubych ryb, które na co dzień wypinały pierś do zdjęć w relacjach z różnych państwowych uroczystości zamieszczanych przez „Kurier Szczeciński” czy „Szczeciński Głos Ludu”. Lwowiak obrócił się, by się upewnić, czy jest sam. Ci ludzie nie będą zadowoleni, że przegląda te dokumenty. Tylko dlaczego ich bardziej nie ukryli? Pewność siebie? A może jeszcze nie zdążyli tego zrobić? Może właśnie w tym momencie do urzędu wchodzi jakiś cyngiel z Małopolskiej, by zabezpieczyć kwity? Wajda zaczął pośpiesznie notować imiona i nazwiska, daty i miejsca urodzenia, numery i adresy działek, rozrysowywał również miejsca ulokowania nieruchomości, nazwiska osób, które wydawały zgody i pozwolenia. Nie zabrało mu to nawet piętnastu minut, a już wstawał i pakował wszystko do teczki. Drzwi wejściowe zaskrzypiały, dając znać, że ktoś wszedł do środka. Wajda oczami wyobraźni czuł zimną lufę pistoletu przytkniętą do jego potylicy. Powoli się odwrócił.

– Ja przyniosła mojemu przywabliwemu[98] Kaziukowi kawuńci[99].

Do środka z rozciągniętymi w uśmiechu jaskrawoczerwonymi ustami weszła Jewgienija. W dłoniach trzymała tacę z filiżankami i kawałkami ciasta. Lwowiak schował notatnik do wewnętrznej kieszeni płaszcza i uniósł przed siebie teczkę z dokumentami, które teraz stanowiły jedyną zaporę pomiędzy nim a dorodnym biustem dziewczyny.

– Dziękuję, kolegówno[100], ale ja już muszę knajać[101]. Odezwę się.

Lwowiak sprytnie wyminął skonsternowaną dziewczynę i wybiegł z pomieszczenia. Szybkim krokiem ruszył wzdłuż korytarza. Mijając kolejnych petentów, starał się nie zwracać na siebie uwagi. Gdy wychodził z budynku, omal nie wpadł na dwóch mężczyzn w skórzanych kurtkach. Spuścił głowę i jak tylko potrafił, poprawną polszczyzną rzucił:

– Przepraszam, towarzysze.

Mężczyźni nawet się nie odwrócili. Najwyraźniej bardzo im się śpieszyło, pomyślał lwowiak. Skręcił w stronę Muzeum Narodowego. Musiał się uspokoić i pomyśleć. Rozejrzał się. Za bardzo eksponowane miejsce. Skręcił w Szczerbcową i przyśpieszył kroku. Po kilku minutach minął pusty cokół,

z którego kilkanaście lat wcześniej spoglądał na swoich podwładnych Fryderyk III. Dziś bardziej przypominał gruzowisko i wysypisko śmieci niż dostojne miejsce, z którego siedzący na koniu cesarz niemiecki i król Prus spoglądał na Museum der Stadt Stettin. Wajdy to wszystko nie interesowało – ani porozrzucane butelki, ani walające się elementy cokołu, on chciał jak najszybciej dotrzeć do tego, co było za nim. Chciał jak najszybciej znaleźć się w... parku Żeromskiego.

Zapuszczony i przez lata niepielęgowany park od czasu zakończenia wojny był świetnym miejscem, by ukryć się przed niechcianym wzrokiem. Tam krawcy[102] dzielili się łupem, a mewki wystawały pod lampami, czekając na błakających się marynarzy. Żule, menele i zwykłe pijaczki mieli tu swoje miejscówki. Blacharnia tu się nie zapuszczała. Stójkowi kręcili się dwójkami, ale raczej wokół zieleńca. Park Żeromskiego był tą częścią miasta, która podobnie jak Niebuszewo, Golęcín czy Skolwin, kierowała się własnymi zasadami i prawem.

Wajda wiedział, że w cieniu wysokich platanów i gęstych klonów będzie mógł spokojnie pomyśleć, nie obawiając się, że ktoś za nim chodzi. Minął ruiny dawnego Parkhausu, kawiarni i cukierni, usiadł na najbliższej wolnej ławce i wyjął notes. Przez chwilę przyglądał się swoim zapiskom. Co łączyło tych ludzi? Z pewnością nie była to chęć pomagania repatriantom. Może kiedyś, ale teraz? Co robił tam Cyppek? Kiedy przystąpił do stowarzyszenia? Po co im te wszystkie nieruchomości? Zaraz. Spojrzał jeszcze raz na adres działki na Warszawie – Szczecińska 13. Zaraz, zaraz. Przewertował kartki do tyłu. Gdzieś to musi być. O tym mówił Komorowski. Tak, tak. Sprawa Szambelanów. Lwowiak z przejęciem zaczął wczytywać się w swoje gryzmoły, które nakreślił podczas rozmowy z dziennikarzem „Kurierza Szczecińskiego”. „Nielegalna rzeźnia na Szczecińskiej”, tak sobie to zapisał. To tam miało dojść do brutalnego morderstwa. To tam niechcący Szambelanowa nakryła rzeźników. To tam świadkowie widzieli dziwne diabelskie znaki. Kazik poczuł dreszcze na całym ciele. Przeszło mu przez myśl, że gdyby nie sprawa z Szambelanami, być może nie byłoby sprawy rzeźnika z Niebuszewa, a Cyppek nadal by żył. Skoro zatem rzeźnia należy do Socjalistycznego Towarzystwa Opieki nad Pionierami, czy to oni stoją za morderstwami? Nie za proste? To tylko kolejna poszlaka, ale mocna.

Lwowiak podniósł głowę. Na rozłożystym klonie, na jego najwyższej gałęzi, przysiadł młody kos i zaczął głośno oznajmiać światu swoją

obecność. Dwóch mężczyzn przeszło obok, lustrując z góry na dół siedzącego na ławce milicjanta. Wajda nie pomyślał, że dłuższy pobyt w jednym miejscu może zainteresować „gospodarzy” parku. Zanim spotka się z Galantem, musi się jednak dowiedzieć, co łączy tych wszystkich ludzi. Kim są? Skąd przyjechali? Kim są ich żony i mężowie? Co robili wcześniej? Bez tych informacji nie poskleja tego wszystkiego. Tylko jak je zdobyć? Spojrzał jeszcze raz na listę z nazwiskami. Przecież oni wszyscy muszą być członkami PZPR. Każdy esbek, milicjant czy kierownik państwowego zakładu pracy musiał się zapisać do partii! Lwowiak aż podniósł się z miejsca. Teczki personalne! Każdemu partyjniakowi na tak wysokim szczeblu Służba Bezpieczeństwa zakładała teczkę osobową. Komuniści mieli wielu wrogów, ale najbardziej nie ufali sobie nawzajem. Uśmiechnął się. Dokumenty z całego województwa przechowują zapewne w komendzie wojewódzkiej milicji, bo z tego, co pamięta, po likwidacji Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego przenieśli się do komendy na Małopolską. Tylko jak te dokumenty wyciągnąć?

Schowawszy notes do wewnętrznej kieszeni prochowca, wsunął dłoń nieco dalej, do szerokiej na kilkanaście centymetrów dziury w podszewce płaszcza. Wymacał skrawek papieru. To była koperta. Ta sama, którą otrzymał od Galanta w dniu, gdy się poznali. Była niedbale złożona na pół. Wyciągnął ją i spojrzał na odręczny napis na kopercie. „Sierżant Kazimierz Wajda”. Twarz mu pojaśniała. Miał w ręku potężną broń. List otwierający wszystkie drzwi w tym kraju. Tylko czy jego nazwisko nie trafiło już do wszystkich jednostek milicji?

Ruszył energicznie Starzyńskiego w kierunku bramy Królewskiej. Minął ruiny kina Urania i po kilku minutach wbiegał po szerokich marmurowych schodach komendy wojewódzkiej milicji. Esbecy urzędowali w lewym skrzydle gmachu, na drugim piętrze. Minął gabinet zastępcy komendanta wojewódzkiego milicji ds. bezpieczeństwa, sekretariat, później pion I, pion II, pion III. Lwowiak nie wiedział, co się kryje za tymi enigmatycznymi nazwami, jednak żaden nie kojarzył mu się z tajnym archiwum. Szedł dalej. Pion A, pion B, pion C. Przystanął. Żadnych tabliczek. Tylko imiona i nazwiska. W ten sposób nigdy nie dostanie się do tego archiwum. W pewnym momencie na jednej z tabliczek na drzwiach pionu C zobaczył przyklejoną taśmą klejącą kartkę, na której ktoś napisał odręcznie „Akta administracyjne przeniesione do Biura Ewidencji w pokoju 312”. No i to

było to, czego szukał! Przeszedł kilkanaście metrów i stanął przed drzwiami obitymi ciemnoczerwoną skórą lub jakimś materiałem imitującym skórę. Wajda założył okulary i zbliżył nos do tabliczki na drzwiach. Pion C, Janusz Kowalski, naczelnik Biura Ewidencji Operacyjnej MSW. Milicjant poprawił wygniecione palto, schował okulary i wyciągnął kopertę. Zapukał. Nic. Ponownie zapukał. Nic. Delikatnie uchylił drzwi.

– Dzień dobry. – Wajda niepewnie zrobił dwa kroki do przodu.

– Po co pukacie? – zapytał mężczyzna siedzący w ciemnym pomieszczeniu za biurkiem. Na widok milicjanta podniósł głowę znad jakichś dokumentów. Był szczupły, a właściwie potwornie chudy. Kości policzkowe podkreślały jego zapadnięte oczy. Resztki włosów ukrywały się z tyłu, odsłaniając wielkie czoło. Okrągłe binokle w cienkich, drucianych oprawach opadały mu na garbaty nos. Ubrany był w jednorzędowy, szary garnitur. Czarny krawat, pomimo panującego zaduchu, był zawiązany pod sam kołnierzyk białej, wykrochmalonej koszuli. Pachniało parafiną.

– Nie byłem pewny, czy dobrze trafiłem – wydukał lwowiak.

Urzędnik przekręcił lampę biurkową w taki sposób, że światło padło na milicjanta i na chwilę go oślepiło.

– Wchodzicie do biura pionu C[103] i nie wiecie, czy dobrze trafiliście? Kim jesteście? – Jego słowa zabrzmiały jak groźba.

Lwowiak, zasłaniając oczy przed ostrym światłem lampy, podszedł do biurka i położył przed mężczyzną swoją legitymację milicyjną.

– Sierżant Kazimierz Wajda z komendy miejskiej Szczecin Niebuszewo, czy może pan to światło...?

Machnął ręką, jakby się odganiał od natrętnej muchy. Urzędnik wyciągnął dłoń po legitymację, po czym skierował na nią snop światła. Chwilę się jej przyglądał, obracając ją z każdej strony.

– Zatem pomyliły się towarzyszowi komendy.

Jak gdyby nigdy nic wrócił do czytania akt, które leżały przed nim.

– Nie. To tutaj trzymacie dokumenty personalne członków partii?

– Nie wiem, co mówi się w tej norze, z której towarzysz wypełził, o pracy Służby Bezpieczeństwa – wymruczał pod nosem mężczyzna, nie patrząc na Wajdę – ale mogę towarzysza zapewnić, że teczki personalne członków partii nie istnieją. Jednocześnie proponuję w ciągu najbliższych piętnastu sekund opuścić to biuro, a w ciągu kolejnych dwudziestu pięciu budynek

komendy, jeżeli towarzysz chce nadal polować na szczury w tej norze na Niebuszewie.

Wyciągnął długą, wiotką rękę i palcem wskazał drzwi wejściowe. Lwowiak chwilę się wahał. Odwrócił się, zrobił dwa kroki w kierunku drzwi i się zatrzymał. Sięgnął do kieszeni po kopertę i wyciągnął z niej zapisany ręcznie dokument. Jeszcze raz przeczytał tych kilka zdań, by się upewnić, że to, co za chwilę zrobi, jest słuszne.

– Do nory! – usłyszał za sobą.

Zabulgotała w nim kozacka krew. Błyskawicznie się odwrócił i doskoczył do biurka. Jedną ręką chwycił oprawę lampy stojącej na biurku, a drugą rzucił papier na stół. Światło skierował na dokument.

– Czytaj, esbecki łachu! – Lwowiak sapał jak kowalski miech. – Ostatnie zdanie na głos. Chcę je wyraźnie usłyszeć.

Esbek momentalnie się wyprostował, spojrzał w wielkie oczy mężczyzny przed sobą i nie protestując, wyciągnął rękę po papier. Przeszło mu przez myśl, że zrobi, czego oczekuje od niego ten wyglądający jak włóczęga kmiot, a po jego wyjściu wykona kilka telefonów i zniszczy mu życie. Przeleciał wzrokiem po rękopisie i zatrzymał wzrok na podpisie. Pierwszy sekretarz partii Władysław Gomułka. Podniósł wzrok znad listu i jeszcze raz przyjrzał się temu dziwnemu człowiekowi.

– Nie patrz się na mnie, tylko czytaj!

Urzędnik pochylił się i przeczytał list. Na końcu zawiesił wzrok na ostatnim zdaniu.

– Na głos!

Drżącym głosem zaczął czytać:

– „Każdy, kto odmówi udzielenia pomocy sierżantowi Wajdzie, zostanie oskarżony o zdradę stanu, za co grozi kara śmierci”. – Mężczyzna przełknął ślinę. Zgarbiony podniósł się z fotela i nie patrząc w twarz milicjanta, otworzył szufladę z kluczami. – Które dokumenty towarzysza interesują?

Lwowiak uspokoił oddech. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni palta i wyciągnął kartkę z nazwiskami. Esbek przeleciał wzrokiem po nazwiskach.

– Ale przecież to są... – Jeszcze raz podniósł głowę i napotkał nieprzejednany wzrok lwowiaka. – Proszę usiąść, zaraz wszystko przyniosę.

– Postoję. Tylko żwawo.

Mężczyzna sprawnie przekręcił klucz w zamku drzwi, które prowadziły do niewielkiego pomieszczenia zabudowanego od góry do dołu półkami. Do niektórych można się było dostać tylko za pomocą przesuwnej drabinki, zamontowanej na specjalnej listwie. Półki podzielone były tematycznie i alfabetycznie. Esbek skierował się do części, na której znajdowała się etykieta: *IV. Teczki obiektowe i zagadnieniowe*. Poruszał się sprawnie. Spoglądał na kartkę i sięgał po teczkę. Niektóre były nowe, dopiero założone, a po innych widać było upływ czasu. W niektórych znajdowały się grube pliki dokumentów, wycinków z gazet, raportów, a nawet wylewających się wykresów badań EKG. Inne zawierały tylko kilkustronicowy raport. Po chwili mężczyzna w binoklach stał przed nim, trzymając stertę złożoną z kilkunastu teczek.

– Może towarzysz tutaj zostać.

Mężczyzna kiwnął głową, wskazując małe biurko, które stało pośrodku salki. Lwowiak sięgnął po dokumenty i skierował się do gabinetu urzędnika.

– Nie, ty tu zostaniesz, a ja sprawdzę, jak miękki masz fotel.

Zatrzasnął drzwi do archiwum tuż przed nosem zaskoczonego mężczyzny. Rzucił dokumenty na biurko i rozsiadł się w fotelu. Chwilę pokiwał się na miękkim, obitym skórą siedzisku, po czym sięgnął po stojącą przed nim szklankę w aluminiowym koszyczku z ledwie nadpitą, ale wciąż jeszcze ciepłą herbatą, poprawił okulary i otworzył pierwszą teczkę.

Z pożółkłych stron spoglądał na niego brunet w mundurze milicjanta o surowym, nieznoszącym sprzeciwu spojrzeniu. Obok zdjęcia drukowanymi literami zapisano imię i nazwisko, stopień, narodowość, członkostwo w partii. Franciszek Muszyński. Obecna funkcja: starszy referendarz śledczy prokuratury wojewódzkiej, członek PZPR, odznaczenia... Milicjant przeleciał wzrokiem dalej, nic nadzwyczajnego, pomyślał. Typowa kariera działacza komunistycznego. Zobaczmy, skąd on się tu wziął. Lwowiak przerzucił kartkę. Legionowo. To chyba gdzieś pod Warszawą. Przeszedł do pozycji „Najbliżsi członkowie rodziny”. Hersz i Jona Ferszt. Lwowiak zatrzymał wzrok. Podkreślone na czerwono słowo – Żydzi. Zamordowani w 1944 roku w Warschau (KL). Wajda się wyprostował. Zamknął oczy i przez chwilę próbował to sobie poukładać. Obóz ten znajdował się na terenie getta warszawskiego. Przerzucił kilka kartek wcześniej. Urodzony w listopadzie 1927 roku. Przeszło mu przez

myśl, że młody Muszyński musiał mieć jakieś piętnaście lat, gdy trafił z rodzicami do getta. Ferszt. Gdzieś już to nazwisko widział. A może słyszał? Chwilę pomyślał. Jest! Fabryka czekolady Ferszta. Ciekawe, że trafili do getta. Produkty eksportowali głównie do Niemiec. Jeśli dobrze pamiętał, mieli nawet sieć swoich cukierni w Berlinie. Była nawet jakaś sprawa związana ze szpiegowaniem na rzecz Trzeciej Rzeszy, ale ostatecznie wycofano zarzuty. Kolejny dokument datowany był dopiero na 1946 rok. To odpis wniosku o zmianę nazwiska. Następnie kopia legitymacji służbowej Milicji Obywatelskiej. Jakieś dokumenty związane z przydziałem mieszkania. Kolejne awanse. Przeniesienie do prokuratury. Awanse. Wyróżnienia. Medale i... odpis uchwały powołującej go na zastępcę prezesa stowarzyszenia Socjalistycznego Towarzystwa Opieki nad Pionierami w Szczecinie.

Lwowiak zamknął teczkę i sięgnął po kolejną. Zanim jednak ją otworzył, siorbnął herbaty. Nie dawała mu spokoju myśl o chłopaku, który przeżył likwidację getta warszawskiego, by po kilku latach odnaleźć się w Szczecinie. Po co zmieniał nazwisko? Przecież to miasto z otwartymi rękoma przyjmowało ocalałych z Holocaustu Żydów. W niektórych dzielnicach łatwiej było porozumieć się w jidysz niż po polsku. Żydzi robili kariery w administracji i służbach. Nie tyle byli uprzywilejowani, ile z pewnością religia i pochodzenie nie były przeszkodami w osiedlaniu się czy zdobyciu pracy. Wajda sięgnął po ołówek i przy jego nazwisku zanotował: „Żyd, rodzice zginęli w getcie”.

Kolejnateczka była grubsza. Rozwiązał tasienkę. Rychter Szlamek. Tym razem ze zdjęcia spoglądała chuda, pociągła twarz młodego mężczyzny, który z cwaniackim uśmieszkiem wpatrywał się w obiektyw aparatu. Jeżeli istniało coś takiego jak rysy semickie, to u Szlamka były one szczególnie widoczne. Lwowiak obrócił stronę. Odpis wyroku Sądu Grodzkiego w Bielsku. Lwowiak wyciągnął kartkę z teczki i zbliżył do nosa, by lepiej widzieć drobne pismo. Dziesięć lat kary ścisłego więzienia za... gwałt na siedemnastoletniej Indze Kurst. Przeczytał na głos. Ostra kara, pomyślał. Spojrzał na datę wyroku: 3 września 1939 roku. Do dokumentu podpięto kartkę maszynopisu. „Wyjaśnienie. Wyrok wydany w trybie zaocznym ze względu na ucieczkę oskarżonego z aresztu śledczego, który został zniszczony w wyniku bombardowania”. Pan Rychter to fartowny gość, przeleciało przez głowę lwowiakowi. Spojrzał jeszcze raz na skład

sędziowski i oskarżycieli posiłkowych. Pod wyrokiem podpisał się sędzia Franz Schmidt, oskarżycielem posiłkowym zaś była... Joanna Schmidt. Dziwna zbieżność nazwisk. Być może w tym Bielsku mieszkała spora mniejszość niemiecka? W końcu ten Schmidt to popularne nazwisko w Niemczech. A może ta historia ma jakieś drugie dno? Lwowiak zapisał przy nazwisku: „gwałciciel, skazany przez Niemców, rodzina ofiary?”. Sięgnął do teczki. Wypis z PUR-u oraz kopia skierowania do służby w organach kontrwywiadu, po rosyjsku, pod którą podpisał się generał pułkownik Fiodor Kuzniecowa, szef GRU[104]. Lwowiak aż zagwizdał.

– No, potężnych mocodawców miał nasz gwałciciel – powiedział do siebie i rzucił okiem na treść. Standardowe skierowanie zaświadczające o „przydatności” pracownika w służbie. Wajda po raz pierwszy widział takie pismo. Zazwyczaj przedstawiciele sojuszniczego Kraju Rad nie wystawiali dokumentów świadczących o współpracy z obywatelami innych krajów. Z pewnością już nie podpisywał się pod nimi szef tajnej służby. Lwowiak podniósł kartkę i skierował na nią światło lampy. Chwilę się przyglądał dokumentowi, po czym odłożył go do teczki i zanotował na swojej liście obok nazwiska Rychter „falszerz”.

W teczce były jeszcze dwa dokumenty. Jeden to wniosek o przyjęcie do PZPR, drugi – skierowanie do pracy w charakterze kierownika do restauracji Bajka. Adresatem był prezydent miasta Piotr Zaremba, nadawcą zaś major Stefan Antosiewicz z Wydziału Wywiadu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. To, że wywiad skierował swojego człowieka do pracy w miejscu, w którym aż roiło się od obcokrajowców, nie było niczym zaskakującym. Co innego zastanawiało Wajdę. Rychter był pospolitym przestępcą, gwałcicielem. Jak tego typu człowiek mógł zdobyć aż takie zaufanie służb wywiadowczych? Lwowiak zamknął teczkę, zdjął okulary, zamknął oczy i przetarł palcami powieki. Poczul zmęczenie. Spojrzał na zegarek. Późno, pomyślał. Ponownie wziął łyk herbaty, która zdążyła już ostygnąć i nie była taka smaczna. Wyciągnął dłoń po kolejne papiery.

Jarosław Burcza. Obecnie kierownik przystani żeglarskiej na Gocławiu. Bez żony i dzieci. Lwowiak szybko przerzucał kartki. Burcza był klasycznym przykładem komunistycznego karierowicza. Służba w Ludowym Wojsku Polskim w dziale propagandy. Tak przeszedł szlak bojowy, aż trafił do Szczecina. W 1945 roku wyszedł do cywila, wstąpił do

PZPR i awansował. Został szefem kompleksu żeglarskiego. Co robił wcześniej? Trochę mało jak na tak zawrotną karierę. Lwowiak jeszcze raz przekartkował papiery. Na końcu teczki znalazł niewielki fragment w języku niemieckim. Jego znajomość tego języka nie była wybitna, ale podstawowe wyrażenia znał. To wypis z obozu pracy. Spojrzał na datę – sierpień 1942 roku. Wcześniej pana Jarosława wypuścili, pomyślał. Pod dokumentem podpisał się komendant Hans Erbach z obozu Gemeinschaftslager Schiesspark. Czy to nie jest ten obóz przy obecnej Bandurskiego? Z treści wypisu wynikało, że robotnik przymusowy Jarosław Burcza wykazał się wiedzą i kreatywnością w pracy z więźniami, w związku z czym zostaje zwolniony ze służby i pozostaje do dyspozycji zarządu Zwangsarbeitslager. Dziwne. Obozy pracy przymusowej to nie obozy koncentracyjne, ale i tak nie pamięta przypadków wypuszczania więźniów „za dobre sprawowanie”. I co później? Aż do czterdziestego trzeciego, gdy odnalazł się w Sielcach, cisza. Wajda zapisał na kartce przy nazwisku Burcza: „politruk, samotny, był w obozie na Bandurskiego, pracował dla Niemców?”.

Następna teczka była inna. W miejscu tasemek były lniane sznurki, na których spoczywała ogromna pieczęć Ministerstwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wyraźnie było widać datę – listopad 1954 roku. Wajda poczuł lekkie dreszcze na plecach. Jeszcze raz spojrzął na okładkę. Teczka personalna Ludwika Kalksteina. Bez wahania złamał woskowe zabezpieczenie. Sporo tego było: zdjęcia, fotokopia legitymacji członka Związku Walki Zbrojnej Armii Krajowej, notatki w języku niemieckim na oficjalnym papierze SS, zobowiązanie do współpracy z Gestapo, notatki funkcjonariuszy z Warszawy, Wilna, Szczecina, Niechorza, wnioski o odznaczenia, wniosek o przyznanie mieszkania w Szczecinie, fotokopia legitymacji dziennikarskiej „Kurieria Szczecińskiego” i Polskiego Radia Szczecin, list Jerzego Andrzejewskiego polecający kandydata do Związku Literatów Polskich, wyrok Sądu Wojewódzkiego w Warszawie skazującego na „łączną karę dożywotniego więzienia z pozbawieniem praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze”. Wajda aż musiał złapać oddech. To niemożliwe, aby to wszystko dotyczyło jednej osoby. Powrócił na początek i powoli zaczął analizować dokument po dokumencie. Po wszystkim sięgnął po ołówek i obok imienia i nazwiska Ludwik Kalkstein

napisał: „żołnierz AK, członek SS, agent Gestapo, współpracownik UB, były Niemiec?”.

Wyciągnął drewnianą fajkę i przez chwilę nabijał ją lepłą substancją, którą wyjął z wewnętrznej kieszeni wszystko mieszczącego prochowca. Po ciemnym pomieszczeniu rozszedł się zapach palącego się tytoniu. Wajda przez chwilę wrócił myślami do swojego Lwowa. Kalkstein przypominał mu jednego z profesorów jego uczelni. Gdy Niemcy wkroczyli do jego miasta, zaprosił na jakiś wykład Egona Höllera[105], niemieckiego komendanta miasta, który później pełnił też funkcję starosty. Profesor zebrał w auli cały rok i przez dwadzieścia minut opowiadał o zasługach Niemca. Do dziś pamięta to uczucie bezsilności, upokorzenia i rozczarowania, które mu towarzyszyło. Chciał podbiec i splunąć mu w twarz, ale się bał. Dwa lata później, gdy Niemcy uciekli i przyszli Rosjanie, ten sam profesor, który wtedy był już chyba nawet dziekanem, zebrał w auli kilka roczników studentów i w podobnym ceremonialnym tonie przedstawiał Pawła Bojkę[106], nowego władcę Lwowa. Wajda wypuścił dym z płuc i odłożył teczkę. Ciekawe, co pan profesor robi teraz? Uśmiechnął się krzywo pod nosem. Chwilę pokiwał się na fotelu, po czym sięgnął na stos z teczkami. Przeliczył. Zostało jeszcze pięć. Odhaczył nazwiska: esbek Łuczenko, przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej Dyczyński, sędziowie Stefan Miśkiewicz oraz Marianna Fedorkowicz z Sądu Wojewódzkiego oraz... Józef Cyppek, ślusarz.

Lwowiak spojrzał jeszcze raz na listę i funkcje członków stowarzyszenia. Szybko przekartkował pozostałe teczki. Jedna rzecz mu się nie zgadzała. Na wszystkich pismach podpisywał się albo Muszyński, albo Burcza jako sekretarz, brakowało podpisu prezesa. Przejrzał jeszcze raz swoje wcześniejsze zapiski. Nigdzie nie było mowy o prezesie. Czyżby na jego liście brakowało najważniejszego nazwiska?

[96] makagigi (gw. lwowska) – słodycze

[97] Balikasz? (gw. lwowska) – Mówisz? Balikać – mówić (zwłaszcza gwarą)

[98] przywabliwy (gw. lwowska, z ukr.) – atrakcyjny, przystojny

[99] kawuńcia (gw. lwowska) – kawa

[100] kolegówna (gw. lwowska) – koleżanka

[101] knajać (gw. lwowska) – jechać, biec

[102] Krawcy – w gwarze więziennej złodzieje kradnący z kieszeni i toreb po przecięciu ich czymś ostrym.

[103] Pion C (ewidencja operacyjna) – powstał w 1956 roku w miejsce pionu X Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego przy Radzie Ministrów.

[104] Głównoje Razwiedywatielnoje Uprawlenije, Główny Zarząd Wywiadowczy – instytucja wywiadu ZSRR.

[105] Egon Höller – od 21 stycznia 1942 do 20 lipca 1944 roku starosta miejski Lwowa

[106] Po wcieleniu Lwowa do ZSRR stanowisko prezydenta Lwowa, wybieralnego przez Radę Miejską, zostało zlikwidowane. Miastem rządzili przewodniczący Prezydium Rady Miejskiej Lwowa. Paweł Bojko był pierwszym przewodniczącym Prezydium Rady Miejskiej Lwowa.

35
Profesor

Pomorska Akademia Medyczna, Szczecin, październik 1957 roku

Dwie kobiety w szybkim tempie wbiegły po szerokich kamiennych schodach, na których szczycie znajdował się budynek ze strzelistą wieżą. Po całkiem wymagającej, szczególnie w tym wietrznym dniu, wspinaczce i pokonaniu kilkudziesięciu metrów brukowanej uliczki oraz minięciu bramy prowadzącej na niewielki plac zatrzymały się przed wysokimi drewnianymi drzwiami budynku z wysoką wieżą. Na klasycznym portalu, tuż pod półkolistą archiwoltą, znajdował się zdobiony szyld z napisem „Pomorska Akademia Medyczna”. Basia z trudem pchnęła drzwi przed siebie i podeszła do recepcji.

– Dzień dobry, jak trafię na farmakologię?

Kobieta siedząca w recepcji nawet nie spojrzała na Romanowską. Nie otwierając oczu i nie przerywając rytmicznego machania zwiniętą „Przyjaciółką”, wycodziła:

– Na tablicy w holu jest napisane...

Uderzenie w blat poderwało ją jednak na nogi. Romanowska stała z przyciśniętą do szyby recepcji legitymacją milicyjną.

– Władza ludowa będzie wdzięczna towarzyszce za chwycenie za słuchawkę telefonu i wykręcenie wewnętrznego do profesora Kazgana. A jeśli towarzyszka zapowie, że za dwie minuty w jego gabinecie będzie sierżant Barbara Romanowska, to może nawet order odrodzenia PRL się trafi. Numer gabinetu, kobieto!

Ostatnie zdanie odbiło się echem po wielkim holu.

– Sto dwanaście – odpowiedziała przerażona recepcjonistka, która już wykręcała numer.

Basi przebiegło przez myśl, że zachowuje się jak Galant.

– Kasiu, poczekaj tu na mnie. – Romanowska wskazała dziewczynie miejsce na szerokiej ławie na korytarzu. – Długo to nie potrwa.

Szerokie schody prowadzące na piętro zakręcały w prawo. Na ścianach w złotych ramach z drogiego drewna wisiały obrazy, z których poważni mężczyźni ubrani w gronostaje i z łańcuchami na piersi dostojnie spoglądali na Basię. Wbiegła na piętro, przebiegła obok gabinetu rektora i kilku innych gabinetów pracowników uczelni: sto osiem, sto dziewięć, sto dziesięć, sto jedenaście i jest, już miała zapukać do drzwi z numerem sto dwanaście, gdy te się otworzyły. Blask światła, który padł na ciemny korytarz, oślepił ją. Dopiero po chwili zobaczyła, że w drzwiach stoi wysoka postać, która wyciągnęła do niej dłoń.

– Józef Kazgan, proszę. – Mężczyzna gestem zaprosił ją do środka. – Zaparzyłem herbaty, może pani sierzant skosztuje?

– Nie, towarzyszu, dziękuję... Nie ukrywam, że mi się śpieszy.

– Dobrze, proszę usiąść i powiedzieć, w czym mogę pani pomóc.

Mężczyzna ubrany był w beżową zamszową marynarkę i stylową czarną koszulę. Był szczupły. Mógł mieć pięćdziesiąt kilka lat, a może i więcej, ale był w dobrej formie. Długie włosy związane w kitkę. Broda i gustownie przycięty wąs. Mocno zarysowana szczęka. Wyglądał bardziej jak dziewiętnastowieczny angielski podróżnik niż wykładowca Pomorskiej Akademii Medycznej.

Basia usiadła na wyściełanym skórą krześle, które stało przy wielkim biurku. W pomieszczeniu unosił się przyjemny, słodki zapach. Rozejrzała się. Gabinet nie był duży, jak się spodziewała, jednak jego wystrój był zaskakujący. Jakby przeniosła się w czasie. Siedziała przy biurku bogato zdobionym frezami, na którym stała szklana lampa z kopulastym kloszem, przypominająca te, w których kilkadziesiąt lat temu paloną naftą. W rogu kałamarz, obok niego ozdobne pióro. Przy biurku leżanka, a na małej komodzie gramofon. Na półce pod nim kilkanaście płyt. Nad leżanką obraz, a właściwie reprodukcja grafiki. Demon wiosłujący łódką w morzu ludzkich głów. Basia ją знаła. Tak. To była ilustracja do *Boskiej komedii* Dantego, piąty krąg piekła. Pamiętała ze szkoły milicyjnej. Po przeciwnej stronie inny obraz: kobieta ze skrzydłami wznosi się nad mężczyzną, który biegnie, najprawdopodobniej przed nią ucieka. Mężczyzna jest przerażony, w ręku trzyma sakiewkę.

– *Nemesis* Rethela. – Profesor założył okulary i przyglądał się wpatrzonej w obraz milicjantce. – Alfred Rethel, gdy to malował, był już chory. Miał kłopoty z emocjami. Szarpały nim i często pograżały w mrocznych myślach. To wzmagało jego artystyczną wrażliwość, ale tym samym było źródłem wielu cierpień. Przez długi czas zmagał się ze swoją psychiką, aż wreszcie obłąd uniemożliwił mu pracę. Dlatego nie dokończył dzieła życia – znakomitych fresków historycznych w ratuszu w Akwizgranie. Wie pani, kim była Nemezis?

– Towarzyszu Kazgan, nie przyszedł tu na wykład z historii sztuki. – Sięgnęła do teczki i wyciągnęła kartkę, którą położyła na biurku. – Co to jest i co oznacza?

Kazgan wyjął zapalki, przekreślił knot i podniósł mleczny klosz. Po chwili pokój rozjaśniał ciepłym światłem. Mężczyzna wstał i przybliżył kartkę do lampy. Jakiś czas przyglądał się symbolowi, po czym odłożył kartkę na biurko i podszedł do biblioteczki. Szepcząc coś pod nosem, przesuwał kolejne grzbiety książek.

– Jest! – Usiadł za biurkiem z grubą księgą w czarnej skórzanej oprawie. – To *Dictionnaire infernal* Jacques’a Collina de Plancy’ego, to tu gdzieś to widziałem!

Przez chwilę wertował kolejne strony, po czym zatrzymał się i otwartą księgę przesunął w stronę milicjantki. Była napisana w języku francuskim, ale rycina przedstawiała taki sam znak.

– To jest to! – Mężczyzna z podnieceniem pukał palcem w stronę przedstawiającą ilustrację.

– Widzę, ale co to oznacza?! – Basia była coraz bardziej zniecierpliwiona i zaczęła się zastanawiać, czy Galant już dojechał do mieszkania i w jakiej formie znalazł Kasteta.

– To oczywisty symbol Azazela.

– Czyj?!

– Demona. Co prawda drugiej kategorii, jak twierdził *monsieur* Jacques, ale nadal demona. – Profesor uśmiechnął się pod nosem. – Złośliwcy nazywali go również „strażnikiem kozich stad”. Choć według mnie jest to ocena niesprawiedliwa. Pan Azazel to był poważny demon, który występował w wielu dziełach literatury fantastycznej, począwszy od Biblii przez babiloński Talmud i późniejsze dzieła hebrajskie po wierzenia

arabskie. W dzisiejszych czasach byłby uznany za gwiazdę kultury masowej...

– Kim był ten demon? Dlaczego ktoś chciałby go czcić?

– Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Według jednej z hipotez słowo *azazel* pochodzi od hebrajskich słów *ez* – koziół i *ozel* – odejść, co znaczyłoby „odchodzący koziół”. Oczywiście tłumaczenie to ma wadę, bowiem według tej hipotezy jeden koziół przeznaczony jest dla Jahwe, drugi zaś dla samego siebie. Bez sensu.

Profesor wstał i zaczął się przechadzać po gabinecie.

– Słowo *azazel* składa się z dwóch członów: *azaz* – być silnym i *el* – Bóg. Pierwszy człon może zawierać również ideę potężnego gniewu, stąd proponowane znaczenie słowa *azazel* to „potężny gniew Boga”.

– Zaraz, panie profesorze... – Basia wyciągnęła notatnik i zaczęła szybko pisać. – Czy może to oznaczać, że osoby wyznające kult tego Azazela mogą wierzyć, że składając ofiary, zostaną zbawione?

– To jest uproszczenie. – Profesor poprawił sobie długą kitę włosów, które opadły na jego plecy. – Jeżeli miałbym postawić jakąś tezę, to raczej bym powiedział, że wyznawcy Azazela wierzą, że ich ofiara musi zostać poświęcona jak koziół ofiarny, by dostąpić zbawienia. Wiara w Azazela jest mroczna. Jest w istocie zaprzeczeniem tej, którą zaproponowali twórcy wiary w Boga muzułmańskiego, chrześcijańskiego czy żydowskiego.

Kazgan stanął przed siedzącą milicjantką w taki sposób, że właściwie zasłonił jej źródło światła.

– Znamienne, że autorzy każdej z tych świętych ksiąg poświęcili tak znikomą część tekstu Azazelowi, tak jakby obawiali się, że każda dodatkowa litera, znak czy kolejne zdanie spowodują, że potwór się obudzi, stanie się realny. Dziwne, prawda?

Milicjantka poczuła się nieswojo. Cień stojącego przed nią mężczyzny objął już cały pokój. Nie widziała jego twarzy, jedynie wysoką sylwetkę, która zbliżyła się na odległość ręki. Podniosła się i skierowała do gramofonu, nad którym wisiały dyplomy w drewnianych ramach.

– Jest pan profesorem farmakologii, a tak dużo pan wie o sprawach, które nie mają nic wspólnego z medycyną...

Kazgan przez chwilę stał w miejscu, jakby zastanawiając się nad słowami milicjantki, po czym zrobił dwa kroki do tyłu i usiadł przy biurku. Blask lampy znowu rozświetlił oglądane przez Basię dyplomy.

– W Szczecinie niestety nie ma uniwersytetu. – Jego głos zmatowiał. – Zatem nie mogę wykładać ani literatury, ani religioznawstwa, ani mojej ukochanej filozofii. Pozostała mi tylko ta nieszczęsna farmakologia.

– Universität Regensburg? – łamała sobie język Basia, próbując poprawnie przeczytać tę nazwę. – To gdzieś w Niemczech?

– W Ratyzbonie... W czym mogę pani jeszcze pomóc?

– Dziękuję, panie profesorze, bardzo mi pan pomógł.

Basia skierowała się do drzwi wejściowych i chwyciła za klamkę. Na chwilę przystanęła i odwróciła się do mężczyzny siedzącego za biurkiem.

– Jeszcze jedno, profesorze. Czy poświęcenie ofiary może nastąpić poprzez jej zjedzenie?

W mroku trudno było to dostrzec, ale milicjantce wydawało się, że zauważyła błysk w oku Kazgana.

– W religii boga Azazela hostią jest ludzkie ciało. W wierze katolickiej celem Eucharystii jest, aby wierni nie tylko ofiarowali i spożywali tak zwaną niepokalaną hostię, lecz także metaforycznie uczyli się samych siebie składać w ofierze Bogu i drugiemu człowiekowi. Dać się połamać i zjeść przez innych – to, można powiedzieć, taki slogan Jezusa Chrystusa. Wierzący w Azazela mają inny: zjedz drugiego, a zostaniesz zbawiony – mówił jak natchniony profesor. – Wierni kościoła Azazela wierzą, że post ma wymiar transcendentny. Dlatego w przeciwieństwie do katolików, żydów i muzułmanów nie spożywają posiłków mięsnych przez cały rok aż do dziesiątego dnia miesiąca tiszri. Wtedy to, tuż po zachodzie słońca, spotykają się na wspólnej uczcie, na której spożywają ciało człowieka. – Profesor, widząc konsternację milicjantki, odkaslnął. – Tak mniej więcej wygląda obrządek religijny w tym przedziwnym kościele.

Basia przez chwilę stała w progu, jakby zastanawiała się, czy wyjść, czy może jednak zostać i dowiedzieć się czegoś więcej. Właściwie co może jej jeszcze powiedzieć ten dość ekscentryczny, a jednocześnie dziwnie przerażający człowiek?

– Kiedy wypada ten dziesiąty dzień tiszri? – Romanowska czuła, że odpowiedź na to pytanie może zmienić wszystko.

Kazgan spojrzał na Basię w taki sposób, że poczuła, jak włoski stają jej na karku.

– W Dzień Pojednania... – Kazgan odwrócił się i stanął przed obrazem przedstawiającym Nemezis. – Żydzi nazywają to świętem Jom Kippur. Tego

dnia w czasach Świątyni Jerozolimskiej arcykapłan dokonywał rytualnego oczyszczenia z grzechów całego ludu Izraela. Na wybranego kozła ofiarnego przenosił symbolicznie winy Izraelitów i strącał go z wysokiej skały.

– Ale kiedy to jest, panie profesorze?!

Basia przeczuwała najgorsze.

– A co dzisiaj jest?

– Czwartek.

– A, czyli jutro nad ranem.

Profesor odwrócił się do niej i uśmiechnął.

– Czy mogę zadzwonić? – Basia wskazała ręką na telefon stojący na mahoniowym biurku.

– Ależ oczywiście.

Mężczyzna nie spuszczał z niej wzroku, a jego mina świadczyła o tym, że cała ta sytuacja nieźle go bawi. Basia podeszła do biurka i wykręciła numer. Po czterech sygnałach w słuchawce odezwał się chropowaty głos Ugne Galanta.

* * *

Romanowska zbiegła na dół. Gdy już była na zakręcie schodów prowadzących na parter, zobaczyła, że ławka, na której pozostawiła Kasię, jest pusta. Podbiegła do dwóch studentek, które stały obok.

– Nie widziałyście tu może dziewczyny? Brunetki z warkoczem?

– A tak... – Niższa podniosła wzrok znad książki. – Jakiś mężczyzna z nią wyszedł, chyba się źle poczuła, bo opierała się na jego ramieniu...

– Jak wyglądał ten mężczyzna?

Basia poczuła, jak strużka zimnego potu zaczęła jej spływać od szyi po kręgosłupie. Dziewczyny spojrzały na siebie.

– Właściwie to trudno powiedzieć – zaczęła wyższa. – Chyba w jakimś ciemnym płaszczu.

Nic z tego nie będzie, przemknęło Basi przez myśl. Mają ją. Zrozumiała, że czas wykonać jeszcze jeden telefon.

Mieszkanie przy ulicy Buczka, Szczecin, październik 1957 roku

Zamek w drzwiach zazgrzytał przeraźliwie. Ugne syknął pod nosem. Robił wszystko, by otworzyć te przeklęte drzwi jak najciszej, nie był pewny, co go czeka w mieszkaniu. Wyciągnął broń i gestem powstrzymał Ferencą przed wejściem do środka. Powoli wsunął się do korytarza i otworzył drzwi salonu. Rozejrzał się. Nic niepokojącego nie zauważył. Cofnął się i zajrzał do kuchni. W kącie siedział Kastet i wpatrywał się w niego jednym okiem. Drugie było przykryte wielką fioletową opuchlizną, która rozlała się na cały oczodół i całkowicie go zakryła. Nos zajmował teraz więcej niż pół twarzy. I nie był to już kartofel, a raczej wielki kotlet mielony. Część odrutowania szczęki wystawała z nabrzmiąłych ust, powodując, że całość wyglądała, jakby została żywcem wyciągnięta z obrazów Pablo Picassa. Ugne podszedł bliżej i chwilę przyglądał się mężczyźnie, dopiero teraz rozpoznał w nim człowieka, który do niego strzelał w Turcynce.

– O, a my z towarzyszem to już się poznaliśmy. – Ugne podniósł krzesło leżące na podłodze, obrócił je i usiadł, łokcie umieszczając na oparciu. – Kastet...

Mężczyzna siedział ze związanymi nogami i rękoma i wpatrywał się w wysokiego blondyna, którego chciał pozbawić życia w tej nieszczęsnej knajpie na Niebuszewie.

– Musimy go uwolnić i opatrzyć. – Zza pleców Galanta doszedł zdenerwowany głos Ferencą.

– Chwila, doktore – powstrzymał lekarza Ugne i wskazał czajnik stojący na kaflowym piecu. – Napijmy się w pierw herbatki.

Ferencą kucnął przed mosiężnymi drzwiczkami do kamiennego pieca, sięgnął po szczapy i wrzucił je do paleniska. Po chwili po pomieszczeniu

rozszedł się zapach palonego drewna.

– Zanim jednak mój troskliwy kolega poskłada cię do kupy, odpowiesz mi na kilka pytań. – Ugne nie odrywał wzroku od sygnetu na palcu mężczyzny.

– Dlaczego tu jesteś?

Kastet podniósł głowę.

– Przyszedłem odwiedzić twoją dziewczynę, Galant – mówił powoli, a jego metaliczny głos rezonował w małym pomieszczeniu. – Słyszałem, że szuka prawdziwego faceta, który jest w stanie ją porządnie zerznąć. – Na jego twarzy pojawił się grymas, który można było uznać za uśmiech.

Galant wstał z krzesła i kucnął obok mężczyzny.

– Ładny pierścionek, Kastet.

Chwycił go za wielką dłoń i jednym silnym pociągnięciem zerwał z jego palca sygnet, mężczyzna syknął z bólu. Wstał i podniósł pierścień wykonany z jakiegoś drogiego kruszcu, zapewne złota z domieszką platyny. Symbol był wyraźny. Krawędzie wystające i ostre. Po wewnętrznej stronie znajdowała się osłona, przypominająca twardą gumę. Dodatkowa warstwa zapewne miała chronić palec przed wysoką temperaturą. Podeszedł do pieca, przesunął czajnik z żeliwnej płyty. Sięgnął po pogrzebacz, odsunął nim jedną z rozgrzanych do czerwoności fajerek i wrzucił do środka sygnet. Zasunął fajerkę i odwrócił się do Kasteta.

– Czyli lubisz zadawać ból? – Galant wrócił na krzesło. – Nauczyłeś się tego w jakiejś ubeckiej szkole czy jesteś po prostu zdolnym naturszczykiem i wysłałeś ten talent z mlekiem matki?

Kastet zerknął na bujającego się na krześle wysokiego blondyna o porytej bliznami twarzy i splunął na podłogę z krzywym uśmiechem.

– W porządku. Powiem ci teraz, jak będzie wyglądała nasza konwersacja, tak byśmy nie tracili za dużo zbędnego czasu, bo wiem, że niedługo macie ten swój zlot czarownic na tej górze, do której prowadzi niebieski mostek. A myślę, że ci zależy na obecności.

Kastet po raz pierwszy od ich wejścia spojrzął na Galanta z wyrazem niepewności. Ugne blefował, ale instynkt podpowiadał mu, że musi improwizować. Reakcja Kasteta upewniła go, że trafił.

– Tak, niezłą miejscówkę na imprezy sobie znaleźliście.

Ugne skrzywił się pod nosem i sięgnął po papierosa. Zapalił i pochylił się nad esbekiem. W tym samym momencie z pokoju dobiegł ich sygnał telefonu.

– Kurwa, zawsze, jak zaczyna się robić klawo, to ktoś musi dzwonić.

Milicjant wstał z krzesła i ruszył do salonu.

– Tylko nie zacznij mi go tu sklejać – rzucił do opartego o framugę drzwi lekarza.

Po czwartym sygnale milicjant podniósł słuchawkę.

– Ugne Galant.

– Cześć, tu Basia. Jestem w gabinecie profesora Kazgana. Wiesz? – upewniła się, że Galant rozumie. Mówiła przy świadku.

– Tak, rozumiem. Czego się dowiedziałas?

– Ten znak, który znaleźliśmy wypalony na ciele Kasi i o którym mówił lwowiak, to symbol demona Azazela. Wszystko wskazuje na to, że mamy tu do czynienia z jakąś sektą wierzącą, że przez akty kanibalizmu mogą zostać zbawieni...

– Azazela mówisz... Gdzieś to imię już kiedyś słyszałem... Mniejsza z tym. Zatem albo Kastet jest samotnym świrem z misją, który wierzy, że jakiś diabeł każe mu zjadać ludzi, albo jest więcej świrów, którzy założyli sobie kościół – mówił głośno Ugne to, co właśnie przeszło mu przez myśl. – Dobra. Czy wiesz coś od lwowiaka o tym stowarzyszeniu?

– Nie dzwonił do ciebie?

– Nie.

– Galant, jeszcze jedna ważna sprawa.

– No?

– To będzie dzisiaj po północy.

– Co?

– Dzień Pojednania, czyli dzisiaj zbierają się na jakimś sabacie i będą ucztować. Rozumiesz, co to znaczy?

– Tak. Mamy niewiele czasu.

– Jadę do ciebie.

– Dobrze. Serwus.

Gdy szedł do kuchni, przez głowę przetaczały mu się miliony myśli. Przez cały czas nie dawało mu spokoju to imię, Azazel. Gdzie to słyszał? W jakichś odległych czasach... Rozważania przerwało walenie do drzwi wejściowych. Ugne wyciągnął pistolet i położył palec na ustach, pokazując Ferencowi i Kastetowi, by siedzieli cicho.

– Tu jestem! Pomocy! – zaczął krzyczeć nagle w kierunku drzwi esbek.

Ferenc podbiegł do niego i zakrył mu usta. Walenie nie ustawało. Galant podszedł do drzwi, przekręcił zamek i lekko je uchylił, trzymając jednocześnie palec na spuście. Światło wdarło się na korytarz klatki schodowej przez uchylone drzwi i ukazało brodatego, niskiego grubasa.

– No ile mam tak hrymać?![107]

Galant uśmiechnął się i jednym ruchem ręki wciągnął milicjanta do środka.

– Lwowiak, przestań do mnie mówić w tym swoim chińskim dialekcie. Następnym razem za takie walenie w dechy powieszę cię za tę brodę na najbliższej pompie wodnej.

– No ta joj!

Wajda pogładził długą brodę.

– Chodź na salony.

Ugne objął go długim ramieniem i zaprowadził do pokoju. Lwowiak usiadł na kanapie i wyciągnął krótkie nóżki do przodu. Ledwie dotykał chińskiego stolika. Galant stanął naprzeciwko z rękoma założonymi na piersi.

– Gadaj!

Kazik poprawił okulary i wyjął notatnik.

– Rejestry organizacji są tajne. Na szczęście w Urzędzie Spraw Wewnętrznych Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej poznałem miłą horpynę[108], która, jak się okazało, pochodzi z Brodów...

Cierpliwość Galanta była wystawiona na próbę.

– Lwowiak!

– No więc przyniosła mi teczkę z danymi tego Socjalistycznego Towarzystwa Opieki nad Pionierami. I nie uwierzysz...

– Wajda, kurwa, zaraz ty uwierzysz, że mój lewy sierpowy jest w stanie wskrzesić samego Stalina.

– Czyli jesteś fertig...[109] Wyobraź sobie, że stowarzyszenie posiada majątek, na który składają się dwie nieruchomości...

– Miejscówka na Wzgórzu Kupały – powiedział Galant, nie czekając na Wajdę.

– Tak, a druga?

Ugne przez chwilę się zastanawiał, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

– Pamiętasz sprawę Szambelanów z Warszewa?

– Tak, ale co to ma wspólnego?

– Otóż ta właśnie rzeźnia, o której mówił Komorowski, w której znaleziono odrąbaną głowę Szambelanowej, należy, a właściwie nie sama rzeźnia, ale działka, gdzie stoi owa masarnia, należy do Socjalistycznego Towarzystwa Opieki nad Pionierami.

– Gościnne towarzystwo, nie ma co – wyszeptał Ugne.

– To teraz szykuj się na najlepsze. – Wajda aż cały chodził z emocji. – Członkami tego towarzystwa jest cała elita tego miasta. – Już ci czytam...

* * *

Galant wyszedł z pokoju oszołomiony. Każde nazwisko z listy lwowiaka było jak wyrok śmierci. Przytrzymał się ściany i poczuł, że podłoga zaczyna pod nim falować. Wbił palce w drewnianą framugę drzwi do kuchni.

– Wszystko w porządku? – Ferenc zerwał się z krzesła i podbiegł do ślaniającego się Galanta.

– Powiedz, doktore... – Ugne podszedł do kuchenki, podniósł pogrzebacz i dopiero kontynuował: – Przecież znasz się na ludzkim organizmie... Jak mocno różnimy się od zwierząt?

Zachowywał się jak pijany, jedną ręką podtrzymywał się kuchenki, drugą rękę, w której trzymał pogrzebacz, wyciągnął w stronę coraz bardziej przerażonego esbeka.

– Gdzie jest ta granica? – Pogrzebacz zawiesił dziesięć centymetrów od twarzy Kasteta. – Jaki, kurwa, bóg stworzył tych władców, którzy decydują o tym, kto ma prawo żyć, a kto zostanie zjedzony?

– Ugne, co robisz?!

Ferenc próbował powstrzymać Galanta, jednak w tym samym momencie poczuł, jak obce ręce chwytają go i przytrzymują w pół. Odwrócił się, to lwowiak z krzywym wyrazem twarzy i determinacją w oczach nie pozwalał mu się poruszyć.

– Lwowiak, no co ty?! Puść mnie!

Ferenc próbował się wyswobodzić, ale Wajda trzymał mocno.

– Nie mogę, doktorze. Rozkaz to rozkaz – odpowiedział niewzruszenie lwowiak.

Do tego momentu Łuczenko sprawiał wrażenie nieobecnego, jakby to wszystko, co się działo w tym mieszkaniu, było tylko inscenizacją, jakimś przedziwnym przedstawieniem, którego on jest widzem, neutralnym

obserwatorem. Pomimo więzów, które krępowały jego ręce i nogi, zachowywał się, jakby to on kontrolował całą sytuację. Tak było do czasu, aż ten wysoki pies z pokiereszowaną facjatą wszedł z tym obłędem w oczach i zaczął wymachiwać jego pieczęcią. Jego świętym sygnetem, którym oznaczał kolejne baranki. Poczul, że może być źle, gdy zobaczył, jak ten mały grubas powstrzymuje łapiducha. Perspektywa bólu nie była najgorsza, ale wypalone znamię oznaczało sygnał dla bestii... A tego się bał.

– Czekaj, Galant! Co robisz?! – wycedził przez zaciśnięte zęby Kastet.

Milicjant zbliżył pogrzebacz do twarzy ubeka.

– Już dobrze... – Strużka potu pojawiła się na czole Kasteta i zaczęła wędrować wzdłuż jego nosa, by ostatecznie zawisnąć na jego czubku. – Czego chcesz?

– Wszystkiego... Chcę, żebyś mi powiedział, kto zabija, dlaczego zabija, kiedy to wszystko się zaczęło. No i najważniejsze: po co, do cholery?

Zmierzyli się wzrokiem. Przez chwilę panowała cisza tak głęboka, że można było usłyszeć szamoczącą się w sieci muchę, która wierząc, że jeszcze uda się jej wydostać, wykonywała ostatni taniec przed siedzącym w ciemnym rogu kuchni pajakiem.

– Galant, ty wiesz najlepiej, kiedy to wszystko się zaczęło... – mówił cicho, właściwie szeptem Kastet. – Byłeś tam... w czerwonym pałacu.

Ugne zdawało się, że podłoga się chwieje. Opadał z sił. Z dłoni wysunął mu się metalowy pogrzebacz, który upadł tuż obok nogi Kasteta. Milicjant odwrócił się i zrobił dwa kroki w stronę kuchennego pieca. Przytrzymał się uchwyty na patelni i położył dłoń na zimnych kaflach. Zamknął oczy. To przyszło jak aura. Nagle i niespodziewanie. Teraz zaczął sobie przypominać. Przecież był w środku. Był w czerwonym pałacu... tam, w obozie na Bandurskiego. Zabrał go ze sobą profesor...

Nagle trzask i dźwięk tłuczonego szkła przerwał mu podróż w przeszłość. Odwrócił się. W oknie wychodzącym na ulicę nie było szyby. Porozrzucone szkło leżało na podłodze kuchni. Spojrzał w tam, gdzie powinien siedzieć Kastet. Miejsce było puste. Wszyscy trzej zerwali się i ruszyli w stronę okna. Pierwszy doskoczył Ferenc. Spojrzał w dół. Kastet biegł w kierunku placu Grunwaldzkiego, kulał, jedno ramię mu zwisało bezwładnie. Odwrócił się i krzyknął jeszcze w kierunku okna, w którym stali już wszyscy trzej.

– Do zobaczenia w piekle, ścierwojady!

Zaśmiał się, po czym wbiegł w ciemność. Mężczyźni spojrzeli na siebie.

– Kurwa! Jak to się stało?!

Galant cofnął się do kuchni, rozglądając po podłodze.

– Musiał wykorzystać pogrzebacz, który opuściłeś.

Ferenc szedł krok w krok za milicjantem. Lwowiak wychylił się z okna w kuchni i na znajdującym się sześć metrów niżej chodniku próbował odkryć miejsce upadku Kasteta.

– Z czego ten facet jest zrobiony? – wymamrotał do siebie wyraźnie zaskoczony Wajda.

– Ty, o czym on mówił? – zapytał Ferenc, położywszy dłoń na ramieniu Galanta. – O co chodzi z tym czerwonym pałacem?

Galant opadł na krzesło i ukrył głowę w ramionach.

– Nie wiem, dlaczego o tym nie pamiętałem, dlaczego zapomniałem – mówił przez zaciśnięte zęby milicjant. – To było w obozie. Na Bandurskiego. Tam była taka willa nazywana przez więźniów czerwonym pałacem. Pewnie dlatego, że była z czerwonej cegły. Urzędował w niej Erbach. Komendant Erbach. Sadysta i, jak się później okazało, kanibal. Musiałem to wyprzeć, wyrzucić z siebie.

Ugne z trudem przypominał sobie wydarzenia sprzed lat. Po dłuższej chwili kontynuował:

– Byłem w tym czerwonym pałacu. Był tam też profesor. Znałem go, bo mieszkaliśmy w jednym bloku. Podawałem do stołu. Erbach przygotował gulasz. Siedzieli tylko z profesorem za długim stołem. Rozmawiali o książce *Tako rzecze Zaratustra* Nietzschego. Erbach przekonywał profesora, że tradycyjna moralność i dotychczasowe zasady etyki są granicą, którą mogą pokonać tylko nadludzie, co... Zresztą nieważne. Stałem w tej pierdolonej liberii i nalewałem wina. Na koniec Erbach podszedł do profesora, powiedział mu coś na ucho i odszedł. Ten tak siedział i wpatrywał się w swój pusty talerz... Dopiero później dowiedziałem się, że ten gulasz był przyrządzony z jego żony... Zaraz, jak ona miała na imię...?

Galant upadł na ziemię jak rażony piorunem i przez chwilę dygotał, po czym skulił się i tak został. Wajda i Ferenc, którzy dotychczas przysłuchiwali się jego opowieści, teraz rzucili się do leżącego na podłodze mężczyzny.

– Poruczniku! Poruczniku! Czy wszystko w porządku?

Lwowiak ukląkł przy głowie milicjanta i zaczął go lekko klepać po policzkach, jakby chcąc go ocucić. Ferenc doskoczył do Wajdy i odciągnął go od Galanta.

– Zostaw! To padaczka.

Ferenc wybiegł z kuchni do łazienki i po chwili był już z powrotem z mokrym ręcznikiem. Przyłożył go do twarzy milicjanta. Ugne otworzył oczy i usiadł. Był blady jak ściana.

– No dobra, chyba czas się stąd zawijać.

Milicjant już chciał wstawać, gdy Ferenc położył mu dłoń na kolanie.

– Poczekajmy.

Ugne wyciągnął dłoń do lwowiaka.

– Masz fajki?

Wajda podał papierosa Galantowi. Porucznik zapalił i głęboko się zaciągnął.

– Wiecie, że za jakieś pięć minut zjedzie się tu cała blacharnia ze Szczecina? – Ugne spojrział na zegarek, pokazywał 18.07. – Chyba wiem, gdzie nasi słudzy Azazela się spotykają.

Galant wstał i chwiejnym krokiem ruszył do dużego pokoju. Mężczyźni w tym samym momencie ruszyli za nim. Ugne podszedł do wieszaka, na którym wisiała jego emka. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął złożoną kartkę papieru. Usiadł na kanapie i rozłożył ją na stoliku. Pozostali stanęli wokół. Ferenc chwilę pogrzebał przy kablu od lampy przy kanapie i wcisnął przycisk. Kartkę papieru zalało ciepłe, jasnożółte światło i odsłoniło kreski, krzyżyki i zakreślone plamy. To była mapa.

– Wiem, jak się dostać do bunkra na Wzgórzu Kupały. – Galant uśmiechnął się, chyba po raz pierwszy od czasu, gdy zajęli się sprawą. Długim palcem wskazał jeden punkt na mapie. – Tędy wejdziemy do środka.

Mężczyźni spojrzeli na siebie. W oddali usłyszeli syreny.

– Na nas już czas, panowie... Lwowiak, zabierz latarki z łazika. Przydadzą się.

[107] hrymac (gw. lwowska) – mocno uderzać

[108] horpyna (gw. lwowska) – duża kobieta

[109] gotowy (niem.)

37
Tunel

Lasek Arkoński, Szczecin, październik 1957 roku

Słońce już dawno spłynęło za wierzchołki świerków. Było wilgotno i dżdżyscie. Ze szczytu Wzgórza Arkony nie można już było dojrzeć nie tylko pobliskiej Goplany, lecz również rozlanego w dole Jeziora Głębokiego. Ciemność objęła uroczysko. Mężczyźni stali obok siebie. Blask księżyca oświetlał ruiny restauracji. Cienie osób pełzały po zazwyczaj ciemnych komnatach zamkniętych kamiennymi arkadami. Wyglądali, jak grotolazi na chwilę przed zejściem do jaskini. Ugne miał na sobie biały podkoszulek, opięty paskiem przechodzącym przez klatkę piersiową i utrzymującym ćwierćmetrową latarkę spoczywającą na jego plecach. Przez ramię przewiesił linę, a w rękę trzymał składaną saperkę, którą znalazł w stoewerze. Do pasa przypiął kaburę, a w niej schował tetetkę. Do bocznych kieszeni spodni, zabarwionych w charakterystyczną „pietruszkę”, wrzucił cztery magazynki do pistoletu. Zabrał wszystko, co woził w kufrze stoewera od czasu powrotu do Szczecina. Przy okazji odkrył, że poza saperką były tam również dwa ręczne granaty dymne, nóż szturmowy i kurtka kamuflażowa Wehrmachtu. Jeden granat i nóż dał Wajdzie, kurtkę – Ferencowi.

Doktor wziął też plecak z apteczką. Przewiesił go przez ramię. W dłoni trzymał dwururkę, która jeszcze przed dwudziestoma minutami wisiała na ścianie w mieszkaniu Basi, tuż obok obrazu przedstawiającego mężczyznę w białej koszuli z futerkiem. Strzelba miała uciętą lufę. Najwyraźniej zanim trafiła na ścianę, służyła jakiemuś zaradnemu kłusownikowi. Zabieg ten powodował, że z pewnością łatwiej ją było ukryć, jednak traciła na celności i zasięgu. Lwowiak ścisnął swój przeżarty przez mole prochowiec pasem oficerskim, który znalazł w szafie. W rękę trzymał siatkę na zakupy,

z której wystawały nożyce do cięcia drutu, maska przeciwigazowa z pochłaniaczem, latarka sygnalizacyjna, kilka butelek z wodą, jakieś menażki i metalowy pojemnik z czymś przypominającym gumę.

Galant odwrócił się. Zmierzył wzrokiem towarzyszy.

– Lwowiak, co ty, kurwa, tam ciagniesz ze sobą? – Wyrwał siatkę z dłoni milicjanta. – Po co ci to wszystko?

Nie czekając na odpowiedź, wyjmował kolejne przedmioty i wyrzucał je w zarośla. Podniósł nożyce i obejrzał je z każdej strony.

– Te mogą się przydać.

Chwycił lwowiaka za pas i przyciągnął do siebie. Wajda próbował protestować. Ugne wcisnął metalowe nożyce za pas kolegi, a do klamry przymocował latarkę. Metalowy pojemnik z plasteliną już też miał trafić w krzaki, ale lwowiak wyrwał mu go i szybko schował do kieszeni prochowca. Galant uśmiechnął się i zwrócił w stronę doktora. Ten zaprotestował:

– Nawet się nie zbliżaj. Mam wszystko, czego mi potrzeba.

Ugne się skrzywił.

– W porządku, panowie. Nie wiem, co nas czeka tam na dole. Nie wiem, czy znajdziemy miejsce, którego szukamy, ale na pewno musimy się pośpieszyć. W linii prostej to jakieś sześć kilometrów. – Podniósł rękę i spojrzał na zegarek. – Jest dwudziesta druga. Jeżeli chcemy wejść z fajerwerkami, to musimy być na miejscu po północy, jak przystało na prawdziwy Werwolf.

Białe zęby zabłysły w świetle latarki, którą Galant przyłożył do ust. Lwowiak aż podskoczył.

– Pitolko![110]

Galant sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął piersiówkę. Wypił dwa łyki. Po chwili się zreflektował i wyciągnął dłoń z pojemnikiem w kierunku mężczyzn.

– Ktoś chętny?

Mężczyźni pokręcili głowami. Galant schował piersiówkę. Gestem rozkazał, by ruszyli za nim. Po kilkunastu metrach zatrzymali się przed ceglanym budynkiem. Ugne sięgnął po latarkę umieszczoną na plecach i oświetlił wnętrze okrągłaka. Ukazały się kręte schody prowadzące w dół. Milicjant stanął na pierwszym schodku. Uderzył go intensywny zapach wilgoci. Porucznik znów pociągnął z piersiówki. Zgiął się wpół i zrobił kilka

kroków. Klatka schodowa miała może metr pięćdziesiąt wysokości i pół metra szerokości. Musiał jeszcze bardziej się zniżyć. Kucnął i tak skulony zaczął schodzić w dół. Ból, który sprawiała mu ta dziwna i obca jego budowie ciała pozycja, nie był najgorszy. Bardziej przerażała go świadomość bliskości otaczających go ścian i tego, że za chwilę utknie i nie będzie mógł się ruszyć. Nie mógł jednak dać po sobie znać, że się boi. Zwalniał. Wiedział o tym. Na szczęście tańczące na ścianach światła latarek ludzi idących za nim działały uspokajająco. Po pokonaniu kilkudziesięciu schodków dotarli do szerokiego i wystarczająco wysokiego pomieszczenia, by Galant nie musiał iść na czworakach. Wyprostował się i odetchnął z ulgą.

– Lwowiak, idź przodem, w moim tempie zajmie nam to wieczność.

Machnął w kierunku niskiego mężczyzny i poczekał, aż ten go wyprzedzi. Pomieszczenie było długie na jakieś dziesięć metrów. Całe z litego betonu. Na jego końcu znajdowały się dwa otwory w ścianie, najwyraźniej prowadzące do kolejnych pomieszczeń. Podeszli bliżej. Ugne spojrzał do góry. Na wspierających konstrukcję metalowych belkach stropowych na suficie, umieszczonych co kilka metrów, wisiały metalowe pręty zakończone kółkami. Wyglądały jak pręty zbrojeniowe, jednak kółka musiały służyć do czegoś innego. Podeszli do otworów w ścianie. Były wysokie na jakieś półtora metra i szerokie na pół metra. Lwowiak zajrzał do jednego z nich. Korytarze zapewne wcześniej były wyposażone w elementy, które po wojnie zniknęły razem z innymi „przydatnymi” rzeczami.

– Kolejny tunel. – Wajda zaświecił latarką w drugi otwór. – I tutaj też. Rozchodzą się w dwie strony. Galant, którym idziemy?

Ugne wyjął mapę. Chwilę przyglądał się rysunkowi, po czym wskazał lewy otwór. Wajda musiał się wysilić i podnieść wysoko nogę, by wejść do środka. Światło latarki rozjaśniło pomieszczenie. Było dokładnie takie samo jak poprzednie, tylko nie kończyło się otworem. Szli w milczeniu.

Rytmiczne szuranie i dudnienie wojskowych obcasów przerwał lwowiak. Jego głośne odchrząknięcie oznaczało, że długo się zbierał i zaraz nastąpi jakiś monolog. Galant skierował snop światła na przemoczony prochowiec Wajdy.

– Jeśli chcesz coś powiedzieć, to się nie krępuj.

– Te nazwiska, ci członkowie stowarzyszenia – Wajda starał się dobrać właściwe słowa – to nie jedyne ciekawostki, jakie znalazłem...

Ugne na chwilę przekierował latarkę z prochowca na twarz kolegi. Lwowiak wbijał wzrok w ziemię.

– Wybrałem się do archiwum Służby Bezpieczeństwa i sprawdziłem te nazwiska. Teraz dopiero do mnie dotarło, że jest jedna wspólna rzecz, która ich łączy.

Lwowiakowi wyraźnie brakowało tchu.

– Co takiego? – zapytał doktor, który szedł pierwszy. Zatrzymał się i odwrócił.

– Wspólny wróg.

Ugne zapalił papierosa.

– Jaki wróg? – zapytał szorstko, wypuszczając dym z płuc.

– Niemcy...

Ferenc wybuchnął śmiechem.

– Toś wymyślił. Co drugi Polak, Ukrainiec i Rusek ma takiego samego wroga.

– Nie, ten wróg jest inny – kontynuował lwowiak. – Każdy z nich był w jakiś sposób zauroczony Niemcami, w większości to byli germanofile, którym ci odebrali wszystko. Rodziców, żony, dzieci, szacunek, chęć do życia... Wszystko, rozumiecie? Spotkało ich wielkie rozczarowanie... Nie, to złe słowo... Wielka zdrada!

Mężczyźni spojrzeli na siebie.

– Opowiedz nam o każdym po kolei – poprosił Galant, po czym położył zylastą dłoń na ramieniu Wajdy i ruszył do przodu.

Po czterdziestu kilku minutach marszu doszli do kolejnego rozwidlenia. Tym razem w ścianie były trzy otwory. W jednym znajdował się metalowy właz. Mężczyźni się zatrzymali.

– Mam nadzieję, że nasza trasa nie prowadzi przez te drzwi. – Ferenc westchnął.

Galant ponownie wyciągnął mapę. Teraz wszyscy skierowali na nią swoje latarki.

– Kurwa mać. – Schował mapę i wyjął piersiówkę. Zbliżył ją do ust. Wziął dwa, może trzy łyki, aż poczuł, że w środku już nic nie ma. Z wściekłością rzucił piersiówką przed siebie. Metalowy pojemnik uderzył w drzwi z hukiem. Nagle nad nimi zerwała się nawałnica. Mężczyźni spojrzeli do góry. Wokół nich zaroilo się od czarnych skrzydeł nietoperzy. Lwowiak momentalnie pochylił się i złapał za głowę.

– No i po co to kidałeś?[111] – krzyknął przerażony.

– Wajda, przecież to są zwykłe gacki, nic ci nie zrobią – odparł Ferenc. Pochylił się nad skulonym towarzyszem i pomógł mu się podnieść.

Galant podszedł do metalowych drzwi. Właz był wykonany z solidnej, grubej stali. Dookoła zabezpieczono go metalowymi nitami. Przez pęknięty iluminator można było zajrzeć do większego pomieszczenia. Po jednej stronie przy ścianie stały metalowe szafki, po drugiej prycze. Na podłodze walały się porzrzucone rzeczy, broń, jakieś pojemniki i skrzynie. Przy przeciwległej ścianie znalazły się biurko i krzesło. Nad nim – Ugne aż musiał oświetlić go latarką jeszcze raz – portret Adolfa Hitlera. Najwyraźniej od zdobycia Szczecina nikt tego włazu nie otwierał. Nie napawało to optymizmem. Skoro szabrownicy nie poradzili sobie z tymi drzwiami, to jak oni mają sobie dać z nimi radę? Milicjant chwycił za metalowe koło od włazu i z całych sił próbował przekręcić to w jedną, to w drugą stronę. Ani drgnęło. Spróbował jeszcze raz. Zaparł się i z całej siły pociągnął do dołu. Koło nie przesunęło się nawet o milimetr. Zrezygnowany zsunął się plecami po metalowym włazie i usiadł na betonowej podłodze. Wyprostował długie nogi i zapalił papierosa. Podniósł wzrok na towarzyszy.

– To chyba tyle.

Zaciągnął się głęboko, aż poczuł, że łzy mu napływają do oczu. Mężczyźni z nieukrywaną ciekawością obserwowali te samotne zmagania Galanta. Pierwszy podszedł Ferenc. Usiadł obok i poklepał go po kolanie.

– Przynajmniej nie będziesz mógł powiedzieć, że się nie starałeś – próbował pocieszyć kolegę.

W tym samym czasie Wajda podszedł do włazu. Zaczął odmierzać palcami odległości pomiędzy metalowymi nitami. Po chwili wyjął kartkę i ołówek i zaczął coś szybko notować. Sprawdził grubość i wysokość drzwi i zapisał. Przez chwilę liczył coś w pamięci, po czym wsadził rękę do kieszeni prochowca, pogmerał w środku i wydobyl metalowe pudełko z czymś przypominającym plastelinę w środku. Zaczął ugniatać substancję, następnie podzielił kulkę na kilka części, które przykleił do włazu. Połączył je cienkim drucikiem i jeden koniec pociągnął za sobą. Cofając się, spojrzał na Galanta i Ferenc.

– Może kawuncie z bajgielem panom podać? – fuknął na przyglądających mu się mężczyzn. – Ruszcie dupy, bo za chwilę nie będzie co tu zbierać!

Wystarczyło. Zerwali się na równe nogi i pobiegli za Wajdą. Gdy byli jakieś dwadzieścia metrów od drzwi, zatrzymali się.

– Połóżcie się za tym gzymsem! – Wskazał betonową półkę. Sam kucnął i wyciągnął z kieszeni baterię, którą podłączył do jednego z kabli. Drugi koniec trzymał nad nią. Spojrzał na swoich towarzyszy. Wreszcie przyłożył końcówkę do baterii i krzyknął:

– Padnij!

Po chwili fala uderzeniowa odrzuciła Wajdę, a kawałki betonu wbiły się w ścianę nad nimi. Huk i chrzęst łamiącego się metalu ogłuszyły mężczyzn. Na kilka sekund wszyscy stracili przytomność. Ugne ocknął się pierwszy. Podniósł się. Odkaszlnął i splunął. Wciąż dzwoniło mu w uszach i przez chwilę nie mógł ustać na nogach. Próbował przebić się wzrokiem przez pył. Podeszedł do miejsca, gdzie ostatni raz widział Wajdę. Rozejrzał się. Mężczyzna leżał pod ścianą.

– Ferenc! – krzyknął w stronę lekarza Galant. – Dawaj tutaj!

Lekarz podniósł się i błędnym krokiem zaczął zmierzać w kierunku, z którego dochodził głos Ugne. Pochylił się nad milicjantem. Wajda był nieprzytomny. Z tyłu głowy pojawiła się strużka krwi. Szymon przycisnął dwa palce do jego tętnicy szyjnej. Przez chwilę nie było słyhać nic poza szybkim oddechem mężczyzny.

– Żyje! – krzyknął Ferenc. – Pomóż mi położyć go na boku i podaj mi mój plecak.

Galant zrobił wszystko, co mu powiedział lekarz. Ten obwiązał głowę lwowiaka bandażem. Wajda się ocknął.

– Mój harbuz...[112] – Otworzył oczy i złapał się za głowę. – Gdzie ja jestem?

– W podziemiach Hadesu. – Ugne wyszczerzył zęby. – Witamy z powrotem.

Mężczyzna usiadł i rozejrzał się dookoła. Pył już opadał. Wokół walały się elementy zbrojenia i kawałki betonu. W przeciwległej ścianie jeszcze chwiało się metalowe koło służące do otwierania wjazdu, które najwyraźniej wbiło się pod wpływem siły wybuchu. Sam wjazd leżał roztrzaskany w rogu.

Lwowiak podniósł się i podeszedł do powstałego otworu. Wnęka była jakieś dwa razy większa. Zajrzał do środka. Wybuch nie poczynił znaczących szkód wewnątrz.

– Lwowiak, co to, kurwa, było? – Galant wyprostował się i wyciągnął paczkę papierosów.

– *Souvenir* od Staszka Brebera z Pardubic. Nazywają to B1[113]. – Odwrócił się w stronę Galanta. – A ty chciałeś to wyrzucić. – W głosie Wajdy zabrzmiała nutka triumfu.

– Galant, popatrz na to. – Ferenc przekręcił kurek przy ścianie i w pomieszczeniu zapanowała jasność. – To musiała być jakaś centrala. Albo magazyn. Ale że wciąż tu jeszcze jest zasilanie, to ciekawe...

Dopiero teraz w blasku rozproszonego światła można było rozpoznać szczegóły. Czuć było kanalizację. W kącie stał wieszak, na którym wciąż wisiał mundur żołnierza Wehrmachtu. Pokój wyposażony był również w zlew z odpływem oraz system komunikacji. Obok dębowego biurka znajdowała się centrala telefoniczna. Ferenc podszedł do centralki i sięgnął po słuchawkę wiszącą przy czarnej szafce.

– Nie! – krzyknął w jego stronę Ugne. – Zostaw. Nie wiemy, gdzie prowadzi ta linia. Nie wiemy, kto odbierze. – Galant zgasił papierosa na drewnianym biurku. – Dobra. Sprawdźcie, co jest w skrzyniach. Bierzymy ze sobą tylko rzeczy najniezbędniejsze.

– Czyli co? – Lwowiak wyprostował się nad skrzynią, z szerokim uśmiechem podniósł dwa trzonowe granaty zaczepne i zapytał: – Mogą być?

– Wiesz, wcześniej powiedziałbym „zostaw to, bo się poparzysz”, ale po tym, co zrobiłeś z tymi plastelinowymi kuleczkami, może się przydadzą.

Ugne rozpromienił się, widząc niskiego, pulchnego faceta z brodą po pępek i bandażem na głowie, który właśnie wciskał granaty za pas.

Galant otworzył pierwszą szufladę, wewnątrz były tylko notatki. Pośrodku drugiej leżała rozpoczęta paczka papierosów, a obok niej rewolwer. Luger. Milicjant podniósł broń i sprawdził magazynek.

– Mógłbym się przyzwyczaić do tych piekieł – powiedział do siebie, chowając do kieszeni papierosa, po czym rzucił przedmiot w kierunku kolegi. – Ferenc, łap! – Lekarz odwrócił się w ostatnim momencie i chwycił broń. – Może ci się przydać.

Ugne włączył lampkę stojącą na biurku i zapalił zdobycznego papierosa. Głęboko się zaciągnął i zakaszłał.

– Mocne!

Splunął resztką tytoniu i wyjął z kieszeni mapę, którą rozłożył przed sobą. Przez chwilę się jej przyglądał, po czym podniósł głowę i spojrzał

w kierunku wyjścia.

– To mamy problem. – Mężczyźni podeszli do niego. – Mapa pokazuje trzy tunele, dwa z nich prowadzą donikąd, to pułapki dla nieproszonych gości. Tylko jednym dojdziemy do bunkra na Wzgórzu Kupały. Szkop, który to stworzył, musiał się nieźle bawić. – Zaciągnął się papierosem i ponownie zakaszał. – Wszystko byłoby cacy, gdyby nie to, że ktoś wypalił tu dziurę.

Ugne wskazał miejsce na mapie z poczerniałym kawałkiem papieru. Ferenc usiadł zrezygnowany na krześle.

– I co teraz? – wycedził, patrząc na jasnowłosego mężczyznę. – Co może nas spotkać w tych „lewych” kanałach?

– *Schrapnellmine, springmine*, pułapki saperskie z granatami w roli głównej lub wilcze doły – wymamrotał lwowiak.

– Daj spokój, Wajda. – Ugne starał się opanować sytuację. – Rozdzielimy się.

– Co?! – Dla Ferenc'a tego było za wiele. – Jeśli się rozdzielimy, to dwóch z nas może nie wyjść z tych tuneli. Możemy się już teraz pożegnać!

Galant chwycił końcówkę liny, którą był przewiązany, i zaczął ją mocować do pasa lwowiaka. Gdy zakończył, podszedł do lekarza i zrobił to samo. Sprawdził, czy węzeł jest dobrze zawiązany. Resztę liny podpiął do dwóch karabińczyków przy swoim pasie. Sto metrów mocnej liny asekuracyjnej z juty. Starczy na jakieś dziesięć minut marszu, przekalkulował. Oby szybko wpadli na pułapki.

– I co z tą linką?! W jaki sposób ona ma niby nam pomóc?! – zapytał nerwowo Ferenc, sprawiający wrażenie osoby na skraju wytrzymałości psychicznej.

– Ruszamy razem. Idziemy w równym tempie. Jeżeli którykolwiek z nas dostrzeże jakąś przeszkodę, sygnalizuje przez dwukrotne szarpnięcie sznurem trzy razy, że potrzebuje pomocy. Jeżeli jest to przeszkoda nie do przejścia, wraca, dołącza do idącego najbliższym tunelem. Nie możemy tracić czasu. Ja idę środkowym, Wajda lewym, ty, doktore, prawym.

Ferenc machnął ręką i z rezygnacją spojrział w ciemny otwór przed sobą. W tym czasie lwowiak pakował się już do tunelu. Mężczyźni weszli w mrok. Ugne pochylił się i zaczął powoli posuwać się przed siebie. Tunel stawał się coraz węższy. Po dziesięciu metrach strop się na tyle obniżył, że od tej pory był zmuszony poruszać się na czworakach. Tak przebył kolejne kilkadziesiąt metrów, gdy nagle usłyszał krzyk Wajdy i poczuł, jak sznur

dwukrotnie zacisnął się na jego biodrach. Zatrzymał się, zgodnie z umową za chwilę powinien dołączyć do niego lwowiak. Dobrze, że na niego trafiło, linka się kończyła, a gdyby ten grubas doktor wpakował się na jakąś pułapkę, trudno byłoby go wyciągnąć. Po chwili usłyszał szelest za sobą i poczuł uderzenie w podeszwę buta.

– To były miny przeciwpiechotne.

Lwowiak nie sprawiał wrażenia przerażonego, a raczej zadowolonego z odkrycia. Ugne odpiął linę od karabińczyków i rzucił ją do tyłu.

– Przymocuj do pasa i pilnuj, żeby się nie skończyła.

Przez twarz Galanta przebiegł krzywy uśmiech, podał mu drugą, tym razem krótszą linkę, której jeden koniec przywiązał nad swoim butem.

– Przywiąż ją do swojego paska i wyłącz latarkę. Wystarczy, że ja świecę. I trzymaj w pewnej odległości ode mnie, nie wiadomo, co jest przed nami.

Galant zaczął przesuwać się do przodu. Nagle tunel zaczął się trząść, a głuchy, ciężki dźwięk przetaczać nad ich głowami. Trwało to kilkadziesiąt sekund, po czym wszystko ucichło.

– Pociąg – wyszeptał Galant. – Musimy być niedaleko.

Mężczyźni ruszyli ponownie. W pewnym momencie Galant usłyszał za sobą stek przekleństw. Gdy się odwrócił, zobaczył, jak lwowiak w przyspieszonym tempie sunie do tyłu. Próbował się jeszcze zatrzymać, wbijając palce w betonową ścianę tunelu. Nagle Ugne też poczuł jakąś potężną siłę. Linka, którą przywiązał do nogi, szarpnęła go i pociągnęła. Teraz już obaj sunęli tunelem. Ugne lewą ręką próbował znaleźć jakieś nierówności w betonie, drugą sprawnie zsunął do spodni i szybkim szarpnięciem sięgnął po nóż szturmowy. Trzymając go w obu dłoniach, z całej siły uderzył w ziemię przed sobą. Kawał metalu przez chwilę szorował po betonie, po czym znalazłszy jakąś szczelinę, wpadł z pełną siłą do środka i zatrzymał się pomiędzy dwiema płytami. Ugne zatrzymał się tak samo nagle, jak wcześniej nagle ruszył. Poczuł silne szarpnięcie pod udem i usłyszał stęknienie lwowiaka.

– Ło matko, moje fisy[114].

– Kazik, wszystko dobrze?

Ugne skierował wzrok w ciemność, z której dochodził głos jego kolegi.

– No ta joj, ale nie wiem, czy to samo możemy powiedzieć o naszym doktorku. – Wajda czuł ogromne napięcie liny za sobą. – Chiba nie jest z nim dobrze.

Ugne zaczął się rozglądać w poszukiwaniu czegoś stabilnego. Znajdowali się ponownie w pomieszczeniu, w którym jakiś czas temu się rozdzielili. Przynajmniej było więcej miejsca, choć możliwości nadal niewiele, tylko beton i błoto. Wiedział, że długo tak nie wytrzyma. Czuł, jak siły z niego uchodzą. Coraz słabiej ścisnął rękojeść noża. W pewnym momencie zmęczony umysł przypomniał mu obraz bunkra, gdy wchodzili do środka. Przecież w stropie znajdowały się metalowe pręty zakończone kółkiem. Ugne z wysiłkiem odchylił bark i spojrzał do góry.

– Lwowiak, możesz oświetlić strop nade mną?! – Galant próbował przebić się wzrokiem przez ciemność.

Usłyszał, jak z tyłu jego partner przeszukuje kieszenie, by po chwili latarka oświetliła betonowy sufit. Przez moment światło biegało po ciemnym betonie, aż wreszcie zatrzymało się w jednym miejscu. Tuż nad Wajdą znajdował się metalowy pręt z kółkiem. Ugne się uśmiechnął.

– Dobra, lwowiak, musisz zaczepić karabińczyk z końcówki długiej liny do tego metalowego pręta. Podciągnę cię i będę zabezpieczał linę, wystarczy, że się podniesiesz...

– Łatwo ci powiedzieć, podniesiesz się ze stukilogramowym kamieniem. – Lwowiak odczepił jeden karabińczyk, do którego zaczepił koniec liny i się zaparł.

– Na trzy cztery, ja ciągnę linę, ty się podciągasz! – krzyknął Ugne.

– Dobra!

– Trzy cztery!

W tym samym momencie lwowiak, jakby nie ważył swoich stu dwudziestu kilogramów, wyciągnął się jak robotnik z czołówki radzieckich filmów ze studia Mosfilm i jednym sprawnym manewrem zaczepił karabińczyk w metalowym kółku. A potem wylądował twarzą w błocie. Ugne puścił nóż, a lina nad nimi naprężyła się jak cięciwa. Z oddali dochodziło do nich wołanie Ferenca o pomoc.

Lwowiak kucnął, wytarł twarz i uśmiechnął się do Galanta. Ugne cofnął się kilka metrów po latarkę i wrócił do Wajdy. Przytrzymał go za szyję i przytulił do siebie.

– Morowy z ciebie gość, Kazik – powiedział, poprawiając kołnierz swojego upačanego błotem prochowca. – To co, idziemy po wisielca?

Obaj głośno się roześmiali. Do Ferenca dotarli w kilkanaście minut. Wisiał jakieś trzydzieści centymetrów nad pułapką. To był wilczy dół. Od

średniowiecznego oryginału różnił się jednak tym, że zaostrome polana zostały zastąpione bagnietami. Mężczyźni podciągnęli przerażonego kolegę.

– Dziękuję. – Ferenc podał rękę Galantowi. – Jednak ta lina to nie był taki zły pomysł.

Galant poklepał po plecach Szymona.

– Teraz przynajmniej wiemy, który tunel jest właściwy.

Mężczyźni wrócili do środkowego korytarza. Jak Ugne wcześniej, już po przejściu kilkunastu metrów, brodząc w błocie, przemieszczali się na czworakach. Tunel coraz bardziej się kurczył. Po pokonaniu kolejnych kilkuset metrów strop obniżył się do takiego poziomu, że byli zmuszeni się czołgać. Taki sposób poruszania się nie tylko był męczący, lecz także zabierał drogocenny czas.

– Nie mogę już – wyjęczał lwowiak, który był kilka metrów z tyłu za Ferencem i Galantem. – Nie mam sił.

Galant zatrzymał się i wyciągnął mapę. Oświetlił latarką kawałek papieru.

– Powinniśmy już być. Jeszcze trochę, lwowiak, dasz radę.

Zaczęli się znowu czołgać. Błoto sięgało kącików ust. Musieli trzymać wysoko głowy. Nagle tunel skręcił w bok. Po kilku metrach dotarli do jego końca. Przed nimi było tylko dwumetrowe rozlewisko błotnej mazi i ściana.

– Co to, kurwa, jest?

Ugne ponownie spojrzął na mapę. Miejsce było oznaczone jako przeskok do kolejnego tunelu, z którego prowadziła droga do bunkra na Wzgórzu Kupały. Tyle że łącznik na mapie miał z pięć metrów i nie był wypełniony błotem.

– No to mamy drobny problem. – Ugne odwrócił się do mężczyzn, którzy leżeli w błocie tuż za nim. – Musimy przepłynąć kilka metrów pod wodą.

– Jaką wodą? – zapiszczał z tyłu lwowiak. – Przecież tu nie ma wody, a poza tym nie było mowy o pływaniu...

Ferenc spojrzął w przerażone oczy Wajdy.

– Nie umiesz pływać... – Doktor precyzyjnie się do przodu. – Ja to zrobię. W końcu złoty medal akademickich mistrzostw Polski w pływaniu do czegoś zobowiązuje.

Szymon uśmiechnął się pod nosem. Galant przepuścił kolegę. Wiedział, że z ich trzech tylko on może tego dokonać. Był mniejszy, smuklejszy

i bardziej sprawny. A z tym mistrzem to nie był pewny, czy mówił prawdę, czy po prostu chciał ich przekonać, że się najlepiej do tego nadaje.

– Szymon, to może być jakieś pięć metrów. Nie będziesz nic widział. Możesz stracić orientację. To jest naprawdę ryzykowne.

– Daj linę. – Ferenc wyciągnął rękę do Galanta. – Gdy przepłynę na drugą stronę, kilka razy nią szarpnę, wtedy będziecie mogli płynąć.

Szymon zrzucił z siebie torbę z apteczką, a obok położył obrzyna.

– Zabierzesz? – zapytał jasnowłosego wielkoluda o poharatanej twarzy, który w odpowiedzi tylko kiwnął głową.

– Do zobaczenia po drugiej stronie Styksu, chłopaki.

Ferenc ścisnął końcówkę sznura, uśmiechnął się i wśliznął do ciemnej mazi. Pozostali mężczyźni leżeli obok siebie wpatrzeni w ciemną plamę błota. Lwowiak zrobił znak krzyża i zaczął szeptać jakąś modlitwę. Ugne spojrzał z niechęcią na towarzysza i zaczął szukać w bocznych kieszeniach spodni papierosów. Po chwili wyjął zgniecioną i mokrą paczkę giewontów. Próbował coś z niej wyciągnąć, ale bezskutecznie. Wściekły zgniótł zawartość i rzucił w ciemność.

– Ożeż kurwa, ile to jeszcze będzie trwało?!

Wyciągnął przed siebie ramię i spojrzał na zegarek. Przetarł cyferblat. Mała wskazówka była prawie przed północą. Duża minęła właśnie czterdziestą szóstą minutę. Zgodnie z tym, co mówiła Basia, wszystko ma się zacząć o północy. Zostało im kilkanaście minut. Basia. Dlaczego nie przyszła? Powiedziała „jadę do ciebie”. To były jej ostatnie słowa. Musiało ją coś zatrzymać. A może...? Nie, to niemożliwe, żeby ich wystawiła... Trzeba było poczekać...

Lina się poruszyła. Lwowiak przestał się modlić. Lina zafalowała po raz drugi, by po chwili zacząć tańczyć na powierzchni zbiornika.

– Jest! – krzyknął Ugne i położył rękę na ramieniu lwowiaka. – No dobra, mój galicyjski towarzyszu, czas ponurkować.

Lwowiak wzdrygnął się, ale nie protestował. Z trudem ściągnął z siebie prochowiec. Umieścił w nim narzędzia, po czym zwinął go, tworząc tobołek, który przyczepił do pasa spodni. Zrobił znak krzyża i wpadł z pluskiem do mazi.

Ugne odczekał chwilę. Umieścił na plecach torbę Ferenc, chwycił sznur i wsunął się do śmierdzącej smolistej cieczy. Oczywiście miał zamknięte, ale czuł, jakby poruszał się w środku błotnego potwora. Chwytał się liny i próbował

płynąć, ale jego długie nogi były jak spętane. Poruszał się tylko dzięki sile ramion. Poczul zwątpienie, a podświadomość zaczęła mu podpowiadać, że porusza się zbyt wolno. Właściwie nie poruszał się. Stał w miejscu. Przepłynięcie pod wodą pięciu metrów to była bułka z masłem, ale tu, w tej brunatnej lawie, czas się dłużył niemiłosiernie, a powietrza w płucach było coraz mniej. Jeszcze dwa razy złapał linę i podciągnął się do przodu i poczuł, że to koniec, że doszedł do granicy. Ostatni raz przeniósł ciężar ciała do przodu i poczuł, jak płuca mu pękają. Wypuścił powietrze, już na niczym mu nie zależało. Nic go nie krępowało. Był wolny.

W oddali majaczyła jakaś twarz. Zrobiło się jasno. Tak to była ona. Julia. Wyciągała do niego swoją białą, aksamitną dłoń. Uśmiechnęła się. Boże, jak długo na to czekał! W pewnym momencie dłoń chwyciła go i szarpnęła mocno ku górze. Inne dłonie wyrwały go na powierzchnię. I znowu ciemność. Otworzył oczy. Leżał w jakimś pomieszczeniu. Nad nim dwie twarze. Lwowiak i Ferenc. Uśmiechali się.

– Chyba nie chciałeś nas tutaj samych zostawić?

Ferenc przetarł twarz Galanta.

– Gdzie jesteśmy?

Lwowiak wskazał palcem coś nad nimi. Dopiero po chwili dotarło do Galanta, że znajdują się w kamiennej studni. Od wejścia dzieliła ich metalowa kratownica jakies trzy metry nad nimi. Śmierdziało niemiłosiernie.

Ugne podniósł się i chwilę wpatrywał w kratownicę, przez którą wpadało światło.

– I co te...? – Lwowiak nie zdążył zadać całego pytania, bo Galant położył mu dłoń na ustach i palcem dał sygnał, aby milczeć. Z góry powoli zaczęły dochodzić do nich odgłosy. To było echo niedalekiej rozmowy czy raczej śpiewu...

Galant kucnął i dał sygnał, by inni uczynili to samo.

– No to jesteśmy w górnicy po pachy – szeptał Ugne.

– Co ty powiesz? – Ferenc uśmiechnął się drwiąco.

– Nie, mówię serio, najwyraźniej trafiliśmy do wychodka, a jedyne wyjście prowadzi tędy. – Wskazał na kratę. – Szymon musisz się wspiąć i zobaczyć, jak przesunąć tę kratownicę.

Ferenc wstał i podszedł do ściany. Przez chwilę badał zimne kamienie, po czym spróbował się podciągnąć, wbijając palce w szczeliny.

– W porządku. Myślę, że to może się udać.

Lwowiak podszedł do lekarza i przyczepił mu do pasa linę.

– Gdy będziesz na górze, zaczepek karabińczyk do metalowych prętów. Jeżeli nie uda się przesunąć kratownicy, pozostaje to. – Wyciągnął nożyce do cięcia metalu i wsunął mu za pas.

– Powiedz mi, Kazik, skąd ty wiedziałeś, że takie rzeczy mogą się nam przydać?

Na twarzy lwowiaka pojawił się szczery, szeroki uśmiech.

Po kilku minutach Ferenc wisiał już pod metalową kratownicą i mocował karabińczyk do jednego z prętów. Wyglądał teraz jak alpinista pod skalną półką. Przewiązany przez biodro sznur pozwalał mu używać dwóch rąk. Lekarz złapał oburącz metalową kratę i próbował ją przesunąć lub odrzucić. Bezskutecznie. Pozostawały nożyce. Na szczęście kratownica musiała zostać zainstalowana wiele lat temu, a woda i mocz doprowadziły do korozji metalu. Wycięcie kilku prętów nie stanowiło szczególnego wyzwania. Dźwięk cięcia roznosił się echem co chwila. Po kolejnych dziesięciu minutach powstał na tyle duży otwór, że bez problemu mogli się przez niego wydostać. Wtedy Ferenc zobaczył, że znajduje się w jakimś przedpokoju. Pod sufitem biegingy metalowe belki. Przerzucił linę przez jedną z nich i zaparł się nogami o ścianę.

– Możecie ruszać! – Dał znać czekającym w zniecierpliwieniu mężczyznom.

Pierwszy zaczął się wspinać Wajda. Gdyby nie pomoc Ferenca, który tak mocno ciągnął i asekurował linę, że aż pozostawiła krwawe wybroczyny na wnętrzach dłoni, lwowiak na zawsze pozostałby w wychodku. A tak po chwili stał obok niego i pomagał mu wciągnąć Galanta na górę. Nie stanowiło to wielkiego wyzwania. Ugne mimo wielkiej postury wspinał się świetnie. Nie minęło piętnaście minut, jak wszyscy wsłuchiwali się w chóralny śpiew dochodzący z wnętrza budynku.

Wyszli z przedpokoju i skierowali się do korytarza. Panował w nim półmrok. Rozproszony blask ciepłego światła pochodził od pochodni, które były zatknięte w betonowych ścianach. Ugne wyrwał jedną i oświetlając sobie drogę, ruszył w stronę, z której dochodził śpiew. To samo uczynili jego towarzysze. Korytarz ciągnął się jakieś sześćdziesiąt metrów. Z każdym krokiem docierał do nich coraz intensywniejszy zapach kadzideł i kwiatów.

Ugne odwrócił się.

– Czujecie to?

– Fiołki – powiedzieli mężczyźni niemal jednocześnie.

Galant wyciągnął tetetkę i skierował ją przed siebie. Doszli do końca korytarza. Przy przeciwległej ścianie stała rzeźba przedstawiająca scenkę rodzajową. Kobieta siedziała na pniu, pod którym spoczywało jej dziecko. Wpatrywało się w nią z zainteresowaniem. Kobieta, która najprawdopodobniej była jego matką, spożywała ludzką nogę. Ugne się wzdrygnął.

– Doktore, ubezpieczaj mnie.

Porucznik machnął ręką i dał znać idącemu za nim mężczyźnie. Ferenc sprawnym ruchem ściągnął z pleców dwururkę, sięgnął do kieszeni po naboje i nabił strzelbę.

Galant powoli wysunął głowę zza muru. To, co zobaczył przed sobą, spowodowało, że zamarł w bezruchu. Czuł, jak po twarzy spływają mu zimne krople potu. W wielkiej sali otoczonej kamiennymi kolumnami stali zakapturzeni ludzie. Trzymali się za ręce i śpiewali. Nie, nie śpiewali. Wyli, jak wyją wilki podczas pełni Księżyca. Ugne dopiero po chwili zauważył, że ciemne postacie poruszają się w takt wybijany przez stojącego na balkonie bębniarza. Galant przywarł do ściany i powoli zaczął się przesuwać. Ostrożnie zbliżył się do urny stojącej na niewielkim obelisku. Poniżej umieszczono świece, podgrzewały one pojemnik z płynem, w którym unosiły się fioletowe kwiaty. To stąd wydobywał się ten wyjątkowy zapach. Ugne zauważył, że takie urny stały co kilka metrów. Machnął ręką na ubezpieczającego go lekarza. Ferenc spojrział do tyłu.

– Idziemy! – szepnął do kryjącego się w korytarzu lwowiaka i skierował się ku Galantowi.

Wajda sprawdzał, czy w jednej z pojemnych wewnętrznych kieszeni jego prochowca nadal znajdują się granaty, gdy wtem poczuł żelazny uścisk na swojej szyi. Chciał krzyknąć, ale przez gardło nie mogło mu przejść nawet westchnięcie. Złapał napastnika za potężne ramię, ale uścisk był zbyt silny – zdał sobie sprawę, że jest to bez sensu. Chciał jeszcze go ugryźć, nie zdążył, jego oczy zasnuła ciemność.

Galant dotarł do marmurowego ołtarza. Pochylił się i schował za obeliskiem. Po chwili zbliżył się do niego Ferenc. Ciężko sapał.

– Co tu się, kurwa, dzieje?

– Gdzie lwowiak? – Ugne odwrócił się w kierunku, z którego przybył.

– Został z tyłu. Zaraz pewnie dotrze – wydyszał lekarz, próbując złapać oddech.

Galant przeczołgał się pod stół. Wychylił głowę. Dopiero teraz zauważył, że tańczący poruszają się wokół paleniska, nad którym umieszczono ogromne metalowe rożny. Nagle bęben gwałtownie zamilkł. Postacie w ciemnych szatach zatrzymały się, by po chwili upaść na kamienną podłogę. W sali zapanowała cisza. Nie trwała długo. Bęben znów zagrzmiał. Inaczej. Zaczął powoli i z każdą kolejną sekundą nabierał tempa. Z drugiej strony owalnej sali coś się zbliżało. Przez wielkie drzwi wbiegły dwie półnagie postacie, na głowach miały maski przypominające głowy kozłów. W rękach trzymały pochodnie. Za nimi weszło sześć zakapturzonych osób, niosących drewniany krzyż, do którego przywiązana była naga kobieta. Była nieprzytomna. Ugne wychylił się. Przypominała mu kogoś. Zwrócił uwagę, że jej ciało było wysmarowane oliwą. W paru miejscach nosiło ślady jakiegoś ostrego narzędzia. Jakby ktoś celowo ponacinał jej skórę – tak jak nacina się skórę dzika, by mięso nie było surowe i równomiernie się upiekło. Zakapturzone postaci umieściły krzyż z ofiarą na rożnie. Milicjant dostrzegł, że dziewczyna otwiera oczy. Była oszołomiona.

Bęben zaczął wybijać coraz szybszy rytm. Dwie półnagie postacie z głowami kozłów zaczęły wykonywać konwulsyjne ruchy, a zakapturzone osoby wyć coraz głośniej. Kasia. To była Kasia! Co ona tu robiła?! Ugne zdał sobie sprawę, że coś poszło nie tak. Przecież Kasia była pilnowana, chroniona przez Baškę! W tym samym momencie zza plecami usłyszał huk wystrzału. Ukląkł i przez chwilę zdezorientowany nie wiedział, co się dzieje. Słyszał tylko dzwonięcie w uszach. Bęben znów umilkł. Kozły stanęły jak wryte, a zakapturzone postaci zaczęły się chować za filarami.

– Wy czterej, zabierzcie dziewczynę z ogniska! – wrzasnął Ferenc.

Wypalił z obrzyna w sufit, aż na kamienną podłogę posypały się kawałki betonu. Jeden ze stojących najbliżej zakapturzonych próbował wyrwać Ferencowi broń, ale ten wypalił mu prosto brzuch, odrzucając go na kilka metrów. Wskoczył na stół z wymierzoną w grupę strzelbą.

– Ruszcie dupy!

Cztery zakapturzone postaci podbiegły do paleniska i zaczęły ściągać krzyż z rusztu. Ferenc spojrział w dół i zwrócił się do Galanta:

– Ugne, rozwiąż ją.

Galant podświadomie czuł, że to wszystko zbyt gładko idzie. Wstał z kolan i podbiegł do dziewczyny. Spojrzała na niego wielkimi oczami. Zrozumiał, że nafaszerowali ją jakimiś środkami. Pewnie tubokuraryną. Zaczął ją rozwiązywać.

– Chcieliście ją usmażyć? Co z wami, ludzie? Kim wy jesteście? – Ferenc wpadł w szal. – Dlaczego to robicie?!

Galant wiedział, że doktor w przypiływie adrenaliny i swoistym szoku nie nabił ponownie strzelby. Był bezbronny. Odwrócił się i już miał do niego krzyknąć, gdy zobaczył, jak za jego przyjacielem wyrosła wysoka, ciemna postać. Obejmowała go. W jej dłoni błyszczał metal. Ugne rozpoznał brzytwę. Wszystko działo się błyskawicznie, w ciszy, jakby wszyscy byli świadkami niemego przedstawienia. Metal momentalnie wbił się w szyję Szymona. Mężczyzna przesunął go z ogromną siłą wzdłuż gardła. Była tak potężna, że po chwili głowa Ferencza spadła i potoczyła się po kamiennej posadzce, zatrzymując się pod butem Galanta. Ugne zerwał się na równe nogi. Wyciągnął pistolet i wymierzył w kierunku, z którego jeszcze przed chwilą dochodził krzyk Ferencza. Nikogo tam nie było, tylko martwy korpus jego kolegi, który właśnie zwał się na ziemię.

– Dlaczego to robimy?! – Dudniący głos przetoczył się przez owalną salę.
– Bo jesteśmy to winni naszemu Panu!

Galant odwrócił się i wymierzył w zakapturzone postaci.

– Gdzie on jest?!

Postaci już nie chowały się za filarami. Wychodziły zza nich i zaczęły otaczać Galanta.

– Stać!

Nie słuchali go. Powolnym krokiem zbliżali się do milicjanta. Galant wymierzył do najbliższej postaci i wypalił w jej głowę. Kaptur zsunął się. Upadła, to była kobieta. Ugne widział ją wcześniej na jednej z rozpraw.

– Milicjancie, rzuć broń i uratuj życie swojemu drugiemu towarzyszowi!
– Głos dochodził z okolicy ołtarza.

Galant odwrócił się. Na ołtarzu leżał Kazik Wajda. Był nieprzytomny. Nad nim stał wielkolud, którego już wcześniej spotkał na swojej drodze. Trzymał tasak przy szyi lwowiaka.

Zza pleców wielkoluda wydobył się głos mężczyzny:

– Milicjancie, rzuć broń i poznaj prawdę!

Ugne wiedział, że to koniec. Miał jedną szansę na milion na oddanie strzału, zanim wielkolud odebrałby życie Kazikowi. Do tego ta dziewczyna. Obrócił się i znowu spojrzał jej w oczy. Już wiedziała. Środki przestawały działać. Pistolet upadł na kamienną posadzkę. Zakapturzone postacie rzuciły się w kierunku milicjanta. Upadł. Kopniaki dosięgały jego głowy, kręgosłupa. Wiedział, że z tego nie wyjdzie. Nie trwało to długo. Po chwili ogarnęła go ciemność.

Powoli podniósł powieki. Jego głowę przeszywał ostry ból. Rozejrzał się. Był w innej sali. Na ścianach wisiały obrazy i drogocenne gobeliny. Siedział przy długim, drewnianym stole. Nie był sam. Po obu jego stronach zgromadziły się zakapturzone postaci, u szczytu – wysoki mężczyzna w masce kozła. Na stole stała złota zastawa. I ta muzyka... Od strony kominka dochodziły takty doskonale znanej mu piosenki. Po niemiecku. Nie mógł się od niej uwolnić. Ta piosenka i ten zapach fiołków. Znowu był na placu apelowym, znowu widział jej kołyszące się na sznurze ciało. Odwrócił się. Przy dużym kominku siedział kwartet smyczkowy. Na twarzach muzyków – maski zwierząt.

– Witamy cię, milicjancie – powiedział wyraźnie mężczyzna siedzący na najwyższym, przypominającym tron krześle.

Ugne wiedział, że kryształowy kieliszek rozbity o kant stołu może stać się zabójczą bronią. Próbował zerwać się, ale nie mógł poruszyć nogami ani rękoma.

– Przykro mi, ale dopóki nie poznasz prawdy, musimy ograniczyć twoją wolność. – To nie był obcy głos, Galant już gdzieś go słyszał...

– Pozwól, że zaczniemy ucztować. – Jego ton był ciepły. – Przywrócimy ci pamięć i odkryjemy prawdę.

Mężczyzna w masce kozła klasnął dwukrotnie. Po chwili czterech pólnagich mężczyzn wniosło piezzonego świniaka, którego umieściło pośrodku stołu. Następnie weszły kobiety w maskach z wazami pełnymi esencjonalnych zup. Na stole pojawiły się duszone żeberka w śliwkach i gulasz staropolski z ogórkiem i marchewką. Kiedy stół był już zastawiony, obsługa zapaliła świece, a wokół rozszedł się zapach fiołków. Mężczyzna w masce kozła wstał i dał znak muzykom, by przestali grać.

– Dziś jest dziesiąty dzień miesiąca tiszri. Dzień Pojednania. Czekaliśmy na niego, przygotowywaliśmy się do niego. Tak jak dwa lata temu, pięć i dziesięć lat temu – mówił z coraz większą pasją mężczyzna w masce

kozła. – Była nas garstka. Dziś nasz Kościół wypełnia kwiat tego miasta. Gościmy dziś również człowieka, który był świadkiem jego początku.

Wszystkie zakapturzone twarze odwróciły się w stronę Galanta.

– Był ze mną w czerwonym pałacu, gdy poznaliśmy drogę prowadzącą do zbawienia.

Milicjant zrozumiał, że mówi o nim. Mężczyzna w masce podniósł mały dzwoneczek, który stał przed nim, i zadzwonił. Do sali weszła ta sama obsługa – czterech mężczyzn i dwie kobiety. Nieśli szklane dzbanki z czerwonym napojem. Rozlali je do kryształowych kieliszków. Płyn był ciepły – ze szlachetnych i kruchych naczyń unosiła się para.

– Proszę, wstańcie – zwrócił się do uczestników mężczyzna w masce i uniósł ręce. – O Azazelu! Wszelkie nasze ślubowania i przysięgi, i klątwy, i skargi uważaj za niebyłe, nieważne. Za wszystko, co czyniliśmy dla własnego dobra, wyrażamy skruchę. Nasze ślubowania nie są ślubowaniami, nasze zakazy nie są zakazami, nasze przysięgi nie są przysięgami. O Azazelu, wysłuchaj nas! Niech ta krew ofiarna córki narodu, który śmiał się nazywać wybranym, będzie drogą do zbawienia! – Wypowiedziawszy te słowa, podniósł kryształowy kielich i wypił gęsty napój. Podobnie uczynili wszyscy uczestnicy kolacji.

Krew córki narodu, który śmiał się nazywać wybranym? Ugne zrozumiał, że w kielichach nie było wino. Spojrzał jeszcze raz na stół, na jednym z półmisek zauważył niedopieczony kawałek mięsa, na którym znajdował się symbol Azazela. Boże, to była Kasia...

– Proszę, zerwijcie kaptury i ściągnijcie maski – raz jeszcze mistrz ceremonii skierował słowa do obecnych. – Niech zacznie się biesiada!

Wysoki mężczyzna, który siedział obok Galanta, powoli zsunął kaptur i spojrzał na milicjanta. Uśmiechnął się. To był Muszyński. Prokurator Muszyński. Poklepał milicjanta po plecach i sięgnął po wazę z zupą. Obok niego siedział niski brunet, który wyciągał swoją chudą łapę do półmiska z żeberkami. Dalej jakiś partyjniak, którego widział na zdjęciach w „Kurierze Szczecińskim”. No i jeden sędzia ze sprawy Cypka. Czuł, że zbiera mu się na wymioty. Biesiadnicy pochłaniali potrawy, jakby zaraz miało ich zabraknąć, jakby zaraz miało się to wszystko skończyć. Podawali sobie półmiski i pożerali ich zawartość, popijając łączywie winem. Ugne już to widział. Wilki rozszarpujące łanię. Wino i krew spływały im po obfitych brodach, a tłuszcz po palcach. Złote sztuce były zbędne.

– Nasz milicjant, zdaje się, oczekuje wyjaśnień – dobiegł go ciepły głos mężczyzny, który teraz jednym ruchem zerwał maskę i zaczął iść w jego kierunku. Dopiero gdy zbliżył się do niego, zorientował się, że już widział tego człowieka. Tak, to był... on. Profesor Kornacki.

– Profesor Kornacki, ale... jak? – Ugne wypowiadał słowa z coraz większym trudem. Grzęzły mu w ustach.

Mężczyzna przysunął sobie krzesło.

– Kornacki nie żyje, umarł tam w obozie, synu... Tu, w nowym świecie, narodził się Józef Kazgan – wyjawiał swoją nową tożsamość profesor, po czym poprawił długie włosy opadające na szerokie ramiona. – Nie było łatwo cię tu doprowadzić, ale dobrze odczytałeś moje wskazówki.

Ugne szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w mężczyznę, którego po raz ostatni widział na placu apelowym przed czerwonym pałacem. Był wtedy innym człowiekiem – wychudzonym, z sinymi workami pod oczami oraz długą siwą brodą i zapuszczonymi włosami. Człowiekiem stojącym na krawędzi życia. Teraz siedział przed nim zdrowy mężczyzna, którego siły witalne emanowały na wszystkich znajdujących się na sali.

– Wskazówki?

– No tak, mój synu. List do jedyne go sprawiedliwego miał trafić właśnie do ciebie. Mapa z przejściem podziemnym prowadząca do naszego „fiolkowego pałacu” to też nie jest przypadek. To wszystko było nie tylko testem, lecz także drogą do prawdy.

Ugne poczuł suchość w gardle.

– Wiem, że wyrzuciłeś to wszystko z pamięci, ale my czuwaliśmy nad tobą. Niełatwo jest dostać się do służb ludziom o pochodzeniu litewskim, a ty nie tylko zostałeś milicjantem, ale nawet trafiłeś do dochodzeniówki.

Galant czuł, że coraz bardziej zaczyna mu się kręcić w głowie, a gdzieś głęboko w trzewiach rodzi się fala żółci.

– Nie wszystko dało się przewidzieć... Ten Merza popsuł nam trochę krwi. Nie panowaliśmy również nad twoją chorobą.

Kazgan sięgnął ręką po wielki kawał mięsa ze stołu i zaczął go szarpać zębami, połykając pokaźne części bez przeżuwania.

– Ale dlaczego to wszystko?

– Bo jesteś jednym z nas. Bez ciebie by nas nie było.

– Nie rozumiem.

Profesor wypluł kawałki kości na kamienną posadzkę.

– Nasza wiara narodziła się w czerwonym pałacu. Tam gdzie ofiarę poniosła moja Irena. Wszystko jednak zaczęło się od ciebie. To ty po upadku obozu odnalazłeś i przyprowadziłeś nam naszego twórcę – Erbacha. To ty pierwszy wbiłeś nóż w jego ciało i ty rozпалиłeś ogień pod paleniskiem.

Ugne poczuł silny uścisk na ramionach i po chwili zobaczył pochyloną nad sobą twarz Kasteta.

– Ty pierwszy poczęstowałeś mnie kawałkiem ludzkiego mięsa.

Wystające z ust Kasteta druty wyraźnie utrudniały mu mówienie, ale szyderczy śmiech usłyszał wyraźnie.

– Ta ostatnia wieczerza w tej wyjątkowej scenerii płonącego obozu otworzyła nam serca i dusze na prawdziwą wiarę. To wtedy poznaliśmy prawdziwego boga, Azazela. – Kazgan podniósł się z krzesła. – Ta przekłeta wojna pokazała nam, jak słabi byli nasi bogowie, jak kłamliwa była nasza wiara! Zostaliśmy oszukani!

Biesiadnicy przestali jeść i pić, a muzyka przestała grać. Kazgan przebiegł wzrokiem po wszystkich.

– Zbudowaliśmy nasz Kościół na zemście! Każdy z nas stracił kogoś bliskiego. Nie uratowały go modlitwy do Jezusa ani do Jahwe. Dla nas wojna nie skończyła się w czterdziestym piątym. O nie! Prawdziwe zbawienie nadejdzie wraz z pozbawieniem duszy naszych oprawców, ich dzieci i wnuków!

Biesiadnicy zaczęli się podnosić i uderzać jednostajnie w stół. Kazgan odwrócił się do milicjanta.

– Tobie, Ugne, Niemcy odebrali wszystko! Wiem, że podobnie jak my pragniesz zemsty! Przyłącz się do nas! – zawołał Kazgan, po czym wznosił rękę, a uczestnicy zaczęli jeszcze mocniej uderzać w stół. – Prawdziwe zbawienie nadejdzie wtedy, gdy zostawisz za sobą stary świat i porzucisz człowieczeństwo!

Znowu po sali zaczął się roznosić rytmiczny odgłos bębnow.

– Wprowadźcie baranka!

Czterech mężczyzn weszło do sali, niosąc nad sobą na ogromnej dębowej desce coś, co przypominało ludzkie ciało. Biesiadnicy zaczęli zrzucać wszystko, co było na stole, by zrobić miejsce na kolejne danie. Mężczyźni położyli deskę. Spoczywał na niej nagi, tęgi mężczyzna, wokół niego porzrucano niedbale daktyle, mandarynki i inne egzotyczne owoce.

Ciało, zawczasu posmarowane miodem bądź jakimś słodkim sosem, połyskiwało w blasku pochodni. Mężczyzna oddychał, ale miał zamknięte oczy i był nieprzytomny. Ugne nie miał wątpliwości, że leży przed nim lwowiak. Łzy napłynęły mu do oczu.

Mężczyźni, którzy wcześniej przynieśli Wajdę, pojawili się ponownie z dużą beczką, w której rozpalony był ogień. Postawili ją na środku sali.

– A teraz danie główne! – Kazgan wskazał leżącego przed nim mężczyznę. – Ugne, przypadła ci honorowa rola mistrza ceremonii! Tylko proszę bądź precyzyjny, każda część ciała jest bezcenna, mamy kryzys. Nie interesuje nas jedynie zawartość jego czaszki. Mózgi nadają się jedynie na podroby dla „władców świata”.

Profesor kiwnął do stojącego za Galantem wielkoluda, by ten go rozwiązał. Milicjant wstał. Wzrok wszystkich zebranych skupił się na nim. Ugne powoli podszedł do środka stołu i zatrzymał się na wysokości głowy swojego towarzysza. Widział, że naprzeciwko na ścianie wiszą dwa długie średniowieczne miecze. Przeliczył. Wskoczy na stół. Zeskoczy. Przebiegnie trzy, cztery metry. Zerwie miecz ze ściany. Nie ma szans. Zanim dobiegnie do przeciwległej ściany, zostanie powalony przez wielkoluda i jego pomocników.

Spojrzał na leżącego przed sobą mężczyznę. Kawał chłopa z ciebie, lwowiak, pomyślał. Uśmiechnął się. Powoli sięgnął po największy nóż, który był wbity w kawał mięsa leżący obok. Może uda mu się chociaż dopaść Kazgana. Jednym szybkim ruchem wyrwał nóż, by precyzyjnym rzutem trafić w pierś mężczyznę siedzącego u szczytu stołu, gdy nagle potężny huk rozszedł się po całym pomieszczeniu. Na głowy uczestników zaczęły spadać kawałki kamieni i betonu. Ugne ukląkł. Obejrzał się przez ramię. Z zaplecza kuchennego do sali głównej wdarł się słup ognia, a po chwili dwie potężne eksplozje wyrzuciły stamtąd ciała obsługi. Kolejny wybuch spowodował, że część sufitu znalazła się na kamiennej posadzce, odsłaniając widok na ogród. Porucznik spojrzał do góry. Przez kłęby dymu dostrzegł mężczyzn z pistoletami maszynowymi i w maskach przeciwgazowych, którzy zaczęli wskakiwać do środka. Po chwili usłyszał brzęk tłuczonego szkła i poczuł piekący ból w klatce piersiowej. Pomieszczenie, a właściwie to, co z niego zostało, wypełnił biały dym. Ugne zaczął kaszleć, zbierało mu się na wymioty. Nie mógł złapać oddechu. Wokół słychać było jęki, kaszel i płacz. Gdzie jest lwowiak? Milicjant

próbował dostrzec cokolwiek, ale z oczu lały mu się łzy, a ostry ból w lewym udzie nie pozwalał zrobić ani kroku.

– Ugne! Ugne! – Galant z początku myślał, że to omamy. – Żyjesz!?

Tak, to była ona. Basia. Chwycił się blatu stołu. Próbował się podnieść, choć czuł, jak cały organizm odmawia współpracy.

– Tu! Baśka, tu!

Po chwili smukła postać wyciągała do niego drobne dłonie.

– Tutaj! Milicjant potrzebuje pomocy!

Basia zdjęła swoją maskę gazową i założyła ją Galantowi. Dwóch mężczyzn objęło go wespół i asekurując, wprowadziło na drabinę taktyczną, która zjechała z góry.

Galant ocknął się po kilku minutach. Leżał pośród kwiatów. To były fiołki. Podniósł głowę. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z faktu, że znajduje się w miejscu, gdzie kiedyś była wielka szklarnia. Przed nim rozciągał się widok na ogromny krater. Bloki metalu, betonu i szkła - tyle zostało z fiołkowego pałacu, jak nazwał go Kazgan. Właśnie, Kazgan, co z nim? Ugne próbował się podnieść, ale poczuł ostry ból w udzie.

– Spokojnie, Ugne – zabrzmiał gdzieś nad jego głową aksamitny głos. – Nie tak szybko, bo znowu nam odjedziesz.

Basia przykucnęła obok Galanta i położyła mu dłoń na policzku.

– Dobrze, że żyjesz. Na szczęście to już koniec.

Milicjant z sykiem podniósł się na łokciach.

– A co z resztą? Co z lwowiakiem, doktorem? Co z Kasią?

Basia spuściła głowę.

– Wajda z urazem kręgosłupa został zabrany do szpitala, ale żyje. – Uśmiechnęła się. – Ale Kasia i Szymon... – Zawiesiła głos.

Cisza panowała tylko przez chwilę. Nagle przerwała ją seria z automatu, dochodząca z miejsca, gdzie kiedyś znajdowała się sala rycerska. Teraz był tam krater, z którego wciąż wydobywał się siwy dym. Potem usłyszeli dwanaście pojedynczych strzałów z pistoletu.

Ugne znał ten odgłos, to była tetetka. Milicjant pomimo bólu, z pomocą Basi, podniósł się i skierował w tamto miejsce. Zapach fiołków się ulotnił, znowu poczuł proch i swąd spalonych ciał. Z ciemnej dziury, po wspinacze po drabinie, wyłaniały się ciemne postaci. Dopiero gdy podszedł bliżej, uświadomił sobie, że byli to żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zawiesili automaty na plecach i ze spuszczonej głowami

kierowali się do wozu bojowego stojącego w pobliżu niebieskiego mostka. Jako ostatni szedł duży, okrągły mężczyzna w szarym mundurze majora milicji. Chował pistolet do kabury. Z jego lufy wciąż unosił się dym.

– Majorze! – krzyknął w kierunku mężczyzny Ugne. Ten się odwrócił i podszedł do podwładnego.

– Towarzyszu, wykonaliście kawał dobrej milicyjnej roboty. – Jego głos był jeszcze bardziej chropowaty niż zwykle. – Szkoda, że świat się nigdy o niej nie dowie.

Uścisnął dłoń Galanta i już miał odchodzić, gdy ten chwycił go za ramię.

– Majorze, co się stało z tymi ludźmi?

– Z jakimi ludźmi, poruczniku?

– No... tymi z sekty?

– Nie ma i nigdy nie było żadnej sekty, poruczniku.

Major Sucharek poklepał Galanta po plecach i ruszył w kierunku niebieskiej kładki łączącej Wzgórze Kupały z soczystą zielenią łąk północnego Szczecina, który wyłonił się w blasku promieni wschodzącego słońca.

[110] pitolko (gw. lwowska) – ogłędnie: mało poważny człowieku

[111] kidałeś (gw. lwowska) – rzucałeś

[112] harbuz (gw. lwowska) – dynia; tu - głowa

[113] B1 – wynaleziony w 1950 roku w Czechosłowacji materiał wybuchowy przez wiele lat był jednym z trudniejszych do wykrycia. Używany jest w celach militarnych i rozbiórkowych. Początkowo nazywał się B1, a od 1964 roku – Semtex. Tę drugą nazwę zawdzięcza miejscowości Semin położonej niedaleko Pardubic, w której pierwszy raz został wyprodukowany. Wynalazcami tego materiału wybuchowego byli dwaj chemicy: Stanislav Brebera i Radim Fukátko. Za: Jakub Juszyński, *Czeskie wynalazki, o których na pewno słyszeliście*, „Tym Razem”, 7.02.2020, <https://tymrazem.pl/czeskie-wynalazki-o-ktorych-na-pewno-slyszeliscie/>, dostęp: 11.01.2023.

[114] fisy (gw. lwowska) – nogi

Epilog

10 września 1952 roku, dzień przed wydarzeniami w mieszkaniu na ulicy Wilsona 7

Cyppek był zdenerwowany. Nigdy wcześniej mistrz nie informował go o zebraniu towarzystwa w taki sposób. Swoją drogą warto było zobaczyć zdziwioną gębę tej kurewki, wielkiej Zuzy, sekretarki dyrektora, gdy podawała mu słuchawkę. Żeby jednak dzwonić do zakładu i wzywać go do sekretariatu dyrektora? Przecież to było sprzeczne ze wszelkimi zasadami konspiracji. Dobrze, że był na miejscu. Tym bardziej że na Jaromira[115] stanęła trójka i montowali ekipę, która miała ją ruszyć. Bez ślusarza nie daliby rady.

W końcu wpełznął na tę diabelską górę. Niebieska kładka. Zawsze zastanawiał się, kto pozwolił na ten kolor. Zatrzymał się pośrodku. Lubił ten widok. Akurat przejeżdżał podmiejski. Naciągnął czapkę na czoło, oparł się o metalową balustradę i wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć. Swoją lichy wzrost musiał rekompensować silnymi rękoma. Pewnie jedzie na Trzebież. Na tych liniach latały stare Pk1[116], zbudowane niedaleko stąd, na Vulcanie[117]. Piękny, pomyślał. Klęby pary dotarły do kładki i objęły Cypka. Mężczyzna zaciągnął się rozrzedzonym powietrzem, jakby chciał po raz ostatni poczuć zapach i smak ukochanej maszyny, po czym spojrzął na zegarek. Już czas. Przyśpieszył kroku. Wszedł na leśną ścieżkę, ziemia była rozmokła. Szedł ostrożnie, starając się nie wdepnąć w szlam. Chciał uniknąć awantury o zabłocone buty. Hermanowa pilnowała tego. Ta czarownica z Niebuszewa.

– Do kościoła też wchodzisz w zafajdanych butach?! – wydzierała się.

Nienawidził jej. Nikt jej nie lubił, ale była tu od początku. Mistrz ją tu ściągnął, zanim jeszcze powstało towarzystwo.

Stanął przed wysoką bramą, spojrzął na buty. Nieco zabrudzone, ale i tak należy uznać za cud, że były w tak dobrym stanie. Chwycił za sznurek wiszący pod dzwonkiem i mocno go pociągnął. Metaliczny dźwięk spłoszył stado szpaków, które dotychczas w ciszy obserwowały, jak mężczyzna zbliża się do ogrodzenia. Po chwili od strony bramy dało się słyszeć tubalny głos.

– Kto tam?

– Wiwat Elżbieta Batory!

Cyppek zawsze zastanawiał się, dlaczego akurat takie hasło. Kim była ta Batory, do cholery? Nie można było zrobić „Wiwat Szczecin” albo „Śmierć germańskim psom”?

Chrzęst przekręcanego klucza w kłódce i dźwięk metalowego łańcucha uderzającego o drewno oznaczał, że Golem dosłyszał hasło. Nieraz trzeba było je powtórzyć drugi albo nawet trzeci raz, bo tępy wielkolud miał problemy ze słuchem.

W drzwiach przywitała go Hermanowa. O dziwo, była wyjątkowa miła. Nawet nie spojrzała na jego buty.

– Witam brata majstra!

Kobieta przerastała go o głowę.

– Dzień dobry.

Cyppek zanotował, że po raz pierwszy widzi uśmiech na twarzy czarownicy.

– Zapraszam do Taneczniczy. – Hermanowa wskazała ruchem ręki korytarz prowadzący do okrągłaka.

– Do Taneczniczy?

Cyppek przystanął i zdziwiony przyglądał się wykrzywionej w dziwnym uśmiechu twarzy gospodyni. Nie zauważywszy żadnej reakcji, powoli, jakby cięższy o dwadzieścia kilogramów, ruszył w kierunku schodów prowadzących do piwnic.

Tanecznicza była używana przez członków towarzystwa tylko w wyjątkowych sytuacjach – gdy przyjmowali nowych członków lub usuwali starych. Nie kończyło się to dobrze dla usuwanych. Nikt tego głośno nie wypowiedział, ale zgodnie z nowotestamentową sentencją wygrawerowaną nad wejściem do sali w złoconym mosiądzu – „Jedźcie ciało moje i pijcie krew moją” – można było się domyślić, jaki czekał ich koniec. Pocieszające było jednak to, że na taką naradę nie zapraszano

wykluczanego. Zatem skoro już go zaprosili, to nie po to, by go poinformować, że zostanie wykluczony.

Pocieszony tym wnioskiem ruszył trochę pewniej w kierunku okrągłaka. Schodząc krętymi schodami, dotykał dłońmi zimnych cegieł. Co pół metra umieszczono pochodnię, dzięki czemu kolejne stopnie były dobrze widoczne. Po przejściu blisko trzydziestu poczuł zapach stęchlizny, a na pulchnych policzkach – podmuch chłodnego powietrza. Wszedł do wielkiego pomieszczenia przypominającego wykutą w skale grotę. Całość wyglądała jak wielka podziemna świątynia. Posadzka wyrzeźbiona w jednolitej kamiennej bryle. Z bogato zdobionych ram obrazów zerkały przedziwne postaci. Wiedział, kogo i co przedstawiają, ale nigdy nie dopytywał, dlaczego akurat tu wiszą. Na pierwszym z prawej bohaterka tego idiotycznego hasła – Elżbieta Batory. Nawet ładna, szkoda, że ubrana. Nie miała co się równać z dziewczynami z pocztówek kupowanych na bazarze. Przerazała go. Właściwie każdy obraz wiszący w tej sali przyprawiał go o dreszcze. Szczególnie ten wielki u szczytu sali, tuż za fotelem mistrza. Na obrazie najbardziej go niepokoił ten wielki kozioł, wokół którego siedziały kobiety... nie kobiety, brzydkie baby. I te trupki dzieci leżące wokół nich... Co w tym było klawego? Po co to wieszać w tym i tak mrocznym miejscu? Jak mistrz o nim mówił? Goya? Tak, tak Goya. Gównno, nie Goya.

Cyppek stanął na środku sali. Dopiero teraz zobaczył, że z wnęk wykutych w bocznych ścianach wychylają się ciemne postaci. Światło pochodni nie docierało do tych miejsc – członków towarzystwa dostrzegł po krótkich cieniach, które ledwie się poruszały po kamiennej posadzce. Jak zwierzyna, która instynktownie odczuwa obecność drapieżników, czuł na sobie kilkanaście par ślepi.

– Usiądź, Józefie – rozkazał szorstki głos przypominający obijające się o siebie kamienie. Dobiegał z fotela mistrza, który, inaczej niż zwykle, stał tyłem do sali.

Cyppkowi zaczęły dygotać łydki. Na ugiętych nogach podszedł do krzesła umieszczonego pośrodku sali, w namalowanym czerwoną farbą okręgu. W niego wpisane były słowa „Zazel” i „Agiel” oraz dwa trójkąty opierające się na jednej podstawie, zakończonej po obu stronach kółkami. Znał ten znak doskonale – to był ich znak. Znak Azazela.

Fotel, z którego dochodził głos mistrza, obrócił się do niego, a przed nim ukazała się wysoka postać w czerwonej, aksamitnej szacie,

przypominającej habit albo tunikę z głębokim szkaplerzem. Cyppek nie widział twarzy mistrza, bo głowę przykrywał mu wysoki kaptur. Światło pochodni, umocowanych w ścianie za jego fotelem, podkreślało kontury postaci, jednak twarz pozostawała w cieniu.

– Wezwaliśmy cię, ponieważ nasze towarzystwo jest zagrożone – mistrz na chwilę zawiesił głos – dekonspiracją.

Z wnek w ścianie dobiegł pomruk. Cyppek zaczął nerwowo ścisnąć czapkę.

– Dochodzą do nas alarmujące sygnały od wpływowych ludzi w tym mieście, że nasza aktywność została zauważona, a to, jak wiesz, nie służy towarzystwu. Ludzie gadają, panikują, skarżą się członkom partii... Musimy to powstrzymać.

Z wnek w skale zaczęło dochodzić tupanie.

– Józefie, czy słyszałeś o Świącie Pojednania?

– No moi rodzice byli wierzący, ja szczerze powiedziawszy, mistrzu, tak nie za bardzo...

– Otóż, tego dnia Pan rozstrzygnął o losie tych wszystkich, co do których miał jeszcze jakieś wątpliwości w Rosz ha-Szana i zapisał ich w księgach życia i śmierci[118].

Mistrz wpadł w ekstazę, wstał, wyciągnął ręce przed siebie i zaczął recytować:

– „Weźmie też dwu kozłów, a postawi je przed Panem u drzwi namiotu zgromadzenia. I rzuci Aaron na oba kozły losy, los jeden Panu, a los drugi Azazelowi. I będzie ofiarował Aaron onego kozła, na którego padł los Panu, i ofiarować go będzie za grzech. Ale kozła, na którego padł los Azazela, postawi żywego przed Panem, aby oczyszczenie uczynił przezeń, a wypuścił go do Azazela na puszcza. I będzie ofiarował Aaron cielca, na ofiarę za grzech twój, a oczyszczenie uczyni za się, i za dom swój, i zabije cielca na ofiarę za grzech swój”[119].

Mistrz odetchnął głęboko i usiadł.

– Józefie, Świąto Pojednania było dla Izraelitów sposobem na... oczyszczenie z grzechów. Potrzebny im do tego był kozioł ofiarny, na którego przenoszono symbolicznie winy Izraelitów. Zatem, gdybyś miał wybór, wolałbyś iść do Pana, ale droga do niego jest prosta, w skrócie mówiąc: zostaje zarżnięty na śmierć, czy raczej wolałbyś zostać wypędzonym do tego

strażnika kóz, Azazela, mało sympatycznego demona, jednak gwarantującego życie. Co wybierasz, Józefie?

– Zaraz, zaraz, mistrzu, jaki kozioł ofiarny?

Mistrz wstał i zbliżył się do krzesła, na którym siedział Cyppek. Obszedł go dookoła i pochylił się. Mężczyzna poczuł intensywny zapach kwiatów.

– Bracie, to twoja nieudolność spowodowała na nas kłopoty – szeptał mu do ucha mistrz. – Te dziewczynki znalezione w beczce, te sukienki, które nieopatrznie wrzuciłeś do publicznego śmietnika, no i ta dziewczyna... – Mistrz wyprostował się, a jego głos rozniósł się po jaskini. – Jak ona miała na imię, Józefie? Sara?

Po sali przeszedł pomruk.

– Ale, mistrzu...? Przecież wiesz, że ja tego nie chciałem. Nie tak miało to wyglądać...

Cyppek próbował wstać, ale mężczyzna powstrzymał go, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Józefie, zaplanowaliśmy wszystko w najdrobniejszych szczegółach. – Mistrz usiadł na swoim fotelu. – Po całej sprawie zostaniesz przeniesiony na jakiś czas w Bieszczady. Mamy tam przyjaciół. Czeka tam już na ciebie twój syn.

Cyppek podniósł głowę.

– Jak to mój syn? To wy go...?

– Nic się nie martw, Józefie. Sprawę poprowadzi brat Franciszek. Wszystko już jest przygotowane. Nasi bracia i siostry w milicji, Służbie Bezpieczeństwa i sądzie o wszystkim wiedzą.

– Ale... ale jak ma to wyglądać? Co mam zrobić? – Oczami wyobraźni zobaczył łanię otoczoną przez watahę wilków.

– Bracie Franciszku! – zawołał mistrz w kierunku jednej z najbliższych wnek. Ciemna, wysoka postać podniosła się i podeszła do niego.

– Za trzy dni zapuka do ciebie twoja sąsiadka, Irena Jarosz, znasz ją. – Cyppek nie widział mężczyzny, ale rozpoznał głos prokuratora Franciszka Muszyńskiego. – To nasza współpracowniczka, nie zna sprawy i może lepiej. Poprosi cię o szklankę mąki. Postąpisz tak, jak... – Przerwał, jakby się zastanawiał, jakie słowa najlepiej oddadzą to, co zamierza powiedzieć. Po chwili dokończył: – ...jak zrobiłeś to z tymi siostrami z Niebuszewa. Po wszystkim pójdiesz do kina. Gdy wrócisz, będzie na ciebie czekał patrol. Przyznaj się. Resztą już ja się zajmę.

– Ale dlaczego Irena?

– Irena jest tylko drogą do zbawienia – zabrał ponownie głos mistrz. – Jej ciało stanie się naszą hostią.

Najważniejsza postać podniosła się z fotela.

– A teraz, Józefie, przyjmij nasze błogosławieństwo. Bracia, chwycie pochodnie!

Z wnek w ścianach zaczęły się wyłaniać długie cienie. Zakapturzone postaci otoczyły Cypka. Po kolei kładli na jego ramionach swoje dłonie. Dopiero teraz w blasku pochodni ich rozpoznał. Jak w jakimś diabelskim kalejdoskopie pulsowały przed nim z szyderczymi uśmiechami, krwawe mordy: kierownika Bajki Oryła, szefa przystani żeglarskiej w Gocławiu Burczy, prokuratora Muszyńskiego... Rozpoznał też bujną, ciemną jak smoła czuprynę znanego literata i dziennikarza „Kuriera Szczecińskiego” Kalksteina, pyzatą facjatę członka Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Szczecinie Dyczyńskiego, kartoflaną Łyczenki, no i oczywiście... piękną, smukłą twarz wielkiego mistrza. Tylko jemu tak naprawdę ufał. On był dla niego drogą i życiem. Reszta się nie liczyła. W końcu po latach upokorzeń, niezrozumienia, odrzucenia on, Józef Cyppek, będzie pierwszy. Zostanie wybrańcem! Przejdzie do historii tego parszywego miasta. Może nawet postawią mu pomnik?

[115] ulica Jaromira – obecnie aleja Wyzwolenia

[116] Pk1 – oznaczenie na PKP pruskiego parowozu pośpiesznego serii S10, produkowanego w latach 1904–1910. Na kolejach niemieckich nosił oznaczenie serii 170-1. Po pierwszej wojnie światowej polskie koleje eksploatowały trzydzieści jeden parowozów tego typu, a po drugiej – dwadzieścia cztery parowozy.

[117] Aktien-Gesellschaft (AG) Vulcan Stettin – przedsiębiorstwo stocznioowo-maszynowe działające w Szczecinie do końca drugiej wojny światowej.

[118] Za: Mieczysław Siemieński, *Księga świąt i obyczajów żydowskich. Było, minęło...*, Warszawa 1993, s. 63.

[119] 3 Mojż 16, 7–11, tłumaczenie za Biblią gdańską (1632)

Bibliografia

- Leszek Bieliński, Wojciech Miś, *Kryminalistyczno-procesowe zabezpieczanie śladów na miejscu zdarzenia*, Szkoła Policji w Pile, Zakład Kryminalistyki, Piła 2009.
- Krzysztof Buchowski, *Polacy w niepodległym państwie litewskim 1918–1940*, Instytut Historii Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 1999.
- Czary i czarownictwo na Pomorzu*. Materiały z konferencji naukowej, która odbyła się w dniach 17–18 maja 2007 r. w Marianowie, red. Arleta Majewska, Stargard 2008.
- Rafał Jesswein, *Enklawa*, Kadruk, Szczecin 2021
- Szymon Kazimierski, *Hiena. Historia Erzsébet Báthory*, „Kurier Galicyjski”, 17.03.2009, nr 5 (81), <https://kuriergalicyjski.com/hiena-historia-erzsabet-bathory/>.
- Grażyna Kędzierska, *Polska kryminalistyka w okresie dwudziestolecia międzywojennego*, „Rocznik Stowarzyszenia Naukowców Polaków Litwy” 2018, t. 18, s. 243–263, <https://www.snpl.lt/Rocznik/18/R.18.243-263.pdf>.
- Iwona Kienzler, *Życie w PRL. I strasznie, i śmiesznie*, Bellona, Warszawa 2015.
- Krzysztof Kosiński, *Historia pijactwa w czasach PRL: polityka, obyczaje, szara strefa, patologie*, Neriton, Instytut Historii PAN, Warszawa 2008.
- Marcin Kowalski, Waldemar Wojtkowiak, *Głośne bydgoskie zbrodnie. O Zenonie, który mordował kobiety*, „Gazeta Wyborcza”, dodatek „Tygodnik Bydgoszcz”, 5.05.2016
<https://bydgoszcz.wyborcza.pl/bydgoszcz/1,71270,20026759,glosne-bydgoskie-zbrodnie-o-zenonie-ktory-mordowal-kobiety.html>.
- Konrad Koziół, *Polityczna i ustrojowa rola prokuratury w okresie po II wojnie światowej w ustawie z 20 lipca 1950 roku o Prokuraturze Rzeczypospolitej Polskiej*, „Przegląd Prawno-Ekonomiczny” 2015, nr 33, s. 103–110.

- Antonina Kozyrka, *Konflikt polsko-litewski w diecezji wileńskiej na początku XX wieku*, „Europa Orientalis. Studia z Dziejów Europy Wschodniej i Państw Bałtyckich” 2010, nr 2, s. 9–27, DOI 10.12775/EO.2010.001.
- Marek Łuczak, *Szczecin, Gołław, Gołęcino. Gotzlow, Frauendorf*, Pomorskie Towarzystwo Historyczne, 2011.
- Tomasz Maciejewski, *Półki nie zawsze puste. Jak się handlowało za PRL-u*, „Gazeta Wyborcza”, 9.03.2013.
- Jarosław Molenda, *Rzeźnik z Niebuszewa. Seryjny morderca czy kozioł ofiarny władz PRL-u?*, Replika, Poznań 2019.
- Józef Piłsudski, *Myśli, mowy i rozkazy*, Kwadryga, Warszawa 1989.
- Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. – Kodeks karny (Dz.U. 1932 nr 60, poz. 571).
- Mieczysław Siemieński, *Księga świąt i obyczajów żydowskich. Było, minęło...*, Interpress, Warszawa 1993.
- Halina Szulce, Henryk Mruk, *Kształtowanie się cen detalicznych w Polsce Ludowej*, „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny” 1984, R. XLVI, z. 4, s. 39–58.
- Leszek Wiśniewski, *O nowy model prawny stowarzyszeń*, „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny” 1969, nr 31, z. 4, s. 61–76, <https://repozytorium.amu.edu.pl/bitstream/10593/18901/1/005%20LESZEK%20WI%C5%9ANIEWSKI.pdf>.
- Mike Urbaniak, *Lewi, cioty, pedeki. Jak żyło się homoseksualistom w PRL-u?*, „Wysokie Obcasy” 23.08.2012, <https://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/7,53662,12283796,lewi-cioty-pedeki-jak-zylo-sie-homoseksualistom-w-prl-u.html>.
- Z archiwum Sz. Śladem szczecińskich historii niezwykłych XX wieku*, red. Piotr Szyliński, Rebis, Poznań 2005.
- Adam Zadworny, *Rzeźnik z Niebuszewa. Prawdy i mity o zabójcy, który handlował ludzkim mięsem*, „Gazeta Wyborcza”, 2.05.2013, <https://szczecin.wyborcza.pl/szczecin/7,34939,13840634,rzeznik-z-niebuszewa-prawdy-i-mity-o-zabojcy-ktory-handlowal.html>.
- Adam Zadworny, *Szczecin. W PRL-u – Dziki Zachód. A potem – okno na Zachód (i NRD)*, „Gazeta Wyborcza”, dodatek „Ale Historia”, 28.09.2015, <https://wyborcza.pl/alehistoria/7,121681,18911807,szczecin-w-prl-u-dziki-zachod-a-potem-okno-na-zachod-i.html>.

Media internetowe

Marcin Czarnecki, *Józef Cyppek – rzeźnik z Niebuszewa*, „Tropiciele Historii”, 3.03.2020, <https://tropicielehistorii.pl/jozef-cyppek-rzeznik-z-niebuszewa/>.

Fotopolska.eu, <https://fotopolska.eu/>.

Bartosz Gondek, *Max Schmeling nie Bajka o szczecińskich interesach mistrza pięści*, „Strefa Historii – Portal Historyczny Północna TV”, 5.05.2020, <http://strefahistorii.pl/article/6797-max-schmeling-nie-bajka-o-szczecinskih-interesach-mistrza-piesci>.

Łukasz Godziński, *Kiedys to dopiero były lokale! Legendarne miejsca zabaw szczecinian*, „Nasze Miasto – Szczecin”, 15.04.2012, <https://szczecin.naszemiasto.pl/kiedys-to-dopiero-byly-lokale-legendarne-miejsca-zabaw/ar/c4-2810308>.

Marek Jaszczyński, *Historia Szczecina: Morderstwo sprzed lat*, „Nasze Miasto – Szczecin”, 20.11.2011, <https://szczecin.naszemiasto.pl/historia-szczecina-morderstwo-sprzed-lat/ar/c1-2822666>.

Zbigniew Jurkaszewicz, projekt *Pionierzy Szczecina*, <http://www.pionierzyszczecina.pl/wspomnienia/zbigniew-jurkaszewicz/>.

Jakub Juszyński, *Czeskie wynalazki, o których na pewno słyszeliście*, „Tym Razem”, 7.02.2020, <https://tymrazem.pl/czeskie-wynalazki-o-ktorych-na-pewno-slyszeliscie/>.

Paweł Knap, Paweł Skubisz, *Chłopcy z Pesztu*, „Przystanek Historia”, 23.10.2021, <https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/75506,Chlopcy-z-Pesztu.html>.

Antoni Kozłowski, *„Mowa kulawa”. VIII. Slang młodzieżowy w PRL*, „Salon 24”, <https://www.salon24.pl/u/wilkmiejski/767481,mowa-kulawa-viii-slang-mlodziezowy-w-prl>.

Paweł Krzych, *Gastronomia w Szczecinie w latach 70.*, „Szczecin Blog”, 27.05.2014, <http://www.szczecinblog.pl/2014/gastronomia-w-szczecinie-w-latach-70/>.

KL Lublin 1941–1944, <http://www.majdanek.com.pl/>.

Polacy na Wschodzie. Historia mówiona, <http://www.polacynawschodzie.pl>.

Marek Rudnicki, *Ruski lejtnant zabija czterech Polaków*, „Nasza Historia”, <https://naszahistoria.pl/ruski-lejtnant-zabija-czterech-polakow/ar/9175080>.

Łukasz Włodarski, Józef Cyppek – rzeźnik z Niebuszewa, „W Mroku Historii”, 25.10.2017, <https://wmrokuhistorii.blogspot.com/2017/10/jozef-cyppek-rzeznik-z-niebuszewa.html>.

Ewa Wołkanowska, *Kiejdany*, „Polacy na Wschodzie. Historia mówiona”, <http://www.polacynawschodzie.pl>.

Roman Zając, *Kim jest Azazel? Kim jest szatan?*, <https://egzorcyzmy.katolik.pl/kim-jest-azazel-kim-jest-szatan/>.

Andrzej Zawistowski, *Reglamentacja towarów w PRL*. „Dzieje.pl – Portal Historyczny”, 21.08.2011, <https://dzieje.pl/content/reglamentacja-towar%C3%B3w-w-prl>.

Życie na kartki, Polskie Radio, 1.08.2014, <https://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/320244,Zycie-na-kartki>.

Spis treści

Karta tytułowa

Cytat

Informacja

Prolog

CZEŚĆ I: OFIARY

1. Śmiejąca się śmierć
2. *Komm zurück*
3. Zacisze
4. Zespół
5. Kery
6. Batiar
7. Karty zgonów
8. Turczynka
9. Eneny
10. Mewki
11. Wódka
12. Prokurator
13. List
14. Mieszkanie na Buczka
15. Pociąg do Golęcina
16. Zarażeni
17. Sekcja zwłok
18. Barman z Turczynki

19. Czarna Jolka
20. Siostry z Niebuszewa
21. Z Kiejdan do Stettina
22. Kości się wysypały
23. Julia
24. Kocioł
25. Dokumenty nie kłamią
26. Dziennikarz
27. Dzieci z Łasztowni

CZĘŚĆ II: POŚCIG

28. Bajka
29. Nadodrzański walczyk
30. Kasia
31. Tajemnica Wzgórza Kupały
32. Partia oczekuje wyjaśnień
33. W wieży Quistorpa
34. Teczki
35. Profesor
36. Przesłuchanie
37. Tunel

Epilog

Bibliografia

Karta redakcyjna

Copyright © by Przemysław Kowalewski, 2023
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: © Pola i Daniel Rusiłowiczowie
Zdjęcie na okładce: © raland / Adobe Stock

Redakcja: Jacek Ring
Korekta: Dorota Wojciechowska
Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-815-5

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.